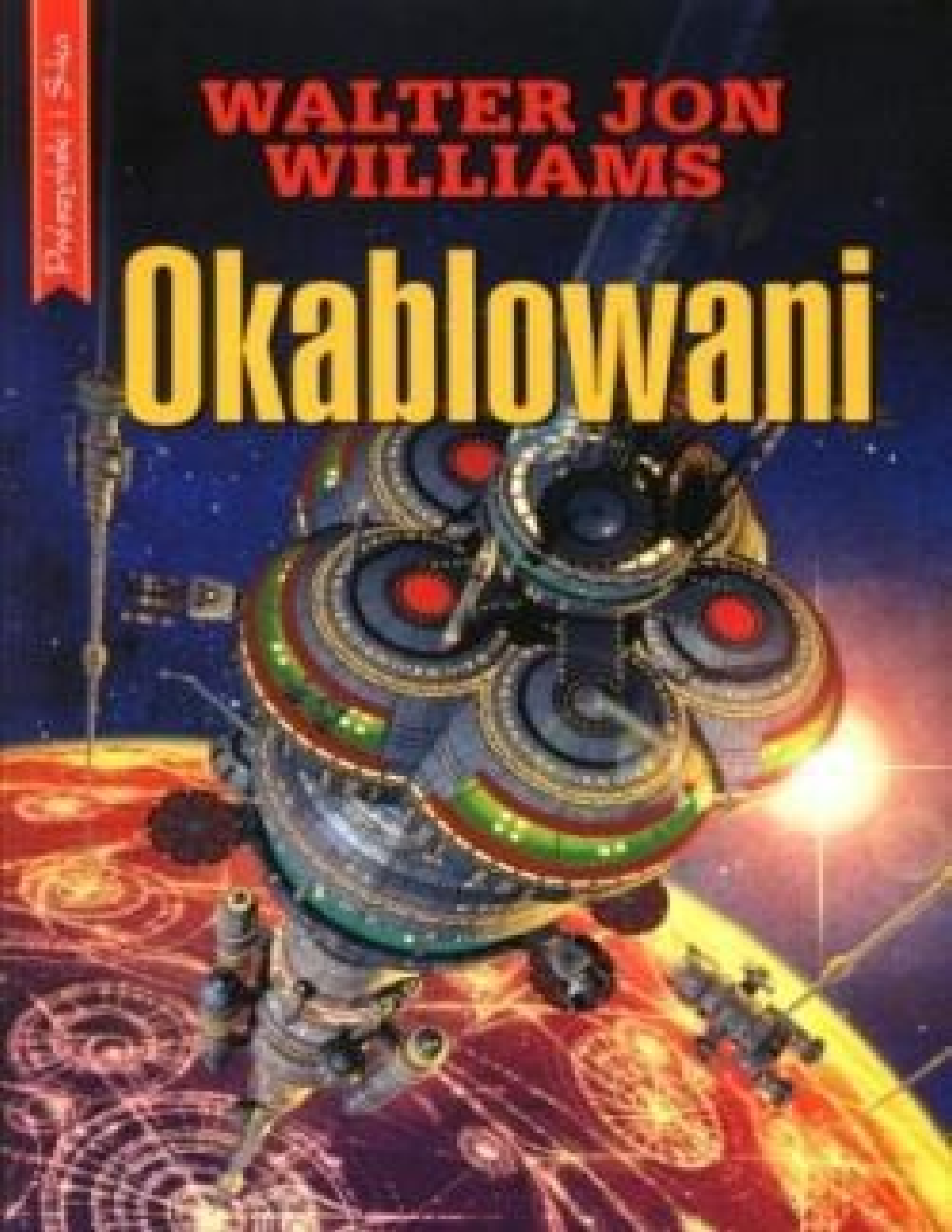


Produced by Studio

**WALTER JON
WILLIAMS**

Okablowani



WALTER JON WILLIAMS

OKABLOWANI

Podziękowania wraz z czubkiem dziesięciogalonowego kapelusza dla Terry Borena i Laury Mixon vel Barkonspiratorów.

Oraz specjalne podziękowania dla Rogera Żelaznego, który pozwolił mi buszować po swojej Alei.

Rozdział pierwszy

Opółnocy przekonuje się, że niezadowolenie nie pozwoli mu za-snąć. Pancerniak jedzie z Santa Fe na północ, przez góry San-gre de Cristos, wysoko położoną drogą przecinającą masyw Tru-chas. Kieruje się do Kolorado, pragnąc znaleźć się jak najbliżej nocnego nieba. Prowadzi, nie używając rąk ani nóg, z umysłem ży-jącym w zimnym interfejsie neuronowym, który istnieje gdzieś pomiędzy szybkozmiennymi obrazami przebiegającymi przez je-go przednią szybę a elektryczną świadomością, która jest sporzą-dzoną ze stopu karoserią i ciekłokrystalicznym sercem maserati. Sztuczne oczy kierowcy, całe z plastiku i stali, nie mrugają, wpa-trując się w drogę, w kręte koleiny sfalowane odejściem wiosny, wysokie pnie sosen i topoli, podniebne łąki upstrzone czarnymi, nieruchomymi sylwetkami bydła - wszystko to szkicowane pędzą-cym, jakby płynnym, blaskiem potężnych reflektorów przyspie-szającego maserati. Kształty gorejące w tym świetle odcinają się wyraziście od czarnego tła własnych cieni i Kowboj niemal widzi siebie w monochromatycznym świetle, niczym w celulooidowym filmie wyświetlanym przed przednią szybą, migoczącym wskutek jego pędu. To prawie jak lot.

Kiedy dostał swoje oczy Kikuju, chciał poprosić o wersję z try-bem monochromatycznym - rozbawiony myślą o pstryknięciu ja-kimś mentalnym przełącznikiem umieszczonym w głowie i zanu-rzeniu się w świetle z czarno-białej fantazji, starym filmie pełnym gwiazd takich jak Gary Cooper czy John Wayne - ale po-pyt na taki model był niewielki, więc nie było go już w ofercie. Chciał też tęczówki ze stali chromowej, lecz Dodger, jego mena-dżer, odwiódł go od tego zamiaru, twierdząc, że w tym biznesie za-nadto zwracałyby uwagę. Kowboj zgodził się niechętnie, jak za-wsze kiedy Dodger starał się ograniczać jego fantazję. W końcu zdecydował się na źrenice w szarym kolorze burzowej chmury. Lecz tutaj, w górach nazwanych imieniem krwi Chrystusowej, znajdują się fantastyczne rzeczy, starsze niż jakiegokolwiek zapisa-ne na celuloidzie. Przesuwają się przed jego plastikowo-stalowy-mi oczami niczym w dobrze zmontowanym filmie: wiekowy, bielo-ny kościół z drzwiami obramowanymi malowidłem wyglądającym niczym turkusowe niebo, gryzącym się wściekle z czerwienią i żół-cią trójkątnego kształtu z wszechwidzącym okiem, umieszczonym na półokrągłym tympanonie; jakiś potężny, biały zamek w maro-kańskim stylu - zabawka nieznanego Araba, który dawno już zniknął - z wałącymi się minaretami pokrytymi brązowymi pla-mami i pordzewiałymi rokokowymi żelaznymi arabeskami. Nagle zza zakrętu wyłania się para białych duchów, niczym postaci nio-sące nadnaturalne ostrzeżenie. Indiańscy pielgrzymi ubrani cali na białe - od opaski na czole, związującej długie włosy, do moka-synów z miękkiej skórki połyskujących srebrnymi guzikami. Po-kutnicy idą cierpliwie w świetle księżycy do sanktuarium w Chi-mayo, by podziękować swym rzeźbionym santos lub poprosić Dziewicę o łaskę. Widoki niczym fragmenty innego czasu, zacho-wane tu na wysokiej krawędzi Ziemi, migocą w rozbłyskujących jasnością oczach Kowboja.

Kowboj rozpędza maszynę do granic możliwości, wszystkie kontrolki na pulpicie wskazują groźbę przeciążenia. Pędzenie wśród nocy to coś, co wychodzi mu najlepiej. Wycie silnika odbi-ja się echem od drzew, od wzgórz. Wpadające przez otwarte okna podmuchy wiatru niosą mocny zapach sosen. Kowboj wyobraża sobie celuloid przesuwający się przez projektor, poruszający się coraz szybciej, aż zacierają się obrazy. Neurony pulsują sygnałami do wszczepionego w czaszkę kryształu, przekazując jego wolę do przepustnicy, skrzyni biegów, podskakujących kół. Teraz maserati jedzie w dół, nabierając prędkości, pędząc serpentynami, w koń-cu przecina powierzchnię brodu przed Peñasco, na moment pod-nosząc ścianę rozpylonych kropel, w której przez ułamek sekun-dy, wśród tęcz, odbijają się przednie światła; lśnienie na granicy pola widzenia, niemal jak halucynacja,

zapowiedź istnienia barw w tym czarno-białym świecie.

O świecie maserati przecina granicę Kolorado i wczesnym rankiem brązowa maszyna wjeżdża do okręgu Custer. Teraz góry są w brązowo-zielone, pełne wiatru kołyszącego sosnami, nie zostało nawet śladu po monochromatycznej wizji. Kowboj ma tu przyjaciół. Skręca w prywatną drogę gruntową, wiedząc, że wzbudza tym gwałtowne zainteresowanie pewnych urządzeń elektronicznych.

Kręty szlak stromo pnie się w górę, dochodzi do wysoko położonej hali, wypoziomowanej i przeciętej krzyżującymi się pasami startowymi prywatnego lotniska. Tam gdzie kiedyś czarne delty startowały do swych tajemnych, nocnych misji, teraz w szczelinach nawierzchni, pomiędzy trawami, kwitną kwiaty. Wciąż jeszcze widać przerwę w grupie jasnozielonych topoli, gdzie pewnego razu dzok w uszkodzonej delcie przeskoczył pas i rozsmarował się razem z ładunkiem na kilometrowym kawałku zbocza, jednak wy-rwa już zazieleniła się samosiejkami. Lądowisko zaczyna teraz wyglądać trochę jak ze snu, jego widok nieco się zamazuje na krawędziach, ale Kowboj nie zamierza dopuścić, by zanikły wspomnienia. Są dla niego bardziej żywe niż obecna rzeczywistość, po-leruje je codziennie, niczym lakier nowiutkiego samochodu, żeby zachować ich świeżość.

Przez jedenaście pokoleń przodkowie Kowboja uprawiali ziemię w południowo-wschodnim Nowym Meksyku; kropeczki na monotonnej, czerwonej równinie, tak odmiennej od świata San-gre de Cristos jak Ukraina od Peru. Co pewien czas ktoś z rodziny Kowboja zarzucał karabin na ramię i szedł walczyć za Stany Zjednoczone, jednak większość sił zachowywali na wojnę z Teksasem. Teksaszczyki pożąдали wody, zużywali jej więcej, niż kiedykolwiek byliby w stanie uzupełnić, w końcu budowali potężne pompy po swojej stronie, dosłownie o centymetry od granicy, i wysysali alkaliczne wody z Nowego Meksyku, kradnąc to, co inni z taką pieczołowitością starali się zachować. Rodzina Kowboja walczyła z nimi, trzymając się do końca, aż wreszcie ostatnia pompa wyschła, a czerwony pył wzbił się w niebo i zmienił świat w wypełniony piachem huragan.

Kowboj pamięta dni spędzone w piaszczystej niecce, na ranczu stryja, gdzie zamieszkał po tym, jak w walce o przetrwanie ojciec zaharował się na śmierć. Egzystencję w szarych budach z desek, pobudowanych przez Teksaszczyków na skraju pustyni, gdzie każdy wiatr wdmuchiwał czerwoną ziemię na kilka cali za drzwi, a całym dniami słońce widoczne było jedynie jako cieplejsze, rumiane rozjaśnienie w chmurach pędzącego piachu. Uprawa ziemi była niemożliwa, rodzina zajmowała się więc hodowlą bydła, interesem tylko nieco mniej niepewnym. Najbliższe miasteczko przechwalało się liczbą Kościołów, Kowboj wychował się w jednym z nich, przyglądał się, jak z dnia na dzień członkowie kongregacji stają się bardziej ponurzy, skóra im szarzeje, a w oczach pojawia się co-raz silniejszy wyraz desperacji podczas zanoszenia modłów do Boga, by wybaczył im grzechy, które sprowadziły ich do tego czyśćca. Teksaszczyki, niegdysiejsi wrogowie, przechodzili przez tę ziemię w drodze nie wiadomo dokąd, mieszkając w kartonowych pudłach, w starych, stojących na ceglach samochodach, lata temu obdarzonych z lakieru przez piach. Nadeszła Wojna Skał, skończyła się i zrobiło się gorzej. Nadal śpiewano hymny, nie uznawano trunków i kart, a ogłoszenia o licytacji farm pojawiały się w sądzie. Dodger był starszym człowiekiem, który przeniósł się do Kolorado. Kiedy wrócił do domu, zajechał lśniącym samochodem i nie poszedł do kościoła. Żuł tytoń, bo nie przeszkadzało mu to w grze lewą ręką na mandolinie w knajpianym zespole, zajęciu, któremu oddawał się w wolnym czasie. Poszarzali ludzie w kościele nie lubili mówić o sposobie, w jaki się dorobił. A pewnego dnia Dodger zobaczył Kowboja na rodeo.

Pojawił się na ranczu wuja i załatwił sobie wypożyczenie chłopa na jakiś czas, nawet zapłacił za to. Zorganizował mu trochę praktyki na symulatorze lotów, a potem skontaktował się ze znajomym

trzeciakiem. Reszta, jak by to powiedział Dodger, to już historia.

Kowboj miał szesnaście lat, gdy zaczął latać. W swoich szpa-nerskich, starych skórzanych butach miał sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry, wkrótce zaś wyrósł o całe kilometry wyżej, at-mosferyczny dżok przeciągający smugi kondensacyjne od wy-brzeża do wybrzeża, dostarczając pocztę - czyli cokolwiek się tra-fiło. Orbitalcy i celnicy Środkowego Zachodu byli po prostu jeszcze jedną bandą Tekszańczyków - kimś, kto usiłował siłą ode-brać ci rzeczy utrzymujące cię przy życiu, nic nie dając w zamian, zostawiając za sobą tylko pustynię. Kiedy instalacje obronne na Granicy stały się za silne, dżoki przesiedli się na pancerki - i poczta nadal dochodziła. W nowym systemie też były wyzwania, ale jeśli Kowboj miałby cokolwiek do powiedzenia, nigdy nie opu-ściłby nieba.

Teraz ma dwadzieścia pięć lat, robi się za stary do tej roboty, zbliża się do okresu, gdy nawet okablowane refleksy neuronowe zaczynają słabnąć. Gardzi używaniem zestawów nagłownych, w je-go czaszkę wmontowano pięć gniazd pozwalających podpiąć pery-feria wprost do mózgu, co w krytycznych chwilach pozwala zaosz-czędzić milisekundy. Większość ludzi nosi włosy na tyle długie, by zakryć złącza, ponieważ obawiają się przypięcia im łatki „nabija-nego łba” albo i czegoś gorszego, ale Kowboj gardzi takimi gierka-mi. Nosi włosy przycięte krótko przy skórze, a czarne ceramiczne gniazda ma przyozdobione srebrnymi drucikami i turkusowymi scalakami. Tu, na Zachodzie, gdzie ludzie wiedzą, co to oznacza, traktowany jest z pewnym szacunkiem.

Nerwy ma okablowane, jak tylko się dało, oczy firmy Kikuyu Optics ze wszystkimi dostępnymi możliwościami. Posiada dom w Santa Fe, ranczo w Montanie, które prowadzi mu jego wuj, jest właścicielem rodzinnej ziemi w Nowym Meksyku i płaci za nią podatki, jakby była cokolwiek warta. Ma też maserati i prywatny samolot - „biznesowy odrzutowiec” - oraz pakiet akcji i skrytki ze złotem.

Również to miejsce jest jego własnością, ta niewielka łąka górską w Kolorado; kolejna skrytka, tym razem na wspomnienia, które nie chcą odejść. Oprócz nich tkwi w nim niezadowolenie, które go tu przywiodło, bezkształtne, lecz rosnące. Parkuje koło wielkiego, zamaskowanego betonowego hangaru i odwraca się od maserati jeszcze przed zamilknięciem silnika. W za-padłej ciszy słyszy dobiegający gdzieś z wnętrza dźwięk stalowej gi-tary i szelest traw zwiastujący pierwsze, bezkierunkowe podmuchy popołudniowych prądów termicznych. Podchodzi do hangaru, wycią-ga z zamka wtyk, wciska go w gniazdo w głowie i podaje kod. Za ciężkimi metalowymi drzwiami stoi wurlitzer, lśniący chro-mem i jasnym, fluorescencyjnym plastikiem, wypełniający wiel-ką niczym katedra przestrzeń jakąś starą piosenką Woody Guth-riego. Powyżej widnieją matowe, czarne kształty trzech delt, słabo majaczące w słabym świetle, lecz kojarzące się z potężną mocą i przerażającą prędkością. Teraz są przestarzałe - kiedy jeźdźcy fejsu zaczęli używać pancerek, Kowboj kupił je za niewie-le więcej niż wartość ich silników.

Warren stoi przy swoim warsztacie w plamie światła, dłubiąc w jakiejś części pompy paliwowej. Po jego poznaczonej zmarszcz-unguiuuiv”i kami twarzy przebiegają niebieskie odbłaski obrazów wideo zak-tywowanych przez przybycie Kowboja - mechanik wszędzie po-rozmieszczał kamery systemu bezpieczeństwa i dba o nie z taką samą starannością jak o gotowość delt do lotu.

W dniu wybuchu Wojny Skał był szefem załogi wVandenberg, gdzie wykonywał swoje obowiązki, wiedząc, że niczego nie może oczekiwać w zamian za swą pracę oprócz poprzedzającego nie-uchronny koniec, trwającego ułamek sekundy paskudnego nad-ciśnienia na karku wywołanego niklowo-żelazowym pociskiem spadającym przez atmosferę... ale zrobił to, do czego został przy-gotowany. Wysłał swoją kawalerię na górę, do walki z Orbitalca-mi o Ziemię, z całego serca życzył

im szczęścia i miał nadzieję, że być może choć paru powie „a to za Warrena”, waląc we wroga. Jednak sprawy potoczyły się zupełnie inaczej, niż oczekiwał: kiedy wypatrywał na nocnym niebie meteoru noszącego na sobie je-go nazwisko, rzeczywiście zobaczył spadające ogniste łuki, lecz to nie kawały skał rozświetlały mrok, lecz jego chłopcy i ich ma-szyny, młodzi, błyskotliwi mężczyźni noszący lazururowe apaszki na szyjach i ich lśniące igłowce, lecące w dół w kawałkach - ostatnie elektroniczne wizgi rozpadających się systemów, krew bryzgają-ca na wewnętrzne powierzchnie pękających szyb hełmów, rozbite zbiorniki tlenu rzygające białymi, kryształowymi fontannami w próżnię... Ostatnia nadzieja Ziemi w natarciu, rozerwana na strzępy przez wojowników z orbity.

Długie godziny czekał w Vandenberg w nadziei, że choć jeden zdoła dociągnąć na wraku do bazy. Nikt nie powrócił. Potem War-ren dowiedział się, że Ziemia się poddała. Orbitalcy okupowali Vandenberg, Orlando, Houston i Kubę, a on przeżył tylko dlatego, że stacjonował w miejscu zbyt wartościowym, by je zniszczyć. Później było dużo gładzenia o partyzantce, Warren też gadał dużo... przypuszczalnie więcej niż gadał - jeśli opowieści o sabo-tażu promu, który spadł wraz z kierownictwem Tupolev I. G. na pustynię Mojave, zasługiwały na wiarę. Po tym fakcie jego losy stały się nieco bardziej niejasne, aż wypłynął, pracując dla trze-ciaków w Kolorado, i spotkał Kowboja. Reszta, jak by to powie-dział Dodger, to historia.

- Cześć, K'boj - mówi Warren. Nie odwraca się od swojej ro-boty.

- Cześć. - Kowboj otwiera klapę wurlitzera - zamek nie działa od dziesięcioleci - i wyciąga kilka ćwiartek. Wybiera jakiś stary swing country i potem idzie przez mroczny hangar. - Niskociśnieniowa turbinowa pompa paliwowa - mówi War-ren. Rozmontowana wygląda jak plastikowy zestaw do zbudowa-nia modelu żółwia z Galapagos. - Nie spełnia parametrów moich testów. Widzisz pojaśniały metal, tu gdzie ocierają się łopatki? Jak sądzę, będę musiał zrobić nową część.

- Potrzebna ci pomoc?

- Może.

Dzięki jasnemu światłu padającemu z góry twarz Warrena jest bardziej wyrazista niż zwykle. Oczy i czoło ma ocienione dasz-kiem czapki, dlatego jego podobny do dzioba nos wydaje się większy niż w rzeczywistości. Mechanik stoi wyprostowany, pełen energii. Choć tu i ówdzie jego ciało straciło dawną jędrność, daje się to dostrzec jedynie w mało ważnych miejscach. Z tyłu za nim łagodne, kolorowe światelka wurlitzera odbijają się w matowo-czarnym dziobie delty. To on jest oficjalnym właścicielem lotni-ska, Kowboj nie lubi żadnych informatycznych tropów prowadzą-cych w jego kierunku, więc jest tylko cichym współnikiem. Warren grzebie jeszcze przez chwilę w pompie, potem zdejm-u-je wymiary potrzebnej części. Podchodzi do tokarki i nakłada okulary ochronne. Kowboj przygotowuje się do podawania mu na-rzędzi, gdyby zaszła taka potrzeba. Trudno znaleźć części zamien-ne do silników odrzutowych pochodzących z wojskowych nadwy-żek, a tym dostępnym zazwyczaj towarzyszy zbyt wiele pytań. Tokarka rusza hałaśliwie. Iskry padają na betonową podłogę jak małe meteoryty.

- W środę wieczorem ruszam na przemyt - mówi Kowboj. - Za pięć dni.

- Mogę wpaść w poniedziałek i przejrzeć pancerkę. Nie za póź-no?

- Nie przy tej trasie. -W głosie Kowboja brzmi uraza.

- Znowu Iowa?

- Cholera, tak. - Fala złości zalewa Kowboja. - Arkadij i inni... ciągle wgapiają się w swoje analizy. Mówią, że korsarze mają kło-poty finansowe, więc wystarczy tylko czekać i nie pozwolić im na przechwycenie ładunku.

-No i...?

- I to błąd. Nie wygra się z nimi, stosując się do ich reguł. Po-winniśmy jeździć na przemyt do Missouri co noc. Zmusić ich do zużywania paliwa, amunicji. Przywalić, jeśli zajdzie potrzeba. - Prycha pogardliwie. - Kłopoty finansowe. Zobaczylibyśmy, jaki efekt na ich przepływ gotówki miałyby strata tuzina samolotów. Warren podnosi wzrok znad pracującej tokarki.

- W środę wieczorem jedziesz dla Arkadija?

Kowboj kiwa potakująco głową.

- Nie podoba mi się ten facet. Sporo o nim myślę. Warren wraca do obsługiwania tokarki, jego ruchy są wystu-diowane, siwe włosy, wymykające się spod czapki, połyskują w błyskach iskier.

Kowboj czeka, wiedząc, że przyjaciel w swoim czasie powie, o co mu chodzi. Mechanik wyłącza tokarkę i podnosi okulary ochronne, umieszczając je nad daszkiem czapki. - Pojawił się nie wiadomo skąd. A teraz jest najważniejszym trzeciakiem w Skalistych. Ma źródła dostaw lepsze niż inni. Nosi te kriomaksowe ciuchy z Wolnej Strefy Florydy. - No i co z tego? Ma organizację. A jego ciuchów nie lubię tak samo jak ty.

Warren podnosi wykonany przed chwilą lśniący metalowy przedmiot do światła. Mruży oczy.

- Przypuszcza się, że sprowadza to przez bariery. Porwania, przekupni urzędnicy Orbitalców. Zwykle metody. Ale w takich ilościach? Nie można zdobyć tyle towaru bez wiedzy tych z góry. Robię to dla jazdy, nie dla ładunku, przelatuje Kowbojowi przez myśli. Sam to mówił wiele razy. Etyka, rodzaj oczyszczenia. W połowie przypadków nawet nie wiedział, co wiozł.

- Nie jestem pewien, czy chcę tego słuchać - mówi.

- No to nie słuchaj.

Warren odwraca się do pompy. Zakłada zestaw nagłowny i przeprowadza kilka testów diagnostycznych.

Kowboj myśli przez chwilę o Arkadiju, krzepkim mężczyźnie zawiadującym teraz połową przemytu idącego przez Granicę, otoczonym dziwną bandą asystentów, ochroniarzy, pomocników, techników, facetów najwyraźniej niemających żadnych funkcji, tylko naśladowujących jego modne ciuchy i maniery. Są także i kobiety, ale nigdy nie mają nic wspólnego z interesami. Ten styl życia pa-suje Kowbojowi do sposobu myślenia Arkadija: zagmatwany, pełen gwałtownych uprzedzeń i nienawiści. To człowiek z nagłego gniewu niespodziewanie przechodzący do sentymentalizmu, podejrzliwy w dziwny, brutalny sposób, charakterystyczny dla Rosjan, jakby paranoja była sposobem na życie, religią, a nie zaled-wie zestawem rozsądnych środków ostrożności.

Kowboj nie przepada za Arkadijem, ale jak na razie nie przero-dziło się to jeszcze w jawną niechęć. Arkadij uważa się za człowieka tkwiącego w samym środku wydarzeń, manipulatora, lecz w ogóle nie bierze udziału w tym, co się naprawdę liczy. Znajduje się poza nawiasem życia pancerniaka, zmutowanego stwora z turbino-wymi płucami, wysokociśnieniowym, turbowirnikowym sercem, kryształem wmontowanym w czaszkę, oczami jak lasery, palcami wystrzeliwującymi pociski kierowane i alkoholem pulsującym w żyłach... Arkadij sądzi, że kręci wszystkim, ale naprawdę jest tylko narzędziem, pretekstem do istnienia pancerniaków, dla ich szarż przez Granicę, w legendę. Jeśli Rosjanin tego nie rozumie, wówczas w ogólnym rozrachunku jego myśli niezbyt się liczą. Warren składa pompę, jest gotów przeprowadzić próbę, tak więc będzie jakiś czas dość zajęty. Kowboj rusza z plamy światła i wchodzi w mrok hangaru. Deltę zawisają nad nim, zastygłe i gotowe, brakuje im tylko pilotów, by ożyły. Unosi ręce, by dotknąć gładkiego podbrzusza, epoksydowej osłony skierowanego w dół radaru. Jakby głaskał matowocznego zwierza, na wpół dzikiego, zbyt

niebezpiecznego, by nazwać go zwierzęciem domowym. Brak mu tylko pilota i celu.

Przesuwa drabinkę spod klapy inspekcyjnej silnika do kokpi-tu, wspina się i siada w fotelu, który - lata temu - dopasowano do jego ciała. Znajome wonie gumy i metalu rozgrzewają go. Zamyka oczy i wspomina noc szarpaną jasnością, nagłą fontanną eksplo-dującego paliwa, szalony pościg, kiedy mając gliny na ogonie, gnał z naddźwiękową prędkością, przemykał się pomiędzy szczy-tami i dolinami Ozark, na strumieniu ognia pędząc do domu... Jego pierwsza delta nazywała się „Midnight Sun”, lecz kiedy zrozumiał, o co naprawdę chodzi, zmienił jej nazwę. Wraz z innymi deltadżokami nie stanowili abstrakcyjnej odpowiedzi na warunki rynku, lecz kontynuację pewnych mitów. Dostarczyć pocztę pod wysoką kopułą nocnego nieba, pomimo wszelkich wysiłków gnę-bicieli, starających się uniemożliwić to za wszelką cenę. Utrzymy-wać światełko gorejące w ciemności, nadzieję w kształcie płomie-nia dopalacza. Ostatni wolni Amerykanie, ostatni na szlaku...

Zaczął więc żyć w zgodzie z nowo nabytą wiedzą. Zaakceptował na wpół pogardliwy przydomek, jaki mu nadano, wypełniając go życiem, stając się Kowbojem, lotniczym dzokiem. Nie reagował na nic innego. Stał się najlepszy od przebywania w świecie wyzwań większych niż jakakolwiek konkurencja. Swoją następną delatę nazwał „Pony Express” - i dostarczał pocztę tak długo, jak mu pozwolono.

Aż zmieniły się czasy i sposoby przewożenia poczty. Aż z dzoka stał się pancerniakiem. Oczy, które potrafiły zogniskować się w najczarniejszą noc podczas natężonego wypatrywania niewielkiego, podczerwonego punktu zdradzającego gliny lecące bojowym pojazdem nad prerią, teraz zostały zamknięte w małej, opancerzonej kabinie, do której wszystkie sygnały wizualne docierają przez czujniki. Nadal jest najlepszy, nadal dostarcza pocztę. Porusza się w siedzeniu. Swing country cichnie i w pełnej ech ciszy Kowboj słyszy jedynie warkot tokarki Warrena, a także czuje w sobie jakiś niepokój, czekający tylko, by go nazwać...

Rozdział drugi

DZIŚ/TAK

Ciała i fragmenty ciał błyskają i znikają w świetle laserów, tu przejrzyste lśnienie oczu obwiedzionych henną albo uniesionych w niebo przesłonięte stropem pokrytym migotliwymi punkcikami niczym gwiazdami; tam elektryczne włosy błyskające modnymi wyładowaniami statycznymi; ówdzie błękitnobiały połysk zębów obramowanych ciemnym ogniem i przebitych niemym, wysuniętym językiem. To taniec stref. Chociaż zespół muzyczny jest głośny i gra jak szalony, wielu zastrefionych dostraja się do własnej muzyki przez kryształ subtelnie podłączony do nerwów słuchowych. Inni tańczą, używając zestawów nagłownych, przez które mogą odebrać dowolny z dwunastu kanałów baru... Tłum drga w arytmicznych płasach, nikt nie zwraca uwagi na pozostałych. Wszyscy starają się zachować perfekcyjną kontrolę, lecz zdarzają się wypadki - zderzenia, wir pięści i łokci - i ktoś wyczołguje się ze strefy, skomląc w umazaną krew dłoń, zignorowany przez stado.

Na Sarze tancerze w Aujourd'Oui sprawiają wrażenie drgającej masy zdychającego miecha, krwawego, pozbawionego zmysłów, śmiertelnego. Spętani blokiem ziemi. Są mięsem. Ona jest na łowach, a imię jej partnerki Łasica.

NOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWE

Potrzebne Ci Nowe Ciało?

Całkowicie Elektryczne-Wymienne-Najmodniejsze - Kup Natychmiast!

UJ -----

NOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWE

Projektantka ciał miała lśniące fioletowo oczy, a kości policzkowe jak wyrzeźbione z kości słoniowej. Blond włosy z pasemkami, zaraz za jej karkiem tworzyły niemal architektonicznie doskonały kształt pletwy grzbietowej. Umięśniona była niczym kot, a jej usta wyglądały jak okrutny kwiat.

- Tak. Włosy krótsze - powiedziała. - W nieważkości nie nosi się długich.

Błyskawicznym ruchem palców chwyciła Sarę za podbródek i ustawiła jej głowę do zimnego, północnego światła. Paznokcie miała fioletowe, dobrane pod kolor oczu, i bardzo ostre. Sara patrzyła na nią ponuro. Artystka uśmiechnęła się.

- Troszkę wyściółki na podbródku. Tak - kontynuowała - potrzebny ci bardziej wyrazisty. Koniec nosa można nieco zmienić, masz odrobinę zbyt zadarty. Krzywizna szczęki wymaga złagodzenia, jutro przyniosę nóż korekcyjny. No i, oczywiście, usuniemy blizny. One muszą zniknąć.

Sara zacisnęła wargi pod naciskiem fioletowo zakończonych palców. Projektantka puściła ją i odwróciła się szybko. - Czy musimy użyć tej dziewczyny, Cunningham? - spytała. - Ona w ogóle nie ma stylu. Nie umie chodzić z wdziękiem. Ciało ma za duże, zbyt niezdarne. Jest niczym, śmieciem. Przeciętniaczką. Cunningham, ubrany w brązowy garnitur, siedział w milczeniu, bez jakiegokolwiek wyrazu na twarzy pospolitej do niezauważalności. Głos miał cichy, lecz pełen autorytetu. Sara pomyślała, że takim tonem mógłby przemawiać komputer, tak kompletnie był wyprany z jakichkolwiek cech charakterystycznych. - Nasza Sara ma styl, Firebud - odezwał się. - Styl i poczucie dyscypliny. Ty masz nadać mu formę, wymodelować. Jej styl musi być bronią, ładunkiem kumulacyjnym. Ty go stworzysz, ja wyceluję, a ona wywali dziurę dokładnie tam, gdzie, jak sądzimy, powinna. Popatrzył na Sarę nieruchomymi brązowymi oczami.

- Prawda, Saro? - spytał.

Nie odpowiedziała, zamiast tego podniosła wzrok na projektantkę, odsłaniając zęby w lekkim grymasie.

- Pozwól mi na siebie zapolować któreś nocy, Firebud - zaproponowała. - Pokażę ci styl.

Artystka przewróciła oczami.

- Gadka ziemniaczka - prychnęła, ale cofnęła się o krok.

Sara się uśmiechnęła.

- I jeszcze, Firebud - wtrącił się Cunningham. - Zostaw blizny w spokoju. One przypomną Księżniczce o okrutnej, ziemskiej rzeczywistości, którą pomogła stworzyć. Że to ona dominuje - w czym jest zresztą już na wpół zakochana. Tak - dorzucił. - Nie ruszaj blizn.

Krótki skurcz przebiegł mu przez mięśnie policzków, był to uśmiech mroźny jak ciekły azot.

- Nasza Księżniczka je pokocha - dokończył. - Pokocha aż do końca.

WYGRANI/TAK PRZEGRANI/TAK

Aujourd'Oui to bar dżokejski, wszyscy tu są: nocne dżoki, fałsz-dżoki, paserdżoki, moddżoki i skaldżoki - dżoki zniżające się do dzielenia parkietu z otaczającymi ich bagniakami i ziemniewkami, mającymi nadzieję stać się jednym z nich - którzy albo ich ko-chają, albo po prostu chcą znaleźć się w ich pobliżu, otrzeć się o nich w tańcu strefowym i wchłonąć choć trochę z ich blasku. Dżoki noszą odpowiednie barwy, kamizelki i kurtki z emblematami ich bloków - TRW, Pfizer, Toshiba, Tupolew. ARAMCO - herby zwycięzców Wojny Skał, noszone z nonszalancką dumą przez dżoków, którzy wywalczyli sobie miejsce na niebie. Mająca metr dziewięćdziesiąt Sara przechodzi pomiędzy nimi w czarnej satynowej kurtce z wyszytym na plecach białym żurawiem ulatującym w wygwieżdżone niebo wśród gromady chińskich ideogramów. To herb małego bloku operującego głównie w Singapurze i niemal niespotykanego w Wolnej Strefie Florydy. Dla stałych klientów rzeźbiona twarz Sary jest obca, jednak można mieć nadzieję, że nie uznają tego za coś dziwnego, a przynajmniej nie aż tak, jak w wypadku gdyby nosiła herb Tupolewa albo Kikuyu Optics I. G.

Jest blada, zniknęła florydzka opalenizna, oczy ma obramowane na czarno. Jej niemal czarne włosy przystrzyżono krótko z boków głowy, na szczycie są nastroszone jak szczotka, z tyłu opadają na plecy dwoma cienkimi warkoczykami. Kolczyki ze stali chromowej ocierają się o ramiona. Firebud poszerzyła jej i tak już pokaźne bary, a także nieco zwęziła miednicę. Rysy twarzy Sary unuuuuuiouiu są ostre, kanciaste, przypominają kilka złożonych razem grotów strzał, ładunek kumulacyjny, którego żąda Cunningham. Jest ubrana w czarne pantofle do tańca, przytrzymywane taśmami owiązаныmi nad kostką i ciemnofioletowy, obcisły kombinezon naciągający materiał na sutkach, które Firebud przerobiła tak, by mocniej sterczały. Na to jeszcze narzuciła koszulę z gazy, wyszywaną srebrną nitką, a na szyi zawiązała apaszkę z czarnego jedwabiu. W nerwy słuchowe ma wszczepiony przekaźnik dwukierunkowy, a do ośrodków wzroku podłączony odbiornik, który w tej chwili monitoruje częstotliwości policyjne; ciągła ruchoma gązka z bursztynowych świecących diod, pojawiająca się na życzenie nieco powyżej linii jej rozbudowanego wzroku.

Prezenty od Cunninghama. Okablowane nerwy są jej własnością. Łasica też.

UWIELBIAM SWOJE OCZY KIKUYU, MÓWI CZOŁOWY GWIAZDOR PORNO ROD MCLEISH, A DYSPONUJĄC TRYBEM ODBIORU PODCZERWIENI, MOGĘ SPRAWDZIĆ, CZY MOJE PARTNERKI SĄ NAPRAWDĘ PODNIECONE, CZY TEŻ TYLKO UJEŹDŹAM SILIKON... - Kikuyu Optics I. G.

Oddział Mikojana-Gurewicza

Po raz pierwszy spotkała Cunninghama w innym barze - Błękitnym Jedwabiu. Sarah wykorzystwała Łasicę zgodnie z kontraktem, ale zagarniacz, przemytnik, który stał się bardziej chciwy, niż pozwalał na to jego spryt, też zrobił sobie okablowanie, więc leczyła siniaki. Na szczęście odzyskała towar, a ponieważ kontrakt zawarła z trzeciakami, zapłatę otrzymała w endorfinach - rzecz wygodna, skoro sama paru potrzebowała.

Ma stłuczoną kość udową i nie może usiąść. Zamiast tego opiera się plecami o wyściełaną krawędź baru i pociąga rum z limonką. System nagłaśniający Błękitnego Jedwabiu odtwarza muzykę z wysp, kojąc jej pobudzone nerwy.

Knajpę prowadzi Maurice, były kuterdzok ze starym modelem oczu Zeissa w czaszce, pochodzący z Indii Zachodnich. Walczył po stronie przegranych w Wojnie Skał. W przeguby i kostki wszczepiono mu gniazda na scalaki, tak wówczas montowano je w armii. Na ścianach wiszą zdjęcia jego przyjaciół i bohaterów z tamtych lat, wszyscy z błękitnymi jedwabnymi apaszkami elitarnych sił obrony kosmicznej na szyjach. Większość obramowana jest czarnymi wstążkami żałobnymi, zrudziałyymi z upływem lat.

Sara zastanawia się, jakie widoki oglądał tymi oczami. Czy był wśród nich wybuch promieniowania rentgenowskiego, poprzedzający ważące dziesięć tysięcy ton głązy wystrzelone z orbitalnych wyrzutni masy, które przedzierały się przez atmosferę, by roztrząskać się na ziemskich miastach? Sztuczne meteory, każdy niosący zagładę o mocy eksplozji nuklearnej, spadły najpierw na wschodniej półkuli na Mombasę oraz Kalkutę i do chwili gdy obrót Ziemi wystawił półkulę zachodnią na cel, planeta się poddała - lecz bloki Orbitalców uznały, że ich punkt widzenia nie został tam wystarczająco zaakcentowany, więc skały i tak spadły. Awaria łączności - powiedzieli potem. Miliardy na planecie nie uwierzyły w ani jedno ich słowo.

Sara miała wtedy dziesięć lat. Kiedy trzy skały zmiotły z powierzchni ziemi Atlantę i zabiły jej matkę, była na obozie Młodych Rekultywatorów pod górą Stone Mountain. Daud, który miał wówczas osiem lat, został przysypany gruzami, ale sąsiedzi usłyszeli jego krzyki i wyciągnęli go. Potem oboje przerwano z jednej agencji wysiedleńczej do drugiej, aż skończyli w Tampie u ojca, o którym nie słyszeli od momentu, gdy Sara skończyła trzy lata. Pracownik opieki społecznej trzymał ją za rękę całą drogę po rozpadających się schodach, ona trzymała Dauda. Klatka cuchnęła moczem, na podeście drugiego piętra leżała porzucona zniszczona lalka, poszarpana na kawałki jak narody Ziemi, jak życie mieszkających tu ludzi. Kiedy otworzyły się drzwi mieszkania, zobaczyła mężczyznę w podartej koszuli z plamami potu pod pachami. Miał wodniste oczy alkoholika, nic nie rozumiejąc, przenosił wzrok z niej na Dauda i potem na pracownika opieki społecznej, w tym czasie przekazano papiery i urzędnik oznajmił „To wasz ojciec, zajmie się wami”, a następnie puścił jej dłoń. Tylko połowa tego zdania okazała się kłamstwem.

Sara patrzy na blaknące fotografie w zakurzonych ramkach, martwych mężczyzn i kobiety o metalowych, zeissowskich oczach. Maurice też się im przygląda, zatopiony we wspomnieniach, wygląda, jakby miał zaraz się rozplakać - lecz oczywiście jego oczy są smarowane silikonem, a po kanalikach łzowych nie ma nawet śladu, tak samo jak po jego marzeniach, po marzeniach pięciu miliardów ludzi, którzy oczekiwali, że Orbitalcy poprawią ich życie, i których obecnie jedyną nadzieją jest w jakiś sposób znaleźć się na niebie o perfekcyjnie kobaltowej barwie.

Sara żałuje, że sama nie może zapłakać nad umarłą nadzieją w czarnych ramkach na ścianie, nad sobą i Daudem, nad potrzaskanymi szczątkami ziemskich aspiracji, a nawet nad zagarniaczem, tym, co to

dostrzegł swoją szansę na ucieczkę, ale nie był dość sprytny, żeby wyplątać się z gry, w którą wpędziły go nadzieje. Lecz łez od dawna nie ma, a ich miejsce zajęło niewzruszone jak kamień pragnienie - pożądanie wspólne dla wszystkich ba-gniaków i ziemniaków. Żeby je zaspokoić, musi tego chcieć bar-dziej niż wszyscy pozostali i być gotową zrobić, cokolwiek okaże się konieczne - albo dać sobie to zrobić, jeśli do tego dojdzie. Na myśl o Łasicy bezwiednie unosi rękę do gardła. Nie, teraz nie czas na łzy.

- Szukasz roboty, Saro?

Głos należy do spokojnego białego mężczyzny, który siedział na końcu baru. Podszedł przed chwilą i oparł rękę na stołku obok niej. Uśmiecha się w taki sposób, jakby nie był do tego przyzwyczajony.

Ona przymruża oczy, taksując go spojrzeniem, potem pociąga rozmyślnie długi łyk.

- Nie tego rodzaju roboty, jaki masz na myśli, bystrzaczku.

- Polecono mi cię - odpowiada.

Głos ma niczym papier ścierny, takiego się nie zapomina. Przy-puszczalnie przez całe życie nie musiał go ani razu podnosić. Sara pociąga kolejny łyk i zwraca na niego oczy.

- Kto? - pyta.

Uśmiech już zniknął. Teraz spogląda na nią wyjątkowo nijaka twarz.

- Hetman - mówi.

- Michael? - upewnia się Sara.

Potakujące kiwnięcie głową.

- Nazywam się Cunningham.

- Masz coś przeciw temu, żebym skontaktowała się z Michae-lem i spytała go?

Hetman kontroluje trzeciaków znad Zatoki, od czasu do czasu Sara wynajmuje mu siebie i Łasicę. Nie podoba się jej pomysł podsuwania jej nazwiska nieznanym.

- Jeśli chcesz - zgadza się Cunningham. - Ale wolałbym naj-pierw pogadać z tobą o robocie.

_ W tym barze nie załatwiam interesów - odpowiada ona. - Spotkamy się w Plastikowej Dziewczynie, o dziesiątej. - To nie jest oferta, która może czekać.

Sara odwraca się do niego tyłem i patrzy w metalowe oczy Maurice'a.

- Ten facet - mówi - napastuje mnie.

Twarz barmana nie zmienia wyrazu.

- Lepiej pan wyjdź - mówi do Cunninghama.

Sara nie patrzy na niego, kątem oka dostrzega coś przypomi-nającego nagle zwolnioną sprężynę. Cunningham sprawia wraże-nie wyższego niż przed chwilą.

- Czy mogę najpierw dokończyć drinka? - pyta.

Maurice, nie patrząc w dół, sięga do kasy i rzuca banknoty na blat.

- Na koszt firmy. Wynocha.

Cunningham nie odzywa się, patrzy tylko spokojnie przez chwilę w niemrugające metalowe oczy.

- Townsend - mówi Maurice, kryptonim generała, pod którego dowództwem swego czasu ruszył przeciwko Orbitalcom i ich pło-mienistym ochronnym polom energetycznym. Elektronika Błękit-nego Jedwabiu rozpoznaje jego głos, systemy obronne wyłaniają się z ukrycia za lustrem barku i zajmują pozycję gotowości. Sara spogląda w górę. Wojskowe lasery, myśli, wykombinowane gdzieś na

czarnym rynku albo może wymontowane ze starego kutra Maurice'a. Zastanawia się, czy bar ma dość mocy, by ich użyć, czy też jest to tylko blef.

Cunningham stoi nieruchomo jeszcze pół sekundy, potem od-wraca się i wychodzi z baru. Sara nie patrzy za nim. - Dzięki, Maurice - mówi.

Barman zmusza się do smutnego uśmiechu.

- Cholera, młoda damo, jesteś stałą klientką. A ten facio to Or-bitalec.

Sara jest zaskoczona.

- On jest z bloków? - pyta. - Jesteś pewien?

- Innes - Maurice wypowiada kolejne imię ze swej przeszłości i lasery chowają się na miejsce. Szybkim ruchem dłoni zgarnia pieniądze z blatu. - Nie powiedziałem, że jest z bloków - kontynu-uje - ale że tam był. Ostatnio. Można to poznać po sposobie cho-dzenia, jeśli ma się wytrenowany wzrok. - Podnosi sękaty palec do głowy. - Jego błędnik, wiesz? Siła ciężenia wytworzona ru-chem obrotowym jest odrobinę odmienna. Adaptacja zajmuje dobrą chwilę.

Sara krzywi się. Jaką robotę proponuje ten facet? Coś wystar-czająco ważnego, żeby sprowadzić go tu na dół przez atmosferę w celu wynajęcia ziemniarki i jej Łasicy? To mało prawdopodob-ne.

No cóż. Spotka się z nim w Plastikowej Dziewczynie, albo nie. Nie zamierza się tym przejmować. Przenosi ciężar ciała na drugą nogę, mięśnie bolą jak diabli, nawet przez endorfinową mgłę. Wy-ciąga szklankę.

- Jeszcze jeden poproszę, Maurice - mówi.

Z powolnym wdziękiem, który musiał świetnie mu służyć w wygwieżdżonej wiecznej nocy, barman odwraca się do lustra i sięga po rum. Nawet w tak prostym geście widać smutek. <¿VIVE EN LA CIUDAD DE DOLOR?

iDEJENOS MANDARLE A HAPPWILLE! *

- Pointsman Pharmaceuticals A. G.

Z Błękitnego Jedwabiu Sara bierze taksówkę do domu, poda-jąc kierowcy adres, próbuje zignorować spokojny wzrok obserwu-jącego ją Cunninghama. Facet stoi pod markizą po drugiej stro-nie ulicy i udaje, że czyta magazyn. Ile jej tym razem przechodzi koło nosa? Nie odwraca się, żeby sprawdzić, czy Orbitalec okazu-je niepokój z powodu jej ucieczki, lecz jakoś wątpi, by wyraz jego twarzy w ogóle się zmienił.

Sara dzieli z Daudem dwupokojowe mieszkanie, w którym pa-nuje bezustanny pomruk układów chłodzących i recyklerów, ma-łych, jarzących się robotów pętających się bezładnie, odkurzają-cych, pastujących, łowiących owady i pająki oraz usuwających pajęczyny z kątów.

We frontowym pokoju ma skromny terminal komputerowy, do którego Daud podłączył potężny system audiowizualny z ekranem * Hiszp. - Żyjesz w mieście bólu? Pozwól nam się wysłać do Happyville! (przyp. dum.)-wideo o prawie dwumetrowej przekątnej. Zestaw jest włączony, w ciszy ukazuje generowane przez komputer zmienne barwne wzory, dzięki laserowej optyce rzutując je na sufit i ściany. W tej chwili akurat podstawowym kolorem jest czerwień i ściany płoną zimnym, bezgłośnym ogniem.

Sara wyłącza wideo i przygląda się stygnącemu terminalowi, rozżarzona czerwień powoli znika z siatkówek jej oczu. Opróżnia brudne popielniczki pozostawione przez Dauda, myśli o facycie w brązowym garniturze, Cunninghامية. Działanie endorfin powo-li ustępuje i stłuczona kość udowa

ekspłoduje bólem przy każdym kroku. Czas na kolejną dawkę.

Sprawdza swój schowek na półce, w puszcze z cukrem i widzi, że dwie z dwunastu ampulek endorfin znikły. Oczywiście Daud. W mieszkaniu tej wielkości nie ma zbyt wielu możliwych schowków, nawet na niewielkie przedmioty. Sara wzdycha, potem zawiązuje opaskę nad łokciem. Wsuwa ampulkę do strzykawki, ustawia na niej dawkę i przyciska do ramienia. Przy akompaniamencie cichego mrużenia aparatu obserwuje powiększający się w fiolce bąbel powietrza. Mruga ostrzegawcze światelko i dziewczyna czuje naciągnięcie tkanki pod naciskiem spryskanej anestetykiem igły, wślizgującej się w żyłę. Zwalnia opaskę, odlicza dziesięć błysków diody na strzykawce i czuje, jak pomiędzy nią i bólem zapada miękka kurtyna. Bierze nierówny wdech, potem wstaje. Zostawia strzykawkę na sofie i wraca do terminalu.

Dzwoni do Michaela Hetmana, zastaje go w biurze. Zaczyna z nim rozmowę w hiszpańskim, on się śmieje. - Tak sądziłem, że dziś się odezwiesz, mi hermana - mówi. - Tak? - Sara wyraża zdziwienie. - Znasz tego orbitera Cunnin-ghama?

- Jako tako. Robiliśmy interesy. Ma najlepsze referencje.

- Czyje?

- Z samej góry.

- Czyli radzisz, żebym mu zaufała? - pyta dziewczyna. Jego śmiech ma nieco metaliczne brzmienie. Sara zastanawia się, czy jej rozmówca nie jest na haju.

- Nigdy nie udzielam takich rad, mi hermana - odpowiada. - Ależ nieprawda, Hetmanie - zaprzecza Sara. - Udzieliłbyś, gdybyś miał jakiś zysk z działalności Cunninghama. Skoro tego nie robisz, najwyraźniej wyświadczasz mu tylko przysługę. - Do swidania, siostrzyczko - mówi Michael zirytowanym głosem i przerywa połączenie.

Sara wpatruje się w milczący odbiornik i krzywi się. Otwierają się drzwi za jej plecami, dziewczyna odwraca się, błyskawicznie przyjmując pozycję dogodną do odskoku. Beztrosko wchodzi Daud. Za nim, z sześciopakami piwa, pojawia się jego menadżer, Jackstraw, niewysoki, młody facecik o niespokojnych oczach.

Daud podnosi na nią wzrok.

- Spodziewałaś się kogoś innego? - pyta, mamrocząc przez papierosa trzymanego w ustach.

Sara odpręża się.

- Nie - odpowiada. - To tylko nerwy. Dzień był niespokojny. Oczy Dauda niespokojnie błędzą po małym pomieszczeniu. Tęczówki ma zmienione z brązowych na bładoniebieskie, długie do ramion, zmierzwiłone włosy oraz brwi i rzęsy - na blond. Jest opalony. Ma na sobie sandały z tłoczonej skóry, obcisłe spodnie i ciemną siatkową koszulkę. Bierze supresory hormonalne, dlatego w wieku dwudziestu lat wygląda na piętnaście, nie ma nawet śladu zarostu.

Sara podchodzi i całuje go na powitanie.

- Dziś w nocy pracuję - mówi Daud. - Facet zabiera mnie na kolację. Niedługo muszę iść.

- Znasz go? - pyta Sara.

- Tak. - Brat uśmiecha się ledwie dostrzegalnie, ten grymas ma dodawać otuchy. W jego niebieskich oczach błyska cień. - Już z nim byłem.

- Nie kołtun?

Wzruszając ramionami, wyślizguje się z jej objęć i siada na sofie. - Nie - mamrocze. - Stary facet. Sądzę, że samotny. Łatwo go zadowolić. Najbardziej ze wszystkiego chce pogadać. Spozstrzega plastikowe opakowanie endorfin, grzebie w nim. Sara dostrzega, jak kolejne dwie ampułki znikają mu między palcami.

- Daud - mówi ostrzegawczym tonem. - To nasze jedzenie i czynsz. Muszę je upłynnić na ulicy.

- Tylko jedną - odpowiada brat.

Wrzuca ampułkę z powrotem do paczki, pokazuje jej drugą.

Popiół z papierosa spada na podłogę.

- Już dostałeś swoją działkę - protestuje Sara.

Osadzone w ciemnej twarzy oczy błyskają.

- Okay - mówi chłopak, ale nie odkłada fiolki.

Jego głód jest zbyt silny. Dziewczyna opuszcza wzrok i potrząsa głową.

- Jedną - zgadza się.

Daud wkłada ampułkę do kieszeni, potem unosi napełnioną strzykawkę, ustawia dawkę - Sara wie, że dużą. Ponieważ zdaje so-bie sprawę, jak bardzo poczułby się urażony jej troską, opanowuje chęć sprawdzenia strzykawki - pomimo świadomości, że jeśli dalej będzie tak samo postępował, któregoś dnia sam wpędzi się w śpiączkę. Obserwuje, jak endorfiny uderzają mu do głowy, jak z westchnieniem opada na oparcie, wolny od nerwowego dygotu. Sara podnosi strzykawkę, wyjmuje ampułkę i wrzuca ją do plastikowej torby. Daud podnosi na nią oczy, na twarzy błąka mu się lekki uśmiech.

- Dzięki, Saro - mówi.

- Kocham cię - odpowiada Sara.

Chłopak zamyka oczy i ociera się plecami o sofę jak kot. Wyda-je dziwne, kwilące dźwięki. Sara bierze opakowanie, przechodzi do swojego pokoju, rzuca je na łóżko. Ogarnęła ją fala smutku, niczym narkotyk wywołujący melancholię. Daud niedługo umrze, a ona nic nie może na to poradzić.

Kiedyś to ona stała pomiędzy nim a życiem. Teraz endorfiny izolują go od wszystkiego. Ich ojciec był szalony i gwałtowny, po-łowa jej blizn należała się Daudowi. Zbierała je zamiast niego, za-słaniając go własnym ciałem. Razy zbierane od szaleńca nauczyły ją walczyć, stwardniała, nabrała szybkości, ale nie mogła być tam przez cały czas. Stary wyczuwał w Daudzie słabość i w końcu ją odnalazł. Kiedy Sara miała czternaście lat, uciekła z pierwszym chłopakiem, który obiecał jej miejsce wolne od bólu. Dwa lata później, gdy wykupiła swój pierwszy kontrakt i wróciła po brata, był już wrakiem, praktycznie żył z ciągle wbity igłą. Zaprowadzi-ła go do swojego nowego mieszkania, gdzie pracowała - nie miała innego miejsca - i tu nauczył się zarabiać na życie, tak samo jak niegdyś ona się tego nauczyła. Nadal jest załamany i dopóki będą na ulicy, nie ma sposobu, by go wyleczyć.

Gdyby sama się nie załamała, gdyby nie uciekła, może zdołała-by go ochronić. Drugi raz to się nie powtórzy.

Wraca do frontowego pokoju i widzi Dauda leżącego na sofie, jeden sandał zwisa mu ze stopy, zahaczył się paskami o palce. Z nozdrzy brata unosi się dym papierosowy. Obok niego siedzi Jackstraw, pijąc piwo. Podnosi wzrok.

- Chyba kulejesz - mówi. - Pomasować ci nogi?

- Nie - odpowiada szybko Sara, potem zdaje sobie sprawę, że zareagowała za ostro. - Nie - powtarza z uśmiechem. - Dziękuję, ale to stłuczenie kości. Zawylałabym, gdybyś mnie dotknął.

SZTUCZNE SNY

Plastikowa Dziewczyna - tak dziwki wyobrażają sobie dobre życie. Jest miejsce na taniec strefowy, są zestawy nagłowne podłą-czające klienta do euforycznych stanów, pornografii czy czegokol-wiek, co mu potrzebne, a co boi się dać sobie w żyłę. Orbitalne kompanie farmaceutyczne dostarczają te efekty za darmo, jako reklamę swoich produktów. W wyłożonym lustrami barze na ty-łach, wyposażonym w podwyższenia, są tancerki. Kiedy się wygry-wa, zapięcie któregoś fragmentu garderoby puszcza i fatalaszek spada. Jeśli wygrana jest naprawdę duża, wszystko spada ze wszystkich dziewczyn naraz.

Sara jest w dużej frontowej sali: głośna muzyka, buty z czerwo-nej skóry, mosiężne ozdoby. Nie kwalifikuje się, i prawdopodob-nie nigdy nie będzie, do pokoju na tyłach, całego w matowym alu-minium i ciemnym drewnie, które być może pochodzi z ostatniego mahoniowego drzewa w południowej Azji - to pomieszczenie dla bonzów kierujących tym pędzącym naprzód niebezpiecznym światem, i chociaż nad wejściem nie wisi wywieszka KOBIECIOM WSTĘP WZBRONIONY, równie dobrze mogłaby się tam znajdo-wać. Sara pracuje na niezależnym kontrakcie i cieszy się pewnym szacunkiem, jednak koniec końców jest tylko najemniczką, choć nieco lepszej kategorii niż kiedyś.

A jednak sala czerwona jest miła. Dużo tu kolorowych hologra-mów, unoszących się tuż powyżej poziomu wzroku helis, przypo-minających modele DNA, błyskające barwami kryształowe szklanki z musującymi napojami, trzymane przez gości. Przy każ-dym stole umieszczono gniazda do podłączenia komputerów, żeby klienci mogli pilnować swoich pakietów akcji, są też dziewczyny o zmodyfikowanych biustach i twarzach, ubrane w obcisłe plasti-kowe gorsety. Podchodzą do każdego stolika, podają drinki i z identycznym u każdej, bardzo bladym uśmiechem obserwują, jak klient wciska szpilkę kredytową do ich bloczka rachunkowego i wystukuje paznokciem hojny napiwek.

Sara jest przygotowana na spotkanie z Cunninghamem, nosi granatową kurtkę gwarantującą ochronę przed strumieniem energii kinetycznej o gęstości nieco ponad 4200 J/cm² i spodnie chroniące do 3500. Zainwestowała trochę posiadanych endorfin i opłaciła nieco czasu dwóch ochroniarzy. Pętają się pozornie bez celu po barze, gotowi w razie potrzeby utrzymać Cunninghama, lub jego kumpli, z dala od niej. Sara zdaje sobie sprawę, że musi mieć jasną głowę, więc zminimalizowała dawkę endorfin. Ból roz-drażnia ją i ciągle jeszcze nie może usiąść. Stoi obok małego sto-lika i czekając, sący rum z limonką.

Cunningham pojawia się. Twarz bez wyrazu, brązowe oczy, brą-zowy garnitur. Cichy głos kojarzący się z czystymi miejscami, w których nigdy nie była, jasnymi i miękkimi na tle czystej, wysa-dzanej diamentami czerni.

- Okay, Cunningham - mówi. - Interesy.

Jego oczy na moment kierują się w stronę lustra za jej plecami.

- Przyjaciele? - pyta.

- Nie znam cię.

- Dzwoniłaś do Hetmana?

Sara kiwa potakująco głową.

- Wyrażał się pochlebnie - oznajmia - ale ty dla niego nie pra-cujesz. Być może odwzajemnia ci przysługę. Więc jestem ostrożna. - Zrozumiała.

Wyjmuje z wewnętrznej kieszeni komputer i podłącza do gniazda w stole. W głębi ciemnego blatu rozjarza się blady, bursz-tynowy ekran, na którym widnieje rząd cyfr.

- Proponujemy ci taką sumę w dolarach - mówi.

Sara czuje w nerwach chłód stali, jej smak na języku. Wielka wygrana, myśli, prawdziwa forsa.

- W dolarach? - pyta. - Bądź poważny.

- Złoto? - Pojawia się kolejny rząd cyfr.

Sara pociąga łyk rumu.

- Za ciężkie - mówi.

- Akcje. Albo prochy. Wybieraj.

- Jakie akcje? Jakie prochy?

- Twój wybór.

- Polimyxino-fenyldorfina Nu. Akurat są braki na rynku.

Cunningham krzywi się.

- Jeśli chcesz. Ale za jakieś trzy tygodnie duża partia ma się znaleźć w obiegu.

Jej oczy rzucają mu wyzwanie.

- Przywiozłeś ją ze sobą z orbity? - pyta.

Przez jego twarz przebiega tylko leciutkie drgnięcie. - Nie - odpowiada. - Jednak na twoim miejscu spróbowałbym chloramfenyldorfiny. Pfizer przymierza się do wywołania sztucznego niedoboru, który ma potrwać kilka miesięcy. Tu masz dane. Jakość farmakologiczna, prosto z orbity.

Sara przygląda się bursztynowym liczbom i kiwa potakująco głową.

- Zadowolające - mówi. - Połowa z góry.

- Dziesięć procent teraz - odpowiada Cunningham - trzydzieści po zakończeniu treningu. Reszta po wykonaniu zadania, niezależnie od tego, czy ci się uda, czy nie.

Sara podnosi wzrok na jeden z ruchomych hologramów zdobiących bar, pełen jasnych, żywych barw, tak czystych jakby widziała je przez próżnię. Próżnia, myśli. Akcje to niezła rzecz, ale narkotyki dają większe możliwości. Cunningham proponuje jej prochy po orbitalnej cenie, według wartości w miejscu ich produkcji, której koszty są bliskie zeru. Ich cena na ulicy jest wielokrotnie wyższa i za te pieniądze może kupić o wiele lepszy pakiet, niż oferują. Dziesięć procent tego honorarium to więcej, niż zarobiła wczorajszej nocy, kiedy załatwiła zagarniacza. Żeby dostać się między Orbitalców, trzeba mieć umiejętności, które są im potrzebne, jakich nigdy nie będzie w stanie nabyć. Jest jeszcze jedna droga: nie mogą odrzucić nikogo, kto ma wystarczająco duży pakiet. Wysysają Ziemię ze wszystkich bogactw, jakie jej jeszcze zostały, i jeśli się im pomoże, wykupując odpowiednio dużo akcji, można na zawsze wyrwać się z bagna. Jak obliczyła, obecne honorarium niemal wystarczy, by kupić dwa bilety na krawędź studni grawitacyjnej.

Sara podnosi drinka do ust.

- Powiedzmy jedna czwarta teraz - mówi. - A potem pozwolę ci postawić mi drinka i opowiedzieć, co mam zrobić, żeby zarobić tę forszę.

Cunningham odwraca się i daje znak jednej z uśmiechniętych dziewczyn w gorsecie.

- To bardzo proste - mówi, patrząc na Sarę lodowato zimnymi oczami. - Chcemy, żebyś kogoś w sobie rozkochała. Na jedną noc. CZY TWOJA KOCHANKA ROZGLĄDA SIĘ ZA KIMŚ MŁODSZYM?

TO TY MOŻESZ NIM BYĆ!

- Nasza Księżniczka ma jakieś osiemdziesiąt lat - mówi Cunningham.

Na holo, które podaje Sarze, widnieje blada blondynka około dwudziestki, ubrana w niedbałą bluzkę odsłaniającą jej krągłe ramiona i zagłębienia pod obojczykami. Ma wodniste, błękitne oczy, takie jak Daud, i piegowaty dekolt. Otacza ją atmosfera bez-radnej niewinności.

- Sądźmy, że pochodził z Rosji - kontynuuje Cunningham - ale Biuro Korolewa zawsze było tajemnicze, więc nie dysponuje-my pełną listą ich wyższych urzędników i projektantów. Kiedy zamawiał swoje nowe ciało, chciał zostać kobietą. Jest na tyle waż-ny, że mu to załatwili, lecz jednocześnie zdegradowali go - ciągle zmieniają stanowiska swoim starym pracownikom, żeby zrobić miejsce dla nowych. Teraz jest kurierką.

Nic niezwykłego, myśli Sara. W dzisiejszych czasach można so-bie odgrywać pornografię wprost do mózgu, ma się mnóstwo oka-zji do spróbowania dowolnych przyjemności, jakie człowiek zama-rzy, a potem - jeśli jest się wystarczająco bogatym - można dostać nowe ciało, według gustu. Jednak technologia transferu osobowo-ści nie jest idealna - czasem coś się traci: wspomnienia, umiejęt-ności, jakieś przydatne cechy. Kilka kolejnych ciał może oznaczać postępującą demencję. Jeśli dostaje się nowe ciało, nie mając po-zycji nie do ruszenia, często spada się w hierarchii do czasu udo-wodnienia swojej wartości.

- Jak teraz ma na imię? - pyta Sara.

- Ona ci powie, jestem pewien. Na razie zwracaj się do niej Księżniczko.

Sara wzrusza ramionami. W tej operacji jest kilka kretyńskich reguł związanych z bezpieczeństwem; jak zgaduje, większość spo-śród nich ma jedynie na celu sprawdzenie granic jej posłuszeń-stwa.

- Nowe ciało najwyraźniej nie zmieniło jego orientacji seksu-alnej, tylko sposób jej okazywania - mówi Cunningham. - Od chwili rozpoczęcia nowej pracy Księżniczka wykazuje pewne cha-rakterystyczne zachowania. Kiedy znajdzie się w terenie, lubi się połajdaczyć. Znajduje sobie pracującą dziewczynę - czasem ziem-niewkę, częściej dzoka - i zabiera do domu na noc czy dwie. Po-trzebuje domowego zwierzątka, ale niebezpiecznego. Niezbyt czy-stego. Trochę brutalnego. Nie za daleko od ulicy, lecz dość cywilizowanego, by wiedzieć, jak sprawiać przyjemność. Nie koł-tuna.

- To ja? - dziwi się Sara. - Jej nowe zwierzątko?

- Sprawdziłśmy cię. Od pięciu lat jesteś licencjonowaną pro-stytutką. Wysoko cenioną przez pracodawców.

- Od pięciu i pół - koryguje. -1 nie z dziewczynami. - Tak naprawdę to mężczyzna. Stary facet. Dlaczego miałyby ci to sprawić trudność?

Sara przygląda się piegowatej blond dziewczynie na holo, pró-bując odnaleźć w jej oczach starego Rosjanina. Spojrzenie, które zawsze jest takie samo, wyrażające pożądanie jako części prywat-nej fantazji, rzeczywistej, ale nie zanadto, pragnienie prawdzi-wych orgazmów, lecz bez prawdziwej namiętności. Plastikowa dziewczyna, cel dla rzeczy, które narosły ukryte w ich umysłach, coś, czego mogą pozbyć się szybko i nigdy nie zabierać do domu. Jednak denerwowali się, jeśli panienska nie zorientowała się od razu, na czym polegają ich fantazje. Dlatego dość szybko nauczy-ła się właściwego podejścia.

Niczym się nie różni od innych starych facetów, myśli Sara, pa-trząc na zdjęcie. Chcą władzy nad własnymi i cudzymi ciałami. Płacą nie tyle za seks, ile za władzę nad seksem, nad rzeczą grożą-cą przejęciem kontroli nad nimi. Tak więc biorą swoją namięt-ność i używają jej do kontrolowania innych. Sara dużo wie na ten temat.

Podnosi wzrok na Cunninghama.

- Czy tobie też dali nowe ciało? - pyta. - Z gwarancją nierzuca-nia się w oczy? Czy też Firebud cię przerobiła tak, żebyś nie miał żadnego stylu?

On wpatruje się w nią nieruchomym, beznamiętnym spojrze-niem. Nie może dotknąć ani tego wzroku, ani najwyraźniej jego samego.

- To tajemnica - odpowiada.

- Od jak dawna dla nich pracujesz? - pyta Sara. - Kiedyś byłeś bagnakiem, nie wyglądasz tak jak oni. Ale teraz pracujesz dla nich. Czy to ci obiecali? Nowe ciało, kiedy się zestarzejesz? A je-śli zginiesz w czasie jakiejś roboty tu, w bagnie, porządny pogrzeb z hymnem korporacji odegranym nad ciałem?

- Coś w tym rodzaju - zgadza się Cunningham.

- Mają twoje serce i duszę, prawda? - pyta Sara.

- Tego chcą - pada sucha odpowiedź. Zna cenę swojego biletu. - Kontrola - mówi Sara. - To rozumiesz. Jesteś własnością lu-dzi, którzy oddają jej cześć, więc ty sam siebie dobrze kontrolu-jesz. Jednak jesteś jak szybko-kar, para znajduje się pod po-wierzchnią. Włączysz się po slumsach w wolnym czasie, tak jak Księżniczka?

Wpatruje się w jego pozbawione wyrazu oczy.

- To możliwe - dorzuca. - Nigdy nie zapamiętuję twarzy. - Tak się składa, że tego nie robię - mówi Cunningham. - Nie widziałem cię nigdy przed otrzymaniem tego zadania. Zaczyna sprawiać wrażenie, że traci cierpliwość. Sara uśmie-cha się.

- Nie martw się - mówi i rzuca holo Księżniczki na stół. - Twoi właściciele będą ze mnie dumni.

- Jestem tego pewien - odpowiada Cunningham. - Nie zaak-ceptowali by niczego innego.

W STREFIE/TAK

Przypominający neon z Times Square bursztynowy ciąg diod świecących sunie przez górną granicę pola widzenia Sarah, do-kładnie tam gdzie znajdowałby się cień brwi.

KSIEŻNICZKA WYRUSZYŁA KSIEŻNICZKA WYRUSZYŁA KSIEŻNICZKA WYRUSZYŁA...

Aujourd'Oui to ulubiona knajpa Księżniczki, ale jest jeszcze parę innych. Sara powinna być przygotowana na zmianę lokalu w razie potrzeby.

Toaleta w Aujourd'Oui to lustra, miękkie, białe światło, złota tapeta ozdobiona drobnymi, czerwonymi kłaczkami, nad umywał-OH----- unouiuuiuni kami krany z brązu, chromowane dozowniki z chusteczkami nie-zbędnyymi przy poprawianiu makijażu. Sara wchodzi, otwierając drzwi ramieniem, dwie ziemniówki stojące przed lustrem spoglądają na nią. W ich wzroku dostrzec można zazdrość i jakiś despe-racki respekt, a potem z powrotem spoglądają w lustro. Atlasowa kurteczka reprezentuje coś, czego pragną i najprawdopodobnie nigdy nie będą miały, wolność białego żurawia wzbijającego się w niebo, między lśniące srebrzyście gwiazdy. Sara nagle zdaje so-bie sprawę, że słyszy szloch, który dodatkowo wzmacnia niski su-fit i ostre kąty pomieszczenia. Kiedy przechodzi za ich plecami do kabin, oczy ziemniówek wpatrują się w odbicia ich twarzy. W sąsiedniej kabinie lka dziewczyna, przerywając jedynie dla nabrania głębokich, rozedrganych wdechów, które powracają przez zaciśnięte mięśnie gardła. Tak spazmatyczny płacz sprawia ból, Sara dobrze to wie. Żebra bołą, jakby miały pęknąć. Kabina podskakuje, kiedy dziewczyna wali głową w jej ściankę, Sara jest pewna, że pragnie tego fizycznego bólu, prawdopodobnie usiłując zagłuszyć cierpienie innego rodzaju.

Zawsze stara się nie przeszkadzać ludziom w zaspokajaniu ich potrzeb.

Słuchając odgłosów uderzeń, wyjmuje z pasa inhalator, wsuwa do nosa i uruchamia. Rozlega się krótki syk rozprężającego się gazu. Sara potrząsa głową, czując przyptyw żarowiny rozpływający się po jej nerwach. Wtryskuje jeszcze jedną dawkę do drugiego nozdrza, czuje jak całe ciało ogarnia gorąco, potem chłód, ciarki przechodzą jej po przedramionach. Wargi odsłaniają zęby, czuje się nienormalnie wrażliwa i nienaturalnie twarda, jakby jej skóra zrobiona była z żyłek wyczuwających każdy pyłek kurzu. Potrze-buje ukąszeń narkotyku, potrzebuje tej dodatkowej pewności. Nie wspomniała o tym Cunninghamowi. Niech go szlag - ona za-gra według własnych reguł...

KSIĘŻNICZKA WYRUSZYŁA KSIĘŻNICZKA WYRUSZYŁA...

Płacz dziewczyny to jękliwy, chrapliwy dźwięk, niczym zgrzyt piły tnącej kość, przerywany regularnymi uderzeniami głową w ściankę. Sara widzi plamy krwi na podłodze sąsiedniej kabiny. Otwiera swoją i wychodzi z pomieszczenia. Omija ziemniewki, których oczy połyskują blado w czarnych obramowaniach maki-jazu, kiedy spoglądają na siebie, zastanawiając się, co zrobić ze szlochającą ofiarą. KSIĘŻNICZKA AUJOURD'OUI POWTA-RZAM KSIĘŻNICZKA AUJOURD'OUI PRZEŁĄCZAM NA PA-SMO POLICYJNE DOBRYCH ŁOWÓW CUNNINGHAM. Sara mruga, wchodząc w mrok klubu, czując, jak żarówina zmusza jej kończyny do ruchu, leci na narkotyku niczym dżok na płonącej świecy dopalacza, wspinający się na krawędź nieba, lecz wciąż zachowujący kontrolę nad swymi ruchami. Kąty pomiesz-czenia, tancerze, sprzęty, świecą niczym ciekłokrystaliczne kalej-doskopy.

Wchodzi Księżniczka i Sara zamiera w bezruchu. Jej cel kryje się za bagniakami, pełniącymi funkcję ochroniarzy, ale i tak wy-różnia się w mroku - otacza ją aura, lśnienie. Ma wygląd inny od wszystkich pozostałych, jest w niej delikatny blask luksusu, ła-godnych i beztrudnych uciech, wolności, nawet od grawitacji. Oznaki życia, którego same dzoki nie są w stanie doświadczyć. Wydaje się, że nawet muzyka zamilkła na moment, kiedy cała sa-la wzdycha z respektem. Sto par oczu widzi to lśnienie, setka pra-gnących tego ust zaczyna się ślinić. Sara czuje ciarki przebiegają-ce ciało, żar nerwów rozgrzewa końce jej palców. Jest gotowa. Śmieje się delikatnie do siebie, jakby już triumfowała, rusza długonogim krokiem przez bar, tak jak nauczyła ją Firebud, lekko kołysząc ramionami dla zrównoważenia ruchu bioder, sugerując zwierzęcy styl. Uśmiecha się do ochroniarzy i unosi dłonie, poka-zując, że nie ma przy sobie broni, Księżniczka staje przed nią. Jest dziesięć centymetrów niższa i Sara spogląda na nią w dół, z dłońmi wyzywająco opartymi na biodrach. Długie, miękkie blond loki Księżniczki ocierają się jej o policzki, uszy. Oczy ma w szerokich, fioletowych obwódkach, żółty makijaż wygląda jak siniaki, ujawnia sekretne pragnienie przejrzystej, białej twarzy, która nigdy nie zaznała bólu. Usta ma ciemnofioletowe, kolejne symboliczne okaleczenie. Sara odchyła głowę do tyłu i śmieje się niskim głosem, odsłaniając zęby. Przychodzą jej na myśl hieny ru-szające na łowy.

- Zatańcz ze mną, Księżniczko - mówi w stronę fioletowych oczu. - Jestem twoim najdzikszym marzeniem.

Z PRAKTYKI RODZI SIĘ PERFECJA

Z PERFECJI WYNIKA WŁADZA

unvvivwvin

WŁADZA ZDOBYWA PRAWO

PRAWO TWORZY NIEBO

Przypomina życzliwie Toshiba

Nicole trzyma papierosa w kąciku ust, nosi kurtkę ze zniszczo-nej brązowej skóry. Ma ciemnoblonde włosy spływające pasmami na plecy i podłużne, szare oczy o głębokim spojrzeniu, patrzy bez zmrużenia powieki na Sarę.

Cunningham stoi za nią w towarzystwie dwóch asystentów. Jeden to potężny mięśniak niemal pozbawiony szyi. Drugim jest niewysoki blondyn, który mówi mniej niż jego szef. Sara uważa, że ten mały jest znacznie bardziej niebezpieczny. - Nie możesz zawahać się ani na moment, Saro - mówi Cunningham. - Nawet na ułamek sekundy. Księżniczka by to zauważyła i natychmiast wiedziała, że coś tu nie gra. Nicole jest właśnie po to. Masz z nią trenować.

Sara, zaskoczona, patrzy przez chwilę na Nicole, potem śmieje się głośno. Gniew wrze w niej, biały, lodowaty, niczym flary na da-lekim horyzoncie.

- Przypuszczam, że zamierzasz się przyglądać, Cunningham - mówi.

Skinienie głową.

- Tak - potwierdza. - Ja i Firebud. Z początku wydawałaś się niechętna uprawianiu miłości z kobietą.

Nicole pociąga papierosa i milczy.

- Zapewne zrobicie nagranie wideo? - pyta Sara. - Krytyczna ocena po występie?

Krzywi usta.

- Czy to jedna z twoich ulubionych rozrywek, Cunningham? - rzuca ostro. - Czy oglądanie takich nagrań utrzymuje z daleka twoje demony?

- Jeśli chcesz, razem zniszczymy nagranie... później - odpowiada Cunningham.

Jego bykowaty asystent się uśmiecha. Drugi obserwuje ją, równie beznamiętnie jak jego szef.

Sara trenuje od dwóch miesięcy, podszykowano chirurgicznie jej ciało, przez cały czas była zgodną ziemniwką. Lecz choć w plikach Cunninghama znajdowało się wiele kandydatek, jest pewna, że teraz stanowi jego jedyną nadzieję, jedyny ładunek, który zdąży uzbroić przed najbliższym przylotem Księżniczki z orbity, więc zdaje sobie sprawę, że w tej chwili ma nad nim władzę. Będą musieli się z nią zgodzić albo cały projekt diabli wezmą. Nadszedł czas, by im to uświadomić.

Potrząsa wolno głową.

- Nie sądzę, Cunningham - mówi. - Na tamtą noc będę gotowa, ale teraz nie jestem i nie zamierzam być. Nie dla ciebie, nie dla twoich kamer.

Cunningham nie odpowiada. Chyba lekko mruży oczy, jakby światło nagle pojaśniało. Nicole patrzy na Sarę szarymi oczami, potem potrząsa włosami.

- No to tylko zatańcz ze mną - mówi.

Jej słowa padają nieco zbyt gwałtownie, jakby wymuszone przez desperację i Sara zaczyna się

zastanawiać, co jej obiecano, w jaki sposób stała się zależna od nich. Kiedy mówi, zdradza ją głos. Jest dużo młodszy, niżby wskazywał jej wygląd. - Zatańcz chwilkę - powtarza - to będzie w porządku. Sara przenosi wzrok z Cunninghama na Nicole, z powrotem, w końcu kiwa głową.

- Kilka tańców zadowolili cię, Cunningham? - pyta. - Czy też kończymy program tu i teraz?

Mięśnie szczęk mu się zaciskają, przez moment Sara myśli, że przedobrzyła, że zrezygnują. Wtedy on kiwa głową, wciąż patrząc na nią.

- Tak - mówi. - Jeśli tak musi być.

- Tak musi być - odpowiada Sara.

Przez moment panuje cisza, potem Cunningham jeszcze raz kiwa głową, jakby do samego siebie, i odwraca się. Nicole uśmiecha się nerwowo, usiłując się przypodobać, nie wiedząc, kto jest gwarantem zaspokojenia jej potrzeb. Cunningham podchodzi do aparatury muzycznej i wciska włącznik. Odwraca się i splata ramiona w oczekiwaniu.

Nicole zamyka oczy i ruchem ramion zrzuca kurtkę. Albo na-szukali się jak wściekli, żeby znaleźć dziewczynę o budowie Księżniczki, albo mieli szczęście. Sara przygląda się, jak Nicole kołysze ciałem w rytm muzyki, plastikowa dziewczyna, ślepo cze-kająca na osobowość.

Sara postępuje krok naprzód i ujmuje dłoń dziewczyny.

WYPADEK DELTA TRZY PRÓBA SAMOBÓJSTWA

WYPADEK AUJOURD'OUI

Głęboko w swojej strefie Sara potrząsa głową, by strząsnąć pot z czoła, czuje żarwinę kłusającą w żyły. Księżniczka była z nią przez całą noc. Dziewczyna skacze i wiruje, a jej partnerka przygląda się lśnącymi oczami, podziwia. Sara czuje się niczym żuraw rozpościerający do lotu skrzydła o lotkach z najczystszej srebra. Zmienia strefę, a Księżniczka idzie za nią, pozwalając jej tworzyć ich ruch, płynny wzorzec. Sara zbliża się coraz bardziej do partnerki, aż niczym fala może spaść na nią ze swego wierzchołka spienionej bieli.

Wtargnięcie w strefę, próba zmiany wzorca. Sara odwraca się gwałtownie, jej łokieć uderza mocno w żebra, strefiarz zwija się wpół od ciosu. Dziewczyna bije go w szyję kantem dłoni niczym mieczem, chłopak wypada ze strefy z jękiem. Księżniczka przygląda się z oczami błyszczącymi z podziwu. Sara podchodzi do niej, obejmuje ją w pasie, wirują niczym łyżwiarze. - Czy jestem niebezpieczeństwem, którego pragniesz? - mruczy.

W niebieskich oczach wyczytuje odpowiedź. Znam cię, staruchu, myśli Sara triumfalnie, pochyla się, by wpić się we fioletowe wargi, ucztuje niczym drapieżca na swojej ofierze. Oczy Księżniczki rozszerzają się, nie mogą uwolnić się od jej spojrzenia. Jej usta smakują solą i krwią.

NOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWE

Nie Możesz Twierdzić, że jesteś CYBORGEM, Dopóki Nie Masz

SEKSUALNEGO WSZCZEPU NOWECIAŁO

Niewykrywalny...

Pozwala Ci Wytrzymać Całą Noc...

Scalaki Orgazmowe W Wyposażeniu Dodatkowym...

Twój Partner Ci Za To Podziękuje!

NOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWE

Samochód Cunninghama ze świstem przecina noc na rozmazanych prędkością kołach. Hologramy przelatują za oknami, neonowe szeregi. Sara patrzy na kark kierowcy rozpychający kołnierzyk. - Najlepiej, żebyś poszła do klubu samotnie - mówi Cunningham. - Księżniczka może wysłać ludzi na zwiady, a przecież nie chcesz, żeby cię zobaczono w nieodpowiednim towarzystwie. Sara kiwa głową potakująco. Już wcześniej wydawał te polecenia, potrafiłaby je powtórzyć słowo w słowo, nawet całkiem nieźle imitując monotonię zbliżonego do szeptu głosu. Kiwa, żeby pokazać, że słucha. Wcześniej tego popołudnia otrzymała drugą ratę chloramfenyldorfiny i jej umysł zajęty jest przede wszystkim znalezieniem najlepszego sposobu rozprowadzenia jej na ulicy. - Saro - mówi Cunningham, sięgając do kieszeni. - Chcę, żebyś to wzięła. Na wszelki wypadek.

Wymuje niewielki pojemnik z aerozolem.

- Tak? - pyta Sara. Rozpryskuje nieco specyfiku na grzbiet dłoni, dotyka, wacha.

- Smar silikonowy - wyjaśnia Cunningham. - Ma właściwy zapach, powinien utrzymać się przez kilka godzin. Użyj go w łazience, jeśli stwierdzisz, że nie całkiem... czujesz do niej pociąg. Sara zamyka pojemnik i oddaje mu.

- Nie zamierzam posuwać się aż tak daleko - wyjaśnia.

Cunningham potrząsa głową.

- Na wszelki wypadek - powtarza. - Nie wiemy, co się dzieje tam, w czterech ścianach.

Ona nadal trzyma pojemnik w wyciągniętej ręce, wyczekująco; kiedy jej rozmówca nie reaguje, wzrusza ramionami i wsuwa rozpylacz do kieszeni w pasie. Opiera przemodelowaną szczękę na dłoni i wygląda przez okno. Holoreklamy odbijają się w jej ciemnych oczach. Siedzi tak do chwili, gdy samochód zatrzymuje się przed drzwiami jej bloku.

Pociąga za klamkę, otwiera drzwi, wysiada. Upał panujący na zewnątrz owija się wokół niej niczym duszący, mokry ręcznik. Czuje pot momentalnie występujący jej na czoło. Cunningham siedzi wtulony w swoje siedzenie, wygląda na drobniejszego niż w rzeczywistości. Aż do tej chwili, do momentu wystrzelenia swojego uzbrojonego pocisku utrzymywał operację pod kontrolą - teraz zdany jest na jej działanie i może tylko obserwować wyniki, mając nadzieję, że dobrze obliczył parametry balistyczne. Mięśnie twarzy wykrzywają mu się w niewyraźnym uśmiechu, unosi rękę.

- Dzięki - mówi Sara, wiedząc, że życzy jej szczęścia, chociaż, żeby nie zapeszyć, nie mówi tego na głos. Dziewczyna odwraca się, wypuszcza powietrze z płuc i czuje jakąś lekkość w ciele i na sercu, jakby grawitacja nieco zmalała. Pozostała jej tylko robota. Już koniec z zadowalaniem Cunninghama, regułami treningu, słuchaniem Firebud krytykującej jej sposób chodzenia, trzymania głowy. Wszystko to ma już za sobą.

Mieszkanie wypełniają migotliwe kolory wideo, Daud jest w domu. Przesunął stolik ze środka głównego pokoju i ćwiczy hantlami. Rozjarzone hologramy obramowują jego nagie ciało, bezwłose genitalia. Sara całuje go w policzek.

- Obiad? - pyta.

- Wychodzę z Jackstrawem. Chce, żebym się z kimś spotkał.

- Kimś nowym?

- Tak. Kupa forsy.

Odkłada hantle i kładzie się na podłodze, mocuje ciężary do kostek nóg. Siostra stoi nad nim, niechętnie skrzywiona. - Ile? - pyta.

Daud rzuca jej krótkie spojrzenie, zielony płomień lasera od-bija się w białkach jego oczu, spuszcza wzrok.

- Osiem tysięcy - mówi do podłogi.

- To dużo - potwierdza siostra.

Daud kiwa potakująco głową, kładzie się na plecach, unosi ob-ciężone nogi. Obciąża stopy, Sara widzi naprężające się mięśnie. Zsuwa buty, rozprostowuje palce stóp na dywanie.

- Czego za to chce? - pyta.

Daud wzrusza ramionami. Sara przykuca i patrzy wprost na niego. Czuje, jak zaciska się jej gardło.

Powtarza pytanie.

- Jackstraw będzie w pokoju obok - odpowiada brat. - Zorien-tuje się, jeśli coś pójdzie nie tak.

- To kołtun, prawda?

Sara widzi jabłko Adama podskakujące na szyi brata, kiedy gwałtownie przełyka ślinę i milcząco kiwa głową. Dziewczyna wzdycha głęboko, obserwuje jego zmagania z ciężarkami. Chłó-pak siada. Spogląda na nią zimnym wzrokiem.

- Nie musisz tego robić - mówi Sara.

- To mnóstwo pieniędzy - słyszy znów w odpowiedzi. - Jutro skończę swoją robotę - wyjaśnia ona. - Dostanę dość na długi czas, prawie wystarczy na bilet na górę. Daud potrząsa głową, potem gwałtownie wstaje i odwraca się tyłem. Idzie w stronę prysznicza.

- Nie chcę twoich pieniędzy - mówi. - Ani twoich biletów.

-Daud...

Brat odwraca się, Sara widzi jego gniew.

- Twoja praca! - pluje słowami. - Myślisz, że nie wiem, co ro-bisz?

Sara podnosi się i przez moment widzi strach w jego oczach.

Boi się jej? W jej umysł wkradają się wątpliwości.

- Wiesz, co robię, to prawda - potwierdza. - Wiesz też dlaczego. - Bo jakiś facet raz okazał się kołtunem - mówi brat. - I dlate-go że kiedy się wyrwałaś, zabiłaś go i to ci się spodobało. Wiem, co mówią na ulicy.

Sara czuje obręcz ściskającą jej piersi. Potrząsa powoli głową. - Nie - zaprzecza. - To dla nas, Daud. Żeby wyrwać nas stąd, na orbitę.

Podchodzi, by go dotknąć, ale chłopak się wzdryga. Sara opusz-cza rękę.

- Tam gdzie jest czysto, Daud - kontynuuje. - Gdzie nie bę-dziemy na ulicy, bo ich tam nie ma.

Daud śmieje się pogardliwie.

- Nie ma tam ulic? - pyta. - No to co my będziemy robić, Saro?

Wstukiwać kody w jakimś biurze?

Potrząsa głową.

- Nie, Saro - mówi dalej. - Będziemy robić to, co zawsze. Jed-nak będzie to dla nich, nie dla nas.

- Nie - zaprzecza siostra. -To będzie coś innego. Coś, czego nie znamy. Coś piękniejszego.

- Powinnaś zobaczyć swoje oczy, kiedy to mówisz - prycha Daud. - Jakbyś właśnie wpakowała sobie igłę w żyłę. Jakby ta na-dzieja była twoim koksem, od którego jesteś uzależniona. Spogląda trzeźwo w jej oczy, jego gniew gdzieś zniknął. - Nie, Saro - ciągnie. - Wiem, kim jestem, kim ty jesteś. Nie

chcę twojej nadziei ani pieniędzy. Zwłaszcza biletów ociekają-cych krwią.

Znów się odwraca, jej odpowiedź jest szybka i pełna złości, uderza w czułe punkty, w serce. Jak Łasica.

- Jak zauważyłem, nie wahasz się kraść moich okrwawionych endorfin.

Daud sztywnieje na moment, odchodzi. Oczy ją pieką. Po-wstrzymuje mrugnięciem łzy.

- Daud - prosi. - Nie idź z kołtunem. Proszę.

Chłopak zatrzymuje się w drzwiach z dłonią na futrynie. - A co to za różnica? - pyta. - Pójść z kołtunem czy mieszkać z tobą?

Drzwi się zamykają, Sara może tylko stać i toczyć beznadziej-ną bitwę z gniewem i łzami. Odwraca się i wychodzi do swojego pokoju. Jej okablowane nerwy trzeszczą, adrenalina przyspiesza reakcje, z trudem powstrzymuje się od przebicia ściany pięścią. Na języku ma smak śmierci i czuje pragnienie jak najszybszego odjazdu z Łasicą.

Hologram Księżniczki stoi na komódce z szufladami. Sara bierze go do ręki i gapi się na niego, przygląda się białym ramionom, błękitnej niewinności w oczach, równie fałszywej jak u Dauda.

JUTRO/NIE

Sara i Księżniczka wychodzą z Aujourd'Oui za sanitariuszami, którzy wynoszą dziewczynę z toalety. Poszarpała sobie paznokciami policzki i pierś. Opuchniętą twarz pokrywają sińce, nos zmienił się we fioletową bułę, wargi ma poranione, okrwawione. Wciąż próbuje płakać, lecz brak jej sił.

Sara dostrzega podniecenie połyskujące w oczach Księżniczki. To właśnie takiego dotknięcia świata pragnie: gorącego, spocone-go, prawdziwego, przyprawionego solą ziemi tej planety. Stoi na gorącym chodniku, jej bagniki krążą w pobliżu, wzywając samo-chody. Sara otacza ją ramieniem.

- Jestem twoim marzeniem - szepce jej do ucha, wiedząc dokładnie, co chciałaby usłyszeć.
- Mam na imię Danica - odpowiada Księżniczka. Nad tylnym siedzeniem samochodu unosi się mieszanina zapa-chów potu i kosztownego aromatu. Sara zaczyna pożerać Danicę, liżąc, kęsając i czarując oddechem. Zostawiła silikonowy aerozol w domu, ale nie będzie jej potrzebny: Księżniczka ma oczy Dau-da, jego jasne włosy, gładkie ciało. Stwierdza, że pragnie jej dotykać, urządzić sobie z niej ucztę.

Samochód gładko prześlizguje się przez bramę z hartowanego stopu, są już w gnieździe. Żaden z ludzi Cunninghama nigdy nie dotarł aż tutaj. Danica bierze Sarę za rękę i prowadzi do środka. Ochroniarz nalega na sprawdzenie: Sara patrzy na niego pogardliwie, szeroko rozchyła połę kurtki, pozwalając mu przeskanować swoje ciało jakimś elektronicznym cudem. Wie, że w ten sposób nie da się wykryć Łasicy. Facet konfiskuje jej inhalator z żarówiną. W porządku: sporządzono go tak, by nie zostawały na nim odciski palców.

- A co to? - pyta, podnosząc jej czarne, twarde kostki ciekłych kryształów, gotów wcisnąć je w gniazdo komputera. - Muzyka - odpowiada Sara.

Ochroniarz wzrusza ramionami i oddaje scalaki. Księżniczka znów bierze ją za rękę i prowadzi długimi schodami na górę. Pokój jest miękki, lazurowy. Śmieje się, kładzie na pościeli harmonizującej z barwą jej oczu, rozkłada ramiona. Sara pochyla się nad nią, obejmuje. Danica jęczy miękko, z aprobatą. To jest stary mężczyzna, niezmiernie wpływowy, i Sara wie, o co tu chodzi. Jego zadaniem jest dokonywanie gwałtu na Ziemi i jednocześnie pozostawanie silnym niczym wyprodukowany na orbicie stop, tymczasem ma zakazaną słabość, seksualną poządlivość. Bardziej niż żyć, pragnie oddać to swoje świeżutkie, nowe ciało w ręce niewolnicy.

- Moje marzenie - szepce. Jej palce suną po bliznach na policzku, na podbródku Sary.

Najemniczka bierze głęboki wdech. Język cofa się do implastikowego pojemnika z Łasicą, głowa cyberwęża wysuwa się do przodu. Sara obraca się, biorąc Danicę całkowicie pod siebie, przytrzymuje ją za nadgarstki, dopasowuje się do nowego dziewczęcego ciała starego faceta. Przyciska usta do warg Księżniczki, czuje drżenie jej języka, wtedy Łasica uderza, wysuwając się teleskopowo z ukrycia w gardło i piersi Sary, która wstrzymuje oddech, obkurcza się jej elastyczna tchawica z syntetyku. Oczy Danicy rozszerzają się gwałtownie, gdy czuje Łasicę w ustach, coś o temperaturze ciała partnerki, lecz w jakiś dziwny sposób lodowatego i kruche. Sara trzyma Księżniczkę za nadgarstki, wślizgując się w jej gardło głowa cyberwęża wydusza z niej zdławiony skrzek. Jej ciało szarpie się raz, ciepły oddech owiewa twarz Sary. Łasica rozwija się dalej, realizując swój program, wślizguje się do brzucha, czujniki poszukują źródła życia. W daudowych oczach pojawiają się desperackie obietnice. Księżniczka jęczy ze strachu, z całych sił walcząc z Sarą, usiłując zwalić ją z siebie. Dziewczyna trzyma go ukrzyżowanego. Łasica, po wnikięciu do brzucha, zawraca, przebija tkanki, szuka cava inferior*, rozdziera ją. Danica wydaje z siebie bulgoczące dźwięki. Sara

czuje smak krwi, mimo że wie, iż to niemożliwe, mimo że jej język wciąż jest głęboko cofnięty w pojemnik Łasicy. Cyberwąż podąża wzdłuż żył Danicy do serca. Sara trzyma ją mocno - jej własna klatka pier-siowa boli z braku powietrza, jakby zaraz miała pęknąć - aż walka ustaje, a daudowe błękitne oczy mętnieją, umierają. Pole widzenia Sary otacza fiolet i czerń. Podnosi się z łóżka, częściowo ściąga Łasicę, gwałtownie łapiąc powietrze obkurczo-nym gardłem. Potykając się, idzie do łazienki, upada wprost do brodzika. Uderzenie pozbawia ją tchu. Odkręca krany. Ręce same wkładają Łasicę do brodzika, czują chłód wody. Sara oddycha spa-zmatycznie. Łasica jest pokryta żelem, który ma zapobiegać przy-wieraniu krwi i tkanek, lecz dziewczyna ani myśli ryzykować do-stania się kawałków ciała Danicy do ust. Cyberwąż wiję się przed nią. Woda huczy; kiedy Sara już przestaje odczuwać cokolwiek oprócz szybkości zapadania się w ciemność, przekręca się na ple-cy, wciąga Łasicę na miejsce i znów może oddychać, smakować chłodne, uzdrawiające powietrze.

Jej klatka piersiowa pracuje ciężko, oczy wciąż ma pełne mro-ku. Wie, że Daud nie żyje, a przed nią jest jeszcze zadanie. Potrzą-sa głową, usiłując zebrać myśli, podnieść się znad krawędzi, ale Ła-sica pożera jej serce i z bólu nie może myśleć. Słyszy własne skomlenie. Czuje szorstkość wykładziny z tyłu szyi, sięga ręką nad głowę i próbuje się podciągnąć, czołga się, czołga, a Łasica rozbija jej pierś niczym kafar, dziewczyna niemal czuje pękające serce. Sara powoli wraca do siebie, czarny krąg znika sprzed oczu. Leży na plecach, woda wciąż huczy w brodziku. Siada, chwytą się za gardło. Łasica, nażarta, odpoczywa. Sara podczołguje się z po-wrotem do brodzika i zakręca krany. Przytrzymując się ich, wsta-je. Wciąż jeszcze ma robotę do wykonania.

Księżniczka leży w swoim pokoju z rozrzuconymi szeroko ręka-mi i nogami. Po śmierci łatwiej w niej dostrzec starego mężczy-znę. Żołądek Sary buntuje się. Powinna przeciągnąć Księżniczkę po łóżku i wepchnąć pod narzutę, żeby opóźnić moment jej odkry-^{*} Vena cava inferior - żyła główna dolna (przyp. tłum.). cia, ale nie potrafi się zmusić, by dotknąć stygnącego ciała. Od-wraca oczy i przechodzi do sąsiedniego pokoju.

Zatrzymuje się na chwilę, żeby przyzwyczaić oczy do półmro-ku, nasłuchuje odgłosów dobiegających z innych części budynku. Cisza. Odczytuje bursztynowe litery sunące tuż ponad linią jej wzroku, same rutynowe przekazy. Wyjmuje z kieszeni pasa parę rękawiczek i podchodzi do terminalu komputerowego. Włącza go, otwiera klapkę, z kieszeni wyjmuje jeden z ciekłokrystalicznych skalaków muzycznych otrzymanych od Cunninghama. Wkłada go w gniazdo pod klapką i czeka na sygnał od komputera. Gdyby ktokolwiek inny użył tego skalaka, rzeczywiście usły-szałby muzykę. Sara ma kod pozwalający przekształcić ją w coś więcej. Pojawia się sygnał GOTÓW.

W niemal absolutnej ciszy stuka w klawiaturę, wpisując kody. W rogu ekranu pojawiają się blade słowa: PROCEDURA W TO-KU. Dziewczyna z westchnieniem odchyła się na oparcie. Księżniczka była kurierem, przewoziła z orbity ciekłokrysta-liczny skalak pełen złożonych instrukcji, poleceń, których jej ma-cierzysta firma nie odważyła się powierzyć nawet kodowanym transmisjom radiowym. Nie wiedziała nawet, co przewozi, choć przypuszczalnie znajdowały się tam dane inwentaryzacyjne, stra-tegie manipulowania rynkiem, polecenia dla podwładnych, plany kupna i sprzedaży. Informacje warte miliony dla każdej konku-rencji. Skalak taki zostałaby przekonfigurowany natychmiast po sczytaniu z niego informacji we właściwym komputerze firmy - maszynie niedostępnej dla jakiegokolwiek zewnętrznej ingerencji, jednak przypuszczalnie dostępnej z terminali znajdujących się w mieszkaniach należących do kompanii.

Sara również nie bardzo się orientuje, co znajduje się w powie-rzonym jej skalaku. Przypuszcza, że jakiś potężny program zło-dziejski mający przełamać zabezpieczenia chroniące tajne infor-macje i

skopiować je. Nie ma pojęcia, jak dobry jest ten program, czy uruchamia wszystkie możliwe alarmy na całej Florydzie, czy też niezauważalnie robi swoje. Jeśli jest bardzo dobry, wówczas nie tylko skopiuje informacje, ale również je zmieni, wprowadza-jąc dezinformację w samo centrum kodów wroga, może nawet na-miesza w poleceniach, sabotując plany rynkowe. Słowa PROCEDURA W TOKU migocą. Sara wstaje i przecho-dzi po całym apartamencie, przesuwając dłonią w rękawiczce po wszystkim, na czym mogły pozostać jej odciski palców. Budynek i Księżniczka są równie ciche.

Po jedenastu minutach znów pojawia się sygnał GOTÓW. Sara wyjmuje scalak i chowa go do kieszeni w pasie. Powiedziano jej, by odczekała kilka godzin, jednak w sąsiednim pokoju leży trup i każdy jej nerw domaga się uciezki. Siada przed komputerem, schyla się, wkładając głowę pomiędzy nogi, i łapczywie chwyta powietrze. Z jakiegoś powodu ma dreszcze. Walczy z adrenali-ną, własnymi nerwami i myśli o biletach, zimnej ciemności kos-mosu z błękitną kulą Ziemi daleko w dole, nieosiągalną już na zawsze.

Po dwóch godzinach wzywa taksówkę i schodzi po zimnych, pełnych ech schodach. Kiedy wychodzi, ochroniarz kiwa jej głową - jego praca polega na niewpuszczaniu ludzi, a nie na przeska-dzaniu im w wyjściu. Nawet oddaje jej inhalator. Sara kilkanaście razy zmienia taksówki, udając się w różne miejsca, w jednej zostawia satynową kurtkę, w drugiej moc-niej ściąga pasek i zdejmuje szelki, w trzeciej przekręca na lewą stronę koszulkę i pas, które teraz zwracają uwagę jaskra-wożółtą barwą. Znika wygląd dżokejki, znów jest ziemniwką. Podróż kończy w Plastikowej Dziewczynie, wciąż pracującej peł-ną parą mimo czwartej nad ranem. Kiedy wchodzi, atakują ją dźwięki życia marginesu, znajduje w nich pociechę. To jest jej świat, tu zna wszystkie przytulne miejsca nadające się na kry-jówkę.

Wynajmuje pokój na zapleczu i dzwoni do Cunninghama. - Przyjdź wziąć swój scalak - mówi, potem zamawia rum z li-monką.

Czekając na niego, wynajmuje analizator i mięśniaków. Cun-ningham pojawia się sam, z paczką w rękę. Zamyka za sobą drzwi. - Księżniczka? - pyta.

- Nie żyje.

Cunningham kiwa głową. Scalak leży na stole przed Sarą, któ-ra wyciąga rękę.

- Zobaczmy, co masz - mówi.

Sprawdza trzy losowo wybrane ampułki, analizator potwier-dza, że to chloramfenyldorfina, dziewięćdziesiąt osiem procent czystości lub więcej. Uśmiecha się.

- Weź swój scalak - mówi.

Cunningham najpierw wciska go w gniazdo komputera, upew-niając się, że dostaje właściwy. Potem wkłada go do kieszeni i ru-sza do drzwi.

- Jeśli miałbyś jeszcze jakąś robotę - odzywa się Sara - wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Cunningham zatrzymuje się z dłonią na gałce. Rzuca jej spoj-rzenie. Sara wyczuwa jakiś smutek promieniujący od niego, jakby opłakiwał kogoś, kto dopiero co zmarł.

Dziewczyna zdaje sobie sprawę, że jest on tylko ziemskim przedłużeniem orbitalnego bloku, choć nie wie którego. Jest na-rzędziem, chętnym do współpracy i posłusznym, czym ona gardzi - czemu dała już wyraz, jednak w najmniejszym stopniu nie pomo-gło jej to ukryć jednego faktu, z którego oboje świetnie zdają so-bie sprawę - że oddałyby całą zawartość paczki oraz wszystko, co ma na dokładkę,

gdyby tylko mogła dostać jego bilet i na takich samych warunkach.

- Za godzinę będę na rampie - mówi Cunningham. - Wracam na orbitę.

Ona uśmiecha się ironicznie.

- Może się tam spotkamy - sugeruje.

Mężczyzna kiwa potakująco głową, wpatrując się jej prosto w oczy. Zaczyna coś mówić, rezygnuje, jakby zdał sobie sprawę, że to bezcelowe.

- Bądź ostrożna - wydusza tylko i wychodzi, nie oglądając się.

Jeden z jej mięśniaków spogląda na nią.

- W porządku - odpowiada mu. Ochroniarz kiwa głową. Sara przygląda się trzymanej w dłoni fortunie i nagle czuje pustkę. W głębi piersi, tam gdzie powinna gościć radość, nie ma nic. Zamówiony drink smakuje jak woda, a ból głowy pulsuje w takt diod płonących jej w czole. Płaci wynajętym mięśniakom, potem jedzie taksówką do całonocnego banku, gdzie chowa endorfinę do wynajętej skrytki. Następnie wraca do domu.

W mieszkaniu słyszczyć miękki pomruk, brzmi pustką. Sara odszukuje pilota do swoich diod, wyłącza je, wrzuca ubranie do śmietnika. Naga wchodzi do pokoju i widzi na stoliku nocnym ho-lo Księżniczki. Z wahaniem sięga do niego, kładzie obrazem w dół i zapada w przyjazną ciemność.

JEST UROCZY I CZEKA NA CIEBIE

TWARDY I CZUŁY

TERRY'EGO

WYPRÓBUJ NATYCHMIAST

Wciąż jeszcze jest noc, kiedy budzi się, słysząc otwierane drzwi.

- Daud? - pyta, w odpowiedzi słyszy jęk.

Owiniętego w prześcieradło, okrwawionego chłopaka podtrzymuje Jackstraw. Mięśnie szyi ma napięte jak postronki. - Bydlak - mówi.

Sara bierze Dauda jak dziecko i zanoszą do łóżka. Krew plami jej ramiona, piersi.

- Bydlak skołtunił się - mówi Jackstraw. - Nie było mnie może minutę.

Sara układa Dauda na łóżku i odwijają prześcieradło. Z gardła wrywa się jej skowyt. Zakrywa usta dłonią. Brat pokryty jest długimi, krwawymi ranami - kołtun musiał użyć jakiegoś pejcza z ciężarkiem na końcu. Chłopak słabo próbuje się poruszyć, podnosi rękę, jakby osłaniając się przed ciosem.

- Leż spokojnie - mówi Sara. - Jesteś w domu.

Twarz brata kurczy się z bólu.

- Saro - szepcze i zaczyna płakać.

Dziewczyna czuje łzy wypełniające jej oczy, mruga, by je powstrzymać. Podnosi wzrok na Jackstraw.

- Dałeś mu coś? - pyta.

- Tak. Endorfinę. Od razu.

-Ile?

Jackstraw patrzy na nią beznamiętnie.

- Dużo. Nie wiem ile.

- Miałeś nie wychodzić z sąsiedniego pokoju.

Kumpel Dauda odwraca wzrok.

- To była pracowita noc - mówi. - Wyszedłem tylko na minutę.

Sara z powrotem zwraca oczy na Dauda.

- To zajęło dużo dłużej niż minutę - oznajmia Sara. - Spierdalaj stąd.

-Tonie...

W jej oczach błyska wściekłość. Miałyby ochotę rozedrzeć go na kawałki, ale ma co innego do roboty.

- Spierdalaj stąd - powtarza.

Jackstraw waha się przez moment, potem się odwraca. Sara oczyszcza rany brata i dezynfekuje. Daud płacze bezgłośnie, widać to tylko po ruchach gardła. Siostra znajduje jego strzykawkę, napełnia ją endorfinami, zgaduje, jaką podać dawkę. Wstrzykuje mu płyn w ramię, brat wymawia jej imię i zasypia. Przygląda mu się przez chwilę, upewnia się, że nie dostał za dużo, okrywa go i wyłącza światło.

- Leż spokojnie - mówi. - Mam na twój bilet.

Pochyla się, by pocałować pozbawiony zarostu policzek.

Okrwawione prześcieradło trafia do śmietnika.

Normalnie Daud sypia na rozkładanej sofie we frontowym pokoju. Upewniwszy się, że brat śpi, Sara

przechodzi do tego po-mieszczenia i nie zawracając sobie głowy rozsuwaniem mebla, kładzie się na nim. W pokoju brzmi pomruk, słucha go dłuższą chwilę.

PEŁNY RAPORT CAŁONOCNY Z TAMPY, NA 8 RANO - DWADZIEŚCIA OSÓB ZABITYCH W GRANICACH MIASTA... „LUCKY WINNERS” ZGARNIA WEDŁUG STAWEK 5 DO 3

Eksplozja jest tak silna, że miota sofą o przeciwległą ścianę. Sara czuje gorący podmuch, który pozbawia ją tchu, wrażenie ni-czym z pośpiesznej windy, że cały świat się wali na człowieka, w końcu uderzenie o ścianę. Z każdego kąta dobiegają wrzaski, wszystkie krzyki, których Księżniczka nigdy nie zdołała z siebie wydać. Poblask ognia liże ściany jak czerwone błyski laserowe. Sara zrywa się na nogi i biegnie do drugiego pokoju. Widzi dzięki światłu płonącego łóżka. Daud leży rozciągnięty w kącie, część jego ciała jest otwarta, kawałkami reszty oblepione są ściany. Sara wzywa pomocy, ale sama daje radę wypchnąć płonące resztki łóżka przez dziurę w ścianie. Na zewnątrz pierwsze oznaki świtu wstają na wschodzie. Dziewczyna ma wrażenie, że słyszy Dauda wzywającego ją po imieniu.

CIAŁO WYMAGA PRACY?

DOSTARCZAMY

Kierowca ambulansu domaga się zapłaty z góry, Sara otwiera swój pakiet przez komputer i transferuje akcje, nie zwracając uwagi na oferowane ceny. Daud umiera trzy razy w czasie, gdy dwaj sanitariusze wyciągają go z mieszkania, za każdym przywróceniem go do życia cena idzie w górę.

- Masz pani czym płacić, to z nim będzie wszystko w porządku - mówi do niej kierowca.

Przygląda się jej nagości wzrokiem pełnym uznania.

- Możliwe są wszelkie formy płatności - dorzuca. Później Sara siedzi w szpitalnym pokoju, obserwuje pracę le-karzy i dowiaduje się, ile ją to będzie kosztować. Musi szybko zamienić endorfiny na gotówkę, w ciągu kilku dni. Aparatura, do której Daud jest podłączony, posykuje i łomocze. Policjanci otaczają ją i domagają się informacji o powodach, dla których ktoś z budynku po przeciwnej stronie ulicy miałby wpakować ładunek kumulacyjny w ścianę jej mieszkania. Odpowiada im, że nie ma pojęcia. Mają mnóstwo pytań, lecz to jedno powtarza się szczególnie często. W końcu chwyta rękami za głowę i potrząsa nią. Policjanci kręcą się jeszcze przez chwilę, potem wychodzą. Żałuje, że nie ma przy sobie inhalatora, potrzebuje ukąszeń żarowiny, żeby zachować pełnię świadomości, podtrzymać funkcjonowanie umysłu. Myśli kłębią się jej w głowie. Jeśli ludzie Cunninghama byli w jej mieszkaniu, wiedzieli, że ona sypia w drugim pokoju, Daud we frontowym. Oczekali, aż zgasną światła, dali jej czas, żeby położyła się spać, następnie wystrzelili pocisk, który przeszedł przez ścianę, rozpryskując po całym pomieszczeniu płonące kawałki metalu. Nie wierzyli, że nie powie nikomu, ani że nie wykorzysta zdobytej fragmentarycznej wiedzy jako środka nacisku w jakimś własnym, małym przekręcie. Komu mogłabym powiedzieć? - zastanawia się.

Przypomina sobie Cunninghama w tym ostatnim momencie w Plastikowej Dziewczynie, ten smutek, który go ogarnął. Przypuszczalnie nie on podjął tę decyzję, przypuszczalnie wydano na nią wyrok pomimo jego protestu. Co obchodziła Orbitalców jeszcze jedna ziemniarka, skoro zatłukli już miliony, a resztę utrzymywali przy życiu dopóty, dopóki dostarczały żywej gotówki? Hetman wślizguje się do pokoju niczym kot. Ma w uszach złote kolczyki, jego mądre, zażawione oczy otacza sieć zmarszczek starego rozpustnika.

- Bardzo mi przykro, mi hermana - mówi. - Nie spostrzegłem najmniejszych oznak, że może dojść aż do tego. Chciałbym, żebyś to wiedziała.

Sara kiwa głową w odrętwieniu.

- Wiem, Michael.

- Mam znajomych na Zachodnim Wybrzeżu - oznajmia Hetman. - Dadzą ci tam robotę do czasu, aż Cunningham i jego ludzie zapomną o twoim istnieniu.

Sara patrzy na niego przez chwilę, potem na łóżko i syczącą, pomrukującą aparaturę. Potrząsa głową.

- Nie mogę wyjechać, Michael - odpowiada.

- Duży błąd, Saro - mówi trzeciak łagodnie. - Spróbuj jeszcze raz.

Sara milczy, czuje we wnętrzu jedynie pustkę, wie, że ta próżnia nie zniknie nigdy, jeśli jeszcze raz opuści Dauda. Hetman stoi przez chwilę, potem wychodzi.

- Miałam bilet - szepce Sara.

Widzi bagno bulgoczące na zewnątrz pod obłokanym słońcem. Cały brud Ziemi, poszukujący

swojego biletu, pakujący się we wszystko, co może dać choć fragment jej marzeń. Sara ma swój bilet, ale reguły obróciły się przeciwko niej, niczym łasica, i musi go podrzeć, rozrzucić po ulicy, żeby móc obserwować pomrukującą i syczącą aparaturę utrzymującą przy życiu kogoś, kogo kocha. Ponieważ nie ma wyboru, musi postępować według instrukcji i grać najlepiej, jak potrafi.

Rozdział trzeci

Kowboj stoi w letnim upale wschodniego Kolorado. Gdzieś w głębi jego umysłu elektryczna gitara gra pieśń samotnika. - Dla glin mam sporo szacunku - mówi. - Dla najemników nie.

Arkadij Michajłowicz Dragunow przygląda mu się przez chwilę. Oczy mruży z powodu ostrego słońca. Ich białka wyglądają jak po-żółkła kość słoniowa jajek Faberge, tęczęwki jak stara stal, na przykład ostrza miecza. Kiwa głową. To jest odpowiedź, jakiej oczekuje.

Niezadowolenie narasta w Kowboju niczym wędrująca wydma czerwonego piachu. Nie lubi tego faceta ani jego nienawiści dziwnej, pełnej podejrzeń i skomplikowanej. Swędzą go ręce, myśli, nawet kryształ w czaszce. Missouri. Wreszcie. Jednakże Arkadij jest nieświadom wspaniałości nadchodzących zdarzeń, chce jedy-nie wpasować Kowboja na właściwe miejsce we własnym wyobra-żeniu, przypomnieć mu, że jest wielkim szefem, ale dzok jest mu winien nie tylko lojalność, lecz wręcz niewolnicze posłuszeństwo. Gra, w którą Kowboj nie zamierza grać.

- Cholerna racja - mówi Arkadij. - Wiemy, że oferują swoje usługi stanom Iowa i Arkansas. Nie chcemy tego. - Jeśli mnie znajdą, zrobię, co się da - odzywa się Kowboj, zda-jąc sobie sprawę, że w tym interesie nie należy niczego mówić wprost. - Jednak najpierw muszą mnie znaleźć, a plan operacyjny powinien mnie utrzymać z dala od nich.

Arkadij ma na sobie wyciętą przy szyi koszulę o tak rozszerza-jących się rękawach, że wydają się wlec po ziemi; wyszywaną, gruzińską szarfę, dwukrotnie owijającą go w pasie oraz długie ko-zackie buty, opinające ciasne spodnie, haftowane na zewnątrz-nych szwach. Jego włosy okresowo stają dęba i błyskają ładunkami elektrostatycznymi, za każdym razem innej barwy. Najśwież-sze nowinki z hawańskich butików w Wolnej Strefie Florydy. Krio-maks, mówi dumnie. Kowboj wie, że Arkadij nie mógłby zostać kriomaksem, choćby strawił całe życie na staraniach, po prostu nie ma tego we krwi. On idzie za modą, nie tworzy jej. Stara się tylko zrobić wrażenie na wieśniakach i swoich lizytkach. Arkadij jest mocno zbudowanym, szorstkim mężczyzną, lubi obejmować i dotykać ludzi, z którymi rozmawia; jednak serce ma niczym nadprzewodnik, pasujące do tego oczy i tylko dureń mógł-by go uznać za przyjaciela. Trzeciacy nie mają w ładowniach dość miejsca na przyjaciół.

Arkadij zgniata kartonową fikę rosyjskiego papierosa i zapa-la zapałkę. Jego włosy stają dęba, nagle zmieniając kolor na jas-krawopomarańczowy. Naśladują zapałkę, myśli Kowboj, elek-tryczna gitara wciąż roni nuty w zakamarkach jego umysłu... Dodger, jego menadżer, wychodzi z miejsca, gdzie pancierka wypełniana jest ładunkiem.

- Lepiej sprawdźmy, czy twoja bryka jest w dobrej formie - mówi.

Kowboj kiwa potakująco głową.

- Do zobaczenia, Arkadij.

Włosy Rosjanina zielenieją.

- Jak widzę, zrobiłeś się niecierpliwy - odzywa się Dodger, kie-dy tylko oddalają się poza zasięg słuchu. - Spróbuj nie być tak cholernie wyniosły, dobra?

- To trudne, jeśli Arkadij jest w pobliżu.

Dodger rzuca mu spojrzenie pełne dezaprobaty.

- Musi oliwić sobie tyłek - rzuca Kowboj - żeby wcisnąć się w te portki.

Spostrzega, jak zmarszczki wokół oczu menadżera pogłębiają się gwałtownie przy próbie powstrzymania śmiechu. Dodger jest starszym mężczyzną o wysokim czole i szpakowa-tych prostych włosach. Kiedy jest w odpowiednim nastroju, zaczy-na wyrażać się bardzo poetycko. Kowboj go

lubi - a także ufa mu, przynajmniej do pewnego stopnia, granicą jest ujawnienie kodów dostępu do własnego pakietu akcji. Może i jest naiwniakiem, ale nie durniem.

Kowboj przygląda się, jak ładowane są ostatnie partie towaru, upewnia się, że pancierka została dobrze wytrymowana, że wszyst-ko jest gotowe do rajdu przez to, co Dodger kiedyś w przypływie prowokacyjnego nastroju ochrzcił Aleją Potępienia. - Co wiozę? - pyta. Uśmiecha się nieśmiało, zastanawiając się, czy Dodger potrafi dopatrzeć się myśli ukrytych za syntetycznymi oczami. Podejrzeń, niezadowolenia. - Ja tylko tak, jestem ciekaw. Dodger zajęty jest odcinaniem prymki tytoniu.

- Chloramfenyldorfina - mówi. - Na Wschodnim Wybrzeżu ma być niedobór. Szpitale zapłacą kupę forsy.

Uśmiecha się ironicznie.

- Więc ciesz się, chłopie. Mnóstwo ludzi utrzymasz przy życiu.

- Miło być do pewnego stopnia legalnym - odpowiada Kowboj.

- Dla odmiany.

Patrzy na pojazd. Kanciasty pancierz, wloty powietrza, paskud-ny i pozbawiony wdzięku w porównaniu z deltą. Jest właścicielem pancierki, lecz nie nadał jej nazwy, nie myśli o niej tak samo jak o latającej maszynie. To tylko maszyna, nie sposób na życie. Zu-pełnie co innego niż latanie.

Kowboj sam siebie nazywa teraz „Pony Express”. To jego ra-diowe hasło, przezwisko. Pragnie zachować tę ideę, nawet jeśli nie może ponieść jej na skrzydłach.

Wspina się na grzbiet pancierki, wślizguje się przez górny właz, siada w przedniej kabinie. Wciska wtyczkę w prawą skroń i nagle jego sposób patrzenia rozszerza się, jakby własnymi oczami widział dookoła głowy i jeszcze wyrosło mu trzecie oko na szczycie czaszki. Wywołuje mapy, które zgromadził w kompute-rze, w głowie zaczynają pulsować obrazy, niczym błyski lampy stroboskopowej. Jego mózg zmienia się w skalak ROM-u. We-wnątrz siebie widzi punkciki oznaczające cysterny gotowe wy-ruszyć, kiedy tylko będzie potrzebował tankowania, oto planowa-na trasa, z oznaczonymi wariantami i szlakami awaryjnymi, wszystkie nakreślone szerokimi barwnymi pasami; oto stare stodoły, głębokie kaniony i różne inne kryjówki, pstrzące mapy niczym pryszcze, wszystko naniesione przez zwiadowców Arka-dija.

Kowboj wyciąga z kieszeni kurtki skalak z danymi i wciska go w gniazdo. Na obrazie pojawia się nowy zestaw punktów. To jego własne, tajemne kryjówki, woli korzystać z osobiście wyszuka-nych w czasie zwiadowczych wypraw. Jak wie, Arkadijowi zależy na sukcesie tego rajdu, lecz nie zna przecież wszystkich w organi-zacji trzeciaka, a niektórzy mogli zostać kupieni przez korsarzy. Lepiej trzymać się miejsc na pewno bezpiecznych. Pancierka kołysze się lekko i Kowboj słyszy odgłos kroków na pancerzu ze stali Chobhama, wersja siódma. Patrzy w górę i przez właz widzi sylwetkę Dodgera.

- Czas się ruszyć - mówi menadżer i spluwa na bok.

- Ta - potwierdza Kowboj.

Wypina się z systemu i wstaje w ciasnej kabinie. Jego źrenice Kikuyu zwężają się do punkcików, kiedy wystawia głowę przez klapę i spogląda na zachód, w stronę Gór Skalistych w kolorze czerwonego wina, leżących, jak wie, za horyzontem. Znów czuje dziwne znużenie wkradające się do serca, niezadowolenie ze sta-nu rzeczy.

- Cholera. - W tym słowie brzmi tęsknota.

- Taak - potwierdza Dodger.

- Żałuję, że nie latam.

- Taak - mruczy Dodger w zamyśleniu. - Pewnego dnia, Kow-boju. Czekamy tylko, by technologia znów obróciła się w przeciwną stronę.

Kowboj widzi Arkadija stojącego przy swoim pancernym pa-ckardzie, ociekającego potem w cieniu topoli, i nagle przypomina sobie nazwę.

- Chloramfenyldorfina - mówi. - Skąd ją Arkadij wytrzasnął?

- Nie płacą nam za taką wiedzę - odpowiada Dodger. - W takich ilościach? - dziwi się Kowboj zamyślonym głosem, przemierzając wzrokiem odległość dzielącą go od trzeciaka. - Jak myślisz, czy to prawda - kontynuuje - że Orbitalcy kierują trzeciakami tak samo jak całą resztą?

Dodger zerka nerwowo na Arkadija i wzrusza ramionami.

- Wygłaszanie takich domysłów na głos nie popłaca - mówi.

- Ja tylko chcę wiedzieć, dla kogo pracuję - wyjaśnia Kowboj. - Jeśli podziemie jest kierowane przez facetów na górze, to pracujemy dla ludzi, z którymi walczymy, que no?

Dodger rzuca mu kosę spojrzenia.

- Nie wiedziałem, że ty z kimkolwiek w ogóle walczysz, Kowbo-ju - mruczy.

- Wiesz, o co mi chodzi.

O to, że jeśli trzeciacy i pancerniacy uczestniczą jedynie w przerzutach finansów na rzecz bloków orbitalnych, to marzenie o pozostaniu ostatnimi wolnymi Amerykanami na ostatnich wolnych drogach jest tylko romantycznym złudzeniem głupców. A wówczas kim jest Kowboj? Naiwniakiem, klaunem w podusz-kowcu. Albo jeszcze gorzej - narzędziem.

Usta Dodgera układają się w zmęczony uśmiech. - Ja ci radzę, skup się na korsarzach, chłopie - mówi. - Jesteś najlepszym pancerniakiem na całej planecie. Trzymaj się tego, w czym jesteś dobry.

Kowboj zmusza się do uśmiechu, wystawia palec w obelżywym geście i zamyka klapę. Rozbiera się do naga, przykleja elektrody do rąk i nóg, przeciąga cienkie kable do opasek założonych na kostki i nadgarstki. Zakłada cewnik, potem wciska się w kombi-nezon przeciwprzeciążeniowy i buty, siada w amortyzacyjnej ko-łyszce, podłącza zasilanie do opasek, w końcu przypina się mocno do leżanki. Ciało pozostanie unieruchomione, ale mięśnie będą stymulowane elektrodami w celu utrzymania prawidłowego obiegu krwi. Dawno temu, zanim opracowano tę technikę, a dzokowie, przy użyciu zestawów nagłownych, wylatywali z ziemskiej studni w długą, lśniąca diamentami noc, trafiała się gangrena rąk czy nóg. Kowboj wsuwa wtyczki w gniazda, na skroniach, dwa srebrne, grawerowane nad uszami i piąte u podstawy czaszki. Nakłada na to hełm, uważając, by nie załamać światłowodów wychodzących mu z głowy. Zaciska maskę na twarzy. Czuje smak gumy i słyszy syk anestetyku, głośny w niewielkiej, zamkniętej przestrzeni hełmu.

W czasie rajdu Aleją jego ciało pozostanie uśpione. Będzie miał dużo ważniejszych rzeczy do roboty niż przejmowanie się nim.

Kowboj wykonuje te czynności szybko, automatycznie. Wszystkiemu towarzyszy uczucie: zbyt często to robiłem, żeby wiedzieć, o co właściwie chodzi.

Neuroprzekazniki budzą pięć ćwieków osadzonych w jego czaszce, obserwuje, jak jej wnętrze rozpala się białym światłem, jak matryce pancerniaki dopasowują się do konfiguracji jego umysłu. Serce bije mu szybciej; znów żyje w interfejsie, poszerzony umysł pędzi przez obwody jak strumień elektronów wprost w metalowo-krystaliczne serce maszyny. Widzi wszystko wokół pancerniaki, pełne

360 stopni, w tej dziwnej przestrzeni mentalnej jest też miejsce na panele kontrolne silników i innych układów pojazdu. Przeprowadza test systemu i uzbrojenia, obserwuje pojawianie się długich szeregów zielonych kontrolki. Jego sposób postrzegania już nie jest ograniczony do trzech wymiarów: panele nakładają się i przeplatają, przemykają się tam i z powrotem przez fejs, odzwierciedlając subatomową rzeczywistość elektroniki oraz danych, które tam, na zewnątrz, są gasnącym dniem. Neuroprzekazniki liżą chemicznymi językami metal i kryształ w jego głowie, elektrony wystrzeliwują ze scalaków, pędzą kablami do rozruszników, poprzez kilkanaście sensorów Kowboj czuje, jak najeżone łopatkami turbiny niechętnie się obracają do wtóru jęku starterów, potem płomień omywa ścianki komór spalania i wirujące płaskożębe wieńce z ostrym wyciem budzą się do życia. Kowboj uważnie obserwuje moment wypełnienia się dysz ogniem. Na mentalnych ekranach widzi Dodgera, Arkadija i obsługę naziemną - przyglądają się pancerce przez drgające strugi gazów wylotowych. Spogląda przed dziób, za rufę, sprawdza kontrolki silników, spostrzega nowe szeregi zielonych punkcików. Czas ruszać.

Wycie silników szarpie jego zmysłami. Warren spędził cały tydzień na ich regulacji, sprawdzaniu dziesiątki razy, żeby mieć pewność, iż będą się sprawować lepiej, niż powinny. To potwory z nadwyżek wojskowych. Nie skonstruowano ich do pracy przy samej ziemi i gdyby Kowboj nie trzymał ich krótko przy pysku choćby przez centymetr trasy, poniosłyby go na oślep nie wiadomo dokąd.

W smakującej gumą masce odsłania zęby, uśmiecha się krzywo: pocwałuje na tej bestii Aleją, przez sieć pułapek zastawionych po tej stronie Missisipi i doda kolejną strefę dającego się przebyć nieba do odległości dzielącej go od pomniejszych symboli chwały - innych pancerniaków, kolejny dowód na to, że płonący alkohol pulsuje w jego piersi jak krew, że ryczące spaliny wyrrywają się z jego płuc jak oddech, że oczy widzą wiązkami radarów, a palce potrafią pluć raketami jak pestkami. Poprzez czujniki może smakować ogień w dyszach, widzieć niebo i zachód słońca nad prerią, częścią umysłu potrafi odczuwać pulsowanie promieniowania radiowego niosącego wrogie plany poszukiwań, wydaje mu się nagle, że obserwatorzy i pojazdy eskorty jakby zmaleli, oddalili się od niego o kilkaset metrów - on pojedzie pancerką przez Granicę, oni nie. Patrzy na nich wewnętrznym interfejsem, ze swej niezmierzonej wysokości promiennej chwały i lituje się nad ich niewiedzą.

W tej chwili końcowi beneficjenci jego rajdu - szpitale Nowej Anglii, trzeciacy, jego własny pakiet akcji, być może niewyobrażalnie odległe, szaleńczo żarłoczne stwory siedzące w orbitalnych fabrykach i postrzegające Ziemię jako szybko pustoszejący skarbiec do splądrowania - wszyscy oni znikają wzdłuż długich, przesuniętych ku czerwieni linii, jakby zamgleni odległością i ogniem z dysz wylotowych. Rzeczywistość jest tu, w pancerce. Niezadowolenie zostaje wygnane. Liczy się tylko działanie. Zmienia kierunek części ciągu i następny zestaw turbin rusza z wyciem, gwałtownie unosząc pancerkę na samouszczelniającej się poduszce gazowej. „Pony Express” dostarczy pocztę, choćby nie wiadomo co.

Mikrofalowa paplanina brzęczy mu koło uszu jak komary, żałuje, że nie może jej odpędzić dłonią.

- Kowboj, Arkadij chce powiedzieć parę słów - rozbrzmiewa głos Dodgera, słysząc w nim dezaprobatę dla tego pomysłu. - Próbuję się przygotować - odpowiada Kowboj. - Wiem - pada krótko, jakby z ust pełnych tytoniu. - Arkadij uważa, że to ważne.

Kowboj daje za wygraną, obserwując zielone kontrolki, przeglądając w głowie mapy.

- Zawsze wedle życzeń Arkadija - mówi.

Arkadij ma mikrofon umieszczony za blisko ust. Wymawiane przez niego głoski „p” i „b” brzmią jak wystrzały armatnie. Nałóż ten cholerny zestaw na głowę, myśli Kowboj rozeźlony. Do tego służy, a nie żeby podtykać go pod własną pieprzoną gębę. - Dużo tu ryzykuję, Kowboju - mówi Arkadij. - Całą drogę będą ci towarzyszył w samolocie.

- Pańskie słowa dodały mi otuchy, Arkadiju Michajłowiczu. Kowboj zdaje sobie sprawę, że jego pracodawca znacząco zmniejszy swoje koszty, obciążając nimi innych trzeciaków, którym tak samo jak jemu zależy na załatwieniu korsarzy z Missouri. Następuje chwila ciszy, gdy Arkadij przetrawia tę odpowiedź. - Chcę, żebyś wrócił - mówi. Kowboj słyszy brzmiące w słowach rozdrażnienie jakby z wielkiej odległości. Głos trzeciaka hu-czy i huczy, każda spółgłoska zwarta brzmi niczym ogień zaporo-wy. - Jednak wyszykowałem tę maszynę w konkretnym celu i nie chcę, żebyś wracał bez niej, czy też nie zrobiwszy z niej użytku. Rozumiesz? Ci pieprzeni korsarze mają dostać, co się im należy. - Dziesięć-cztery - odpowiada Kowboj i zanim Arkadij zdąży zapytać, co to, do cholery, znaczy, otwiera przepustnice. Ryk silników, świetnie słyszalny przez mikrofon trzeciaka, grzebie jego słowa pod jazgotem alkoholowego ognia. Choć już go nie słychać, Kowboj jest pewien, że dobiegające go z gniazd odległe mamrota-nie zawiera dużo przekleństw. Uśmiecha się.

- Adiós muchachitos - śmieje się i zjeżdża pancerką z drogi. Tutejszy farmer, kumpel i w interesach, i w życiu prywatnym, dostaje odszkodowanie za zdarzające się od czasu do czasu zniszczenia. Kowboj zaś chce mieć czystą trasę aż do Granicy. Wykrywacze radaru znajdują jedynie odległe, słabe sygnały. Nikt go nie szuka.

Pozerając przestrzeń, bestia ryczy jak ostatni dinozaur. Kolumny mentalnych wskaźników skaczą w górę, przechodząc od błękitu przez zieleń do oranżu. Dojrzały kłos odlatuje w strudze odrzutu. Gdzieś w umyśle Kowboja elektryczna gitara gra pełną samotności improwizację. Dociska gaz, robi ponad sto sześćdziesiąt, kiedy przerywa sporządzone z drutu kolczastego ogrodzenie jakiegoś biedaka i przekracza Granicę.

Jego radar jest skierowany w przód i ma duże ograniczenia:

służy do wykrywania dziur oraz wąwozów, a także ostrzegania o mogących stanowić przeszkodę budynkach czy pojazdach. Wysyła dość słabą wiązkę, która nie powinna zostać wykryta, chyba że detektor znajdowałby się tak blisko, że i tak wcześniej nastąpiłby kontakt wzrokowy. Większość systemów obronnych Kansas znajduje się poza tą trasą, więc jeśli ma się na coś natknąć, powinno to nastąpić teraz.

Horyzont jest mglistą, ciemną pustką, z rzadka przerywaną samotnym silosem. Wszystkie radary wroga znajdują się daleko. Wschodzi księżyc, silniki wyją, Kowboj nie przesadza z prędkością, żeby nie podnosić za dużej chmury kurzu, którą ktoś mógłby złapać na radarze. Chce zachować wszystkie systemy w gotowości do prawdziwej próby. Missouri. Gdzie korsarze czają się w przestworzach, szczerząc zęby, gotowi do ataku.

Bydło ucieka przed jazgotem pancerki. Zrobotyzowane zniwiarki wędrują po polach, wznoszą się nad ziemią jak majestaticzni pozaziemscy strażnicy w plamach jaskrawego światła, poruszają się samotnie, nie mogą zobaczyć pędzącej pancerki. Kowboj spostrzega na północy silniejszy sygnał radarowy, zbliża się samolot zwiadowczy. Maskująca farba pancerki pochłania promieniowanie radiowe niczym spragniony słoń wodę, jednak Kowboj zwalnia i skręca, zmniejszając emisję ciepła. Woli ominąć kłopoty wielkim łukiem. Samolot zwiadowczy leci dalej swoim kursem. Wyłaniają się ruchome wieże przypominające jakieś neolityczne monumenty, nieprawdopodobnie kosztowne instalacje przeznaczone do zakażenia specjalnymi bakteriami skały macierzystej pod warstwą

zerodowanej gleby. Mikroorganizmami, które przekształca kamień w nową glebę. Kolejna zniszczona farma przejęta przez orbitalny blok - żaden drobny rolnik nie mógłby sobie pozwolić na taki sposób odtworzenia uprawnej ziemi. Kow-boj zdusza w sobie chęć staranowania wież, ogranicza się do wark-nięcia w ich stronę.

Pancerka przecina Małą Arkansas na południe od McPherson i Kowboj wie, że minie Kansas bez kłopotów. Instalacje obronne są już poza nim. Jedyne problemy mogą się pojawić, jeśli przecinając drogę, wjedzie wprost przed nos strażnika stanowego, ale na-wet wtedy lokalne władze będą musiały szybko skombinować he-likopter. Kowboj nie przypuszcza, by to było możliwe. I ma rację. W głębokim, fioletowym cieniu walącego się silosu zbożowego, niedaleko Gridley, pancerka wypada z ciemności i wy-rywa okrzyk przestrachu z gardła chłopaka śpiącego w kabinie cy-sterny. Kowboj wyłącza silniki i czeka, aż słodki, zimny alkohol wypełni zbiorniki. Już tutaj wyczuwa pulsujące od strony Mis-souri radary, czujnie przepatrujące przestrzeń. Silniejsze niż spo-tykane kiedykolwiek wcześniej. Korsarze nie będą łatwym kąs-kiem.

- Oni mają kłopoty finansowe, Kowboju - mówił Arkadij. - Nie mogą sobie pozwolić na jakąkolwiek utratę sprzętu. Muszą natychmiast odnieść parę sukcesów i przejąć ładunki. W przeciwnym razie znajdą się w kłopotach.

Od czasu Wojny Skał USA uległy bałkanizacji w stopniu większym niż najsmielsze przewidywania dawnych bojowników o prawa stanów. Tak zwany rząd centralny stracił kontrolę nad handlem międzystanowym, co natychmiast spowodowało ustanowienie ceł na całym Środkowym Zachodzie. W stanach zachodnich, w pobliżu kosmoportów w Kalifornii i Teksasie, gdzie gotowe produkty spływały z fabryk orbitalnych, granice były otwarte, ale stany bliższe centrum nie widziały żadnych powodów, dla których miałyby rezy-gnować z ciągnięcia zysków z dóbr przechodzących przez ich tery-toria. Na wszystkie towary przesyłane dokądkolwiek nałożono sło-ne opłaty.

Dlatego sytuacja stanów północno-wschodnich była nie do po-zazdroszczenia, jeśli chodzi o dystrybucję produktów pochodze-nia orbitalnego. Dostawały trochę z Wolnej Strefy Florydy, jednak ona znajdowała się pod kontrolą bloków, a Orbitalcy lubią utrzy-mywać na rynku niedobór swoich towarów. Nazywa się to sztucz-nym brakiem i Północny Wschód trwonił swój kurczący się mają-tek na skąpo wydzielane okruchy. Zachód miał więcej do zaoferowania Orbitalcom, toteż tutaj towary występowały w więk-szej obfitości i były tańsze - na tyle, by przerzut na północny wschód dawał sute zyski, pod warunkiem że po drodze nie płacono zbyt wielu ceł.

Dlatego też pierwsi napowietrzni dzokowie zaczęli latać Aleją ponaddźwiękowymi deltami wypchanymi kontrabandą. Środkowy Wschód zareagował najpierw samolotami radarowymi i uzbrojo-nymi myśliwcami przechwytyjącymi, a potem kiedy przemytnicy przesiedli się w pancerki, wzmocnieniem naziemnych instalacji obronnych.

A teraz, w Missouri, najęto korsarzy. Władze stanowe nie były w stanie dotrzymać kroku postępowi technologii przemytu, więc postanowiły wydawać lokalnym korporacjom licencje na przechwytywanie kontrabandy. Fakt, że konstytucja nadawała prawo wydawania listów kaperskich i licencji odwetowych wyłącznie rządowi federalnemu, został całkowicie zignorowany. Zresztą w świetle przewagi Orbitalców konstytucja to tylko świstek pa-pieru.

Korsarze otrzymali prawo zabijania, a nagrodą jest przejęcie na własność, bez żadnych zobowiązań, całego ładunku, jaki uda im się przechwycić. Raporty mówiły o potężnych latających rada-rach, czujnikach podczerwieni i detektorach nietypowych dźwię-ków oraz mnóstwie samolotów

wypakowanych rakietami samona-prowadzającymi najeżonych lufami działek.

Od Gridley Kowboj posuwa się powoli na północny wschód, nie spiesząc się, sporządzając mapę rozmieszczenia radarów. Są to samoloty bezzałogowe, leciuteńkie, automatycznie sterowane, zasilane energią słoneczną, zdolne do nieskończonego utrzymywania się w powietrzu - unoszą się w górę wraz ze słońcem, w no-cy z wolna szybują, tracąc wysokość. Do bazy muszą powracać mniej więcej raz na miesiąc. Mają stałą łączność mikrofalową z komputerami na ziemi, gotowymi do wypuszczenia w niebo od-rzutowców, jeśli tylko pokaże się cokolwiek podejrzanego. Są tak niewielkie, że naprowadzane radarem pociski nie mogą ich odnaleźć i zestrzelić, a gdy będą się kierować wzdłuż wypro-mieniowywanej wiązki, zostaną dostrzeżone wystarczająco daleko, by taki radar wyłączył się na długo przed spotkaniem z rakietą. Kowboj kieruje się w obszar pomiędzy Kansas City a płasko-wyżem Ozark. Jak wie, mieszkańcy Ozark są dobrze usposobieni, mają długą tradycję oporu stawianego ludziom nazywanym przez nich „wadzą”, datującą się co najmniej od czasów Cole Youngera, lecz teren jest dość nieprzyjazny. Kowboj woli móc pojechać bardzo szybko po płaskim. Fakt, że to ten sam obszar, na którym kor-sarze rozmieścili większość swoich instalacji obronnych, jest tyl-ko przyjemnym zbiegiem okoliczności.

Sondy czujnikowe zataczają powolne kręgi, szybując z wolna ku ziemi na zasilaniu akumulatorowym, Kowboj sądzi, że dostrze-ga wylaniający się wzorec poruszeń, który pozwoli mu prześli-znąć się przez martwe pole. Być może utrzyma się ono na tyle dłu-go, by znalazł się osiemdziesiąt kilometrów za granicą Missouri. Kiedy jego pancerka zsuwa się ze zwietrzałego brzegu Marais des Cygnes, a potem ślizga się przez płaskie, bagniste rozlewiska oraz mulistą wodę, Kowboj wysuwa antenę kierunkową i wysyła krót-ki, kodowany sygnał w stronę, gdzie Dodger i Arkadij czekają w samolocie Rosjanina, zataczając kręgi nad preriami wschodnie-go Kolorado.

Odpowiedź nadchodzi szybko, silny sygnał do ludzi Arkadija znajdujących się na granicy pomiędzy Kansas i Missouri. Jest tam wielu innych pancerniaków, siedzą przy maszynach, czekają tylko na rozkaz... a kiedy go otrzymają, ruszą w prerię; będą pędzić i przystawać, przecinać równinę zygzakami i wzniecać liczne chmury kurzu, wszystko to zaalarmuje radary i czujniki podczer-wieni korsarzy. Gliny będą musiały poświęcić mnóstwo czasu oraz wysiłku na ich wyśledzenie i ujęcie. Schwytni pancerniacy-po-zoranci poddadzą się potulnie - nie mają w końcu kontrabandy i zapłacą jedynie grzywnę za pozrywany drut kolczasty i posiadzą troszkę za niebezpieczną jazdę. Arkadij pokryje wszelkie koszty oraz wypłaci godziwe honoraria. Jeśli zdarzy się najgorsze, wdowy po nich i sieroty otrzymają pokaźne ubezpieczenia. To dobrze płatna robota i znakomity trening dla ambitnych pancerniaków pragnących kiedyś przekraczać Granicę.

Jednak po sygnale dla nich odzywa się głos Dodgera, suchy jak prerie Portales.

- Arkadij Michajłowicz byłby wdzięczny za nieco więcej infor-macji, Kowboju - mówi. - Chce wiedzieć, dlaczego nie zgłosiłeś się wcześniej.

- W dzisiejszych czasach można namierzyć transmisję, Dodger. Mechanik milczy przez chwilę, niewątpliwie wysłuchując wy-kładu Arkadija, a kiedy znów się odzywa, jego głos jest nieco mniej pogodny.

- Krótka transmisja na mikrofalach jest niemal niemożliwa do namierzenia. Arkadij twierdzi, że powinieneś był się zgłosić po przekroczeniu pasa obrony Kansas.

- Przepraszam - mówi Kowboj radośnie. - Jestem teraz choler-nie blisko granicy Missouri i wolałbym nie przedłużać tej konwer-sacji. Próbuję wykonać swoją robotę.

Kolejna przerwa.

- Arkadij przypomina mi, że dużo zainwestował w twoją pan-cerkę i chciałby być informowany o losach swojej inwestycji. - Moim celem jest przekształcenie jego pieniędzy w spory do-chód - odpowiada Kowboj. - Nie zamierzam tracić więcej czasu na pogawędki. Mam teraz okienko do przeskoczenia i właśnie to robię. Pa.

Wyłącza się, odnotowując w pamięci, żeby ze Wschodu, kiedy już tam dotrze, podesłać Arkadijowi sznur uspokajających koralików. Pancerka wynurza się z koryta rzeki Marais des Cygnes i zwiększa prędkość, kierując się na wschód. Łomot kukurydzy o dziób zwiększa się, stając się równym hukiem. Wskaźniki silni-ków zmieniają barwę przez pomarańczową na czerwoną. Wszyst-kie pozostałe nadal są zielone. Elektryczne gitary śpiewają pod czaszką niczym anioły przy akompaniamencie wycia syren Mis-souri. Dostarczanie poczty to piękna rzecz.

Pancerniaczy-pozoranci wywołują zamieszanie, włączone zosta-ją kolejne zespoły radarowe, do tej pory nieużywane w nadziei, że ich nagłe pojawienie się zaskoczy przemytników. Martwe pole znalezione przez Kowboja nadal wygląda tak samo. Rezygnuje z ostrożności i postanawia obciążyć silniki do maksimum. Ledwie wyczuwalny sygnał ciała powiadamia go, że właśnie został wgnieciony w siedzenie, lecz wiele innych rzeczy wymaga przemyślenia. Przez połowę czasu pancerka polatuje nad ziemią, wdzierając się na niskie wzgórza, przelatując nad wierzchołkami, rozrzucając na boki zboże i czyjeś druty kolczaste, wydawany przez nią dźwięk nieodparcie nasuwa skojarzenie z zawożeniem kobiety. Neurony podmrugują głęboko w umyśle Kowboja, przekazują informacje do jego kryształ, utrzymują stabilność podskakującego pojazdu. Siedzi głęboko w fejsie, gdy powierzchnie sterujące wdzierają się mu w umysł, balansując na waziutkiej krawędzi stabilności. Kow-boj wie, że mimo wyściełania, będzie miał mnóstwo siniaków pod pasami bezpieczeństwa.

Przekracza granicę Missouri pomiędzy Louisburghiem i rdze-wiejącym pomnikiem upamiętniającym Masakrę nad Marais des Cygnes. Spieczony stan Missouri czeka na deszcz, tuman kurzu podnoszony przez pancerkę wznosi się na dobre sto metrów, ale tu nie ma nikogo, kto mógłby to zobaczyć. Przyzwyczajają się do ude-rzeń w płaszczyzny sterowe i jazda staje się łatwiejsza. Właśnie wtedy uruchamia się radar wprost nad jego głową - kolejna platforma została włączona do systemu. Martwa strefa Kowboja przekształciła się w bardzo gorące miejsce, chmura ku-rzu musi wyglądać niczym płonąca strzała w nocy. Pancerniak przymyka wszystkie systemy, wskaźniki zmieniają barwę z czerwonej przez pomarańczową do bursztynowej. Stara się zrobić jak najmniejszy, ale radar wisi wprost nad głową i nie ma żadnego sposobu by go uniknąć. Redukuje prędkość pancerki i zsuwa się z brzegów South Grand. Pozostawiana przez pojazd chmura roz-pylonej wody jest dużo mniejsza niż ogon kurzu, przez chwilę ma nadzieję, że unik mu się udał, ale wówczas w pobliżu odzywają się kolejne latające radary i już wie, co nastąpi.

Na swoim radarze widzi rybackie łódki wiosłowe nieruchomo spoczywające na spokojnej powierzchni wody, pancerka ostro skręca w stronę brzegu, by je ominąć. Zmniejsza ciąg silników, wskaźniki z bursztynowych robią się zielone - lepiej zachować jak najwięcej paliwa na później. Decyduje, że czas już posłuchać, co gliny mają do powiedzenia, i włącza antenę dostrojoną do ich pas-ma. Transmisje korsarzy są zakodowane, ale policji stanowej - nie, częścią poszerzonego umysłu przysłuchuje się okrzykom fru-stracji towarzyszącym próbom dopadnięcia - przy użyciu pojazdów kołowych - pancerniaków szalejących na pograniczu. Od cza-su do czasu odzywa się jakiś korsarz i udziela rad. Kowboj odnosi wrażenie, że stanowi niechętnie współpracują z niezależnymi najemnikami; mniej więcej czegoś takiego się spodziewał. Wydaje mu się, że radary pracują teraz

trochę bardziej przy-padkowo, jakby zgubiły go, przynajmniej na jakiś czas. Dopiero kiedy pancerka Kowboja jest już w okręgu Johnson, wykrywa ra-dar zbliżający się ku niej od wschodu. Leci tak nisko, że to na pewno samolot. Kowboj odpala mikroładunki, które odrzucają osłony zasobników z uzbrojeniem. Teraz pancerka ma gorszą aero-dynamikę i przy dużych prędkościach będzie wymagać szczególnej uwagi. Kontrolki silników stają się niebieskie, gdy pancerniak zmniejsza ciąg i kładzie pojazd w szeroki skręt na południe, mając nadzieję ominąć samolot, przez chwilę wydaje mu się, że manewr jest skuteczny - przeciwnik leci nadal kursem na półno-cy, jednak po chwili raptownie skręca wprost na pancerkę. Kowboj czuje strumień alkoholu przepływający mu przez ser-ce, gdy ciąg silników rośnie do maksimum, pancerka z dygotem rzyga ogniem. Przez moment wydaje się, że uleci w górę, powie-trze huczy w zasobnikach z bronią niczym w takiełunku południo-wo-wschodniego żaglowca handlowego, lecz grawitacja trzyma mocno i pojazd opada z powrotem na swoją poduszkę. Kiedy wskaźniki dochodzą do końca, Kowboj wystrzeliwuje raketę po-zorującą dla radarów i gwałtownie skręca w lewo, poduszka po-wietrzna zostaje przyduszona tak mocno, że sterburta ociera się o ziemię. Pocisk leci na szeroko rozłożonych skrzydłach dawnym kursem, tuż nad ziemią. Nie jest pokryty farbą pochłaniającą fale radiowe, więc odbija je co najmniej tak samo silnie jak zabezpie-czona pancerka, a strumień jego gazów wylotowych powinien zwrócić uwagę czujników podczerwieni.

Kowboj włącza dopalacze i kieruje się w stronę Missisipi. Za sobą widzi na nocnym niebie błyski strzałów oddawanych do przy-nęty. Ma nadzieję, że nikogo tam na ziemi nie ma, ponieważ te ra-kiety wiążkowe wyglądają naprawdę paskudnie. Nie widzi żadnych eksplozji. Samolot korsarski leci jakiś czas stałym kursem, zwalnia, Kowboj też redukuje prędkość, zmniejsza emisję podczerwieni. Wprost nad jego głową wciąż pracuje silny radar. Słyszy w transmisjach policyjnych, że schwytano dwóch pozorantów, co oznacza zwiększenie sił usiłujących dobrać się do niego. Korsarze zaczynają zataczać kręgi coraz bliżej, spo-strzega na horyzoncie dziwaczne sylwetki metalowego lasu, zmie-nia kurs i pędzi w tamtym kierunku.

To las mikten, rozciągających się na wiele kilometrów, odbie-rających niskoenergetyczne promieniowanie mikrofalowe emito-wane z wiszącego w górze satelity, przekształcającego energię sło-neczną, nieruchomej, lśniącej gwiazdy symbolizującej zależność pokornej Ziemi od władzy Orbitalców. Kowboj sprawnie odnajdu-je drogę przez tę metalową sieć, posługując się jedynie noktowi-zją. Prawdopodobnie obrazy radarowe wroga są zupełnie chao-tyczne, jednak korsarski samolot wciąż się zbliża. Pancerka przecina kawałek otwartej przestrzeni, gdzie na betonowej płasz-czyźnie rdzewieje szopa obsługi, w tym krótkim momencie Kow-boj wystrzeliwuje wprost w górę pocisk z odbijaczami dipolowy-mi i z powrotem nurkuje pomiędzy metalowe drzewa. Zasobnik wylatuje na pięć kilometrów w górę i eksploduje. Momentalnie czujniki Kowboja zaczynają odbierać sygnały rada-rowskie i niskoenergetyczne mikrofa-le ze wszystkich stron naraz. Wolno opadające z dużej wysokości paseczki folii aluminiowej, wśród których co dziesiąty ma wbudowany zasilany z baterii mi-kroukład zapisujący i reemitujący każdy odebrany sygnał radio-wy. Na ekranie radarowym Kowboja wygląda to jak ogromna ra-diowa choinka bożonarodzeniowa nagle wyrosła wysoko nad prerią. Kontrolerzy sieci energetycznej prawdopodobnie dostają szału. Wyjechawszy spomiędzy mikten, Kowboj znów uruchamia dopalacze. Sygnał ze ścigającego go samolotu zginął gdzieś w ra-diowym chaosie i pancerniak uznaje, że najwyższy czas stąd zwie-wać. Na komputerowej mapie widzi rzekę na kursie. Świetna oka-zja, by pójść na ryby.

Koryto rzeki jest suche i kręte, jednak wrogiego samolot został gdzieś z tyłu. W atmosferze krzyżuje się mnóstwo kodowanych transmisji, odzywają się echami od strony powoli spływających w dół

odbijaczy. Brzmia dość gorączkowo, jeden z przekazów to prośba korsarzy o pomoc skierowana do władz stanowych, nada-wana w nieskończoność otwartym tekstem o znakomitej jakości, powtarzana przez chmurę pasków. Kowboj wyszczerza się w uśmiechu, wyjeżdża z koryta rzeki i podąża na północny wschód. Wydaje się, że wszystkie pojazdy pościgowe tankują, bo na następne kłopoty natyka się dopiero w głębi Missouri, na północ od Columbii. Spodziewa się ich, studzi silniki, utrzymując moc w zielonej strefie, i korzysta z osłon. Wszystko dlatego, że na policyjnym paśmie usłyszał o schwytaniu kolejnych dwóch pancerników i zmuszeniu pozostałych do zatrzymania się. Nagle, znów wprost nad jego głową, odzywa się radar, drugi zbliża się szybko z północnego zachodu, jakby właśnie wystartował z czyjegoś lotniska. Kowboj zwalnia i zmienia kurs, próbuje uciec. Nie jest dobrze. Szuka większego skupiska drzew, nie ma tu nic takiego, nagle z południa odzywa się kolejny, szybko przemieszczający się radar. Kowboj wystrzeliwuje następną rakietę z odbijaczami, ponownie skręca. Wrogie samoloty zostają na chwilę zmylone, jednak południowy koryguje kurs, za moment północny. Ten pierwszy prawdopodobnie złapał go na podczerwieni i naprowadził drugi.

W umyśle pancerniaka zapalają się ikonki celownicze, jak szkarłatne oznaki szaleństwa. Charkot, który wydiera mu się z gardła, brzmi jak echo wzmożonego ryku komór spalania, pancernica ryje ziemię, skręcając w prawo, w kierunku południowego sygnału radiowego. Kowboj wyłącza swój radar, żeby uniknąć rakiet samonaprowadzających i prowadzi, korzystając jedynie z czujników optycznych. Jego umysł podejmuje błyskawiczne decyzje, neuroprzekazniki tłuką w przełączniki mentalne jak grad, interfejs zamyka w sobie cały migotliwy wszechświat: pancerkę wraz z systemami, kukurydzę łomoczącą pod opancerzonym fartuchem, opadającą folię aluminiową, dwa wrogie samoloty pędzące przez noc. Pancernica prawie wlatuje nad ziemię. Jej szkielet jęczy pod obciążeniem, zasobniki z bronią wyją w strugach powietrza. W powietrzu lata mnóstwo poszarpanej kukurydzy. Dwa płoty są przewrócone, w mroku sterczy w górę sylwetka silosu, w układach optycznych pancernica wydaje się wyginać, pochylać w jej stronę, grozić. Już widzi wroga, konwencjonalny helikopter zbliżający się tuż nad wierzchołkami drzew, błyskający działkiem. Wystrzeliwuje antyradarową raketę samonaprowadzającą prosto między ślepią korsarza, w chwili gdy pancernica nad jego głową zaczyna dzwonić pod uderzeniami pocisków. Świat na zewnątrz rozjarza się deszczem iskier, Kowboj krzywi się, gdy traci jedno z elektronicznych oczu.

Mija przeciwnika, przez pancernicę i odgłosy ruchu pojazdu słyszy ryk helikoptera, łomot płatów jego wirnika młocących powietrze. Pocisk samonaprowadzający chybił; albo za wiele w powietrzu folii aluminiowej, albo w porę wyłączyli radar. Teraz rozlega się inny dźwięk, sygnał pocisku termoczułego, gotowego do wystrzelenia, Kowboj odpala go i gwałtownie skręca w lewo, czuje słabe szarpnięcia pancernicy, która zygzakiem przelatuje nad grzbietem wzgórza w chmurze rozszarpanej kukurydzy, kołysząc się na poduszce powietrznej.

Helikopter zmienia się w kulę ognia, eksploduje w nim paliwo i amunicja. Sterczący za nim w niebo silos wygląda jak nagrobek migoczący czerwonym światłem. W radiu wybucha szaleńcza gadanina, jazgot przemieszanych mikrofal, można w nich jeszcze dosłyszeć echo ludzkich głosów, wszystko wzmocnione i wymieszane z mnóstwem ech generowanych przez opadającą folię, zmienne niemal we wrzaski szaleńca. Korsarz nadlatujący z północnego zachodu właśnie zobaczył, co się stało z jego kumplem. Pancernica usiłuje zawrócić na przeciwstoku, ślizga się na zmiażdżonej kukurydzy, kiedy połączone siły grawitacji i bezwładności starają się ją przewrócić. Kowboj czuje w głowie kołysanie się żyroskopów, z dygotem przelatuje nad krawędzią.

Korsarski samolot przemyka mu nad głową z piekielnym wyciem, odbija się w nim blask stosu

pogrzebowego jego kamrata. To pionowzlot, huczący turbinami wirującymi w aerodynamicznych osłonach na końcach krótkich, grubych skrzydeł. Lekki myśliwiec odrzutowy zdolny do pionowego startu i zawisu, za cenę dużego zużycia paliwa łączący w sobie zalety poddźwiękowej maszyny pościgowej i helikoptera. Kowboj ma nadzieję znaleźć właściwy moment do odpalenia kolejnego pocisku termoczułego, jednak zaraz paliwa płonącego tuż za grzbietem myli jego czujniki. Pionowzlot przechyla się w ciasnym zakręcie, rozrzucając termowe flary, opadające na spadochronach jak małe słoneczka i już nie można użyć broni naprowadzanej podczerwienią. Panczerka znów wspina się na grzbiet i przy samej krawędzi czerwonego błasku, dobiegającego od rozbitego helikoptera, kieruje się ku odległej iglicy silosu.

Różne plany przebiegają przez ciekłokrystaliczne przełączniki w głowie Kowboja z błyskawiczną prędkością. Korsarz najchętniej by postąpił, trzymając pancerkę w zasięgu detektorów i naprowadzając na nią pozostałych, samemu nie ryzykując. W takim wypadku Kowboj musiałby go zaatakować. Z drugiej jednak strony radary wciąż są beznadziejnie oślepione odbijaczami, pilot pionowzlotu nie może odróżnić promieniowania podczerwonego pancerki od żaru wraku, i tu Kowboj dostrzega swoją szansę. Poślanawia wydusić z silników, ile się tylko da i spróbować dociągnąć na drugą stronę Missisipi, do bezpiecznego okręgu Egipt. Lecz kaper najwyraźniej ma oczy jak czarne dziury pochłaniające całe światy, albo jego samolot jest wyjątkowo dobrze wyposażony - może w jeden z tych detektorów dźwięku? - ponieważ wychodzi ze skrętu wprost w stronę pancerki. Bezbłędnie. Kowboj włącza dopalacze i pędzi w nadziei, że za horyzontem jest jakaś kryjówka. Antyradarowe pociski samonaprowadzające nie zadziałają przy takim mnóstwie porzucanych odbijaczy, także te kierowane radarem. Sygnał podczerwony pionowzlotu jest za słaby od strony jego dziobu, czyli pociski termoczułe również zdadzą się psu na budę.

Teren jest nierówny, nagle kukurydzę zastępuje konopie, tak wysokie, że słoń by się w nich schował; ociekają lepkiem sokiem. Dzięki temu podłoże jest tu mniej śliskie niż na polach kukurydzy, można bezpieczniej manewrować. Wrogi pilot kieruje się wprost na niego, najwyraźniej rozwścieczony losem swojego kumpla i Kowboj zdaje sobie sprawę, że może użyć tego gniewu, tak jak mistrz aikido wykorzystuje energię kinetyczną atakującego przeciwnika - lecz najpierw trzeba obciążyć silniki do maksimum, wypełnić dysze alkoholowym płomieniem dopalaczy i pogodzić się z tym, że panczerka trochę oberwie.

Kowboj wylatuje w powietrze na szczycie wzniesienia, rzuca ślizgającą się pancerkę na sterburtę, dokładnie w momencie, gdy koleopter odpala sześć pocisków kumulacyjnych, kule ognia pochłaniają konopie. Coś wali w pancierz Chobhama, rząd czerwonych kontrolki powiadamia Kowboja, że jeden z jego zasobników z bronią został przebity wystrzelonym z działka pociskiem wielkości kubka, który posłał do diabła wyszukaną elektronikę wartą kilkaset tysięcy. Czujniki celownicze jego własnego działka obrywają w chwili, gdy postanawia oddać parę strzałów. Neuroprzekazniki docierające do mózgowych skalaków Kowboja zalatują kwaśnym posmakiem adrenaliny. Pilot pionowzlotu najwyraźniej opanował złość, bo wykazuje ostrożność, utrzymując taką samą prędkość jak panczerka, i nie wyprzedza jej, dlatego Kowboj nie ma wyboru, musi gnać przez żyzne ziemie Missouri coraz prędzej, rzucając pojazdem to w lewo, to w prawo, poszukując w konopiach punktu oparcia, który pozwoliłby mu posłać przeciwnika na matę. Działko wali w niego bez ustanku. Następne czujniki błyskają i zamierają, zniszczone.

Wtedy Kowboj otwiera kolejne zawory paliwowe i silniki rżęzą w męce, kiedy prowadząc błyskawiczne obliczenia, uruchamia odwracacze ciągu. Nawet mimo chemicznego otępienia jego ciało wciśnięte w pasy skręca się w cierpieniu. Połowa komputerowych wyświetlaczy zamiera.

Pionowzlot zatacza się, usiłując utrzymać pozycję, lecz znajduje się za blisko ziemi, by zdołać wytracić roz-pęd przecignięciem, a klapy ma już wysunięte do końca. Pilot zdaje sobie sprawę, co zaraz nastąpi, więc wystrzeliwuje flary ter-mitowe, zanim jeszcze ledwie kontrolowany i bezapelacyjnie ska-zany na zagładę samolot prześlizguje się nad pancerką i Kowboj słyszy sygnał gotowości w kryształach usznym. Z pozostałego mu za-sobnika wystrzeliwiają rakiety, lewa turbina zmienia się w kulę ognia, samolot zatacza się w metalowej agonii, korkociągami leci w dół.

Pancerka pędzi przez poznaną czerwienią noc. Egipt już blisko, świt też. Część zakłóconych systemów wraca do normy, Kowboj zmniejsza ciąg, udaje mu się utrzymać silniki na chodzie. Czas poszukać kryjówek i przeczekać dzień.

Przebywa jeszcze polami osiemdziesiąt kilometrów, aż wresz-cie zatrzymuje go świt i uczucie nadciągającej fali nieprzyjaciół. Wszędzie tutaj są tysiące opuszczonych farm i stodoł, starych prywatnych posiadłości, które nie wytrzymały konkurencji z kontro-lowanymi przez Orbitalców agrokompleksami i ich zrobotyzowa-nymi gospodarstwami. Kowboj zna wiele takich, gdzie budynki położone blisko zrobotyzowanych pól zawsze stoją puste. Kiedy jego ciało się budzi, w masce twarzowej pojawia się no-wy smak. Czujniki wykrywają stodołę, jedną z tych długich i wąs-kich, zbudowanych na planie prostokąta, w których - w okresie gdy Orbitalcy wznosili swoje magazyny, jeden na sto farm - prze-chowywano bele siana. Ostrożnie, precyzyjnie odsuwa burtą cięż-kie, podwójne wrota i wprowadza pancerkę pomiędzy cementowe ściany budynku. Tuż przed wyłączeniem silników przypomina so-bie, że nie wysłał wiadomości do Arkadija.

No cóż, niech poogląda sobie wiadomości i dowie się w ten spo-sób. Potem powie mu, że sygnał nie przedarł się przez odbijacze. Z ukłuciem żalu wychodzi z fejsu. Fale bólu szarpia jego umysł, wyświetlacze ciemnieją. Cały jest posiniaczony, ocieka po-tem. Wyciąga karabin z pokrowca i otwiera klapę. Stodoła śmierdzi pleśnią i rozlanymi węglowodorami. Kowboj przełącza oczy Kikuju na podczerwień i rozgląda się uważnie. Sły-szy szuranie szczurów. Dzięki okablowanym nerwom potrafi strze-lać z karabinu z perfekcyjną celnością do wszystkiego, co tylko jego oczy mogą zobaczyć.

Widzą właśnie dwoje ludzi skulonych w kącie pod jakimś sta-rym snopkiem. Zatrzymuje się na moment, usiłując odszukać śla-dy broni, potem, nie wypuszczając karabinu z ręki, sięga w dół po paczkę artykułów przeznaczonych na wymianę.

Stygające silniki potrzaskują metalicznie, z tyłu, we wrotach, pojawia się srebrzyste światło przedświtu. Kowboj wygrzebuje się z włazu, schodzi po długiej pochyłości przedniego pancerza, buty ślizgają mu się trochę na lepkim soku konopi.

- Skąd jesteście? - pyta.

- Ze stanu Nowy Jork. Buffalo. - Głos jest młody i przerażony. Kowboj podchodzi bliżej i widzi dwójkę obdartych dzieciaków, piętnasto-, może szesnastolatków, chłopaka i dziewczynę, skulo-nych w jednym śpiworze rzuconym na mały snopek starej słomy. Dwa poprzecierane plecaki leżą obok, żalonna stertka.

- Na zachód? - pyta Kowboj.

- Tak, sir.

- Ja na wschód. Założę się, że opiekana kukurydza nosem już wam wyłazi - mówi.

Zrzuca paczkę z łomotem na cement koło pary. Podskakują na ten dźwięk.

- Tu jest trochę prawdziwego jedzenia, liofilizowane, w puszkach. Dobra whisky i papierosy. I

czek, antydatowany na najbliższy poniedziałek, na pięć tysięcy dolarów.

Zapada cisza przerywana tylko szmerem oddechów i szczyrzym szuraniem.

- Gdybyście nie chwyтали, o co chodzi - wyjaśnia Kowboj - czek będzie dobry, jeśli ja skończę swoją trasę.

Dwoje dzieciaków spogląda po sobie, potem patrzą na Kowboja. - Nie musi nam pan płacić - mówi cicho chłopak. - My byśmy nie... jesteśmy ze Wschodu, rozumie pan. Wiemy, co robicie. Już bym nie żył, gdyby nie jakieś przemycone antybiotyki. - Taak, dobrze. Po prostu uznajcie, że ta forsa to zwykły gest życzliwości - proponuje Kowboj, potem odwraca się, by na ze-wnątrz umieścić kilka czujników i zamknąć wrota. > Czas odpocząć.

Wróciwszy do kabiny panczerki, wyczuwa woń potu i adrenali-ny. Zdejmuje z siebie kombinezon przeciwprzeciążeniowy i elek-trody, myje się gąbką, korzystając z wody w kanistrach. Zjada tro-chę swojej racji, bogatej w białka, wypija uzupełniający elektrolity napój o smaku pomarańczowym. Zwija się na małej koi.

Adrenalina jeszcze mu nie odpuściła, za zamkniętymi powie-kami wciąż widzi rozjarzone powidoki map, wyświetlaczy, kontro-lek silników zmieniających barwy, płonące paliwo, rakiety rozza-rzające noc w pirotechnicznym uniesieniu. Oraz, gdzieś tam za pulsującymi neonowymi zwidami, mały kolec urazy. Zawsze wystarczała jazda Aleją, jedność duszy z pulsującymi pompami turbinowymi i wyjącmi dopalaczami, dostarczanie poczty z jednej wolnej strefy do drugiej. Było to wyjątkowo etycz-ne, czyste i niewinne. Wystarczało być wolnym dzokiem na wol-nej drodze, walczyć z tymi, którzy chcieli go spętać, utrzymać go przywiązanego do Ziemi, jakby był zwykłym bagnikiem. Nieważ-ne, co przewoził. Wystarczała wiedza, że niezależnie od stanu, w jakim znajduje się reszta kraju, błękitne niebo nad głową pozo-staje ostoją wolności.

Jednak ostatnio pojawiło się podejrzenie, że nie wystarczy trzymanie się etyki. Wie, że bycie wojownikiem to rzecz szlachet-na i prawdziwa, jednak bycie naiwnikiem to zupełnie co innego. Przypuśćmy, że jest się fabrykantem Orbitalcem zainteresowa-nym w kontrolowaniu swojego rynku na planecie. Trzyma się w garści całą potrzebną do tego władzę polityczną, ceny są wyso-kie dzięki szczupłym dostawom. Lecz jednak powinno wystarczyć sprytu, by spostrzec, że gdzie są niedobory, tam momentalnie po-wstaje czarny rynek. Większość towarów - a w każdym razie nar-kotyki i mnóstwo sprzętu, jeśli nie specjalne stopy - nadal można wytworzyć na Ziemi, tyle że drożej.

Jeśli się wie, że czarny rynek i tak powstanie, czemu by nie stworzyć go samemu? Można dostarczać trzeciakom małej strużki towaru, tyle żeby się wzbogacili. Wynająć wystarczającą liczbę mięśniaków, aby powstrzymać konkurencję, i w ten sposób kon-trolować nie tylko legalny rynek, lecz jednocześnie i podziemny. Można wywoływać popyt i zaspokajać go na obu frontach. Skąd Arkadij ma swój ładunek?^ pytanie zaczęło go coraz bar-dziej nurtować.

Jednak teraz adrenalina już się wypaliła w jego ciele, zmęcze-nie zaczyna brać górę. W opuszczonej stodole w Missouri nie znaj-dzie żadnych odpowiedzi, myśli mu się mieszają. Czas wśliznąć się pod wąski wełniany koc handlarza przecięty linią, która niegdyś oznaczała wysokość stosu bobrzyczych skór, i przygotować umysł na ostatni skok przez Aleję.

Budzi się późnym popołudniem, okazuje się, że dzieciaki zni-kły. Czek powiewa na jednym z wlotów powietrza. Kowboj zdej-muje go z pręta i przygląda mu się przez chwilę, zastanawiając się nad etyką i długami, symbolami i czynami oraz czymś, co dawny-mi czasy nazywano honorem. Jest pewien, że gdzieś blisko znajdu-je się kolejny kawałek czystego, wolnego nieba.

Odwala czarną robotę, wymienia odstrzelone przez korsarzy czujniki, zdrapuje większą część konopnego soku oblepiającego pojazd razem z kawałkami kukurydzy i plewami zbożowymi, spryskuje antyradarową farbą rysy pancerza. Działko naprawdę dało pancerce popalić, miał kupę szczęścia, że nie nawaliło mu więcej systemów. Niewiele mu zostało broni, ale do Big Muddy zostało parę kilometrów.

Siada na wyściełanej kanapie i wchodzi w fejs, przez kilka mi-nut słucha czujników. Ruch w eterze wydaje się normalny. Jed-nak w miarę jak gaśnie dzień, coraz więcej rozmów prowadzonych jest z wieżą jakiegoś pobliskiego lotniska. Musi znajdować się o kilka kilometrów, bo słyszy dokładnie każde słowo. Rozmowy nie są kodowane i brzmią nieszkodliwie, ale mnóstwo samolotów ma te same litery kodowe. Kowboj stwierdza, że to zaczyna być interesujące.

Założmy, że jest się korsarzem wkurzonym z powodu pewnych strat poniesionych ostatniej nocy. Założmy, że doszło się do wnio-sku, iż ta cholerna pancerka, którą się ścigało, oberwała, może nawet została unieruchomiona, i w żadnym razie nie mogła przed świtem przekroczyć Missisipi. Założmy, że chciałoby się pomścić paru kumpli spalonych doszczętnie ostatniej nocy na polach uprawnych Missouri.

W takim wypadku skoncentrowałoby się wszystkie siły na lot-nisku w najbliższym miejscu, w którym taka pancerka oczekuje zmierzchu, nad podejrzany obszar wysłałoby się kilka samolotów zwiadowczych, wypchanych najnowocześniejszymi czujnikami, a reszta siedziałaby na końcu pasa startowego, gotowa skierować się na pancerkę niemal w chwili jej wykrycia i zmienić ją w lekko opancerzoną moką plamę na środku wypalonego małego kawał-ka prerii. Tak właśnie powinno się postąpić.

Kowboj wrzuca mapę na ekran i w odległości zaledwie sześciu kilometrów znajduje lotnisko komunalne Filadelfia. Jest stanow-czo za małe jak na taki potężny ruch. Leży za grzbietem i małym laskiem. Kowboj zaczyna się uśmiechać.

O zmierzchu spoczywa przypasany w leżance, rozgrzewa silniki. Delikatnie odwraca ciąg, wysuwa się ze stodoły, powoli przejeżdża przez na wpół przerdzewiałe ogrodzenie z drutu kolczastego, potem wzdłuż grzbietu, nie ośmielając się nawet na krótko wystawić po-nad niego czegokolwiek widzialnego dla radaru. Znajduje drogę gruntową, posuwa się wzdłuż niej przez zagajnik sosnowy, który na-suwa mu wspomnienia zapachu, szumu lekkiego wiatru, miękkiego dywanu igieł pod stopami. Zjeżdża z drogi, przecina mokre zagłę-bienie, gdzie liście i mech tłumią dźwięk silników. Potem, okrężną drogą, wspina się na zadrzewiony płaskowyż, przyginając młode so-senki, posuwa się tak, dopóki nie dostrzeża sylwetki niewielkiej wieży radarowej odcinającej się od wieczornego nieba. Są tam wszyscy, kilkanaście maszyn bojowych, przycupniętych jak złe metalowe cykady, ogniste blaski zmierzchu odbijają się w wypolerowanych kadłubach, lufach działek, ostrych nosach po-cisków wystających z zasobników. Na dziobach mają wymalowane hasła i różne emblematy, nasuwające skojarzenia z gwałtowną, mechaniczną przemocą, męską dumą wojownika albo zaufaniem hazardzisty do narzędzi swej pasji: „Śmierć z Nieba”, „Młot na Pancerki”, „Słodkocie Oczy Judy”, „As Pikowy”. Po płycie lotni-ska kręci się kilku techników z narzędziami w dłoniach. Kowboj pozwala sobie na kilka podkręconych adrenaliną chwil triumfu, potem rzuca się naprzód.

Kiedy pancerka drży na krawędzi otwartej przestrzeni, Kowboj przez moment ma przed oczami obraz sylwetki sprintera opartego na czubkach palców dłoni, ze stopami wciśniętymi w bloki starto-we, wygiętego w łuk, w którym czeka nagromadzona energia, jak w napiętej sprężynie. Rusza pełną mocą, spod rozpędzającego się dziobu pancerki rozpryskuje się na wszystkie strony, niczym śrut, stadko

przepiórek. Dźwięk silników zmienia się z pomruku w grom, w wycie, Kowboj widzi techników zamartwych ze zgrozy na ułamek sekundy, kiedy pancierka wypada spomiędzy drzew, jak stalowy cyklon zgniata ogrodzenie - kawał ryczącej zemsty rodem wprost z piekieł. Potem ludzie w kombinezonach rozbiegają się na wszystkie strony, wykrzykując ostrzeżenia.

Za późno. Opancerzony poduszkowiec robi sto sześćdziesiąt ki-lometrów na godzinę w momencie, gdy zahacza o pierwszy heli-kopter. Pancierka jest dużo cięższa i „As Pikowy” rozpada się jak wyssany przez pająka, pusty pancrzyk owada. Kowboj wysunął wieżyczkę działka spod panciernej pokrywy, wali teraz z niego w tył, we wrak, podpalając paliwo. „Słodkocie Oczy Judy” znika-ją zgniecione pod pancernym fartuchem, potem pionowzlot zwa-ny „Śmierć z Nieba”, i kolejny - „Sędzia Szubienica”. Jednym z sensorów przez moment spostrzega pilotów wypadających z ha-li lotniska, z szeroko rozwartymi oczami i ustami gapiących się na pożogę. Potem od płomieni paliwa zaczyna eksplodować amuni-cja, piloci upuszczają swoje drinki i jak kuropatwy rozpierzchają się w poszukiwaniu osłony.

Stalowe odłamki i rozżarzone kawałki aluminiowego stopu tłu-ką gradem o pancierz Chobhama. W końcu Kowboj pozostawia za sobą czternaście wraków płonących na poboczu pasa startowego. Miażdży jeszcze kawałek ogrodzenia i kieruje się wzdłuż Salt Ri-ver do Missisipi, potem przecina ją pomiędzy Śluzami 21 i 22, nie niepokoiony przez żadne latające po nocy paskudztwa. Mimo że słońce zaszło już dawno, a on znajduje się głęboko na terytorium Illinois, wciąż widzi zachodni horyzont jarzący się czerwienią. Podejrzewa, że już nie usłyszy więcej o korsarzach. Instalacje obronne Illinois skierowane są na północ, przeciwko blond odmianie pancerniaków o policzkach różowiutkich jak ja-błuszka, którzy szmuglują masło i sery z Wisconsin i Kowboj nie spodziewa się żadnych kłopotów. Podjeżdżając powoli do barki-cy-sterny zakotwiczonej na rzece Illinois, uznaje, że czas na muzykę. Wysuwa kierunkową antenę mikrofalową, zwraca ją ku zachod-niemu horyzontowi.

- Tu „Pony Express” - mówi. - Przepraszam, że zgłaszam się tak późno, ale odstrzelono mi antenę.

W odpowiedzi słuszy ryk szumów, pełen „p” i „b” łomoczących jak strzały z magnum, uśmiecha się, zmniejsza głośność i mówi, nie czekając na ucichnięcie głosu.

- Odbieram cię nie za dobrze, ale nie szkodzi. Jestem teraz w Illinois, myślę, że mogę nadmienić, iż właśnie przeskoczyłem Aleję, a w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zaliczyłem szesnaście maszyn należących do tych niedoinwestowanych su-kinsynów. Jutro poczytasz sobie w gazetach. Zostaw mi parę wy-cinków do albumu.

Jazgot w słuchawkach cudownie cichnie, Kowboj uśmiecha się jeszcze raz.

- Adiós - mówi, wyłącza radio i siedzi w błogiej ciszy, obserwu-jąc wskaźniki paliwa wędrujące w górę, gdzie on unosi się w prze-stworzach, odległa kropeczka w oczach innych pancerniaków, tak wysoko ulatujący w przeczysty lazur, że dla bagniaków i ziemnie-wek planety w ogóle jest niewidoczny. Symbol wolności. Nie tylko przebył Aleję, pokonał ją, zmiażdżył kolejne narzędzie ucisku i pozostawił za sobą kupę na wpół stopionych metalowych szkiele-tów i poczerńałego pleksiglasu w samym środku jeziora płonące-go paliwa, wśród huku amunicji eksplodującej we wszystkie stro-ny.

Kentucky jest stanem, który uznał, że więcej szmalu zgarnie od rozrzutnych trzeciaków i pancerniaków niż z nałożonych na nich ceł i jazda przez Egipt do Ohio to sama przyjemność. Przeci-nając rzekę, nie spotyka żadnego z latających nad nią patrolo-wych poduszkowców należących do

stanu Ohio. Kowboj jedzie w głąb wolnego stanu wzdłuż jakiegoś bezimiennego potoku, do-ciera do drogi gruntowej i nawiązuje łączność, wyjaśniając, gdzie się znajduje.

W Kentucky jego działalność jest legalna, jednak władze sta-nowe nie lubią, gdy na ich terenie znajduje się za wiele broni, więc zawartość zasobników jest sprzeczna z prawem. Kowboj mu-si poczekać na tej wąskiej drodze na ekipę, która usunie je z po-jazdu. Skracając sobie czas, wyciąga z kieszeni rozdarty czek i przygląda mu się dłuższy czas. W momencie przybycia ciężarów-ki pełnej bagniaków, kiwającej się na kiepskiej drodze, ma już wszystko przemysłane.

Dochodzi do wniosku, że ma znaczenie, skąd pochodzi chlo-ramfenyldorfina, kto finansuje Arkadija. W dłoni Kowboja spo-czywa coś reprezentującego niejasny, niedefiniowalny dług wo-bec anonimowej dwójki szczurów Alei, dług tak ciężki i klujący jak stal z Solingen, a jego obowiązkiem jest znaleźć sposób jego spłaty.

Już nie wystarczy być najlepszym. W jakiś sposób ma też zna-czenie, by okazać się mądrym. By wiedzieć, dla kogo się wyma-chuje mieczem.

A jeśli okaże się najgorsze? Że trzeciacy są maskami noszony-mi przez Orbitalców?

Wówczas przyjdzie spłacić jeszcze inny dług. Narosłe odsetki są zawrotne, ich spłacanie potrwa lata całe. Jednak zbyt długo na-zywał siebie obywatelem wolnego i niepokalanego nieba, by za-akceptować pogląd, że jego świat przestworzy otaczają kraty. Ktoś uprzejmie puka do wjazdu, Kowboj chowa czek do kiesze-ni. Bagniakki powiadamiają go, że czas się ruszyć. Gdzieś w głębi jego umysłu lka gitara elektryczna...

Rozdział czwarty miasto roztapia się, kontury rozmywają się w sierpniowym upa-le, budynki się chwieją. Sara zamyka oczy, opiera skroń o zim-ną metalową ramę okna. Po wewnętrznej stronie jej powiek pul-sują pomarańczowoczerwone obrazy ognia. Tuż pod ramą okienną wylot zimnego powietrza zdaje się szeptać, ponaglać ją w dziw-nym, niepojętym języku do podjęcia jakiegoś działania. Nie ma pojęcia, o co mu chodzi. Potrzęsa głową, czując, jak zżera ją wy-czerpanie.

- Ludzie Cunninghama wyznaczyli nagrodę za twoją głowę, mi hermana. -To miękki głos Hetmana. - Rozgłosiłem, że ktokolwiek przyjmie tę ofertę, natychmiast przestanie być moim przyjacie-lem. Jednak nie mogę zrobić nic więcej. Jest wielu, którzy wyko-nają tę robotę. W dodatku wystarczy im obserwowanie Dauda. Sara otwiera oczy. Miasto rozmięka.

- Wiem - mówi.

Odwraca twarz w jego stronę. Stoją w rogu szpitalnej pocze-kalni, zaokrąglonego pomieszczenia zawieszono wysoko nad ulicami w narożniku wieży szpitala. Duże lustrzane okna patrzą w dwunastu kierunkach, jak fasetki owadzich oczu. Wid brzęczy w kącie, bez żadnego zainteresowania gapią się weń dwie Kuban-ki, siostry, obie mają mocno pomalowane oczy, a brwi kształtem przypominają skrzydła. Ich ojciec znajduje się w ostatnim sta-dium wirusowej choroby Huntingtona, jego umysł dawno zgasł: uważa, że są dwiema harpiami, które przyleciały wyszarpywać mu wątrobę, gdy cierpi przykuty do skały swej choroby. Z pewnej od-ległości biernie czekają na jego śmierć. Koło nich młody mężczy-zna płacze cicho, zużywając papierowe chusteczki. Zmięte, paste-lowie kształty leżą wokół niego jak poszarpane kwiaty. Oczy Michaela są wodniste, otoczone czerwonymi obwódkami. Ruchy ma niepewne. Sara przypuszcza, że właśnie wychodzi z ja-kiegoś hajdu.

- Mam dla ciebie robotę - mówi mężczyzna. - Nawet nie jest nielegalna, płatna w złocie, bardzo dobrze.

Wymienia sumę, z jej wysokości dziewczyna dowiadyuje się, że praca musi być bardzo ryzykowna. Michael jest człowiekiem ho-noru, przynajmniej jak na trzeciaka, jednak nie ma skłonności do dobroczynności.

Sara podchodzi do fotela i osuwa się w niego. Pomarańczowe plastikowe wyściełanie. Próbuje zachować pogodę ducha. Opuszcza głowę. Powietrze przepełnia ciężki, zastarzały smród papierosów. - Dla kogo będę pracować? - Beznadziejne.

Daud leży w pokoju kilkoro drzwi dalej, wśród błyskających oczu - diod aparatury. Jest przytomny, ból maskują dawki endor-fin o wiele większe niż te, na które odważał się nawet w najgor-szym okresie uzależnienia. Ciało pokrywają mu pasma różowej skóry, tak samo fabrycznie nowej jak całe lewe przedramię. Nogi wciąż ma jeszcze pokryte żelem, czekają na przeszczepy mięśni i skóry. Te z kolei na kolejne porcje gotówki.

Sarze zaczyna brakować chloramfenyldorfiny. Miał być jej nie-dobór, wysoki popyt, lecz nowe źródło ujawniło się dokładnie w momencie, gdy musiała zapłacić pierwsze rachunki za Dauda i jej cena poszła w dół. Normalnie poczekalaby na ponowny jej wzrost, lecz posylokująca maszyna utrzymująca brata przy życiu nie zważała na wahania rynkowe... Musiała rozprowadzić endorfi-nę na ulicy, nawet po cenie najniższej od miesiący. Zastanawia się, czy przypadkiem Cunningham jakoś tego nie zaaranżował. Ona teraz jest trędowata. Zdaje sobie z tego sprawę. Zwykle źródła dochodów wyschły. Normalnie zaczęłaby się jako ochro-niarka, ale komu potrzebna taka, która sama jest celem? A inne, specjalne zlecenia... nie dostała żadnych ofert. Chodzi plotka, że jest zamieszana w rzeczy, z którymi nikt nie chce mieć nic wspól-nego, że jest stanowczo zbyt znana. Może załatwić parę interesów na ulicy, wykonać coś za kogoś, kto nie chce osobiście działać, ale to wszystko nie opłaci szpitala, a w dodatku narazi ją, zanadto wy-stawi na widok publiczny, nigdy nie będzie wiedziała, czy ludzie, którym się sprzeda, nie zechcą zgarnąć nagrody Cunninghama. Właśnie.

- Dla kogo będę pracować? - Jakby odpowiedź w ogóle miała znaczenie.

Michael Hetman gapi się w okno, w słonecznym świetle jego twarz wydaje się prawie biała.

- Dla mnie - mówi, wzruszając ramionami. - Jest taka robo-ta... - Podnosi twarz i ponownie wzrusza ramionami. - Coś z nią może być nie tak. Nie mam pojęcia. Wszystko wygląda dobrze, ale mam złe przeczucia. Chciałbym, żebyś była moim obserwatorem. Sara patrzy na niego, zastanawiając się, czy to kolejne zawo-alowane ostrzeżenie, takie jak od Cunninghama. Jakby Michael uważał, że jest ona zbyt niebezpieczna, by ją ukrywać, jakby naci-ski ze strony osób, z którymi robi interesy, były zbyt silne. Jakby chciał odsunąć ją daleko, gdzie mogłaby stać się celem. - Czyj to interes?

Jakby odpowiedź miała jakiegokolwiek znaczenie. I tak będzie musiała wziąć tę robotę, nieważne jak bardzo śmierdząca się okaże. - Podjąłem się dostarczenia nowego ładunku - mówi Michael. Krzywi się i podchodzi do sąsiedniego fotela i siada przy akompaniamencie skrzypienia sięgających mu pod kolana butów. - Krystaliczne matryce komputerowe - wyjaśnia w zamyśle-niu. - Piętnaście tysięcy sztuk. Najwyższa jakość, ze źródła, z któ-rego nigdy nie było tak wartościowych ładunków. Może to nowi właśnie wchodzący na wielki rynek, a może trzeciacką dla kogoś innego. Nie wiem.

- Chcesz mnie do ochrony ładunku?

- Tak. Między innymi. - Hetman wzdycha i pociera podbródek. - Normalnie rozprowadzenie takiej partii zajęłoby mi sporo czasu. Miesiące. Jednak teraz ktoś na północy, w Pensylwanii, skontaktował się z Andriejem, chcąc zakupić ilość hurtową. Dobrze zapłaci. - Spo-gląda na Sarę wodnistymi oczami. - Nie widzę żadnych powodów, by mu ich nie sprzedać, Andriejowi strasznie zależy na

dobiciu targu, ale w tej sprawie jest zbyt wiele zbiegów okoliczności, mi hetmana. Sara orientuje się, że Andriej to jeden z poruczników Hetmana. Patrzy, jak Michael grzebie w kieszeni w poszukiwaniu rosyjskiego papierosa.

- Ktoś może chcieć mnie zrobić, ale nie potrafię wykombinować kto ani dlaczego.

Zgniatą ustnik. Zapala drżącą ręką zapalką. Dłonie ma pokryte plamami wątrobowymi, skórą starca.

- Ludzie, z którymi robię interes, to płotki i jeśli porwą ładunek, długo nie pożyją. O ile ktoś ich nie chroni. Jednak nikt nie ma aż takich wpływów, a akurat teraz ze wszystkimi na tym wybrzeżu mam przyjacielskie układy. Nie dotarły do mnie żadne sygnały, by którykolwiek z nich coś szykował. Może się więc okazać, że napracujesz się za nic.

- Twoje przecucia mówią co innego, Hetmanie - mówi Sara. - W przeciwnym razie nie zatrudniałbyś mnie. Nie za tę cenę. Patrzy na nią długo, bez wyrazu, jego powieki drżą w nerwowej odpowiedzi, dym z papierosa ulatuje pod sufit. Za nimi wid robi mnóstwo szumu wokół jakiegoś nowego zamiennika kokainy, gwarancja niezależnienia, ścieżka dźwiękowa pełna jest smakowitego syku rozpylaczy i zachwyconych głosów jakiejś pary, najwyraźniej zakochanej. Kiedy Michael mówi, papieros w kąciku jego ust podryguje.

- Wynajmuję pancerniaka. Jeśli chodzi im o przechwycenie ładunku i spodziewają się, że znokautują tira, czeka ich niespodzianka. Andriej prowadzi transakcję, stronę pieniężną. Ma przyjaciół, którzy go chronią, ale chciałbym, żebyś pojechała w pancerce. Obserwuj transakcję, obserwuj pancerniaka. Masz okablowanie do broni palnej?

- Pistolety i pistolety maszynowe. - Sara wzrusza ramionami. - Karabinom brak stylu.

Michael uśmiecha się, nieco tęsknie. Jakby słyszał takie oświadczenie wielokrotnie i wiedział, że zawsze w końcu to karabiny rozstrzygają.

- Dostaniesz hecklera & kocha, siedem milimetrów. Chcesz poćwiczyć?

- Kiedy jedziemy?

- W sobotę.

- Potrenuję jutro. Jeśli do tego czasu załatwisz broń. - Wyślę chłopaka do ciebie, zabierze cię na strzelnicę i odnieś pistolet, kiedy się już z nim zgrasz. Kiedy ma się pokazać? - Jutro. W Plastikowej Dziewczynie, w południe. Hetman zaciąga się papierosem, kiwa potakująco głową. Sara dostrzega odbicie widu w jego oczach, słyszy drażniące odgłosy jakiejś starej południowoamerykańskiej komedijki, śmiech hałaśliwie wtórujący piskliwym hiszpańskim słowom. - Mam nadzieję, że się mylę, mi hetmana - mówi Hetman z ty-WIPI powo rosyjskim smutkiem, równie prawdziwym jak teatralnym. - Bardzo bym nie chciał zobaczyć nowej wojny, zwłaszcza teraz, gdy sprawy chyba układają się nieco lepiej.

Wojna oznaczałaby dla Sary pracę, jednak ona też jej nie chce. Zdaje sobie sprawę, że jedyna ważna wojna już się zakończyła i że przegrali w niej oboje, i ona, i Michael, że jakakolwiek walka odbywająca się tutaj, w Amerykańskich Dzierżawach, toczy się o ochłapy pozostawione przez Orbitalców, uznane przez nich za niewarte zachodu.

Hetman wstaje. Wykonuje rękami nerwowe ruchy. Sara również się podnosi.

- Zorganizuję pistolet - mówi trzeciak.

Z papierosa spada mu długi wąż popiołu, zostawia szary ślad na kamizelce. Jeśli działa pod presją, myśli Sara, jeśli zdecydował się ją zdradzić, nastąpi to jutro. Kiedy chłopak przyjdzie z pistoletem,

użyje go. Ona postara się być na to przygotowana, przy-szykuje swój ruch, skoro w rzeczywistości takie karty zostały rozdane. Unosi dłoń do gardła, jak Cyganka dotykająca żelaza na szczęście.

Jego oczy patrzą w dal, nie na Sarę, lecz na to, co nadchodzi, w przyszłość, która - jeśli sądzić po kierunku jego sennego spoj-rzenia - już czeka tuż nad jej lewym ramieniem. Czuje, że powin-na się odwrócić i zobaczyć, co tam jest.

- Dzięki, Michael - mówi.

Zwraca na nią swoje mądre oczy, milczy. Sara walczy z nagłą chęcią objęcia go, poszukania okrucza otuchy w sterylnej jasno-ści, zignorowania faktu, że to interesy i że ten mężczyzna mógł już zaaranżować jej likwidację... Jednak to właśnie śmierć powitała-by niemal z radością, czuje, jakby jej dusza odleciała w chwili, gdy zgasły oczy Danicy, jakby zagubiła się gdzieś, wraz ze wszystkim, co nadawało sens jej życiu. Co się dzieje z ładunkiem kumu: lacyjnym po wykonaniu zadania? Rozlatuje się na strzępy, w desz-czu stalowych odłamków pędzących każdy ku swemu końcowi. Złom poszukujący zapomnienia.

Kiedyś, myśli ponuro, miało to cel. Życie było intensywne, bo-gatsze. Dążące w górę, ponad studnię grawitacyjną, w czystą, otu-lającą czerń bezpowietrznej przestrzeni. Teraz cel zrobił się skromniejszy, pozostał jeden imperatyw: przeżyć kolejną chwilę. Przeszłość właściwie się nie liczy, z przyszłością trzeba się zmie-rzyć, w miarę jak, chwila po chwili, nadchodzi. Z każdym ryknię-ciem zegara nowy ciężar, nowe zastosowanie imperatywu. Het-man pomoże jej przetrwać ten moment, dostarczy nowej, krótko-trwałej konieczności. Przeżyć do jutra, pojawić się na spotkaniu w Plastikowej Dziewczynie. Potem je przeżyć, o ile okaże się to możliwe.

Chłopak po drugiej stronie pomieszczenia płacze, wydziera następną chusteczkę.

- Bardzo mądrze pograli - mówi Hetman - zwracając się do Andrieja, nie wprost do mnie. Przyłączy się do nacisków. W jego głosie słyhać namysł, jakby sięgał do eterycznego wroga, który może się gdzieś tam czaić, jakby próbował poznać je-go myśli.

- Spotkam się z twoim człowiekiem - zgadza się Sara. Potem wychodzi, zanim ściskający jej gardło ból wyrwie się na zewnątrz.

Daud jest o kilkanaścioro drzwi od niej, dzieli pokój ze starym mężczyzną, któremu odbudowują biodro. Zapach kwiatów, przy-niesionych przez Sarę i dzieci starca, nie do końca jest w stanie zamaskować woń chemicznych środków dezynfekcyjnych. W gór-nym rogu pomieszczenia, na widzie leci ta sama co w poczekalni beznadziejna komedia. Sąsiad brata jest skupiony na niej i ni-czym nie zdradza, czy zauważył obecność Sary.

- Cześć, Daud - mówi dziewczyna.

W zajmowanym przez chłopaka kącie pulsują diody, aparatura postukuje, wykonując swoje tajemnicze zadania. Na ekranie wid-nieje szereg postrzępionych parabol. Daud ostatnio oddycha już samodzielnie, serce również pracuje bez wspomagania. Nad jego głową lśnią bryły ze stali nierdzewnej, drążki i ciężarki, których ma używać przy rehabilitacji nowej ręki. Działanie środków zmie-niających kolor włosów ustało, odrosty w wygolonym miejscu są brązowe. Z boku głowy ma łysy placek różowej, nowej skóry. Przy-klejony plastrem tampon z gazy zasłania oczodół, w którym wkrótce znajdzie się implant Kikuju. Spod opatrunku wybiega kabel do wbudowanego w wezłowie łóżka komputera, który utrzymuje przy życiu nerw wzrokowy. Nad kikutami nóg rozpięto prześcieradło na kształt namiotu, spod niego wybiegają rury słu-żące utrzymaniu w pełnej sprawności

pokrytych grubo żelazem kości wraz z otaczającymi je tkankami.

Sara pochyla się nad łóżkiem, by pocałować brata. Wyciąga z kieszeni paczkę papierosów, zapala jednego, wtyka mu między wargi. Chłopak ocalałym okiem uważnie śledzi jej poruszenia: wytworzył ogromną odporność na otrzymywane dawki endorfin. Przełyka ślinę. Na szyi ma plastikowy guzik, w miejscu tracheo-tomii, którą aparatúra wentylowała go przez całe tygodnie. Głos ma chrapliwy, z wysiłkiem przedzierający się przez uszko-dzoną tchawicę, zmieniony jeszcze przez dym.

- Gdzie jest Jackstraw? - pyta. - Powiedział mi, że przyjdzie. - Nie widziałam go - odpowiada siostra. Nie chce mu mówić, że Jackstraw najprawdopodobniej w ogóle się nie pokaże, już dawno znalazł innego chłopaka na miejsce Dauda. Od tygodni jest tylko głosem w słuchawce, bez entuzjazmu odbierającym telefonów jej brata, który swoim gadaniem odrywa go od interesów, niespodziewanych gości, żądań klientów. Ktoś mniej osamotniony od Dauda, mniej zdesperowany, już dawno połapałby się, o co chodzi. Jackstraw przybędzie z wizytą, kiedy uzna, że może jeszcze na nim zarobić.

- Za parę dni możemy zacząć rekonstrukcję twoich nóg - mówi Sara. - Najpierw jednej, potem drugiej, o ile pozwoli twój stan. Właśnie dostałam robotę. - Próbuje się uśmiechnąć. - Wolisz najpierw prawą czy lewą?

Chłopak potrząsa głową.

- To bez znaczenia - odpowiada.

- Przez parę dni mnie nie będzie. Od soboty.

- Robota. - Wyciąga nową, różową rękę i strząsa popiół.

-Tak.

Sara dostrzega w jego oczach rozgorączkowanie, coś się w nim kotłuje. Daud sięga nienaruszoną ręką do uchwytu maszyny do ćwiczeń, ściska go, potem odrzuca ze złością. Mówiąc, zaciska w zębach papierosa, wygląda to, jakby odgryzał słowa. - Jackstraw obiecał zdobyć dla mnie trochę supresorów hormonalnych. Możesz mi je przynieść? Może jutro, zanim wyjedziesz? Sara patrzy na niego zaskoczona, jak bardzo jest zdesperowany, jak oderwany od rzeczywistości. Podchodzi bliżej, siada na krawędzi łóżka, sięga po jego dłoń. Daud gwałtownie ją odsuwa. - Dostarczysz mi je?! - krzyczy.

Sara próbuje odpowiadać spokojnie, nie zważać na ściśnięte gardło.

- Daud, nie możesz blokować swoich hormonów, nie w trakcie odbudowy mięśni.

- Nie rozumiesz!

Tym razem krzyk jest niemal histeryczny. Daud wali pięściami w materac, każdy cios unosi go niemal w górę. Na jednym z aparatów zaczyna błyskać czerwone światelko ostrzegawcze, synchronicznie z nim odzywa się brzęczyk. Starzec siedzący w sąsiednim łóżku wzdryga się niespokojnie, coś mu przeszkadza w oglądaniu komedii.

- Zaczyna mi rosnać broda! Codziennie mnie goli! Starzeję się! - Odwraca głowę, spazmatycznie chwyta powietrze, wykasłuje śluz wypełniający mu pokaleczoną tchawicę. - Oni chcą mnie młodego, moi ludzie - tłumaczy. - Jackstraw mnie zechce pod warunkiem, że pozostanę młody.

- Daud.

Kaszle zbyt mocno, by móc mówić. Sara zabiera mu papierosa, gasi, bierze dłoń brata w swoje. Teraz jej na to pozwala. Dziewczyna przytula ją do piersi, gładzi kciukami włoski pokrywające jej

grzbiet. Ostrzegawczy pisk zamiera, światelka znów są zieleń.

- Będziesz młody. Wszystko będzie dobrze. Niczego nie musisz się bać.

Zakłęcie nadziei, które musi powtarzać dzień w dzień. Ufając, że w końcu stanie się prawdą, a przynajmniej że Daud zacznie wierzyć w jego spełnienie.

- Nie chcę takich, którzy potrzebują kalek...

Głośny szept, ostatni protest wyrrywający się z poszarpanej krtani. Sara całuje jego dłoń, gładzi rękę, milczy. Nie odzywa się, przemawia samymi mięśniami, przynosząc pociechę dotykaniem. Trwa to do chwili, kiedy trzeba odejść.

Z poczekalni wzywa taksówkę, tłumaczy, gdzie ma podjechać, potem opuszcza budynek jednym z tylnych wyjść, tym razem w kafeterii. Kiedy przechodzi koło rampy ładunkowej, którą dostarcza się żywność, nerwy ma napięte jak postronki. Rozgląda się ukradkowo na boki, poszukując nieznanych twarzy. Dopina pancerną kurtkę, stawia kołnierz. Wygląda to dziwnie: pracownicy kafeterii widzieli już takie zachowanie, ale nadal go nie rozumieją. Sara ignoruje ich spojrzenia, patrzy w lewo, w prawo, opiera się całym ciężarem o drzwi.

Upał niemal odbiera jej dech. Odnosi wrażenie, że całe ciało w jednej chwili pokrywa się potem. Przemyka za zaparkowanymi samochodami w zaułek, nie widzi nikogo, szybko idzie po rozgrzanym betonie. Szpital jest ogromny i ma mnóstwo wyjść: ludzie Cunninghama nie są w stanie upilnować wszystkich. W zaułku unosi się mieszanka zapachów śmieci, moczu i uroczynu. Sara zatrzymuje się na chwilę, czeka, omiata wzrokiem ciemne okna w górze, poszukując oznak ruchu, nadlatującego pocisku... Za minutę pojawia się taksówka: niemal rzuca się do jej wnętrza. W środku czuje się bezpieczniej, choć świetnie wie, że to iluzja. Ostatnio użyli rakiet, słabe drzwi taksówki nie powstrzymają ciosu, jeśli naprawdę będą chcieli się do niej dostać. Nie powinna nawet rozpiąć kurtki, ale robi to.

Kiedy taksówka rusza, ogląda się przez ramię, w smugach falującego od upału powietrza widzi gwałtowne poruszenie. Stary merkur, cały w latach szarej farby podkładowej, startuje od krawężnika, zanim jeszcze zatrzasnęły się drzwi od strony pasażera... Teraz już wie.

Polują na nią. Teraz, w tej chwili, a nie w jakiejś mglistej przyszłości. Ku jej zdumieniu pierwszym uczuciem towarzyszącym tej świadomości jest ulga. Słabnie napięcie, od którego zeszywniał jej kark. Mięśnie od razu się rozluźniają, pracują bardziej gładko. Bierne oczekiwanie skończyło się, już wie, na czym stoi i może zacząć działać.

Może jednak jest jeszcze za wcześnie. Konieczne jest potwierdzenie.

- Proszę skrócić w lewo. Potem w prawo.

Kierowca zerka na nią w lusterku, ale wykonuje polecenia. Merkur jedzie za nią, trzyma się dość daleko, lecz cały czas ma taksówkę w zasięgu wzroku. Sara wygrzebuje z kieszeni pilota i włącza skaner pasma policyjnego, z którego dźwięk jest przekazywany wprost do nerwów słuchowych. W końcu teraz nie ma niczego istotniejszego do słuchania. Mnóstwo przekazów, ale nic, co mogłoby pochodzić z merkurego. Przerzuca kilka kanałów. Nic. - Teraz prosto.

Jest niemal pewna, że śledzący samochód jest sam, że nie ma żadnych pojazdów wspomagających. Podnosi rękę do gardła, gdzie kryje się jej przyjaciółka. Łasico, wkrótce cię wezwę. - W lewo.

Kierowca znowu zerka na nią w lusterku. Jadą wprost do Wenecji. Każde nadbrzeżne miasto ma taką

dzielnice, nisko położoną, zbyt dużą, by osłonić ją wałami przed przypiływem - jedynie Nowy Jork usiłował odgrodzić się od Atlantyku swoją potężną ścianą, lecz została ona zniszczona w czasie Wojny Skał i obecnie Man-hattan stanowi największą wenecję na świecie. W czasie wiosennych przypiływów szare morze zalewa połowę wyspy, kotłujące się, białe czapy pian wpływają na puste ulice, wirują pomiędzy kruższącymi się ruinami, liżą kostki wciąż mieszkających tam ludzi, świadków powolnej erozji, procesu oddawania wszystkiego morzu przez najbardziej legendarne miasto...

Jednak w zatoce Tampa przypiływy są niewielkie, dwa, trzy centymetry, tutejsza wenecja jest trwalsza, spokojne morze zadowala się bardzo stopniowym pochłanianiem miasta. Największe kęsy odgryza w czasie letnich sztormów. Kiedy podniósł się poziom wód, port został oczyszczony i pogłębiony, lecz kwartały mieszkalne i biznesowe zostawiono, by powoli zanikały. Najdroższe nadbrzeżne parcele z każdym przypiływem robiły się o milimetry mniejsze. Im bliżej morza, tym większe zniszczenia. Najbardziej wysunięte ku niemu budynki to już niewiele więcej niż kupy ruin, czasem sterczą z nich kominy, jeden czy dwa. Bardziej w głąb lądu stoją domy chylące się w stronę zatoki, jakby w oczekiwaniu na nieuchronny upadek, niektóre - po zawaleniu się zwróconej ku wybrzeżu ściany - ukazują splądrowane wnętrza. Część jest niemal nienaruszona: potężne, pokryte plamami, kamiennie ściany paru starych biurowców wciąż stoją, buntowniczo wznosząc się nad wodą. Dalej w głębi lądu, gdzie nad starą nawierzchnią jest w czasie przypiływu nawet pół metra wody, budynki są nietknięte, właściwie można by w nich zamieszkać. Oczywiście już dawno zostały wypatroszone, pozbawione mebli, stolarki, kabli. Po wojnie stanowiły schronienie dla tysięcy uchodźców, którzy napłynęli do niezniszczonej, okupowanej Flo-rydy, uciekając ze zrównanej z ziemią Północy. Tego typu mieszkańcy kiepsko przysłużyli się swoim domom. Pozostawili za sobą kupy śmieci - wyszabrowane albo sklecone własnoręcznie meble, materace, gnijącą pościel, sterty pleśniejących łachów. Rzeczy mogące się przydać kolejnym falom uchodźców. Teraz mało kto mieszka w wenecji, paru zdesperowanych ekscentryków, włóczędzy zatrzymujący się tu w drodze dokądś dalej oraz uciekinierzy, którym zabrakło już normalnych kryjówek. Tacy jak Sara.

Taksówka jedzie drogą zbudowaną powyżej poziomu przypiływu, na grobli wijącej się przez miasto ruin, tuż nad przejrzystą wodą, ostatecznie kierującą się przez zatokę do tonącego z wolna St. Petersburga. Powybijane okna zdają się zaglądać do wnętrza taksówki.

- Tu proszę się zatrzymać - mówi Sara, w momencie wysprężenia koła zamachowego przeciska banknoty przez szczelinę w szybie kuloodpornej. Jeśli to ma być mój ostani napiwek, myśli, niech przynajmniej będzie porządny.

Zdziwiony taksówkarz niedowierzająco przelicza pieniądze, a dziewczyna ześlizguje się z nasypu w ciepłą wodę. W jej głowie radio trzaska i powarkuje. Kiedy idzie przez płyciznę pomiędzy dwoma domami mieszkalnymi, lilie wodne ocierają się o jej kostki. Nie odważa się obejrzeć, ale słyszy syk opon merkurego na grobli. Wchodzi do holu jednego z domów, radio w jej głowie cichnie. Pomieszczenie wypełniają mrok i głośnie plaśnięcia. Podniesiony muł otacza jej stopy, odbłaski od zmarszczonej tafli wody tańczą na suficie. Pleśń wspina się po starej, zapaskudzonej tapecie, glony zżerają obsceniczne rysunki ostatnich mieszkańców. Jakaś rybia kretyńka skubie Sarę raz za razem w goleń, musi wyczuwać coś atrakcyjnego. Drzwi windy stoją otworem, widać przez nie po-trzaskane lustro i zwisające liny. Stąpając ostrożnie po zaskorupiałej wykładzinie, dziewczyna wchodzi na pierwszy podest schodów i wygląda przez dwie sekundy przez najeżone ostrymi krawędziami resztki szyby.

Merkury przetoczył się po grobli jeszcze jakieś trzysta metrów i stanął na poboczu. Dwie głowy wychylają się z niego, obserwują ruch na drodze. Sara sięga do pilota, wyłącza głosy w głowie. Dwóch facetów wysiada z samochodu, wracają wzdłuż szosy.

Dziewczyna idzie wyżej.

Echa dzieciństwa odbijają się od splekanych ścian, od śmieci leżących na podestach. Przez ile lat mieszkała w takim miejscu? Ukrywając się w potrzaskanych zakamarkach, bawiąc się w zasypianych odłamkami szkła korytarzach? Czas powrócić, gdyż nie ma - po raz kolejny - dokąd uciec. Cofając się do korytarzy zapamiętanych z dzieciństwa, Sara jeszcze raz rozpoczyna zabawę w chowanego.

Rozbite okna wystarczająco dobrze oświetlają klatkę schodową, ściany ze smugami po ulewach. Na każdym podejściu bujnie rozrastają się grzyby. Zniszczone klepki uginają się pod brudną wykładziną. Sara zostawia odciski stóp w rozmiękłej mazi, trop, którym mają pójść jej prześladowcy.

To stara sztuczka, zostawić ślady w korytarzu, potem cofnąć się po nich. Dziewczyna rusza się sprawnie jak dzieciak, znajome woń i wspomnienia wracają w czasie przeskakiwania z powrotem przez gruzy. Potem gwałtowny skok w bok, w mroczne wnętrza mieszkania i oczekiwanie, w gotowości do ataku. Jeszcze po dawce żarowiny w każde nozdrze, by zaktywować okablowane nerwy, popędzić neuroprzekaźniki tłukące się po aksonowej sieci. Nasłuchuje. Smakuje pot na górnej wardze. Oddech i tętno powoli przyspieszają, przygotowują się do zaopatrywania tkanek w krew i tlen, kiedy nadejdzie krytyczna chwila...

Ile razy robiła to jako dziecko? Ukrywała się w ciemnościach, kiedy pijany huragan - jej ojciec - piekł się na zewnątrz, wyrzaskał groźby, walił w drzwi? Czowała obejmujące ją ręce drżącego Dauda, w ciemności wypełnionej wymieszanymi zapachami ich strachu? Teraz jednak na te dziecięce wspomnienia nakładają się obrazy okrutniej szej przemocy: okrwawionych drobniaków leżących w zaułkach obok swoich worków z towarami; uciekinierów schwytych w blask sodowych reflektorów policyjnych, ślizgających się na mokrym betonie; Łasicy wypełniającej swoje krwawe, cybernetyczne zadanie, dążącej ku czyjemuś przerażonemu sercu. Jednak nic z tego nie może równać się z tamtym najdawniejszym strachem, towarzyszącym białym nocom spędzonym z ojcem, grozie ogarniającej, gdy w końcu drzwi sypialni się poddawały, zawiasy wyłaziły spomiędzy listew i w żółtym świetle padającym z przedpoкою ukazywała się sylwetka mężczyzny z rozbitą butelką w ręce... Nadchodzą: Sara słyszy szuranie stóp po zaskorupiałej wykładzinie. Mruga oczami, usuwając z nich pot, szeroko otwiera usta, oddycha głęboko, starając się zachować ciszę. Łasica drga jej w gardle, język cofa się w głąb. Możliwe, że ci dwaj mają pistolety, a to oznacza bardzo szybką ocenę zagrożenia, jakie stanowią, zaledwie w ciągu kilku sekund, kiedy będzie mogła ich zobaczyć i ewentualnie zmienić taktykę. Narkotyk gra jej w nerwach, popycha ją do działania. Na obrzeżach pola widzenia polatują jakieś niewyraźne widma. Nieruchomieje.

Pierwszy mija ją, skupiony na śladach, sylwetka migająca tylko przez sekundę - i Sara widzi młodego mężczyznę o rozbieganych oczach, gładko zaczesanych blond włosach, ubranego w skórzaną kurtkę bez rękawów, odkrywającą tatuaże na bicepsach, luźno trzymającego w lewej ręce pałkę - nie, kij baseballowy. Po tem we framudze pojawia się sylwetka drugiego i dziewczyna atakuje.

Posyła Łasicę prosto w jego oczy, błyskawiczny, prosty cios, jednak przeciwnik spostrzega kątem oka poruszenie, udaje mu się uchylić głowę i cyberwąz uderza w policzek, zostawiając na nim krwawą pręgę... Jednocześnie odruchowo zasłania się rękami, co umożliwia jej zadanie mu prostego, lecz silnego kopnięcia. Facet zatacza się, wymachując beładnie rękami. Ostrze wypusz-

czanego noża rzuca wokół lodowate błyski, potem znika w mroku. Sara wycofuje Łasicę i chwytając haust powietrza, wszystko w trakcie obrotu w stronę człowieka z kijem. Zdaje sobie sprawę, że obaj są niżsi od niej, będzie mogła wykorzystać przewagę zasięgu kończyn.

Krótkie zerknięcie nad ramieniem na nożownika, by lepiej wy-celować kopnięcie w tył, które ją posyła do przodu, a jego wstecz. Facet przewraca się ze stęknięciem, Sara rzuca się na drugiego przeciwnika. Ten jednak jest za szybki. Kij już ze świstem przeci-na powietrze, zanim jeszcze mężczyzna zorientował się, co go atakuje, dziewczyna leci do przodu i już wie, że oberwie. Próbuje osłabić cios ręką, ale dostaje w bok, pancerna kurtka rozprasza energię, lecz niewystarczająco. Sara traci oddech, uderzając w ścianę; ale odbijając się od niej, już skraca dystans, obraca się i wchodzi w zasięg kija. Celując paznokciami w oczy przeciwnika, czuje zapach bzu z jego wypomadowanych włosów. Mężczyzna upuszcza kij, o co jej chodziło, chwytając ją za nadgarstki, naciska w dół, rozwierając jej ręce, rozkrzyżowując dla ciosu noża w plecy. Tatuaze grają mu na rękach, kiedy przeciwstawia się jej wysiłkowi. Sara próbuje kopnąć go w krocze, on jednak odwraca się nieco i przyjmuje cios na udo. Teraz na twarzy ma szeroki uśmiech, częściowo jest to grymas wywołany walką, lecz ona zdaje sobie sprawę, że również jest zadowolony, iż trzyma kobietę tak, jak chciał, bezbroną, rozkrzyżowaną przed nim. Sara wbija mu Łasicę w lewe oko, uśmiech zmienia się w bulgotliwy wrzask. Mężczyzna przewraca się, podryguje bezładnie na betonie, krew wypełnia rozwalony oczodół - cyberwąż mógł uszkodzić mu przodomózgowie. Dziewczyna wciąga Łasicę do kolejnego uderzenia, jednocześnie odwraca się w samą porę, by zablokować kopnięcie i cios nożownika, lecz kolejny dociera do jej piersi, ból rozlewa się po nazbyt sprawnych nerwach. On też jest okablowany, od razu to spostrzega. Odruchy charakterystyczne dla drugiego dana, czy coś koło tego, wpisane do kryształu wszczepionego w jego zwierzęcy mózg, okablowanie zwiększające szybkość. Jednak odruchy pochodzące od niskiego Koreańczyka trudno dopasować do prawie dwumetrowego białego bez długotrwałego treningu, a taka samodyscyplina obca jest większości uliczników, jakich spotkała w życiu... Ona sama doprowadziła do splecenia się w jedność jej własnych odruchów i pochodzących ze skalaka, uczyniła je własnymi, zintegrowała z poruszeniami Łasicy.

Ich walka jest ostra, w zwarciu, krew z rozciętego policzka faceta opryskuje ją w którymś momencie serii ciosów, uników, kopnięć. Łasica pozostawia krwawe pręgi na przedramionach, które blokują ciosy. Sara wchodzi w zvarcie, uderza go czołem w twarz, stoi nad nieprzytomnym, walcząc o oddech i nasłuchując naglej, dzwoniącej ciszy.

Na obrzeżach jej pola widzenia polatują błyski, jak gwiazdy. Ból, zablokowany przedtem strachem, mści się teraz. Sara masuje pierś i żebra, oddychając ciężko, opiera się dla wytchnienia o zapleśniałą ścianę. Odnajduje nóż i kij baseballowy... przez chwilę zastanawia się, jaką wiadomość chce zostawić.

To nie są ludzie Cunninghama, widać wyraźnie, dwóch uliczników goniących za nagrodą, nie bardzo rozumiejących, że pakują się w przerastającą ich rozgrywkę. Mimo że są głupi i brutalni, nie może zmusić się do pozostawienia za sobą dwóch trupów w tym zrujnowanym korytarzu, jednak dobrze byłoby zostawić dobitny przykład innym ulicznikom, którzy mogliby zechcieć spróbować tego samego. Rezultat lekcji pokazowej - dwaj faceci w gipsowych mundurkach - może zdziałać cuda. Przylizany stracił część mózgu, więc Sara zadowolona się złamaniem mu lewej ręki uderzeniem kija baseballowego. Nożownik ocknie się ze złamanymi obydwoma obojczykami. Dziewczyna wrzuca kij do mieszkania, wyciąga portfel i odchodzi z kluczykami do merkurego.

Kiedy wspina się na groblę, żebra pulsują jej bólem przy każdym poruszeniu. Siedzenie samochodu poklejone jest taśmą, pa-rzy ją w uda. Z lusterka wstecznego zwisa medalik. Sara musi cofnąć siedzenie, żeby zrobić miejsce dla długich nóg. Uruchamia pojazd, rusza groblą, kierując się w stronę St. Pe-tersburga, przejeżdża koło wypatroszonych skorup wenećji. Przez okno wpada morska bryza, chłodząc ją trochę. Dziewczyna czuje, jak zanika powoli działanie żarowiny, nerwy zwalniają, fala adre-naliny zagraża jej utratą kontroli, wyjmuje więc inhalator z port-fela i daje sobie drugiego kopa, który powinien pozwolić jej prze-kroczyć wody zatoki.

Przed nią miasto roztapia się w upale. Sara smakuje wiatr, wznosząc się łukiem wysoko nad wodę. Wie, że wkrótce dotrze do szczytu i zacznie zjeżdżać w dół. Ale jeszcze nie teraz. W tej chwili pragnie tylko wspinać się coraz wyżej.

Rozdział piąty

Arnolda to młoda pancerniaczka o węzlastych, muskularnych ramionach i ciemnych włosach krótko przyciętych wokół jej gniazdek. Cieszy się dobrą reputacją, pracuje jako wolny strzelec od wielu lat. Przez ostatnie dwa dni jest jedną z osób towarzyszących Kowbojowi.

To była dziesięciodniowa impreza, szli w tango wzdłuż całych Gór Skalistych. Przez ten czas wokół Kowboja kręciło się mnóstwo pancerniaków, mechaników, emerytowanych deltidżoków, niezdolnych do opanowania nowych technologii... wielkie, luźne, migrujące stado, lubiące myśleć o sobie jako o podziemiu. Wznosili toasty na cześć swojej nowej legendy, człowieka, który otworzył stan Missouri dla ich śródnocnych kursów. W tej chwili impreza odbywa się w barze Hotelu Murray w Livingston, w stanie Montana. Najprawdopodobniej Kowboj zatrzyma się tu na parę dni, a najrozmaitsi ludzie będą wchodzić i wychodzić, stawiając mu drinki i usiłując przejąć na siebie choć trochę z jego legendy. Pancernica Kowboja stoi w ukrytej stodole w Wirginii Zachodniej. Sprowadzenie jej tutaj jest zbyt niebezpieczne, nawet legalnie, autostradami i bez ładunku, więc Kowboj skorzystał z szybkiej kolei łączącej Pittsburgh z Santa Fe i od tego czasu włączył się w swoim maserati po wszystkich górskich stanach, od jednego pancerniackiego wodopoju do drugiego.

Głównie rozmawiając z ludźmi. Miał swoje powody.

- W czasie ostatniej trasy miałaś kłopoty, prawda? - pyta. Arnolda krzywi się, patrząc w swój bourbon z lodem. Country hob grzmi z parkietu tanecznego, na którym pancerniaczy i miejscowi ranczerzy poświęcają więcej uwagi wzajemnemu mierzeniu się wzrokiem niż tańcowi. Laserowe kolczyki jakiejś drobnej blondynki rzucają czerwone błyski na ściany, innych tancerzy, zaskoczona twarz barmana. Kowboj chwilami widzi ją migającą w roztańczonym tłumie.

- Dwie trasy temu - poprawia go Arnolda. - Jedna z cystern Sandmana nie dotarła na spotkanie. Musiałam schować się w jakimś pieprzonym wąwozie na całe dwa dni. Mając miasto tuż za grzbietem wzgórz. Jakiś farmer w biały dzień mógł mnie załatwić. - Sandman powinien wypłacić ci za to premię.

Jej wzrok wyraża głęboką pogardę.

- On? Chyba żartujesz!

- Ktoś - mówi Kowboj cicho - powinien mu to wytłumaczyć... Szklanka z bourbonem zamiera w pół drogi do ust Arnoldy. Po-tem wędruje na blat, a kobieta przygląda mu się uważnie. - Co ty masz na myśli?

Karminowy punkcik z laserowych kolczyków blondynki tańczy na jej policzku. Kowboj udaje, że to nic takiego, sygnalizuje barmanowi następną kolejkę.

- Może to my powinniśmy - wyjaśnia.

Arnolda wydaje się zaskoczona pomysłem.

- My dwoje?

- My dwoje. I jeszcze parę innych osób.

Kobieta ogląda się przez ramię, nikogo nie ma w pobliżu, ale i tak ścisza głos.

- Do czego zmierzasz?

- Tylko do tego, że ten interes naprawdę powinno się zorganizować. Trzeciacy mają swoje siatki na obu wybrzeżach. Przekupują ludzi, mają laboratoria, działają podstępem. Wynajmują ludzi, by przechwytywali dla nich ładunki. Sami nie pchają się na pierwszą linię. Dystrybutorzy pracują wzajemnie dla siebie. Orbitalcy mają połowę glin w kieszeni. Jakie ryzyko podejmują ci wszyscy

ludzie?

- Żadnego - odpowiada kobieta. Właśnie tak, jak chciał tego Kowboj.

- To my jesteśmy na pierwszej linii, Arnoldo - mówi. - Robota na akord. Jesteśmy do wynajęcia. Czasami mamy swoich agentów, takich jak Dodger, ale jeśli on załatwi jakiś interes, który nie dojdzie do skutku, nic nie może z tym zrobić. Jesteśmy słabsi niż wszyscy pozostali i czasem ponosimy tego koszty. Ty spędziłaś dwa dni, mocząc tyłek w pieprzonym wąwozie całkowicie nie z własnej winy. Barman podaje kolejkę. Arnolda znów ogląda się przez ramię. - Człowieku, nie wiem, czy w ogóle powinnam tego słuchać - oznajmia. - Robię dla samej jazdy, nie dla ładunku. - Ja tylko sugeruję, że ludzie ponoszący ryzyko powinni mieć coś do powiedzenia w tym interesie.

- Mówisz o założeniu związku.

- Nie. O stowarzyszeniu niezależnych. Tylko na tyle, żeby zmusić trzeciaków do przestrzegania pewnych zasad. By przypomnieć im, że gdyby nie tacy jak my, nie mieliby swoich limuzyn, domów w górach, kriomaksów. - Dla podkreślenia swoich słów Kowboj stuka palcem w blat baru. - To my tworzymy legendy w polu, w czasie gdy trzeciacy żłopiają cynamonówkę w wyściełanych barowych fotelach.

Arnolda wyszczerza się w uśmiechu.

- Cynamonówka? Kriomaks? Masz jakiegoś konkretnego trzeciaka na myśli?

Kowboj orientuje się, że jego rozmówczyni jeszcze nie jest gotowa usłyszeć, co ma do powiedzenia o Arkadiju. - Nie - zaprzecza.

Kobieta przysuwa się do niego, opiera łokieć na miękkim blacie.

- Gdyby to mówił kto inny, nie ty, Kowboju, odwróciłabym się na pięcie i wyszła z baru.

On uśmiecha się.

- No to całe szczęście, że to ja - mówi.

Jej sztuczne oko zagląda prosto w jego.

- Ilu ludziom o tym powiedziałaś?

- Może z sześciu. Nie kłapię dziobem na prawo i lewo. - I lepiej tego nie rób. Jasna cholera. - Wychyla resztkę bour-bona, sięga po kolejną szklaneczkę. - Wciąż myślę, że powinnam wyjść z tego baru.

- No to idź.

Spogląda na niego raz jeszcze, zagryza wargę. Kowboj przez długą chwilę wytrzymuje jej spojrzenie. W końcu kobieta spuszcza wzrok.

- Pomyślę o tym - oznajmia. - Nic nie obiecuję.

- Myśl nad tym, ile chcesz. Pomyśl o tym następnym razem, gdy będziesz moczyć tyłek w jakimś wąwozie.

Arnolda potrząsa głową, śmieje się.

- Gdyby to nie ty, Kowboju...

On uśmiecha się, pociąga drinka.

- To jestem ja - odpowiada. - Jakie to szczęście, że istnieję. Ostrzegawcze spojrzenie rozmówczyni uderza w niego niespodziewanie, niczym strzał z minipistoletu. Kładzie mu dłoń na rękawie.

- Nie takie znów szczęście dla niektórych, jeśli to zadziała.

- Wiem.
 - Jeśli ci ludzie dowiedzą się o tobie, nie przeżyjesz dwudzie-stu czterech godzin.
 - Mówiłem ci, jestem ostrożny. - Przełyka bourbona. - Jak my-ślisz, z kim powinienem jeszcze pogadać. Kto jest pewny? Arnolda rozgląda się po sali, zagryzając wargę. Czerwone świa-tło lasera migocze w jej oczach.
 - Może Vlemk. Ella. Soderman. Nie Penn, ten jest zbyt blisko związany z Pancho.
 - Jimi Gutierrez?
- Kobieta potrząsa głową.
- Trudno powiedzieć, co ten chłopak myśli. Jest zbyt szalony, żeby mu to mogło wyjść na dobre. Ma świetną intuicję, chyba jed-nak lubi za dużo gadać.
- Pojawia się jeszcze kilka nazwisk i Kowboj się na nie nie go-dzi. Arnolda wydaje się czerpać otuchę z faktu, że nie akceptuje każdej sugestii, że naprawdę działa bardzo dyskretnie. Hob kończy łomotać, tancerze powoli się rozpraszają. Kowboj dopija swoją szklaneczkę.
- Pomyśl o tym. Pogadamy później. Teraz mam ochotę potań-czyć.
 - Taak, pogadamy później.

Jej oczy są nieobecne, mięśnie szczęk napięte. Myśli intensyw-nie.

Kowboj podchodzi do blondynki z laserowymi kolczykami. Dziewczyna ma zarzuconą na ramiona dziwną kurtkę munduro-wą, nie wygląda na miejscową, jednak nigdy wcześniej nie wi-dział jej wśród pancerniaków. Patrzy na zbliżającego się Kowbo-ja, który zauważa jej falujące włosy, inhalator w dłoni. Wpuszcza dwie torpedy do zadartego noska, podaje mu inhalator. - Snapkoka - mówi. - Chcesz?

Kowboj bierze inhalator.

- Czy Snapkoka to twoje imię? - pyta.

Dziewczyna wybucha krótkim, urywanym śmiechem.

- Mogłoby być. Ale mam na imię Cathy.

Snapkoka powoduje odrętwienie w nosie, zaostrza reakcje nerwowe. Muzyka zaczyna obijać się o ściany. Cathy okazuje się zaskakująco energiczną tancerką, wykonuje gwałtowne pas, przy których światełka laserowych kolczyków tańczą na ścianach. Po-zostają na parkiecie przez następne dwa kawałki, potem Kowboj zaprasza ją na drinka. Po drodze do baru rozmawiają o kurtce mundurowej.

- Jestem porucznikiem w Straży Przybrzeżnej - wyjaśnia dziewczyna.

Kowboj jest zaskoczony. Nie sądził, że ta organizacja w ogóle jeszcze istnieje.

- Ja cię kręcę. Powiedz coś więcej.

Okazuje się, że Cathy pływa kutrem ratowniczym na północ od Norfolk, wyciągając pechowych marynarzy z dwunastometrowej, stalowoszarej toni koło Hatteras. Jest teraz na trzytygodniowym urlopie, włóczy się po Zachodzie i dla czystej uciechy wspina się na pionowe ściany skalne.

- Jutro jadę do Yellowstone. Wspinam się na Medlicott Dome. - Patrzy na niego. Jej kolczyki oślepiają go na moment. - Chciał-byś zobaczyć?

- Chyba nie mam żadnych innych planów.

Właśnie wtedy nowa fala pancerniaków pakuje się do baru, dotarli tu z trasy przez Dakotę. Jednym z nich jest Soderman, z którym Kowboj bardzo chce pogadać. Kupuje dla Cathy porcję snapkoki i

przeprasza.

- Rozumiesz, interesy.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

- Zobaczmy się później. Może. -1 odpala sobie następne dwie torpedy, żeby nie nudzić się we własnym towarzystwie. Reakcja Sodermana jest bardzo podobna do Arnoldy. Patrzy na Kowboja z szacunkiem, osłabionym niepokojem bardzo przy-pominającym strach.

- Nic nie wiem na ten temat - mówi. - Gdyby to był ktokol-wiek inny...

Kowboj słyszał te słowa od niemal każdego, z kim rozmawiał, a coś takiego czyni cuda, jeśli chodzi o poczucie własnej wartości.

9fl

unouiuuioui

Dochodzi do wniosku, że ma wystarczający prestiż, by zmontować wszystko i puścić w ruch, że wystarczająca liczba pancerniaków uzna jego słowa za dość sensowne, by przyłączyć się do stowarzy-szenia. Jednocześnie jednak zdaje sobie sprawę, że trzeciakom w ogóle się to nie spodoba, iż mogą uznać za godną ubolewania ko-nieczność zadbanie, by Kowboj z następnej trasy nie powrócił. Dlatego też zaszczepia najpierw samą ideę. Delikatnie. W nadziei doprowadzenia do powstania stowarzyszenia, zanim dowiedzą się o nim niewłaściwi ludzie.

Skończywszy rozmowę z Sodermanem, rozgląda się po parkie-cie i nigdzie nie widzi Cathy. Ci sportowcy, myśli, nie pętają się do późnej nocy. Tańczy więc z Arnolda i kilkoma miejscowymi dziewczynami, przyjmuje stetsona, którego ktoś mu ofiarowuje. Zsuwa go na tył głowy i udaje się do swojego pokoju na trzecim piętrze. Kilka minut po zgaszeniu światła słyszy pukanie do okna. Wi-dok uśmiechniętej twarzy Cathy zagląającej do środka z nosem wciśniętym w szybę zaskakuje go potężnie. Bez asekuracji wspię-ła się po ceglanej ścianie, wisząc na palcach rąk i bosych stóp. Kowboj otwiera jej okno.

- Podoba mi się ten kapelusz - mówi dziewczyna, wchodząc. Na szyi ma zawieszony na sznurowadłach tenisówki, w jedną z nich wcisnęła małą buteleczkę bourbona. Kowboj zamyka okno i jakieś piętnaście sekund później są już razem w łóżku. Dziewczyna ma zwarte, umięśnione ciało, zaskakuje go jej siła.

- Dużo wiszę na samych paznokciach - brzmi wymruczane wy-jaśnienie. - Jeśli pojedziesz jutro ze mną, sam zobaczysz. Tak więc następnego dnia Kowboj przenosi imprezę do Yellow-stone i z bezradną grozą obserwuje Cathy spędzającą większą część dnia na samotnej swobodnej wspinaczce granitową ścianą Kopuły Medlicott, machając nogami w powietrzu, wiszącą na czubkach palców. Nie używa w ogóle asekuracji. Kiedy w końcu dociera na dół, Kowboj obejmuje ją, jest mocno zbulwersowany stanem jej dłoni, połamanymi paznokciami, krwią spływającą z nadgarstków... Bierze dziewczynę na ręce i zanosz do umywalki, puszcza ciepłą wodę z mydłem i myje jej dłonie. - Robisz to dla uciechy? - upewnia się.

Jej oczy śmieją się do niego.

- Kiedy jestem na kutrze, robię wszystko dokładnie według re-gulaminu - wyjaśnia. - Muszę myśleć o załodze. Ale tutaj biorę wszystko, co pionowe, bez ubezpieczenia. - Kładzie mu ręce na ra-mionach, woda z mydłem przesiąka przez koszulę. - Wszystko, co się da - powtarza i wspina się po nim, żeby go pocałować. Mokre ręce obejmują go za szyję, jej język wślizguje się mu do ust. Jest na tyle drobna, że Kowboj może ją utrzymać bez większego wysiłku, dopełniają więc cielesnego aktu na

stojąco, czasem objając się o elementy instalacji łazienkowej. Później tej samej nocy jej skaleczenia znów się otwierają i rankiem Kowboj znajduje plamy krwi na swojej piersi i na plecach. Kilka dni potem Kowboj stwierdza, że nie jest w stanie przyglądać się Cathy pokonującej ścianę New Dimensions, więc spędza cały dzień z kumplami w barze hotelowym, kontynuując imprezę. Późnym wieczorem zjawia się Cathy z burrito w jednej pokaleczonej dłoni i snapkoką w drugiej. Noc upływa im na wspinaniu się na siebie nawzajem, badaniu kominów, płaszczyzn, szczelin. Kowboj dochodzi do wniosku, że dziewczyna jest zupełną wariatką.

A jednak to całkiem niezła impreza.

Tydzień później Kowboj obserwuje wielgachny księżyc wolno patrolujący błękitne popołudniowe niebo, w tym punkcie swej wędrówki mający po obu stronach małe kropki, satelity zasilające systemy GEO, wlewające swój produkt w zbliżowane żyły Ziemi. Poniżej topole wspinają się na wzgórza Western Slope, próbując objąć twarz na niebie, znajdującą się tuż przed pełnią, skazane przez grawitację na niepowodzenie. Wszystko, co znajduje się na orbicie okołozemskiej, uznane jest za wroga, zatem te topole są kolaborantkami. To nieunikniony wniosek, smutny, lecz prawdziwy. Kowboj potrząsa smętnie głową i wypija kolejnego meskala.

Otoczenie przypomina mu o zależności i psuje humor. Miesza piwo z meskałem na tarasie baru w Kolorado w towarzystwie nie-dobitków imprezy. Ostatniej nocy było tu pełno, teraz jest troje. Dzisiaj Cathy włóczy się gdzieś z Arnolda, z którą się zaprzyjaźniła. Kowboj siedzi w barze, poszukując odpowiedzi na kilka dręczących go pytań. Zadawał je dyskretnie przez cały tydzień, w czasie bezustannych przenosin imprezy wzdłuż Gór Skalistych, i udawał, że w ogóle nie dba o odpowiedzi.

100

UK0DIUUIOIII

Jimi Gutierrez ma osiemnaście lat, jest dobrze się zapowiadającym pancerniakiem. Ma w głowie zestaw nowiutkich gniazd, tak niedawno wszczepionych, że porcelanowe pierścienie są jeszcze otoczone małymi plackami wygolonej skóry. Szczerzy w uśmiechu metalowe kłamry na zębach i ogląda świat oczami pełnymi gorączki prędkości. Jest szybki, jak wieść niesie, lecz być może trochę zbyt nieobliczalny, by powierzyć mu najpoważniejsze ładunki. Drugi pancerniak to Chapel. Krępy, zaczynający tyć, zbliża się do trzydziestki. Pije cicho i nie mówi wiele. Na pasie ma czarną skrzynkę, od której odchodzi kabel wpięty do czaszki. Swoisty ćpun, na elektronicznym haju, bez którego już nie potrafi żyć. „Nabijane łby” zawsze niepokoiły Kowboja. Z zasady nie ufa ćpunom, a do tego rodzaju ma szczególną awersję - to wręcz pro-fanacja, myśli, takie nadużycie interfejsu. Istotą jego używania jest możliwość sięgnięcia głębiej, patrzenia z wnętrza czujników, wejścia w elektroniczny świat... poczucie pędu z prędkością światła! Przekraczanie Granicy to jedyne uzależnienie Kowboja, rzecz realna, a nie byle elektroniczna stymulacja ośrodków przyjemności odziedziczonych po dinozaurach.

Jednak toleruje Chapela. Gość jeździ niemal wyłącznie dla Arkadija - teraz jest nazywany wolnym strzelcem tylko przez grzeczność - i może znać kilka potrzebnych odpowiedzi. - Ładunek dla konwoju - mówi Kowboj. - Sobota, Floryda. Nic wielkiego, ale Dodger mówi, że płacą bardzo dobrze. - Kiedy zaczynałem, jeździłem w konwojach przez Utah - wtrąca Jimi. - Opancerzone tiry, faceci o byczych karkach ze śrutówkami. - Potrząsa głową, wlewa meskal do szklaneczki. - Jednak teraz bym tego nie robił. Nie muszę.

Kowboj podaje mu limonkę.

- Pancerkę mam na wschodzie, więc czemu nie? - zastanawia się głośno. - Nie lubię, kiedy za długo stoi beczynnie. Sam też po-trzebuję ruchu. Trza by podkreślić nas na dzionek-dwa, zgarnąć trochę złota.

- Taak, zapomniałem, że miałaś pancerkę. To w porządku. - Ji-mi liże sól, wypija meskal, zagryza limonką. Ogień płonący w jego oczach intensywnieje.

- Oczywiście zaczynałem na deltach - kontynuuje Kowboj. - Nie musiałem jeździć w konwojach. Ale powinieneś zobaczyć, jak wtedy wyglądały sieci dystrybucyjne. Na ślepo wylatywało się z kanionów w indiańskich rezerwatach, konwoje gnały bez świateł ocalałymi fragmentami międzystanówek. W tamtych czasach nie konkurencja dobierała ci się do tyłka, tylko uchodźcy. Kto mógłby ich winić? Połowę czasu spędzałem, siedząc do północy na płycie lotniska, czekając na dostawę. A jeśli się nie pokazała, całą robo-tę diabli brali.

- Tak - mówi Jimi i zaczyna wypowiedziany w tempie karabinu maszynowego monolog na temat dzisiejszego systemu dystrybu-cyjnego.

Kowboj uśmiecha się i podnosi palec, zamawiając następną kolejkę piw. Barman milcząco potwierdza skinieniem głowy. Na-waho, uchodźca, wciąż mający w oczach ślady dezorientacji. Czło-wiek pozbawiony punktu oparcia, domu, i bez względu na to, ile Dróg wskażą Śpiewacy, nic się nie zmieni. Połowa jego rezerwatu jest równie jałowa jak powierzchnia Księżyca, pokryta odkrywka-mi przez Orbitalców, a reszta zatruta odpadami przemysłowymi, pokryta parkingami albo sucha jak Sahara, odwodniona przez górników. Tekszańscy, myśli Kowboj, zostawiający za sobą oce-any piachu i ślady wysokich buciorów, stąd aż do pieprzonego Nix Olimpica.

Dostają piwo, sączy swoje słuchając opowieści Jimiego. Od czasu do czasu zadaje pytanie, lecz raczej pozwala mu opowiadać. O wypadach o północy do doków Orbitalców, o przepłaconych ochroniarzach patrzących w inną stronę, zdradach, niedotrzyma-nych terminach, najazdach policji na magazyny trzeciaków, za-aranżowanych przez samych właścicieli dla poprawienia publicz-nego wizerunku stróżów prawa, kończących się dyskretnym odkupowaniem towaru po pewnym czasie. O spartaczonych inte-resach, niedogadanych spotkaniach, prawdziwych rajdach, wiaro-łomstwie wśród trzeciaków. Toczy się opowieść o dwóch trzecia-kach, którzy wysłali jednocześnie swoich pancerniaków w tę samą okolicę, żaden z nich nic nie wiedział o drugim aż do chwili, kiedy radar przygwoździł obu z góry.

- A Arkadij? - wtrąca się Kowboj. - Teraz jego siatka działa gładko. Prawda, Chapel?

- To prawda - pada odpowiedź. - Z tego, co wiem, nigdy nie zdarzyło mu się nieudane spotkanie.

Chapel o wiele mniej mówi od Jimiego, lecz wydaje się, że du-żo wie. Kowboj zaczyna powoli tworzyć sobie obraz całości. Duże IUŁ ilości towaru, orbitalnej jakości, przerzucane są z Kalifornii na Wschód. Na całym Zachodzie porozrzucane są magazyny. Ruchli-wa świta Arkadija, pomocnicy i asystenci, rozstawiona jest wzdłuż trasy, pilnuje, by wszystko gładko szło, ma na wszystkich oko. Kowboj jest pewien, że Arkadij nie może zdobywać takiej ilo-ści towarów bez wiedzy, a nawet współpracy Orbitalców. Ale kto tu wykorzystuje kogo? Czy po prostu Arkadij ma dojścia do źró-deł nieznanym innym, wykupuje i rozprowadza nadwyżki z orbi-ty, czy też ci z góry pozwalają mu na to, utrzymując w ten sposób kontrolę nad podziemiem, jednocześnie nad popytem i podażą? Wychyla kolejnego meskala i na chwilę pogrąża się w medyta-cji, próbując bez mrugania zajrzeć Księżycowi w oczy. Dostawy Arkadija wydają się niezależne od cen rynkowych, więc nie mogą pochodzić z nadwyżek. Oznacza to, że jego życie ma obciążoną hi-potekę, że do rąk i nóg ma poprzyczepiane linki

zwisające z lodo-watych palców unoszących się ponad studnią grawitacyjną. - To są interesy - mówi Chapel. - Po prostu Arkadij prowadzi to tak, jak się powinno. Cała tajemnica.

Jim odwraca od niego głowę z wyraźnym niesmakiem. Kow-boj zachowuje nieruchomą twarz. Rzecz nie zaczęła się jak zwy-kły biznes, obaj z Jimim to wiedzą, została skrupulatnie przygotowana. Najpierw znaleźć słabe miejsca w systemie dystrybucji Orbitalców, ludzi niepewnych lub przekupnych, których da się przeciągnąć na swoją stronę. Dostarczyć systemowi to, czego potrzebuje, a nie tylko niekończącą się machinę przyjemności, którą Orbitalcy chcą podłączyć ci do głowy albo wstrzyknąć w koro-dujące żyły. Pojawiają się problemy typowe dla czarnego rynku - terytorializm, wiarołomstwo, konkurencja przekraczająca grani-ce przyjacielskich stosunków. Cały czas towarzyszy temu podej-rzenie, że idea oporu może być tylko pretekstem dla pewnej gru-py ludzkich pijawek zbijających majątek na nieszczęściu całej planety. Jednak, nawet jeśli rzeczywiście są to krwiopijcy, poczta wciąż jest dostarczana.

A ten mechanizm tworzą ludzie, nie maszyny. Nie Orbitalcy, nie Arkadij. Może stowarzyszenie pancerniaków pomoże zachować człowieczeństwo.

Kowboj nie zamierza wspominać o tym dinozauiomózgiemu Chapelowi. Za głęboko siedzi w kieszeni trzeciaków. Jimiego też jeszcze nie jest pewien. Uważa, że chłopak jest zbyt nieźrównoważony, by dłużej utrzymać sekret. W rezultacie więc siedzi, słu-cha i dolewa meskala.

Stąd, z tarasu, spostrzega Cathy i Arnoldę schodzące z trawia-stego zbocza w cieniu topoli. Wieczorny ubaw wkrótce się zacznie. Na razie Kowboj pociąga kolejnego meskala i wciąż wpatruje się w Księżyc.

Rozdział szósty Hispaniale, myśli Sara. Nabijany łeb. Wie, że tylko ludzie poważ-ujnie uzależnieni decydują się na wszczepienie gniazd w mózg. Jest wczesny ranek. Kowboj stoi koło Warrena i swojej pancerki, mechanik omawia uszkodzenie, pokazując rękami, jak pomocni-czy zasilacz wysyła szpilki napięciowe do serwomechanizmów sys-temu hydraulicznego dopalacza, doradza, by Kowboj starał się go nie używać. Pancerka spoczywa na placyku koło wydm, pokrytym potrzaskanym asfaltem, który już zaczyna mięknać w upale. Tu-taj, na wybrzeżu oceanu nieco na północ od St. Petersburga, zato-ka przekształca powoli dawną dzielnicę mieszkalną w rafę barie-rową. Ciemne kominy wystają nad zielone fale, wskazując, gdzie ryby pływają wśród starych murów z pustaków. Przed i za pancer-ką stoją dwa samochody z ostrzegawczymi flagami - pojedą z nią do międzystanówki, jak tego wymaga prawo. Powszechnie wiado-mo, że poduszkowce potrafią poruszać się bardzo szybko, ale ma-ją kłopoty z zatrzymaniem się.

Wiatr od lądu muska włosy Sary, która obserwuje rozmowę z pewnego oddalenia. Stoi koło opancerzonego packarda Hetma-na. Biodro obciąża jej heckler & koch, przeszkadza jej to, nie jest przyzwyczajona do noszenia broni.

Jest już zgrana z pistoletem, dwa dni temu wystrzelała dwie-ście pocisków. Jej okablowanie zawierało skalaki z ogólnymi zasa-dami posługiwania się tego typu bronią, jednak teraz ma w ROM-ie szczegółowe dane: przy strzale z biodra lufa odchyła się tyle a ty-le w górę i tyle a tyle w prawo; przy strzale z wysokości ramienia pistolet zachowuje się tak a tak. Tłumik zmienia charakterystykę w taki sposób. Wszystko wtrenowane w odruchy. Gotowe, jeśli okażą się potrzebne.

A co ważniejsze, przeżyła. Na żebrach ma potężnego siniaka, lecz niemal warto było go zarobić, dla widoku wyrazu twarzy kil-ku jej znajomych, kiedy weszła do Plastikowej Dziewczyny na umówione spotkanie - pierwszy raz od ostatniej rozmowy z Cun-ninghamem. Kilka zaskoczonych osób poruszyło

się nerwowo, pa-rę osób gapiło się na nią bezceremonialnie, tu i ówdzie w kącie rozpoczęła się gorączkowa, szeptana rozmowa połączona z zerka-niem w jej stronę. Ludzie, którzy znali ją z widzenia, słyszeli ofer-tę Cunninghama. A może znali pechowych uliczników, których ła-ciatego merkurego znaleziono w morzu koło Tarpon Springs. Obserwowali ją w lustrze nad barem, gdy piła rum z limonką, oparta plecami o ścianę - tylko kretyn nie dba o siebie - z wysu-niętym nieco biodrem, jakby już wisiał na nim pistolet, i uśmie-chem na twarzy, mówiącym, że posiada jakąś wiedzę, której im brakuje.

Chłopak pojawił się, wyszła z nim, wciąż się uśmiechając, po-ruszając się tym miękkim, pewnym siebie krokiem, którego na-uczyła ją Firebud; kroczyła, jakby nie istniało coś takiego jak strach.

Chłopiec nazywał się Lane. Miał pistolet w bagażniku - gdyby wziął go ze sobą, detektory Plastikowej Dziewczyny podniosłyby alarm, w wyniku czego znalazłby się na celownikach kilkunastu automatycznych systemów obronnych. Otworzył przed nią tylne drzwi, sprawiał wrażenie ucieszonego, kiedy zażyczyła sobie jazdy na przednim siedzeniu.

W ogóle nie próbował jej zlikwidować. Zajechał na starą far-mę koło Little Manatee, wyjął pistolet, pokazał jej, jak się go roz-biera, jak ładuje, a potem odsunął się i czekał, aż ona się zgra z bronią. Nie wiedział, że domyśliła się, iż jest okablowany i praw-dopodobnie jego broń była niewidoczna, tak samo jak jej Łasica. Gdyby wykonał jeden fałszywy ruch, była sprężona do ataku, do wystrzelenia mu cyberwęza prosto w twarz i wydarcia sobie pazu-rami prawa do pozostania w pozycji stojącej, w tej konkretnej chwili, na tym konkretnym spłachetku ziemskiego blocka. Przeżyła następny kawałek czasu, jeszcze jeden Moment. Ku-piła flaszkę rumu, żeby to uczcić, wypiła połowę w kryjówce - nie w Wenecji w Tampie, ale po drugiej stronie zatoki, w St. Peters-burgu, w majestatycznym starym biurowcu o pokrytych śniedzią brązowych okuciach okien, z marmurowym westybulem popla-mionym przez przyptywy. Wysoko ponad miastem, gdzie mogła obserwować słońce wstające nadTampą i błyszczące złotem na łu-kach przekraczających zatokę.

Sara ma powód do zadowolenia. Zaliczka od Hetmana jest na koncie szpitala i jutro rano Daud dostanie lewą nogę. Zapłata po robocie wystarczy na prawą.

Piana z sykiem przetacza się po niszczącym betonie. Pojawia się następny opancerzony pojazd. Andrieja. Hetman otwiera drzwi i czeka.

Andriej nie przepada za kriomaksową modą, ubiera się kon-serwatywnie. Ma na sobie dzinsy, wysokie buty, niebieską satyno-wą kamizelkę zarzuconą na bawełnianą koszulkę z krótkim rękawem. Obejmują się z Michaelem, rozmawiają przez chwilę po rosyjsku. Michael stanowczo, Andriej uspokajająco. Sara łapie pojedyncze słowa. Ich kierowcy i współpracownicy - głównie ochroniarze - obserwują wszystko z pojazdów. Hetman ostatnio jeździ w trzy samochody, trzyma się sztywno z powodu kamizelki kuloodpornej noszonej pod koszulą. Chce być przygotowany na coś, co wyczuwa w powietrzu.

Pięcetonowa ciężarówka, z własną eskortą, wyłania się spod drzew, zjeżdża na piasek. Hetman wraca do klimatyzowanego wnętrza swojego packarda. Rozmowa pomiędzy Kowbojem i Warrenem dobiega końca, ściskają sobie dłonie. Mechanik idzie do samochodu i odjeżdża. Ciężarówka opuszcza rampę, Kowboj nad-zoruje przeładunek. Hetman, sylwetka za lustrzaną szybą z pan-cernego szkła, przesyła ruchem dłoni błogosławieństwo i odjeżdża razem z eskortą. Sara stoi samotnie, czując, jak rozmiękły asfalt ugina się pod jej ciężarem.

Obserwuje, starając się wyłowić rzeczy istotne. Wpływowi lu-dzie, jak wie, mają swoje rytuały,

własne sposoby załatwiania spraw. Inna pozycja, inny styl. Firebud pokazała to, wbijając jej do głowy różnicę pomiędzy poruszeniami ziemniarki a sposobem, w jaki dzok prześlizguje się przez przestrzeń. Różnice intrygują Sarę. Wie, że tu, na tej rozpadającej się arterii przelotowej, tworzą się hierarchiczne układy, przekazuje się i zatwierdza władzę. Nie ma jednak pojęcia, co jest ważne, a co nie. Warren i nabijany łeb ściskają sobie dłonie, a Andriej i Michael padają sobie w objęcia. Czy uścisk wyraża większy szacunek, czy też po prostu bardziej kunsztowny rytuał jest niezbędny w mglistym świecie trzeciaków, gdzie przyjaźnie istnieją jedynie wtedy, gdy to wygodne, a sojusze rozpadają się jak Wenecja przy wysokiej wodzie, gdzie w okazanie szczerości przymierza trzeba włożyć o wiele więcej wysiłku? A może to tylko rosyjski zwyczaj? Sara nie zna odpowiedzi na te pytania.

Kłapa ładowni panczerki zamyka się z sykiem hydrauliki. Nabijany łeb gapi się na morze, obserwując, jak Ameryka kruszy się i znika w Zatoce. Dziewczyna robi kilka kroków. - Mam na imię Sara - przedstawia się.

Zwracają się ku niej źrenice małe jak łebki od szpilki.

- Najbardziej płaski krajobraz, jaki kiedykolwiek widziałem.

Blask słońca odbija się w srebrnych ozdobach jego gniazdek.

Krzywi się.

- Jedziemy?

- Chyba już czas - mówi nabijany łeb. - Jestem Kowboj.

- Wiem.

Mężczyzna przygląda się jej niezbyt przyjaźnie. On ma metr dziewięćdziesiąt trzy, a ta ziemniarka jest tylko o jakieś trzy centymetry niższa, w dodatku chodzi jakimś takim aroganckim krokiem, który bardziej niż to konieczne zwraca uwagę na jej pistolet. Pomimo lustrzanych okularów przeciwsłonecznych jej twarz ma w sobie jakąś otwartość, która mu się podoba. Coś w rodzaju celowości, nasuwa to na myśl starą brzytwę o ostrzu ścięniętym dwukrotnie od ostrzenia, wciąż jednak zdolną do przecięcia włosów na czworo. Chociaż te blizny zapewne nie są fałszywe, nie podoba mu się używanie ich jako elementu własnego wizerunku, w rezultacie każde spojrzenie jest wyzwaniem, a każda szrama pytaniem „odważysz się?”. Lecz mimo wszystko nie czuje niechęci do niej, dochodzi więc do wniosku, że wszystko się ułoży, o ile tylko dziewczyna nie będzie przez cały dzień usiłowała czegoś udowodnić.

- Tędy - mówi i wspina się na pochylony przód panczerki. Kiedy Sara podąża za nim, nie odwraca się, by podać jej rękę, dla niej stanowi to punkt na korzyść Kowboja. Zagląda do wnętrza pojazdu i czuje dotknięcie jedwabistych palców klaustrofobii. Miejsca dla pilota i pasażera wciśnięto pomiędzy dwa silniki, płyty panczerza Chobhama, przewody hydrauliczne i paliwowe. Rzędy zielonych i czerwonych światełek migoczą jak odległe choinki świąteczne. Wnętrze śmierdzi zastygłym powietrzem, płynem hydraulicznym i mężczyzną. Okazuje się, że nie ma w ogóle fotela dla pasażera, tylko wąska, rozkładana koja z pasami mającymi chronić leżącego na niej człowieka w czasie gwałtownych zwrotów.

Koło klapy spoczywa w futerale karabin, taki ze stopów lekkich, sam metal i plastik, przypomina kij golfowy. - Jest tam zestaw nagłowny dla ciebie - mówi Kowboj. - Możesz więc słuchać radia albo czegośkolwiek innego. - Pokazuje na drzwiczki ustępu. - Toaleta chemiczna. Nie to, do czego jesteś przyzwyczajona.

- Dzięki.

Przyzwyczajona to ona jest do starego, ściągniętego ze śmietnika wiadra stojącego w marmurowych ruinach St. Petersburga, ale nie wspomina o tym. Odpina pistolet, wsuwa się na leżankę, wciska hecklera & kocha w najdalszy kąt i unosi siatkę. Zastanawia się, jakie Kowboj ma plany na czas po dostarczeniu towaru, czy przymierza się do pójścia z nią do łóżka. Jeśli tak, to czeka go niespodzianka.

Dochodzi do wniosku, że pancerka jest miejscem, które tylko ćpun może polubić. Przytulna, cybernetyczna macica pełna męskiej woni, miękko błyskających światełek, wtyczki zaspokajające czyjeś uzależnienie. Nie chce znać nałogu Kowboja, jakikolwiek jest. Pornografia dostarczana wprost do przodomózgowia, indukowane elektronicznie orgazmy, szalone syntetyczne haje przepychane z obwodów wprost w mózg, potężne fantazje w technicolorze żgające w najbardziej podstawowe potrzeby. Sara patrzy na zestaw nagłowny z nagłą nieufnością. Może być dostrojony do kanału Kowboja, a jeśli tak, zdecydowanie nie jest tym zainteresowana.

Kowboj rozbiera się niemal nieświadom, co robi, podłącza elektrody i gumowy cewnik. Sara myśli o Daudzie, jego pozbawionym czucia, pokaleczonym ciele, nie bardziej ludzkim niż ociekający krwią kawał świeżej wieprzowiny. Usiłuje wcisnąć się głębiej w swoją wnękę. Ból wybiera sobie właśnie ten moment na ściśnięcie jej żeber. Dziewczyna zamyka oczy i składa głowę na niczym niepowleczonej poduszce.

Pompy zaczynają pulsować, hydraulika syczeć. Rozlega się ja-zgot rozrusznika, potem wycie silnika. Szarpnięcie w momencie uniesienia się pancerki na poduszce, żołądek przewraca się jej nieco, gdy pojazd obraca się i rusza w stronę autostrady. Sara zmienia pozycję na koi, ból w boku słabnie. Znużenie pojawia się jak mgła, dziewczyna czuje, jak wysysa z niej napięcie. Znajduje się w cudzej, wyściełanej, pancernej fantazji, jest wieziona do cudzego punktu przeznaczenia. Jej własna zbroja, przynajmniej w tej chwili, stała się czymś nadmiarowym.

Dźwięk silnika wydaje się coraz bardziej odległy. Sara czuje, jak sen powoli wsącza się w jej umysł. Zdaje sobie sprawę, że to ktoś inny ma przeprowadzić ją przez następny Moment. Postanawia zasnąć i pozwolić mu pracować.

Kowboj siedzi głęboko w fejsie, od momentu pokazania, gdzie jest toaleta, nie zwraca uwagi na Sarę. Obserwuje kolumny zielonych wskaźników, obrazy wideo otoczenia pancerki. Ciągłe informuje eskortę o swoich zamiarach, słucha ich pogawędek. Utrzymuje w równowadze pancerkę, idącą tylko na jednym silniku, by zaoszczędzić paliwo przez czas ograniczenia prędkości do osiągalnej przez towarzyszące pojazdy.

Po wyjechaniu na między stanówkę żegna się z nimi i włącza drugi silnik. Nawierzchnia jest pełna dziur i wybojów, beton niektórych wiaduktów skruszał aż do zbrojenia. Wszystkie kołowe pojazdy trzymają się prawego pasa, jadąc bardzo wolno, ich kierowcy klną wyrwy w żywy kamień. Pancerka sunie gładko na poduszce powietrznej, przecina środkowe pasy i dociera do dwóch skrajnych lewych, przeznaczonych dla pojazdów poruszających się z prędkością powyżej stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Kowboj obciąża silniki do maksimum, cały czas pamiętając o pasażerze i przyspieszając powoli do ponad trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę. Pędzi o wiele szybciej od wielkich ciężarowych poduszkowców, z łatwością przemyka pomiędzy nimi, mijając je, słyszy przez pancerz pozdrawiające ryki ich syren, wskutek efektu Dopplera dużo niższe niż w rzeczywistości. Powolne

samochody są wręcz nieruchomymi obiektami. Drzewa rozmazują się w ciągłą, zieloną smugę. Jego koncentracja zawęża się do tunelu przed i za nim, do spękanej nawierzchni, nad którą przelatuje z wyciem na poduszce powietrznej. Zgrywa obraz wideo i odczyty z przednich radarów: błyskawicznie powstające echo radiowe, fluorescencyjne, abstrakcyjne linie, które mogą być czymkolwiek - chmurami albo pudłami, albo skupieniami subatomowych cząstek w scyntylatorach; nałożone na wyświetlacz wi-

110
UK9DI0UI9111

zyjny, okazują się innymi pojazdami, barierą ochronną, kępami drzew, obrzeżami rozległych miast zniszczonych wojną. Mija granicę w mgnieniu oka - żadnej kontroli po stronie Georgii, ale w przeciwnym kierunku stoi długa kolejka oczekująca na odprawę przed wjazdem do Amerykańskich Dzierżaw. Tankuje w Karolinie Południowej, drugi raz w Wirginii, zrobotyzowane pompy odnajdują zawory wlewowe, podłączają się bez pomocy człowieka; siedzący w kuloodpornej wieżycze, śmiertelnie znudzony operator nie raczy zaszczyścić ich nawet jednym spojrzeniem. Granicę Marylandu mija wczesnym popołudniem, zjeżdża z międzystanówki, znajduje kawałek płaskiego gruntu i wyłącza poduszkę, czekając na eskortę. Zdejmuje hełm i odłącza się od pojazdu. Sara, ku jego zdumieniu, najwyraźniej śpi. Niemal zapomniał o jej istnieniu. Zdejmuje cewnik, którego nawet nie użył, korzysta z chemicznej toalety. Potem wspina się po drabince, otwiera wąż i wpuszcza do środka świeże powietrze. Wygląda na zewnętrz, w bezkresny, zielony krajobraz przecięty w poprzek szeroką, kruszącą się międzystanówką, która przypomina mu zaatakowaną miążdżycą tętnicę.

Dwie noce temu pożegnał się z Cathy. Opuściła jego życie w ten sam sposób, w jaki w nie wkroczyła, wychodząc przez okno na ósmym piętrze hotelu w Norfolk, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu spod ronda białego stetsona, którego podarował jej, kiedy udawała się w stronę dwunastocentymetrowej fali przyływu pełzającego nad East Main. Powiedzieli sobie coś na temat pozostania w kontakcie, lecz Kowboj sądzi, iż jeśli kiedykolwiek jeszcze się spotkają, będzie to kolejny przypadek. Rzadko bywał w Wirginii, a ona następny urlop dostanie dopiero za rok. Planowanie tak odległej przyszłości to kompletny nonsens. Do tego czasu gliny mogą go złapać albo morze upomni się o nią. Lepiej pożegnać się na dobre.

Odwraca się, widzi, że Sara obudziła się i wydobywa się spod siatki swojej koi. Zaspana wydaje się o wiele mniej twarda. - Masz ochotę na lunch?

Dziewczyna kiwa głową, przeczesując palcami włosy. Kowboj otwiera schowek i z lodówki wyjmuje kilka kanapek. - Co do picia? Kawa? Sok pomarańczowy? Mrożona herbata? - Mrożona herbata. - Spuszcza nogi z koi, bierze od niego zimny, plastikowy pojemnik, zrywa kapsel. - Gracias. Kowboj opiera się o drabinkę, rozpakowuje kanapkę. Przez otwarty wąż dobiega świergot ptaków.

- Gdzie podłapałaś hiszpański? - pyta.

- Właściwie to hiszpangielski. Mój ojciec był pół Kubańczykiem, pół Cyganem. Matka była Anglo.

Kowboj spostrzega, że teraz kiedy jest w pełni obudzona, kontrolę przejmuje chłodniejsza osobowość, wyraz jej oczu robi się trochę nieobecny, nie rozmarzony czy senny, lecz sygnalizujący jakieś intensywne rozważania. Słowa „ojciec” i „matka” zdają się mieć jakieś negatywne

zabarwienie, jakby starannie pozbawiono je związku z jakimikolwiek emocjami.

- Straciłaś ich w czasie wojny? - zgaduje Kowboj. Sara rzuca mu krótkie spojrzenie, jakby oceniała go w jakiś sposób.

- Tak - potwierdza.

Odpowiedź pada zbyt szybko i Kowboj nie bardzo w nią wierzy, ale nie potrafi też znaleźć żadnego powodu, dla którego miałyby kłamać.

Dziewczyna odgryza kęs kanapki i patrzy na niego zaskoczona.

- To prawdziwa szynka - dziwi się. - Nie soja czy co tam jeszcze.

Kowboj przełyka porcję sałatki z kurczaka.

- Jeźdźcy „Pony Expressu” jedzą tylko najlepsze produkty - oznajmia.

Ukrywa rozbawienie, obserwując, jak dziewczyna pożera dwie następne kanapki. Silniki odrzutowe i warkoczące śmigła mijają ich w pędzie po autostradzie. Na deser jest kilka moreli. Kowboj spogląda na właz. Eskorta się spóźnia.

- Mogę wyjrzeć? - pyta Sara. - Nigdy nie widziałam tej okolicy.

- Całkiem ładna. Cywillizowana.

Sara przypina pistolet maszynowy. Kowboj przygląda się jej uważnie.

- Masz okablowanie do tego? - pyta.

- Okablowanie i scalaka. - Znów patrzy wyzywająco, jakby w jakiś sposób podważył jej kompetencje.

- Przyda się - mówi, udając zadowolenie, że jest tak dobrze chroniony. - Masz pełnego santistevana czy owari? Dziewczyna rzuca mu spojrzenie, potem nakłada lustrzane okulary. Pancierz, myśli Kowboj, przeciwko emocjom, podobnie jak kurtka, sposób chodzenia, zachowanie.

- Owari - odpowiada.

Oznacza to, że do osiągnięcia pełnej sprawności oprogramowa-nie wymaga wyzwalcza, zazwyczaj wziewnego środka zwanego na ulicach żarowiną. Jego własne, droższe, jest aktywowane ko-mendą z kryształu.

Sara przeciska się koło niego w korytarzyku, wspina po krótkiej drabince i opiera ręce na krawędzi włazu. Rozgląda się po okolicy przez rozgrzane powietrze drgające nad stygnącymi silni-kami, patrzy na niskie wzgórza, gęsto wysianą kukurydzę za szo-są, kwadratowy, biały drewniany dom, wyglądający jak wyjęty z pocztówki.

- Ja mam santistevana - mówi Kowboj, jego głos dobiega przez właz trochę stłumiony.

- A po co ci on? Prowadzisz przez fejs.

- Latałem na deltach. Potrzebowaliśmy tam rąk, nóg, palców, kryształów, oczu, wszystkiego.

Sara nie zdawała sobie sprawy, że jest aż tak doświadczonego weteranem. Skoro przeżył aż tak długo, musi być świetny. Dziew-czyna myśli o Maurisie, indiańskim kuterdzoku, jego metalowych oczach starego typu, wojskowych gniazdkach na przegubach i kostkach, zdjęciach zabitych kolegów na ścianach. Zatracony w przeszłości bardziej świetlanej niż cała możliwa przyszłość ze-brana do kupy. Zastanawia się, czy takie jest przeznaczenie Kow-boja, ucieczka do jakiejś zimnej jaskini w pamięci, kiedy w koń-cu walnie swoją pancerką w coś, co się przed nim nie usunie, kiedy zgaśnie ostatnia iskierka nadziei.

- Wiedziałam o twoich oczach - mówi. - Dziś rano stałeś w pełnym słońcu, nawet ich nie mrużąc.

Cienie chmur wolno suną po ziemi. Kukurydza szeleści. Sara czuje się jakoś dziwnie nie na miejscu w tej bukolicznej scenerii, nie wie, czego się spodziewać. Jej życie jest związane z betonem, stałą, ruinami, terenami zalewowymi, morzem... Ten długi, zielony horyzont obiecuje miękkość, muzykę, łatwe życie. Sara spogląda w górę, widzi srebrzyste stacje energetyczne na niebie, obserwujące planetę dla swoich panów, a wtedy z jednego z niskich wzgórz schodzi robot-żniwiarz, potężna metalowa maszyna o cybernetycznym sercu. Żaden człowiek nie orze tej ziemi, żaden człowiek też nie jest jej właścicielem: piękny drewniany dom to albo mieszkanie jakiegoś pracownika nadzorującego uprawy w tej części Pensylwanii, albo też w ogóle nie jest częścią farmy, stanowi własność jakiejś rodziny, która już nie kontroluje pól zaczynających się tuż za progiem.

Sara zdaje sobie sprawę, że tu jest tak samo jak w mieście, pa-nuje ta sama hierarchia władzy, zaczyna się od orbitalnych bloków, a kończy się na ludziach, którzy równie dobrze mogliby być myszami polnymi stojącymi przed ostrzami żniwiarki, bezsensowne, niezliczone istnienia stojące na drodze układu, którego nie da się już powstrzymać. Czuje, jak otacza ją gniew, niczym zbroja. Myśli, że szansa na odpoczynek była miła, póki trwała. Lecz teraz trzeba przeżyć następny kawałek czasu.

Trzy pojazdy opuszczają międzystanówkę, dwa z nich mają zamontowane powiewające czerwone flagi. Czas na interesy. - Nasza eskorta - mówi i podnosi rękę na powitanie. Andriej przyleciał z Florydy razem z ochroniarzami i wynajął samochód razem z eskortą panczerki. Zjeżdżając na pobocze, wychyla głowę z okna i Sara mówi mu, że wszystko w porządku. Za Andriejem żniwiarka wydajnie i bezmyślnie kosi kukurydzę. Dziewczyna zatrząskuje klapę i zabezpiecza ją, widzi, że Kowboj już jest w swoim miejscu, wciska wtyczki w gniazdko. Wtacza się szybko na swoją koję przy akompaniamencie jęku rozrusznika. Waha się przez moment, patrząc na zestaw nagłowny, potem bierze go i nakłada, jedną ręką umieszczając wiszący na cienkim jak włos przewodzie superlekkiego mikrofonu we właściwym miejscu - w kącie ust.

Natychmiast w jej głowie cicho rozbrzmiewa odległa muzyka, jakiś program radiowy nadawany bardzo daleko. Nad uchem ma przełącznik kanałów, obraca go, słyszy kolejną muzykę, głosy mamroczące w jakimś rosyjskim dialekcie, zaskakująco czysty wid jakiegoś dramatu rozgrywającego się, już nie mieli gdzie go wsadzić... w afrykańskim cyrku. Za kolejnym przełączeniem znajduje się w interfejsie Kowboja, wzdryga się z zaskoczenia, kiedy wokół niej wyrastają zielone pola Pensylwanii, poprzepłatane wykresami słupkowymi, liczbami, jasnymi, neonowymi barwami tworzącymi wskaźniki panczerki, wszystkie jakby wymalowane po wewnętrznej stronie jej czaszki z nałożonymi danymi pochodzącymi z oczu i uszu. Nie ma kontaktu z umysłem pilota, jest tylko biernym pasażerem, niemającym wpływu na błyskawiczne decyzje związane z prowadzeniem poduszki. Wrażenia są dużo

lll
uamourani

mniej żywe, niż gdyby otrzymywała je wprost z gniazd, tak jak Kowboj, bezpośrednio do nerwu wzrokowego, pomimo to są obeszłaniające, przytłaczają złożonością, niemal zrywa zestaw z głowy, żeby przerwać tę fluorescencyjną powódź danych. Jednak dzięki obeznaniu z działaniem zestawów nagłownych i wywołanymi przez nie wrażeniami po chwili się opanowuje.

Uczestniczyła w symulacjach o wiele bardziej złożonych niż to:

manewry orbitalne, wyścigi samochodowe, nawet walka. Głosy pobrzmiwają jej pod czaszką, Kowboj rozmawia z eskortą, a ona wyczuwa, wtórnie, skutki decyzji w poruszeniach wielkich sterów, zmianach ciągu silników odrzutowych, wskazaniach pewnych kon-trolek. Po pewnym czasie uznaje, że nie jest to zbyt interesujące. Pancerka przejeżdża trzydzieści kilometrów rozpadającą się drogą, Sara spostrzega kilka wzgórz wznoszących się na zachodzie, mglistoszarych, przesłoniętych chmurami. Koło drogi stoi wbity słupek z dwiema fluorescencyjnie pomarańczowymi taśmami oznaczający miejsce zjazdu. Samochody eskorty zjeżdżają na tra-wiaste pobocze, kierowcy machają na pożegnanie. Limuzyna An-drieja zjeżdża na bok. Pancerka przekracza rów i podąża za nim. Miejscem spotkania okazuje się kolejny urokliwy wiejski dom ocieniony drzewami. Druga strona już czeka - nieopancerzony po-duszkowiec ciężarowy, jakby przygnieciony czteropłatowymi śmi-głami, i dwóch mężczyzn opartych o ciemnoniebieską limuzynę subaru. Uwaga Kowboja wyraźnie zwraca się na otoczenie; poja-wiają się zbliżenia okien domu, wybranych miejsc za drzewami, niewielkiego ziemnego wału po lewej.

Obserwując migoczące kolory, Sara po omacku sięga do kieszeni, odnajduje inhalator, wstrzykuje sobie po jednej dawce w oba nozdrza. Jej nerwy rozpalają się elektrycznym światłem. Pancerka podjeżdża do poduszkowca, obraca się, utrzymując dysze z dala od jego załogi, jednocześnie ustawia rampę wyładun-kową po właściwej stronie. Silniki milkną, pojazd osiada na spuszczonej poduszce.

- Nie zdejmuj zestawu - głos Kowboja odzywa się w jej cen-trach słuchowych. - Będiesz mogła ze mną rozmawiać. - Czy możesz mi wyłączyć swoje wyświetlacze? Za bardzo mnie rozpraszaają.

Wideo gaśnie gwałtownie, ostre barwy znikają, zostawiając po sobie jedynie niewielki powidok. Sara potrząsa głową i zsuwa się z koi. Zapina kurtkę pod szyję i sprawdza pistolet na biodrze. Patrzy na Kowboja, sylwetkę w hełmie, nieruchomo spoczywającą pod błyskającymi zielonymi i czerwonymi światłkami, przez mo-ment waha się u podnóża drabinki.

- Kowboju - mówi. - Sądzę, że powinieneś coś wiedzieć. Het-man uważa, iż zostaliśmy wystawieni.

Pancerniak odwraca się, widzi jego ciemne, plastikowe oczy wpatrujące się w nią spod okapu hełmu.

- Dzięki, Saro - odpowiada. - Ale domyśliłem się tego już z sa-mego faktu, że w ogóle się tu znajduję.

Sara patrzy na niego przez chwilę, zaskoczenie nie pozwala jej szybko zebrać myśli, potem kiwa potakująco głową, otwiera klapę i wspina się po drabince, jednocześnie nakładając lustrzane okulary. Ponure gęby gapią się na nią z okien ciężarówki. Wysuwa hecklera & kocha z kabury i trzyma go tuż pod krawędzią wjazdu. Farma śmierdzi paliwem, rozgrzanym metalem i smarami.

Sara czuje napięcie w plecach, jakby w oczekiwaniu strzału. Ogień przebiega jej po nerwach. Hetman wyczuwał w tym coś śmierdzącego, dziewczyna dobrze wie, że jego przeczucia zwykle są trafne. Jej doświadczenie dotyczy wielkomijskich okolic, do takiego terenu nie jest przyzwyczajona, ale uznaje, że Kowboj ma wystarczająco dobre oko i przerzuca wzrok na okna domu, drze-wa, wał ziemny za nimi, z powrotem na podwórko. Pierwszoplanowymi postaciami są najwyraźniej Andriej i chu-dy, ciemny mężczyzna w szarym jedwabnym garniturze. Na sple-tanych w jamajską fryzurę włosach ma wełnianą czapkę, nosi wą-sik w stylu Cantinflasa, tylko dwie smużki zarostu nad kącikami ust, większość górnej wargi dokładnie wygolona. Nie obejmują się na powitanie, tylko krótki uścisk dłoni, cicho mamrotana dys-kusja o interesach. Czarny odwraca się do swojego

samochodu, wydaje rozkaz, dwóch jego pomocników, czarny i biały, otwiera skrzynię ładunkową i wyciąga ciężki metalowy kufer. W umyśle Sary błyska rozpoznanie, ma wrażenie, że tego białego widziała już przedtem, ale obaj noszą plecione kapelusze z szerokimi ron-dami i duże ciemne okulary, a tyłu wielgachnych facetów bez szyi spotkała w swoim życiu, że nie może być pewna tego tutaj. Obaj wyglądają, jakby wiele czasu spędzali na dźwiganiu ciężarów, jed-nak ten kufer jest tak ciężki, że w połowie podwórka są wyraźnie zdyszani.

116

UH9UIUIU0III

Czarny schyla się, by go otworzyć, i cofa się. Andriej przykuca i sprawdza zawartość. Pod cantinflasowskim wąsikiem igra uśmie-szek wyższości.

Sara czuje pot spływający jej po plecach, przerzuca wzrok z podwórka na ludzi w ciężarówce, z powrotem na dziedziniec, po-tem na nasyp z tyłu, na okna domu. Powiewają w nich koronkowe firanki. Próbuje sobie przypomnieć, czy widziała takie zasłony gdziekolwiek poza ilustracjami.

Andriej podnosi się i odwraca, by dać sygnał komuś w samo-chodzie, kto podnosi mikrofon do ust. Potwierdzenie Kowboja roz-brzmiewa w uszach Sary, rozlega się syk hydrauliki i otwiera się pancerna pokrywa ładowni.

Sara przerzuca wzrok na okna domu, kierowców ciężarówki, Andrieja i czarnego idących w stronę pancerkę. Wszystko jest za bardzo od siebie oddalone, żeby pozwolić na dobrą obserwację. Nerwy iskrzą jej jak fajerwerki. Zmusza się do rozluźnienia mię-śni rąk. Czuje pot zwilżający ściskaną kolbę hecklera & kocha. Andriej wraz z towarzyszem wchodzą na pancerkę. Murzyn otwiera kilka przypadkowo wybranych skrzynek, sprawdzając pieczęcie, upewniając się, że w środku są matryce komputerowe. Oczy Sary błyskawicznie przeczesują teren: nasyp, ciężarówka, okna. Oblizuje wargi, czuje na nich smak soli.

Dwóch mężczyzn oddala się od pancerkę przez podwórko. Dwóch ochroniarzy Andrieja wychodzi z samochodu, żeby prze-nieść zapłatę w złocie do bagażnika. Murzyn idący w stronę suba-ru ma na łokciu jedwabnego garnituru plamę smaru. Po przeciw-nej stronie ciężarówki otwierają się drzwi i dwóch mężczyzn wysiada, by przenieść ładunek.

Źle, myśli Sara. Co najmniej jeden powinien wysiąść na tę stronę.

- Kowboj... - mówi, błyskawicznie omiatając okolicę wzro-kiem, neuroprze-kaźniki pędzą swoimi szlakami, kiedy próbuje ogarnąć jednocześnie podwórko z dwoma osiłkami wlokącymi ku-fer do bagażnika, Murzyna znikającego nieznacznie za swoim sa-mochodem, dwóch jego współników schylających się i sięgających do subaru.

Powietrze rozdziera gwałtowny syk, Sara widzi srebrzystą igłę wypadającą z górnego piętra domu wprost w samochód Andrieja. Dla jej okablowanych zmysłów ten ruch jest powolny, umysł ma mnóstwo czasu, by zacząć krzyczeć, zanim przednia szyba limuzy-ny zapadnie się pod uderzeniem rakiety, która wpada do środka i zmienia się w kulę ognia wybuchającego na zewnątrz, dziewczyna myśli Daud. Kłęb ognia dopada Andrieja i jego dwóch ludzi, padają, jakby w ich ciałach nie było ani jednej kości. Krzyk nara-sta jej w głowie, lecz już od jakiegoś momentu jest w ruchu. Pistolet maszynowy już wycelowała w stronę subaru. Sara do-tyka spustu, zapierając się o opancerzoną krawędź wjazdu, broń terkocze, podryguje. Odzywa się jakby echo krzyku w jej głowie, nie zwraca na to uwagi. Pociski z pistoletu z metalicznym odgło-sem spunk-spunk-spunk przebijają bagażnik subaru, potem dwaj mężczyźni schyleni koło tylnych drzwi dostają resztę serii, Mu-rzyn pada jak kupa szmat,

jego współnik przewraca się w tył z rękami wysoko wyrzuconymi nad głowę, w jednej ściska automat śrutowy. Łuski stukają o pancerz Chobhama jak kulki gradu. Sa-ra zmienia pozycję, ponownie otwiera ogień, słysząc kolejne me-taliczne spunk-spunk. Biały jest schowany za pancernymi drzwiami samochodu.

Krzyk w jej głowie zmienił się w jęk rozruszników, wielkie silniki zaczynają się obracać i Sara niemal wyskakuje ze strachu ze skóry, kiedy tuż za nią potężny kawał pancerza odchyła się gwałtownie i z wnętrza błyskawicznie wyskakuje wieżyczka. Rozlega się potężne wycie, syrena ostrzegawcza towarzysząca zamykaniu drzwi ładunkowych.

- Za tobą, Saro - odzywa się jej w głowie głos Kowboja. Od-wraca się błyskawicznie we włązie i spostrzega jednego z kierowców ciężarówki, który wygląda zza niej, z pistoletem w dłoni, niemal gotowy, by strzelić jej w plecy. Heckler & Koch jazgotczy w jej rękach. Widzi strach w oczach mężczyzny, który błyskawicznie cofa głowę, słysząc zbliżające się ku niemu spunk-spimfc-spunk poci-sków.

Kawham-kawham. Sara odwraca się z powrotem na odgłos strzałów z automatu śrutowego, widzi chmury kurzu podnoszące się wokół Andrieja. Jego ciało ani drgnie. Biały strzela nad maską subaru. Tuż koło ucha Sary rozbrzmiewa ostry warkot działka pancerki. Z wieżyczki wylatuje fontanna trzydziestomilimetro-wych łusek, dziewczyna podnosi wzrok i widzi, jak całe górne piętro domu wyskakuje w powietrze w chmurze kurzu, jakby cała pokrywająca je farba w jednej chwili odskoczyła od podłoża. Działko próbuje wycelować w subaru, ale bezskutecznie, Sara zdaje sobie sprawę, że zaprojektowano je do walki z maszynami latającymi i nie jest w stanie obniżyć się wystarczająco do ostrza-łu celów naziemnych. Strzela kilkakrotnie w stronę mężczyzny schowanego za samochodem, lecz zamek zaskakuje w tylnej pozycji i musi sięgnąć po następny magazynek, i odwrócić się do tyłu, by mieć na oku strzelca schowanego za ciężarówką. Drgnięcie pancerki towarzyszy jej uniesieniu się na poduszce powietrznej. Ryk silników wypełnia powietrze.

Górne piętro domu jest podziurawione jak rzeszoto, przestrze-lmy biegną co parę centymetrów. Ktokolwiek odpalił stamtąd rakietę, nie mógł przeżyć takiego huraganu ognia. Sara, nie patrząc, wciska magazynek, chwając się we włązie ruszającej pancerki, która rusza wprost przez podwórze, czołowym pancerzem celując w subaru. Sara przykuca, kiedy mężczyzna za nim zaczyna się odwracać, wciąż waląc z automatu. Śruciny łomoczą o pancerz. Mężczyzna rzuca się do ucieczki.

Poduszkowiec uderza na wprost, pchając przed sobą limuzynę, jakby był to rower. Mężczyzna uskakuje w bok, niezdarnie próbując unieść automat. Zgubił kapelusz i okulary. Sara czuje, jak scalki namawiają ją, by stanęła we włązie z pistoletem maszynowym w rękach i zaczęła strzelać...

Biały mężczyzna upada, obraca się, dziewczyna widzi w jego oczach błysk grozy i w tym samym momencie rozpoznaje go, już się wcześniej spotkali, oglądała te oczy we wstecznym lusterku, ten facet prowadził samochód Cunninghama, kiedy oświetlonymi neonami ulicami odwożono ją do domu. Wielki towarzysz Cunnin-ghama.

Pancerka rozgniata subaru o ścianę domu niczym puszkę po piwie, odbija się, kieruje w stronę nasypu, przyspiesza. - Włącz do środka - odzywa się w jej głowie Kowboj. - Zrobiłaś, co mogłaś.

Sara wciąż gapi się za siebie w szoku na dymiące, postrzelane podwórze, gdzie kierowca Cunninghama przypomina leżący na ziemi kawał rąbanki.

Działko odzywa się ponownie, teraz, na stoku nasypu może obniżyć się wystarczająco, dziurawi nieopancerzony ciężarowy poduszkowiec, zbiorniki eksplodują, rzygając ogniem. Ani śladu po jego

kierowcach, prawdopodobnie byli po drugiej stronie i zmienił się w kawały poszarpanego mięsa. Człowiek Cunninghama, myśli Sara. I rakietą. Daud.

Działko wciąż jeszcze strzela, kiedy dziewczyna zsuwa się otępiała do wnętrza, usiłując chronić się przed dzikimi podrygami panczerki. Zatrząskuje klapę nad głową i rzuca się na koję. Siedmiomilimetrowe łuski, brzęcząc, przetaczają się po metalowej podłodze.

- Czas się ukryć, Saro - głos Kowboja rozlega się równocześnie w jej głowie i uszach. - Czas znaleźć bardzo głęboką dziurę i dobrze się tam przycziąć.

Nie da się, chce odpowiedzieć. Nie da się przed nimi ukryć. Zdejmuje zestaw nagłowny, zamyka oczy i próbuje uciec w ciemność.

Rozdział siódmy

PODSUMOWANIE NOCY W TAMPIE, NA 8 RANO:

22 ZABITYCH ZNALEZIONYCH W OBRĘBIE MIASTA...

„LUCKY WINNERS” ZGARNIA 18 DO 1

POLICJA ZAPRZECZA OSKARŻENIOM

O FAŁSZOWANIE WYNIKÓW

(ARTYKUŁ NA STRONIE 3)

Pancerka czeka na zmierzch w wąskim zagłębieniu terenu po-między Górami Błękitnymi a górami Tuscarora, podmokłej dziu-rze porośniętej sosnami, do której dotarła wzdłuż strumienia, po-między zielonymi urwiskami. Kowboj popija pomarańczowy napój elektrolitowy i przykuca na pachnącej ściółce z sosnowych igieł. Umysł ma chłodny, czysty, lecz ręce i nogi mu drżą, to skut-ki potężnej dawki adrenaliny. Ponad drzewami widzi jastrzębia szybującego w słońcu, szeroko rozłożonymi skrzydłami łapiącego prądy termiczne.

Szczęściarze, myśli. Pierwsza rakietka poszła w Andrieja. Zało-żyli, że jedynym uzbrojeniem pancerki jest Sara stojąca we wła-zie. Inaczej posłaliby mu ją prosto na kolana. Może przesłaby przez pancerz, może nie. Mięśnie dygoczą mu na tę myśl. - Ci ludzie chcieli nas zabić - mówi. - Pomyślałem, że jeśli ma przeżyć czyjaś opowieść, lepiej, żeby to była nasza. Sara patrzy na łaciatą łąkę i krzywi się. Dłoń trzyma bezustan-nie w pobliżu pistoletu na biodrze.

- Szkoda jednak tych kierowców ciężarówki. To byli tylko wy-najęci pomocnicy.

- No to nie powinni próbować pchać się do gry z takimi jak my _ odpowiada Kowboj. Czuje ciarki oburzenia pełzające mu po szyi i karku na samą myśl o wpadnięciu w pułapkę zastawioną przez takich mizernych graczy jak ci. Wykrzywia się w stronę błękitno-zielonych gór Tuscarora.

- Za parę godzin znajdzie się to we wszystkich brukowcach - oznajmia. - Eskorta wynajęta przez Andrieja to nie byli jego lu-dzie, prawda? Jakaś lokalna firma mająca licencję, która zosta-nie cofnięta, jeśli wpakują się w kłopoty. Widzieli skracającą pan-cerkę i słyszeli, jak pół świata wylatuje w powietrze. Nie ma szans, żeby nie polecili z gębą do lokalnej policji. - Muszę porozmawiać z Michaelem Hetmanem - mówi Sara. - To był ruch przeciwko niemu, stali za tym Orbitalcy. Kowboj czuje ciarki strachu na skórze. Podnosi na nią wzrok.

- Skąd to wiesz?

- Ten biały facet, którego rozprułam - odpowiada Sara. Obna-ża zęby w nieświadomym grymasie gniewu. - Pracował dla Orbi-talców. Jednego z ich... oddziałów bezpieczeństwa. Dla człowieka nazwiskiem Cunningham. To on musiał zorganizować zasadzkę. Kowboj wpatruje się w swoje srebrzyste odbicie w jej lustrza-nych okularach i zastanawia się, w co wdepnął, jak ważna jest ta ziemniówka.

Głos Sary mięknie. Jakby mówiła coś tak osobistego, że można to wyznać jedynie szeptem.

- I już wcześniej użyli rakiet. Wystrzelili jedną do mnie. Kowboj już wie. Od stóp do głów unurzany jest w tym samym bagnie co ona, teraz najchętniej byłoby powiedzieć adios, wleźć do pancerki, podłączyć się do fejsu i odjechać, nawet się nie oglą-dając. Ktokolwiek odpalał rakietki, chce dopaść tę ziemniówkę o pokrytej bliznami twarzy i ma w nosie, z kogo po drodze zrobi miążgę. Z trudem powstrzymuje chęć obejrzenia się przez ramię. - Którzy Orbitalcy? - pyta. - Jak mocni są tu na ziemi?

Sara potrząsa głową.

- Nie wiem. Nie powiedzieliby mi.

- Kiedy by tego nie powiedzieli?

Dziewczyna bierze głęboki wdech, nagle spostrzega w niej smutek, widzi, że pomimo zbroi, broni, okularów i dumnego kroku jest strasznie samotna. Siedzi tu, w jakiejś zapadłej okolicy Gór Błękitnych i usiłuje wymyślić następny ruch. Uliczna zwierzyna, zagubiona i ślepa, pchana do działania adrenaliną i instynktem, wiedząca, że tuż za nią rozlegają się kroki, każdy z nich przybliżający do niej wroga.

- Kiedy dla nich pracowałam - wyjaśnia.

A potem opowiada mu o szkoleniu poprzedzającym wykonanie pracy; kiedy później uznali, że stanowi zagrożenie, odpalili rakie-tę w jej mieszkanie i trafili brata. Który, według niej, nie miał nic wspólnego z całą sprawą. Kowboj widzi, że w tej sprawie kryje się dużo więcej niż to, co usłyszał, nie może się zdecydować, czy pró-bować wydusić z niej dodatkowe informacje. Może wśród nich kryć się szczegół, dzięki któremu oboje się uratują. Wie jednak, że ona jeszcze mu nie ufa i postanawia zaczekać. I tak będzie czy-sty, kiedy zdoła pozbyć się ładunku z pancerki.

- Dlatego muszę porozumieć się z Hetmanem - nalega dziew-czyna. - Powiedzieć mu, co się stało, żeby mógł zawrzeć pokój z ty-mi ludźmi.

Kowboj spostrzega, że dziewczyna zachowuje się, jakby była trochę nieobecna. Sara oblizuje wargi.

- Szkoda tylko - kończy - że jednym z elementów zapłaty za pokój będzie prawdopodobnie wydanie im mnie. Kowboj potrząsa głową.

- Może nie uzyskać zgody na pokój na żadnych warunkach, a wtedy znajdziecie się oboje na tym samym wózku. Myśli przez chwilę, czując wstręt do wtykania nosa w wojnę bez znajomości którejkolwiek ze stron. Stał się nagle ważniejszy niż kiedykolwiek w życiu i nie ma pojęcia, kiedy ani skąd może nadejść następny cios. Kończy napój i wstaje, zgniatając w dłoni plastikowy kubek.

- Nadal jednak - mówi - radziłbym ci nie powiadamiać go o miejscu pobytu. Mamy jego komputerowe serduszka, które za-pragnie odzyskać. Do chwili zlokalizowania ładunku będzie mu-siał utrzymać cię przy życiu. - Zaczyna odczuwać dreszcz podnie-cenia wędrujący wzdłuż kręgosłupa. - W tym czasie skontaktuję się z Dodgerem - tym moim przyjacielem - który zorganizuje ja-kiś transport, by nas stąd zabrać. Albo nawet ustawi rajd przez Granicę do Kolorado, z tobą jako pasażerką. - Śmieje się. - Wtedy Hetman będzie musiał zapłacić mi za przemycenie jego kryszta-łów z powrotem.

Sara patrzy na niego wzrokiem bez wyrazu.

- Nie możesz po prostu przekroczyć jej dziś w nocy?

Kowboj potrząsa głową.

- Nie mogę pojechać legalnie, bo policja będzie nas szukać. W przemytniczą trasę nie mogę się wybrać, ponieważ mam za ma-ło paliwa, a także dlatego, że działko to jedyna broń, jaka mi pozostała, a zużyłem większość amunicji. Muszę więc zatrudnić dla nas parę osób. Prawdopodobnie najlepiej będzie schować tu pan-cerkę i zorganizować jej późniejsze odzyskanie.

Zatrzymuje się, osłania oczy i patrzy na słońce.

- Jeszcze przez trzy godziny będzie jasno - oznajmia. - Najle-piej wykorzystać ten czas na wypoczynek. Dziś w nocy sobie nie pośpimy.

Sara potrząsa głową i bierze głęboki wdech.

- Wątpię, żebym zasnęła, nawet jeśli spróbuję.

Kowboj podchodzi do pancerki.

- Twoja sprawa - mówi i wspina się po pancerzu czołowym. Wrzuca zgnieciony plastikowy kubek do śmietnika, układa się na dopasowanym do jego ciała siedzeniu. Wcisną wtyczkę w czoło i przemiata kanały w nadziei złapania wiadomości. Trafia na lokalny brukowiec, w holoprezentacji obraca się wolno jego własną twarz, zdjęcie, którego nawet nie pamięta, przero-bione na trzy wymiary.

Poszukiwany w celu przesłuchania, nadaje stacja. Alarm ogólnostanowy. Patrole powietrzne.

Kowboj zdaje sobie w tym momencie sprawę, że to nie Sarę chcą dopaść.

Chcą jego.

LICZBA NOWYCH PRZYPADKÓW

WIRUSOWEJ CHOROBY HUNTINGTONA OSIĄGA 100 000 W USA EPIDEMIA SIĘ ROZPRZESTRZENIA O północy pancerka spoczywa w strumieniu tuż po wschodniej stronie skłonu pasma Allegheny. Kowboj i Sara przeszli dwa kilo-metry do miasta. Jedyne publiczny telefon, jaki znaleźli, został rozpruty za pomocą czegoś, co sądząc po śladach wyglądało na pi-łę łańcuchową. Teraz obserwują knajpę i zastanawiają się, czy ob-cy będą się w niej bardzo rzucać w oczy.

Kowboj śledził wiadomości i pasma policyjne od momentu, kiedy stały się interesujące; wydaje się, że tylko on jest poszukiwany. Nie ma żadnej wzmianki o jeszcze jednej osobie w pancerce, oznacza to, że jeśli nawet dobrać się do niego chcą ci sami ludzie co do Sary, jej obecność przy nim jest czysto przypadkowa. Jego rysopis i opis pancerki zostały dostarczone do posterunków policji w całym kraju, władze tak pragną go dopaść, że pomimo peruki, którą dołączył do pakietu alarmowego na prośbę Dodge-ra, oraz czapki z daszkiem nasuniętej nisko na czoło, wręcz czuje nitki celownika krzyżujące się na jego sercu. Sara musiała namó-wić go, żeby zrezygnował z noszenia na brzuchu plastikowego pi-stoletu, którego nie znalazłoby sześćdziesiąt procent kontroli, po-nieważ pozostałe czterdzieści procent może go łatwo zabić. Jednak brak mu dodającego otuchy uwierania w brzuch. Z drugiej strony Sara jest niewidzialna i Kowboj chce, żeby była z nim. Wróg będzie szukał samotnego mężczyzny, więc dzięki niej staje się mniej widoczny. Zna też co najmniej kilka wrogich twarzy. Wciąż jednak szansę są kiepskie. Dodger musi zabrać go jak najdalej od tej wojny na Wschodzie, zanim wywędruje stąd w czarnym worku.

Knajpa nazywa się U Oliviera, przewija się przez nią późno-wieczorny sobotni tłumek, który podryguje w takt dobiegającej z wnętrza muzyki pop, łomoczącej w metrum siedem szesnastych. Kowboj i Sara obserwują bar przez dłuższą chwilę, w oknach mi-gają hologramy w neonowych barwach, muzyka zmienia metrum na jedenaście czwartych. W pewnym momencie miejscowi gliniarze mijają lokal, w ogóle nie zdradzając najmniejszego zainteresowania jego klientelą.

- Chodźmy, zanim znów się pokażą - mówi Sara. Kowboj kiwa głową, ale nie zdradza najmniejszej chęci ruszenia się z miejsca. Dziewczyna rzuca mu twarde spojrzenie. - Pomyśl o mnie jako o ochroniarce - warczy. - Na tym się znam.

Knajpa ich wchłania. Fluorescencyjne hologramy zalewają su-fit i ściany zimnym, uporczywym ogniem. Jest to jedyne oświetlenie oprócz pojedynczego, punktowego reflektora skierowanego na stojącego na scenie mężczyznę, o twarzy bez wyrazu, mającego pięć instrumentów podłączonych do głowy. Jego monochromatyczny cień stoi za nim niczym samiec Meduzy. Gra na wszystkich instrumentach równocześnie, teraz w metrum pięć siódmych. Ludzie tańczą do jego zmian, nawet strefiarze gną się zgodnie z jego przykuwającymi uwagę, złożonymi rytmami.

- Moje serce jest ze stopu - recytuje - żyję w skrzyniach. Jego głos to pozbawiony tchu szept, wyraźnie oddzielony od muzyki.

Kowboj lubi słuchać starych przebojów, lecz przede wszystkim wdzięczny jest za mrok. Sara zrzuciła kurtkę i zrezygnowała z wyzywającego kroku, za to też jest wdzięczny. Przechodzą przez knajpę, najwyraźniej w ogóle nie budząc niczyjego zainteresowania. W korytarzyku prowadzącym do toalet znajduje się automat telefoniczny. Kowboj wymienia kilka banknotów na kryształowe pieniądze w szpilce kredytowej, w gniazdo w czaszce wciska do-datkową wtyczkę dźwiękową. Ma ona zamontowany mikrofon, który wypada mniej więcej w kąciu jego ust.

Telefon odbiera żona Dodgera. Jutz to muskularna blondynka dbająca o ranczo w czasie nieobecności męża, dobrze znająca się na swojej robocie. Jej głos brzmi jakby Kowboj wywlókł ją z łóżka.

- Jutz - wita się. - Jest tam Dodger?

- Kowboju - pada odpowiedź - nie mów mi, gdzie jesteś. Prawdopodobnie linia jest na podsłuchu.

Ton jej głosu mrozi mu w żyłach krew jak płynny hel. Jest w nim drżenie, znakomicie opanowany strach. Nagle nieduży ko-rytarzyk wydaje się bardzo, bardzo mały.

- Co się stało? - pyta Kowboj.

- Słuchaj uważnie.

Jej słowa są bardzo starannie wymawiane i rozdzielone, tak że-by nie musiała ich powtarzać. Samogłoski podbarwione są na styku ze spółgłoskami drżeniem lęku. Kowboj zamyka oczy, przyciska mocno czoło do pocieszającego swą realnością, solidnego metalowego telefonu.

- Dodger został postrzelony. Próbowali go zabić w samochodzie, ale udało mu się uciec. Teraz jest w szpitalu, pod ochroną. Nie próbuj go odwiedzać i nie dzwoń więcej do mnie. Znajdź jakąś bezpieczną kryjówkę i siedź tam, póki sytuacja się nie wyklaruje.

Otwierają się drzwi do toalety i Kowboj ogląda się przez ramię, czując swoją słabość. Wychodzi stamtąd facet o jasnych, szklistych oczach, przechodząc obok, uśmiecha się do Kowboja przyjacielsko. Ten kuli się jeszcze mocniej i szepta w mikrofon. - Kto to robi?

ICO

vnovivwvm

- Mówi się, że Arkadij. Że dobiera się do innych trzeciaków i pancerniaków. Najbardziej zależy mu na tobie. Zniekształcony, ciemnowłosy obcy, jego odbicie w lśniącym metalu telefonu, gapi się na niego lodowato wściekłymi oczami. - Niemal dorwał mnie dziś po południu - mówi. - Prowadzi tu teraz swoją wojnę. Podał moje nazwisko i rysopis glinom. Czuje się, jakby grawitacja została zawieszona, jakby był pan-cerką wiszącą na krawędzi grzbietu, który okazał się brzegiem czarnego, bezdenne go kanionu.

W kryształach Kowboja rozlega się dźwięk. Wcisnął szpilkę kredytową w telefon, pozwala maszynie zgarniać jego pieniądze. - Ukryj się, Kowboju - mówi Jutz. - Nie wiemy, komu ufać, i nie możemy zorganizować rajdu, żeby cię ściągnąć na Zachód. Arkadij robił interesy ze wszystkimi i nie mamy pojęcia, kto jest jego człowiekiem, a kto pozostał po naszej stronie. Wszyscy szukają kryjówek.

- Za Arkadij em stoi blok. - Kowboj rozgląda się rozpaczliwie na boki, bojąc się, że ktoś podsłucha jego szept. - Powiedz to wszystkim.

- Który? - Ale w tym momencie rozlega się trzask i połączenie zostaje przerwane. Kowboj wie, kto teraz słucha. - Za późno - warczy. - Zniknąłem.

Wyciąga wtyk i wychodzi z korytarzyka. Sara stoi, przygląda-jąc się parkietowi tanecznemu. Podaje jej szpilkę kredytową. - Zadzwoń do Hetmana, ale pośpiesz się - mówi. - Bardzo się tu narażamy. Twój blok ma dostęp do telekomunikacji. Staje koło korytarzyka i obserwuje. Mnóstwo czasu, myśli. Prawdopodobnie przeszledzili trasę rozmowy, ale szansa na to, żeby mieli jakichś ludzi koczujących o kilka minut drogi od tego baru, jest bliska zeru, w dodatku muszą współdziałać z lokalną policją. Każdemu zajmie dużo czasu dotarcie do tego miasteczka. Mimo to wciąż czuje ciarki strachu na plecach, wzrokiem zlicza wyjścia. Je-śli wkroczą gliniarze, będzie miał opracowane drogi ucieczki. - Mam, czego ci trzeba - sugeruje głos śpiewającego. - Mogę utrzymać ogień z dala od ciebie.

Sara wraca po niecałych dwóch minutach

- Nie mogłam dostać się do Hetmana - mówi. Kowboj już zdążył do wyjścia. - Gdzieś się ukrywa, rozmawiałam jednak z jednym z jego ludzi. - Potrząsa głową. - Kompletny chaos. Toczy się wojna, lecz nie bardzo wiadomo, kto jest po której stronie. Michael i większość jego ludzi najwyraźniej są bezpieczni, skoro rozesłał wiadomość, żeby uważać. Andriej jest jedyną... ofiarą, nie licząc drobnych plotek i im podobnych...

Kowboj otwiera drzwi przeciwpożarowe i już jest na ulicy. Jego oczy szybko dostosowują się do mroku. Stoją tu porzucone wraki, po nich chodzą koty, kilka osób śpi bez przykrycia na zniszczonym betonie promieniującym sierpniowym upałem, rozjarzonym w podczerwieni odbieranej przez jego oczy. Część z leżących jest pijana, część poszukuje, część po prostu się zgubiła. Jak to w zaułku w dowolnym małym miasteczku.

- Kazali się ukryć - mówi Sara. - Odbiorą matryce, kiedy w tej części świata zrobi się spokojniej.

- Nie mają jakiegoś sposobu, żeby ściągnąć nas do domu? - Nie takiego, żebyśmy nie zostali zlikwidowani w momencie postawienia nogi w Wolnej Strefie. Nikt nie wie, kogo zaufać. - Komu - odruchowo poprawia Kowboj.

Idzie szybko w stronę odleglejszego wylotu zaułka, z pięściami zaciśniętymi w kieszeniach, starając się jak najciszej stawiać kroki. Jeden ze śpiących przewraca się na wytartym kocu i wypowiada jakieś imię. Jego gruby, odkryty brzuch połyskuje blado w mroku nocy.

- Czyli jesteśmy zdani na siebie - podsumowuje Kowboj. Dochodzi do wylotu uliczki, rozgląda się na prawo i lewo. Damski śmiech odbija się od krawężnika. Kowboj przecina ulicę, znikając w kolejnym zaułku.

Zatrzymuje go głos Sary.

- Odkryłam, dla kogo pracuje Cunningham.

Kowboj odwraca się zaskoczony.

- Powiedział ci to ten chłopak, z którym rozmawiałaś przez telefon?

- Powiedziałam mu, że Orbitalcy są w to zamieszani i dlaczego. A on znał Cunninghama, coś z nim kiedyś załatwiał w sprawach bezpieczeństwa.

Obrzydzenie w jej głosie jest aż nazbyt dobrze wyczuwalne.

Nawet w ciemnościach można zobaczyć nienawiść w jej oczach.

- To Tempel. Tempel Pharmaceuticals I. G.

Serce Kowboja przyspiesza na dźwięk tej nazwy. Gdzieś głęboko czuje narastający krzyk, ryk triumfu podobny do wycia silnika

IZO

unoutuuiom

ków panczerki po otwarciu zaworów doprowadzających alkohol pod ciśnieniem. Wreszcie poznał swojego wroga, chociaż może mu to nie pomóc.

WOHNEN SIE IN LEID-STADT?

ERLAUBEN SIE UNSIH NEN NACH HAPPWILLE SCHICKEN! * - Pointsman Pharmaceuticals A. G.

Tempel Interessengemeinschaft, myśli Kowboj. Towarzystwo Udziałowe Tempel. Mnóstwo orbitalnych firm ma I. G. po swojej nazwie, i nic w tym dziwnego. To taki doskonały opis ich

sposobu myślenia.

Razem z Sarą są z powrotem w poduszkowcu, siedzą na gór-nym panczerzu. Strumyk pluszcze, rozbijając się o tępy przód po-jazdu. Sara tuli do siebie pistolet maszynowy, zimne i zabójcze dziecko. Chmury suną pod gwiazdami. Są zupełnie samotni w ciemnościach.

- Mam tylko trochę drobnych - mówi Kowboj. - Zazwyczaj wo-żę w pancerce trochę złota na łapówki dla prawników - potrząsa głową - ale ten transport miał być legalny. Nie miałem powodów podejrzewać, że gliny się zainteresują - śmieje się ponuro. - A ja dziś miałem być z powrotem na Florydzie.

Sara milczy, zmienia tylko ułożenie pistoletu maszynowego. Na lufę nałożyła długi tłumik, w razie czego broń wyda z siebie jedy-nie ciche pufnięcia. Kowboj wie, że ona jest zupełnie bez grosza. - Nie zdołam dobrać się do mojego pakietu akcji - mówi dalej, myśląc na głos. - Jeśli gliniarze współpracują ze sobą, Arkadij i jego ludzie będą mogli prześledzić każdą transakcję, a może na-wet zablokować moje posunięcia. Mam złoto zabunkrowane w No-wym Meksyku i Wyoming, ale piechotą to kawał drogi stąd. - Mamy matryce - odzywa się Sara. Po tak długim milczeniu jej głos wydaje się bardzo donośny. - Jeśli damy radę je stąd za-brać, będą warte fortunę.

Kowboj podnosi na nią wzrok.

- Niem. - Żyjesz w mieście bólu? Pozwól nam się wysłać do Happyville! (przyp. tłum.).

- Czy znasz kogokolwiek, komu moglibyśmy powierzyć taką masę towaru? Ja nie.

- Nie musimy sprzedawać wszystkiego. Tylko tyle, żebyśmy zdołali dotrzeć tam, gdzie chcemy.

Kowboj słyszy komara krążącego mu koło ucha. Instynkt naka-zuje mu zabrać stąd pancerkę, bo znajdują się za blisko telefonu, z którego dzwoniли w dwa trefne miejsca. Jednak dopóki nie bę-dzie wiedział, dokąd konkretnie się udać, nie ma sensu w ogóle ruszać maszyny z miejsca. Za mało ma paliwa na kręcenie się w kółko.

Czekaj, myśli. Patrzy w niebo. Poczekaj, aż chmury się nasuną. Przypomina sobie noc, w które pędził „Pony Expressem” przez chmurę burzową, z kryształem dostrojonym do służby mete-orologicznej, żeby śledzić szlak złej pogody i ukrywać się w niej. Delta nurkowała w deszcz walący o owiewkę, przez ciemność tak całkowitą, tak dotykálną, że świat pędzącego z sykiem samolotu, miękkiego blasku podświetlonych przyrządów wydawał się cało-ścią istnienia, granice wszechświata znajdowały się nie dalej niż na wyciągnięcie ręki poza owiewkę, a wszystkie wspomnienia do-tyczące życia na powierzchni ziemi stały się jakąś naiwną, odległą i zupełnie niemającą związku z rzeczywistością halucynacją, je-dyną rzeczą istniejącą w tym świecie poza Kowbojem i samolo-tem żyjącymi w interfejsie oraz echem jego oddechu obijającym się w ograniczonej przestrzeni hełmu. Wspomina nagle pojawia-nie się błyskawicy, od której aksamitne niebo pojaśniało bardziej niż w dzień, a delta stała się czarną szpilką lecącą na tle płynne-go, skrzącego się, opalizującego bez końca elektrycznego snu... Wizja, którą nigdy nie będzie mógł się podzielić, której nie napo-tka już nigdy i nigdzie indziej. Przynależność, poczucie całości, o której nie mógłby nawet opowiedzieć. Nawet tym, którzy latali razem z nim. Jedynie lśnienie w jego oczach, blask w umyśle. Oraz z rzadka, jak wiedział, w umyśle kogoś innego.

SERCA I UMYSŁY

Jest późne popołudnie. Świat zatrzymał się dla nabrania tchu, ulice miękną powolutku w słońcu, jak porcje lodów. Mieszkańcy Pensylwanii w ciszy oczekują zmierzchu, który nieco zmiękczy hartowane, niczym ostrza Gerber, krawędzie ich świata.

|111

IdU

unguiuuioin

Pancerka jest ukryta w zatopionym do połowy wąwozie starej drogi prowadzącej do miejsca teraz pokrytego tak gęstymi zaroślami, że tylko borsuki wiedzą o zanikających koleinach. Kowboj i Sara idą na w pół wiejską jakąś tam ulicą. On niesie na ramieniu kartonowe pudełko, którym zasłania twarz, gdy przejeżdżają samochody. Ona idzie tuż za nim, odgłos jej kroków tłumi trawa porastająca pobocze. Jeszcze jedna para uchodźców z plecakami, niewarta poświęcenia im drugiego spojrzenia, skoro nawet nie zadają sobie trudu wystawienia kciuka.

Od północy kierowali się na zachód, przez przesmyki zachodnich Appalachów, w głąb Alleghenów wzdłuż rzeki Youghiogeny, skręcili później na starą nawierzchnię szosy Penn Central, w miejscu gdzie zwraca się na północny zachód, w stronę miasta. Po kilku dziesięcioleciach zapuszczenia, Pittsburgh przeżywa okres rozkwitu jako centrum transportowe i nowa stolica Pensylwanii, jedno z nielicznych miejsc, których obróceniem w perzynę Orbitalcy nie zawracali sobie głowy. Kowboj widywał zdjęcia nowej stolicy, granitowej fortecy wznoszącej się wśród tłumu niepewnie świętującego szczęście starego miasta, kompletnej, zawierającej nawet holograficzny obraz Dzwonu Wolności - oryginał został zmiażdżony razem z budynkiem Independence Hall, a potem zmyty do zatoki Delaware przez podnoszący się słony przypływ w formie szarych smug w mętnej wodzie towarzyszących to-nom betonu, popiołów i szerniałych kości, które kiedyś były Miastem Braterskiej Miłości.

O świcie w zbiornikach zostało paliwa na kilkaset kilometrów, a okolica zaczęła się robić zbyt zurbanizowana jak na ich wymogi bezpieczeństwa. Kiedy Kowboj znalazł stary wąwóz, przepalili cały ranek, a potem wyruszyli piechotą; kolejnych dwoje ludzi idących do prosperującego miasta w poszukiwaniu pracy, którzy najoczywiściej skazani są na nocowanie razem z innymi, mieszkającymi w szopach i kartonowych budach otaczających miasto. Ci paskudzą zielone zbocza doliny Monongahela dymami ognisk, na których pichcą strawę, nawiedzają miasto w dzień w poszukiwaniu pracy i unikają ciemnych kątów, gdzie można zostać zamordowanym dla paru monet w kieszeni.

Na jednym z tutejszych przedmieść mieszka znajomy Kowboja, który znajduje adres, korzystając z usługi informacyjnej, i zastanawia się, jakie kontakty w interesach ma jeszcze Reno. Wie, że swego czasu zbił on spory majątek jako deltadżok, a nie wyglądał na człowieka, który łatwo by przepuszczał pieniądze. Jeśli teraz znajduje się całkowicie po legalnej stronie, może to ułatwić wiele rzeczy. Dom Reno otacza mur, siedzi pod nim facet z trzydniowym zarostem, w poszarpanym słomkowym kapeluszu, pali papierosa, czekając z dalszą wędrówką na wieczorne ochłodzenie. Nerwy Kowboja podnoszą alarm, robi, co może, żeby się uspokoić. Takie widoki ani tu, ani gdzie indziej nie są niczym niezwykłym. Bramę sporządzono z wypolerowanego stopu chromu. Odbija się w niej obraz wymizerowanego Kowboja, który stoi obok wysokiej ziemniarki w czarnych, lustrzanych okularach. W odpowiedzi na pytania padające z wrót zdejmuje czapkę i perukę. Głos śmieje się bulgotliwie, w sposób zupełnie pozbawiony wesołości. Przypomina to odgłosy wydawane przez topielca. - Coś mi się zdaje, że widziałem cię na wideo. Właż, właż, oczywiście.

Brama otwiera się bezszelestnie.

Dom stanowi hymn pochwalny dla interfejsu. Jest to geometryczna osobliwa budowla z kryształu i kosztownego stopu spoza planety, sugerująca połączenie ludzkiego umysłu z cyfrową rzeczywistością. Poszczerbione anteny przeszukują niebo, przejrzyste plastikowe rury, elementy jakiegoś systemu klimatyzacyjnego, wiją się wokół domu, układając się w skomplikowany wzór, przypominający układ krwionośny. Krążą nimi płyny o jaskrawych kolorach i tajemniczych właściwościach, strumienie cieczy poprzedzielane są pęcherzami gazu przypominającymi elektrony pędzące przez materię. Prowadzący do domu pasaż wyłożony jest milimetrowej grubości płytkami z materii meteorytowej, zabezpieczonymi z wierzchu twardym, przejrzystym plastikiem pochodzącym z planet gazowych, lśniące żyłki niklu i magnezu odcinają się od matowego, szarego, nieutlenionego żelaza, nakrapianego plamkami chromu i krzemu. Inne meteoryty, zalane szkłem, stoją na podjeździe na metalowych postumentach. Drzwi są wpuszczone w ścianę, kolejna polerowana płyta ze stopu. Otwierają się jak wszystko, bezszelestnie.

- Wygląda to niczym ilustracja z „Życia cyborgów” - mruczy Sara.

Ciemny kamień ścian, cięty laserem, obramowują metalowe belki, przypomina to połączenie drewna i gipsu w dawnych kon-

132

1

strukcjach budowlanych. Wiszące na ścianach ciekłokrystaliczne obrazy zmieniają się bezustannie. Kowboj rozpoznaje jeden z wzorów - to gigantyczne powiększenie schematu jednego z jego skalaków motoryczno-odruchowych.

- Proszę pozostawić broń w holu. Nie tknę jej. - Głos wewnątrz domu jest jakby gładszy.

Sara nalegała, by wziąć hecklera & kocha do plecaka, ale teraz z wymuszonym uśmiechem odkłada pakunek na stół. Kowboj kładzie obok swój plastikowy pistolet. Wchodzą do następnego pomieszczenia.

Miękkie, wypełnione żelazem, podświetlane od wewnątrz meble jarzą się delikatną niebieską poświatą Czerenkowa. Akwaria z genetycznie zmienionymi rybami emitują taki sam zimny, niesamowity blask jak zielony monitor komputerowy. Z ukrytych głośników dobiegają przypadkowe tony, pointylistyczna kakofonia. Reno wchodzi do pokoju przez obrzeżone metalem drzwi.

- Cześć, Kowboju. Dawno się nie widzieliśmy.

- Cześć, Reno. - Kowboj rozgląda się wokół taksująco. - Całkiem nieźle ci się powodzi.

Pięć lat temu nad Indianą delta Reno dostała rakieta w lewy silnik i sprawiła sobie pogrzeb w jakiejś zapadłej okolicy w Wirginii Zachodniej, przy okazji, w czystym, błękitnym wybuchu alkoholowym, posyłając pod chmurki potencjalny dwustumilionowy zysk w farmaceutykach. Był to jeden z ostatnich wielkich rajdów delt i zwrotny punkt w procesie przestawiania się na pancerki. Reno wyskoczył z samolotu, zanim ten wkręcił się w górę Cheat, lecz był poważnie poparzony, ponieważ próbował jakoś przeprowadzić deltę nad porośniętymi drzewami grzbietami na lądowisko w Marylandzie, w dodatku spadochron nie do końca mu się otworzył. Kawałki jego ciała zeskrobywano z drzew. Wśród pancerniaków i dzoków jego pecha wciąż wspominano z żalem. Kowboj odwiedził go kilkakrotnie w szpitalu, a potem dzwonił do niego dwa-trzy razy w roku. Powiedziano mu, że ciało Reno po-składano do kupy, ale mózg został zbyt poważnie uszkodzony, żeby mógł działać prawidłowo, a to oznaczało koniec z dostarczaniem poczty.

Rekonstrukcyjna robota wygląda całkiem dobrze. Ręce i nogi sprawne. Błękitne oczy pasują do siebie. We flanelowych spodniach i koszuli hawajskiej wydaje się w całkiem dobrej formie. Twarz Re-no jest młoda, z wyjątkiem drobnej siateczki zmarszczek wokół oczu, zęby błyszczą mu bielą nawet w półmroku pomieszczenia. Ciemne gniazda w głowie zakryte są brązowymi włosami sięgają-cymi ramion.

- Mam niezły pakiet - mówi. Jego oczy mają jakiś nieobecny wyraz.

- Reno, to Sara, Saro, to Reno.

Oboje pozdrawiają się skinieniem głowy. Kowboj kładzie na sto-le pudełko z matrycami, potem wyciąga dłoń do starego znajomego. Uścisk jego ręki sprawia dziwne wrażenie. Jest jakby troszkę za ciepła, troszkę za... sucha. Każda dłoń jest co najmniej leciut-ko wilgotna. Kowboj spogląda w dół, wykorzystując podczerwień, i widzi, że kończyzna Reno jest równomiernie ciepła, a takiego rozkładu temperatur nie widział nigdy na żadnej ręce. - Proteza - wyjaśnia Reno, dostrzegając wyraz twarzy Kowbo-ja. - Ta ręka, obie nogi i parę jeszcze kawałków tu i ówdzie. - Mogłeś mieć prawdziwe nogi - dziwi się Kowboj.

Reno postukuje się w czaszkę.

- Miałem prawdziwe nogi, ale mózg jest trochę za bardzo uszkodzony. Szlag trafił całą koordynację ruchów, praktycznie straciłem zmysł dotyku - zbyt wiele skóry zniknęło, zbyt wiele neuronów. Ale Modernbody poszukiwało kogoś do przetestowania najnowszych protez.

Wzrusza ramionami, gest ten jest nieco sztuczny, jakby nie był odruchowy, tylko wyćwiczony. Może już zbyt wiele razy Reno mu-siał udzielać takich wyjaśnień.

- Ręka i nogi są okablowane. Mam wszczepiony ciekłokrysta-liczny komputer zastępujący uszkodzoną część mózgu. Sprzężenie zwrotne sprawuje się dość marnie, jeśli chodzi o mój dotyk, ale po katastrofie ten zmysł wcale nie był lepszy. Wszystko to ekspe-rymentalne modele, bardzo zaawansowane technologicznie. Lek-kie stopy, lżejsze niż kości i mięśnie. Poruszam się dużo lepiej niż kiedyś. A jeśli wejdą do produkcji, te protezy będą tańsze niż kło-nowanie i przeszczepy.

- Nie wiedziałem - mówi Kowboj.

- Modernbody płaci mi całkiem niezłą pensyjkę - dodaje Re-no. - Kupiło mi ten dom. Ja jedynie muszę się udać na kontrolę co kilka miesięcy, czasami wmontowują mi jakieś usprawnienia. W dodatku moje nowe części wytrzymają dłużej niż oryginalne. To nadchodzi, myśli Kowboj. Wieczne życie w fizycznym ucie-leśnieniu interfejsu, z szybkością nieograniczoną do sztucznie przy-spieszonych neuroprzekaźników, ale zbliżającą się do prędkości światła, poszerzającą możliwości interfejsu, wszechświata. Mózg w perfekcyjnym, ciekłokrystalicznym analogu. Nerwy jak struny gitary elektrycznej. Serce - wirująca pompa turbinowa. Stalowy Kowboj o ciele jak błyskawiczny, monochromatyczny cień, czyniący sprawiedliwość i naprawiający zło. Kim jest ten zamaskowany SI? Nie wiem, chopie, ale ostawił tyn śrybny odlew kryształowego czipa. Kowbojowi taka przyszłość właściwie się podoba. Jeśli pora-dzą sobie z tym sprzężeniem zwrotnym.

Reno patrzy na niego młodo-starymi oczami, które były dużo młodsze, zanim ten lewy silnik rzygnął nadtopionymi szczątkami w rozrzedzone powietrze i horyzont zaczął szaleć. - No więc - mówi Reno - dostaliście się w krzyżowy ogień?

- Z grubsza biorąc - tak.

Oczy się zwężają.

- Z tego, co słyszę, strefa ostrzału ciągnie się aż do Kalifornii. - Będę się tym martwić, gdy już znajdę się na Zachodzie. A po-tem, na twoim miejscu, gdybym miał jakiekolwiek akcje Tempel Pharmaceuticals, sprzedałbym je jak najszybciej. Reno krzywi się w stronę jednego z obrazów.
- Siadajcie - mówi - i opowiedzcie mi, o co tu chodzi.

Zajmują sąsiadujące fotele, Kowboj w skrócie mówi, co wie. Sara przyjmuje pozycję półłotosu na jarzącej się jądrowym błęki-tem kanapie, nie komentuje niczego. Stara się być niewidoczna, jak dobry ochroniarz.

Reno pociera policzek.

- Czego wam więc trzeba? Transportu na Zachód? KryjóWKi? Znów Kowboj ma dziwne wrażenie - jakby Reno działał stero-wany pilotem, jakby, pomimo całej pomocnej postawy, wszystko działało się odruchowo, bez rzeczywistego zainteresowania. - Mamy coś na sprzedaż.

Kowboj sięga po pudełko matryc i oddziera wieczko. Reno po-chyla się i zagłąda do pojemnika.

- Chcemy upłynnić tysiąc sztuk - mówi Kowboj. - Wszystkie w idealnym stanie, jakość orbitalna, wykonane dla Yoyodyne przez ich filię Olivetti. Konkretnie OCM dwadzieścia dwa osiem-dziesiąt jeden.

W pancerce jest piętnaście tysięcy matryc, ale nie chce brać z własności Hetmana więcej niż to niezbędne. Nie zapomniał, dla kogo naprawdę pracuje Sara.

- Krystaliczne serca - mruży Reno. Wydmuchuje powietrze, wydymając wargi. - O to toczy się bitwa.

Kowboj ma wrażenie, że wreszcie przykuł uwagę Reno. Świat kręci się wokół nich, więc określenie „serce” jest cał-kiem na miejscu, w końcu jeśli serce stanie, całe ciało umiera. Rdzenie komputerów wykonane z ciekłych kryształów, potrafią-cych przekonfigurować się w dowolny sposób z utworzeniem naj-wydajniejszego z możliwych układu dla każdego cybernetyczne-go zadania; raz magazynują dane, potem żonglują nimi, analizują, w końcu zmieniają się tak, by obróbka danych była najefektyw-niejsza z możliwych. Serca mogące wykreować umysły, od odrobi-ny bystrości, jaką Kowboj ma w czasce, umożliwiającej mu kie-rowanie pancerką, do większych modeli składających się na pracujące analogi ludzkiego mózgu, potężnych sztucznych inteli-gencji utrzymujących gładki bieg spraw Orbitalców i rządów pla-netarnych.

Wszystko zminiaturyzowane, spoczywa w kartonowym pudełku. - Czterdzieści serc w opakowaniu - mówi Kowboj. - Pozostałe są w bezpiecznym miejscu. Dostaniesz trzydzieści procent, jeśli zostaniesz naszym trzeciakiem.

Odbicia kryształów w oczach Reno lśnią jak rubiny.

- Sprawdź rynek - mówi.

Dotyka dwóch punktów na znajdującym się przed nim smoli-ście czarnym blacie stołu i w jego wnętrzu rozjarza się terminal komputerowy. Odblask jego barw podświetla twarz Reno. Spod spodu wysuwa czarną skrzyneczkę połączoną kablem z kompute-rem w stole oraz zestaw krystalicznych pamięci. Dotyka kilku kla-wiszy komputera i opada na oparcie fotela.

Akwaria bulgoczą cicho w oddali. Rysy gospodarza łagodnieją, znów tężeją. Długo żegluje w fejsie. Potem jego oczy zwracają się w stronę Kowboja, pełne zaskoczenia.

- Od południa akcje Tempel poszły w górę o dwanaście punk-tów - mówi sennym głosem, pełnym niechęci do wyjścia z fejsu. - Zaatakowali Korolewa, poważna próba przejęcia. Korolew jest te-raz

w kiepskiej sytuacji - ostatnio wykonali kilka niepomysłnych ruchów.

13ti

If

Kątem oka Kowboj spostrzega zaskoczony wyraz twarzy Sary, orientuje się, że rozumie ona dużo więcej z tego, niż się przyzna-wała, będzie miał później do niej parę pytań. Na razie jednak Re-no mówi dalej ze swojego fotela.

- Tempel ma mocną pozycję na rynku farmaceutycznym i w przemyśle wydobywczym, za to zdecydowanie słabą w aero-kosmice. Przejęcie Korolewa wzmocniłoby ich. Rynek sądzi, że Tempel wygra, ale według mojej oceny to nic pewnego. Korolew ma duży majątek buforowy... i są tak utajnieni, że bez wątpienia chowają w zanadrzu coś, o czym Tempel nie ma pojęcia. Kowboj wyobraża sobie dwóch orbitalnych gigantów splecio-nych w elektronicznej walce, używających przeciw sobie notowań giełdowych jako dźwigni, karmiących się danymi droższymi od złota, sztuczne inteligencje i zespoły mózgów korporacji knują-cych manipulacje strumieniami liczb. Kupujących akcje i trans-akcje terminowe przez podstawionych pośredników, tak kontrolo-wanych, że można mieć nadzieję, iż nikt o tym nie wie. Obie strony dysponują niemal nieskończonymi funduszami i zwycięży strona działająca subtelniej, która w swoich manipulacjach omi-nie więcej zabezpieczeń, lepiej zrozumie słabości przeciwnika. Reno wydaje się odpływać, jego umysł wraca w interfejs, ściąga dane przez filtr krystalicznych pamięci. Kowboj ukradkiem zer-ka na Sarę, widzi, jak, podobnie do gospodarza, zwraca się do we-wnątrz, na chwilę wchodzi w swój osobisty krajobraz, tworząc wi-dok bardziej kompletny niż jego. Szkoda, że nie podzieliła się z nim częścią swojej wiedzy.

Reno wychodzi z interfejsu. Jarzące się kolory w głębiach he-banowocznego stołu gasną. Gospodarz odkłada krystaliczne pa-mięci na miejsce, wzdycha głęboko.

- Granice się zacierają - mówi. Głos wciąż ma senny, oczy nie-widzące, jak w transie spogląda w dal wewnętrznego krajobrazu. - Po wojnie podziały były wyraźne: zwycięzcy, pokonani, ofiary. Bloki zgodziły się nie konkurować w pewnych dziedzinach, stwo-rzyły kartele dla zdominowania innych rynków. Wspólnie ustalo-nych rejonach wyzysku. Dzielily się informacjami. Konkurencję ograniczono do dziedzin, od których nie zależy przetrwanie. Lecz wojna stworzyła również wiele próżni - dziur w struktu-rach władzy, dystrybucji, przepływie informacji. Orbitalcy zostali w nie wessani, a tam już nic nie jest tak gładko zorganizowane. Granice były... dużo gorzej zdefiniowane. Nie dało się tak jasno oddzielić zwycięzców od pokonanych. Obecnie, w tych dziedzinach interesy bloków są poprzeplatane, co oznacza, że linie podziałów podlegają pewnym regulacjom. System zaczyna trzeszczeć w szwach, pojawiają się spękania. Wydarzenia w tych niewyraź-nych obszarach mają wpływ na resztę układu. Lekki nacisk tu czy tam, w krytycznym punkcie... może mieć ogromne znaczenie. Raptownie spogląda Kowbojowi prosto w oczy.

- To, oczywiście, nie moje zmartwienie - mówi. - Zamierzam trzymać się gdzieś pośrodku, w węźle fali stojącej. Mam pewne informacje i całkiem dobre wyczucie, jak sprawy się toczą. Prze-trzymam.

- Siedząc w samym środku, znajdziesz się w krzyżowym ogniu - ostrzega Kowboj. - Tak jak ja i Sara.

- Ty nigdy nie zajmowałaś takiej pozycji jak ja, tak samo jak żaden z deltadżoków. Trzeciacy do niej dążą, ale bardzo rzadko ją osiągają. A ja właśnie na niej jestem. - Podnosi rękę, wzrok ma zimny. - Stoję pośrodku dzięki mej naturze. Połowa jednego, poło-wa drugiego. Mogę zatrzymać się w samym węźle, oglądać fale wznoszące się i opadające wokół mnie, Kowboju. Ty odpłynąłeś, by unosić się na innej fali, ale ona również się zapadnie. Kto to mówi, myśli Kowboj. Reno czy ta krystaliczna

masa tkwiąca w jego głowie? Żyje teraz cały czas w interfejsie i pan-cerniak zastanawia się, czy już się w tym zatracił, czy zbyt wielka część jego osobowości nie została wessana w część maszynową, czy kontrola nie przeszła z mózgu do kryształu.

Zwie się to wybieleniem. Komputerowym zauroczeniem. Nie powinno się przydarzać ludziom takim jak Kowboj czy Reno, któ-rzy zdają sobie sprawę z konsekwencji, którzy przez interfejs działają w rzeczywistym świecie, stanowi raczej ryzyko dla teore-tyków - projektantów sztucznej inteligencji, fizyków - ludzi przez większą część czasu zagłębianych w abstrakcjach. Ci potrafią po-mylić obraz elektronu z rzeczywistą cząsteczką, rozmyć się w in-formacyjnej sieci, pędząc z prędkością światła wzdłuż jej szlaków aż do zaniku osobowości, rozrzedzenia jej do nieuchwytności. Z dreszczem zgrozy Kowboj zdaje sobie sprawę, że Reno jest duchem, pustookim zestawem nawyków, który stracił wszystkie cele poza jednym - dostarczaniem kryształowi potrzebnych mu danych. Cała reszta deltadżoka to już czyste odruchy. - Te komputerowe serca są trefne - mówi Kowboj. - Może le-piej schowaj je na jakiś czas.

Reno potrząsa głową.

- Nawet nie zamierzam ich sprzedawać, przynajmniej przez długi czas. Schowam je do skarbca i użyję jako zabezpieczenia po-życzki z fejsowego banku, którą zasilę portfel akcji. Kiedy poobra-cam trochę pieniędzmi, będę mógł spłacić pożyczkę i wtedy serca trafią na rynek. Do tego czasu ta wojna przejdzie do historii. Kowboj opada na oparcie fotela. Wydaje się, że Reno całkowi-cie wyszedł z transu, a jego plan wykorzystania serc sprawia wra-żenie całkiem bezpiecznego.

- Możecie dostarczyć serca tu, do rezydencji, do czasu wynaję-cia skrytki w skarbcu - mówi Reno. - Mam podwójny system bez-pieczństwa. Pierwszy można złamać, jeśli wie się jak. Drugi - no cóż, w ogóle nie będą go szukać. Ktokolwiek przedostanie się po-za mój mur, trafi pod ostrzał.

- Kowboju - odzywa się Sara. Jej głos go zaskakuje, przyzwy-czał się już, że jest tylko milczącą sylwetką siedzącą w półłotosie na obrzeżu pola widzenia. - Do przetransportowania ich tutaj bę-dziemy potrzebowali ciężarówki.

- Weźcie moją - mówi Reno. - Stoi w garażu.

Grzebie w kieszeni, wyciąga kluczyk, mały kryształek na koń-cu szpilki z nierdzewnej stali.

- Tu są kody. Garaż i bramę otworzę stąd. - Spogląda na Sarę, potem na Kowboja. - Chcecie coś zjeść?

- Nie - odpowiada dziewczyna, znów zaskakując Kowboja, tym razem zdecydowanym tonem. - Musimy wracać do pancerki. Wolę nie zostawiać ładunku Hetmana bez nadzoru.

Reno wyciąga lewą rękę, pokazując drogę. Koniuszki palców mu drżą.

- Tędy. W prawo, do końca korytarza. Kuchnia jest na lewo, je-śli zmienicie zdanie.

Sięga pod blat, wyciąga wtyczkę, podłącza do skroniowego gniazdka. Drugą ręką sięga po blok pamięci.

- Muszę pogadać z paroma osobami. Sprawdzić, ile mogę zgar-nać.

- Uważaj - ostrzega Sara.

Reno nie zwraca na nią uwagi, jego oczy już mają niewidzący wyraz. Kowboj wstaje z fotela.

Sara przeciąga się jak rozłoszczony kot, wpatruje się intensyw-nie w Reno, wygina plecy. Ma napięte

mięśnie ramion, zauważa Kowboj, wychodzi, wraca z plecakiem i jego pistoletem, gospodarz nie reaguje.

- Twój kumpel to wariat - mówi później, kiedy jadą już cięża-rówką. Jest wczesny wieczór. - Mózg ma tak wybielony, że prawie musiałam włożyć ciemne okulary, by móc na niego patrzeć. Kowboj prowadzi pojazd przez interfejs, czuje płonące w turbinie paliwo wodorowe, opony suną po mięknącym asfalcie. - Wiem - potwierdza. - Przeżył paskudną katastrofę. - Teraz myśli, że siedzi w węźle, w samym środku kosmicznego strumienia danych - mówi Sara. - Co się stanie, jeśli materia mię-dzygwiezdna każe mu nas zdradzić?

- To stary kumpel - protestuje Kowboj niespokojnie. - My te-go nie robimy.

- A jeśli to robi? - nie ustępuje Sara. - Tempel z radością da mu dwa tysiące kryształów, przebijając nasz tysiąc. W dodatku nie byłoby podziału siedemdziesiąt do trzydziestu. Kowboj czuje narastającą złość.

- Jeśli on jest zdrajcą, wcale nie jesteśmy w gorszej sytuacji, nie? Jakoś nie zauważyłem twoich kumpli spieszących z pomocą. Milcząca furia Sary jest jedyną odpowiedzią. Przez całą resztę drogi Kowboj czuje, jak promieniuje z niej - cicha, niemal nama-calna.

BUNT SZTUCZNEJ INTELIGENCJI W LENINGRADZIE SIEĆ INFORMACYJNA KOROLEWA I. G.

ODMAWIA SKOMENTOWANIA PYTAŃ DOTYCZĄCYCH OCHRONY W panujących o czwartej rano ciemnościach Kowboj wyprowadza pancerkę z wąwozu, razem z Sarą przeładowują tysiąc kryształowych serc do lekkiej ciężarówki Reno. Komary brzęczą wokół nich, celując w nadgarstki, szyje, miejsca za uszami. Sara dała jasno do zrozumienia, że zamierza dokładnie przyjrzeć się okolicy posiadłości Reno, zanim pozwoli wjechać tam ciężarówce. Okazuje się to zupełnie niepotrzebne.

Strach wlewa się Kowbojowi w żyły, niczym amoniakalny lód, kiedy z odległości kilometra widzi chmurę dymu unoszącą się nad ii ii; domem kumpla jak powolny, szary duch, od spodu podświetloną kolorem krwi. Mijają ich policyjne radiowozy, syreny wyją raz na wysokich, raz na niskich tonach. Sara opuszcza okno, odległy od-głos kanonady odbija się echem od łupkowych wzgórz. - Ten drugi system obronny - mówi Kowboj.

Spód chmury rozjaśnia pomarańczowy błysk, sekundę później dociera stłumiony huk. Kowboj odsłania zęby, czując zalewającą go falę złości, niczym alkoholowy płomień. Obraca ciężarówkę i otwiera dopływ wodoru do turbiny, przyspieszenie wciska go w fotel. Poślizgiem bierze zakręt, ładunek grzechocze z tyłu. Jeśli zdoła dotrzeć na czas do pancerki, może zdoła wyciągnąć Reno, „Pony Express” pędzi na ratunek...

- Kowboju - odzywa się Sara. - Zwolnij. Lepiej, żeby nikt nie sprawdzał naszego numeru rejestracyjnego.

- Wyciągnę Reno pancerką.

Sara pochyła się ku niemu, jej oczy lśnią jak diamenty. - Reno jest załatwiony, Kowboju. Teraz jedyne, co może dla nas zrobić, to doprowadzić do naszej śmierci. Oni będą przygotowani na pancerkę. Działko na wieżyczce ich nie zaskoczy. - Jest szansa.

Dziewczyna chwyta go za rękę, czuje ból przeszywający mu nerwy.

- On jest sam, Kowboju - mówi. - My też.

Słyszy żal w jej głosie, zaskakuje go to.

- Jesteśmy sami - powtarza. - Tak samo jak po opuszczeniu Wolnej Strefy. Jedyna różnica, że teraz wiemy to na pewno. Potężny błysk za nimi zmienia dym w opalizującą chmurkę, prześwieconą białym ogniem. Z tyłu, na szyi, Kowoj czuje falę go-rąca. Jest pewien, że po czymś takim nie zostało tam nic. Turbina, jakby z własnej woli, obniża ton swojego cichego wycia. Świt wspina się na zbocza Appalachów. Asphalt zaczyna mięknąć.

Rozdział ósmą

PODSUMOWANIE NOCY W TAMPIE,

28 ZABITYCH ZNALEZIONO W OBRĘBIE MIASTA...

„LUCKY WINNERS” WYPŁACA 15 DO 1

POLICJA PRZYPISUJE WINĘ REKORDOWEJ FALI UPAŁÓW Stygnące silniki pancerki potrzaskują, brzmi to, jakby ktoś de-likatnie pukał w pancierz. Ciepłe obrazy wolno wiją się na siatkówkach Sary.

- Opowiedz mi o Korolewie - mówi Kowboj.

Sara patrzy na niego zaskoczona.

- Wiedziałaś o nich coś, czego nie wiedział Reno - nalega Kow-boj. Twarz ma napiętą, złą. - Jeśli ja też się tego dowiem, będę miał większe szansę na przeżycie. Musisz mi powiedzieć. Mam do tego prawo.

Przejechali kolejne sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód przez łupkowe wzgórza i znaleźli kryjówkę w suchym, zarośnię-tym krzakami jarze, przecinającym Granicę w Ohio, położonym w dawnym parku narodowym, w lesie zbyt starym i próchnieją-cym, żeby opłacało się ścinać w nim drzewa. To koniec jazdy pan-cerki, w jej bakach zostało niewiele więcej niż zapach alkoholu. Sara siedzi na koi pasażera. Siedmiomilimetrowa łuska toczy się po podłodze, kiedy prostuje nogę, myśli o echu strzelaniny od-bitym od wzgórz Pensylwanii, ostatnim białym błysku, który wszystko zakończył. Brukowce podają, że uzbrojona grupa niewia-domego pochodzenia usiłowała włamać się do posiadłości Reno i została zatrzymana przez systemy obronne. Policja po przybyciu na miejsce została ostrzelana zarówno przez atakujących, jak wnwivwvm i automaty domu, zareagowała radykalnie, zanim udało się dojść, o co chodzi. Nikt nie przeżył.

- Kolegium Uczniów Korolewa - przypomina jej Kowboj.

Dziewczyna ma wrażenie, że słowa te ciążą jej jak kamienie.

- Dobrze - godzi się.

W myślach przelatują jej obrazy, fioletowe pogardliwe oczy Fi-rebud, opaski firmowe na tancerzach strefowych w Aujourd'Oui, ta ostatnia informacja, PROCEDURA W TOKU płonąca w nieskończoność na ekranie Danicy, podczas gdy Sara wsłuchiwała się w chwile mijające z powolnością kropli ściekającego syropu. - Dobrze - powtarza.

Czuje nacisk spojrzenia Kowboja i poddaje mu się. Historia, myśli. To i tak nie ma znaczenia.

- W tej operacji chodziło o przeniknięcie w głąb firmy - wyja-śnia mu. - Skierowana była przeciwko komputerowi Korolewa w Tampie. Zewnętrzne zabezpieczenia okazały się zbyt trudne do złamania, więc ja miałam użyć kuriera Korolewa, by wprowadził mnie do siedziby i stamtąd, spoza linii obrony, wpisać program do ich systemu. Domyślałam się, że to jakiś atak na dane, ale okazuje się, że to raczej sabotaż. Zadaniem programu było zniszczenie planów strategicznych Korolewa w celu osłabienia ich i ułatwie-nia przejęcia.

- Co kurier z tego miał?

Sara czuje drżenie Łasicy, ciężkiej konstrukcji ukrytej w gar-dle. Patrzy na Kowboja, wzywając go do reakcji. - Oczekiwał chędożenia, dostał czapę.

Kowboj wytrzymuje jej spojrzenie.

- Okay - mówi.

- Zasługiwał na to.

- Nigdy nie twierdziłem, że nie.

W końcu to Sara spuszcza wzrok. Skubie stary wełniany koc le-żący na koi, czując gęstą, nieruchomą atmosferę, zapach potu, chemicznej ubikacji i rozgrzanego metalu. Nawet pomimo otwar-tego

górnego wjazdu powietrze we wnętrzu ani drgnie. - Jak spotkałaś tego Cunninghama? - pyta Kowboj.
- Hetman podał mu moje nazwisko. Przypuszczam, że od czasu do czasu robili interesy.
- Teraz próbują się pozabijać.
Sara wzrusza ramionami.
- To interesy. Nic osobistego. Cunningham nie jest facetem, który by mieszał te dwie rzeczy, a gdyby nawet, jego firma by mu nie pozwoliła.
Kowboj bierze hełm z oparcia swojego siedzenia, trzyma go luźno w dłoniach.
- Jedno z drugim jest powiązane, nie sądzisz? Jednoczesny atak Tempel na trzeciaków i na Korolewa?

- Nie wiem. Czy atak na ciebie mógłby służyć osłabieniu Koro-lewa?

- Nie mam pojęcia, w jaki sposób. Nikt w tym kraju nie używa ich silników ani części. Ja mam turbiny Rolls-Royce'a na licencji Pratta i Whitneya.

Sara opiera się plecami o grodz i zamyka oczy. Wciąż jeszcze słyszy ryk silników, drżenie metalu. Pod powiekami ciągle płonie bursztynowy napis PROCEDURA W TOKU. Potrząsa głową.

- Nie potrafię znaleźć tu związku - mówi.

- Muszę dotrzeć na Zachód, Saro. Dysponuję tam pewnymi środkami.

Dziewczyna spogląda na niego spod uniesionej brwi.

- Ukryty skarb?

- Właściwie tak. Oraz przyjaciele.

Sara milczy, zamyka tylko oczy.

- Idziesz? - pyta Kowboj niecierpliwym głosem. - Czy też zamierzasz spróbować wrócić do Strefy Okupowanej? - Mój brat jest na Florydzie. Powinnam o niego zadbać.

Kowboj zmienia pozycję na swoim siedzeniu.

- Jak mówiłaś? Ile on ma lat?

- Nie mówiłam, ale ma dwadzieścia lat.

- To może sam o siebie zadbać.

Sara otwiera oczy i uśmiecha się szyderczo.

- Wygląda na to, że ty potrzebujesz mojej opieki. Jednym, błyskawicznym ruchem, za szybkim dla oczu Sary, Kowboj uderza hełmem o podłokietnik.

- Ja jestem celem, niech to szlag! Szukają mnie! Będąc z tobą, staję się mniej widoczny. Bezpieczniejszy.

Sara śmieje się i potrząsa głową.

- To oznacza jedynie, że stoję tuż koło tarczy. Daj sobie spokój, Kowboju. Sama potrafię ściągnąć na siebie ogień. Patrzy na nią, mięśnie szczęk pracują mu nerwowo. Ku jej zdumieniu jego oczy mają wyraz beznadziei, niemal pustki, w której kołacze się tylko desperacja.

- Zapłacę ci - mówi. - Standardową stawkę ochroniarza. Wy-płata po dotarciu do Montany.

- Standardowa stawka plus bilet na Florydę - odpowiada Sara automatycznie, jednocześnie intensywnie usiłując zdecydować, czy naprawdę chce tej pracy. Myśli o zamglonych endorfinami oczach Dauda, który leży pod choinką z zielonych diod zautomatyzowanego łóżka, na próżno czekając na Jackstrawę, i który nie ma nikogo, do kogo mógłby się zwrócić oprócz siostry - lecz jej się boi. Pragnie powrotu dawnej swojej magii, własnego miejsca na ulicy, a jednocześnie zdaje

sobie sprawę, że stracił to bezpowrot-nie, bo reguły się zmieniły, tak dla niego, jak i dla Sary, że będzie musiał znaleźć nowy układ, nowy sposób zaspokajania własnych potrzeb... Sara nie chce, żeby pozostawał sam, żeby jedyną rze-czą, w którą może się wpatrywać, była nicość endorfinowych opa-rów.

Jednak robota w tym momencie zapewniłaby przyływ gotów-ki, może dość na przedpłatę za sztuczne oko dla brata. Podróż do Montany prawdopodobnie nie zajmie więcej czasu niż na Flory-dę, a kiedy dostanie zapłatę, łatwiej będzie się jej przedostać przez kontrole do Okupowanych Stanów, niż gdyby nie miała przy sobie ani grosza. Gliniarze z Wolnej Strefy nie lubią wpuszczać nędzarzy.

W trakcie walk na Florydzie pracy nie zabraknie, lecz udanie się tam już teraz mogłoby okazać się nazbyt niebezpieczne: Het-man mógłby wydać ją Cunninghamowi w ramach kosztów zawar-cia pokoju. Interesy, oczywiście, nic osobistego. Czyli - najlepiej będzie przyjąć ofertę Kowboja.

Wyraz jego oczu też wcale nie jest bez znaczenia, dotyka czę-ści jej osobowości, o której stara się nie myśleć. Tej części, która nie chce, by następny etap tej wędrówki był samotny. Sara targuje się przez chwilę o konkretne znaczenie słów „standardowa stawka”, nie chcąc, by Kowboj pomyślał sobie, że łatwo ją kupuje. W końcu zgadza się zapłacić nieco więcej niż w innych okolicznościach, choć nie tyle, ile Sara podejrzewa, że zdołałaby z niego wycisnąć. Wreszcie dziewczyna wstaje i wzru-sza ramionami.

- Okay. Załatwiłeś sobie ochroniarza. A teraz, co masz do je-dzenia?

- Zostały tylko żelazne racje. Liofilizowane. Starczą na trzy, cztery dni.

Sara krzywi się.

- Liofilizowana soja, moja ulubiona.

- O ile nie napadniesz na bank, żeby kupić prawdziwe jedze-nie.

- To jest jakieś wyjście. - Uśmiecha się.

Opiera się dłońmi o metal niskiego sufitu i naciska, wczuwając się w naprężenie mięśni. Nagle zaczyna się jej spieszyć w drogę. Dobrze będzie wydostać się z tego chobhamowego pudła, złapać trochę świeżego powietrza. Dobrze mieć dokąd zdążyć, nawet je-śli cel jest cudzy.

- To bank zabił Reno - mówi Kowboj. - Próbował zrobić pie-niądze na tych sercach i ktokolwiek ubijał z nim ten interes, mu-siał podkablować go Tempel.

Jeśli się wie, gdzie patrzeć w interfejsie, można znaleźć bank udający zupełnie co innego - kompanię handlową albo makler-ską - który oferuje niezwykle wysokie oprocentowanie, nie sprawdzając przy tym nazbyt dokładnie pochodzenia gotówki. Również nie zgłasza swoich transakcji, jak wymaga tego prawo, albo radośnie akceptuje fałszywą tożsamość klientów, jeśli taką podadzą. Oczywiście żadnych gwarancji - czasami taki bank zni-ka nagle bez śladu wraz z całą złożoną w nim gotówką. Takie wy-darzenia powszechnie akceptowano, jako jeden z elementów ry-zyka tego typu spekulacji, lecz nie zdarzało się to zbyt często. A czasem bank po prostu zmieniał przykrywkę, kontaktując się z klientami nieco później.

- Jeśli Orbitalcy są w siatce trzeciaków, mogą prowadzić kilkanaście interfejsowych banków i nikt by nie miał o tym po-jęcia - mówi Kowboj. - Może tu jest związek. Może trzeciacy używają banków Korolewa, a Tempel chce wszystko przechwy-cić.

Rozważania Kowboja wydają się teraz bezcelowe. Sara rozpo-czyną czyszczenie hecklera & kocha. Zamierza wrzucić go do ple-caka. Może okazać się, że w Montanie stacjonuje czyjaś armia, a w

takim wypadku lepiej mieć wszystko sprawne.

IHO unouiuuioi

NALOT NA KRYJÓWKĘ KOŁO GRANICY ARKANSAS PRZEPROWADZONY W SAMO POŁUDNIE

Pancerniaczka Ginie Po Odmowie Poddania Się
Skonfiskowano Fortunę w Elektronice

M. B. I. Zaprzecza, Jakoby Użyto Napalmu

Na niebie barwy mokrego łupku lśnią gwiazdozbiory władzy, fabryki Orbitalców, satelity i stacje energetyczne. Kilka wcześniej pojawiających się gwiazd stanowi dla nich kiepską konkurencję. Sara jest skupiona głęboko w swoim interfejsie, ciało ocieka jej potem. Błyskawiczne kopnięcia, cięcia rękami jak mieczem i pięści śmigają w wilgotnym letnim powietrzu niczym gorące pioruny. Wyobraża sobie przed sobą twarze, pomaga to w skupieniu, w wy-prowadzeniu ciosu w samo serce fantomowego wroga. Obraca się gwałtownie, unosząc nogę, ogląda się przez ramię, zwała z nóg przeciwnika. Żdźbła zgniecionej tymotki stanowią dobre oparcie dla jej bosych stóp. Trzyma Łasicę w ukryciu - nie ma sensu ujawniać niespodzianki. Kowboj przygląda się z cienia wiązu o liściach brunatnych od rdzy. Zmęczyła go długa wędrówka w upale, tylko dwukrotnie udało im się podjechać krótki kawałek. Wciąż są jeszcze w Ohio, trzymają się bocznych dróg, aby utrudnić poszukiwania. Mieli nadzieję natrafić na jakąś starą farmę, gdzie mogliby biwakować, ale wygląda na to, że stan likwiduje takie opuszczone gospodarstwa, żeby zniechęcić do włączenia.

- Ależ cię wzięło, no - zagaja Kowboj.

Sara nie odpowiada, uderza łokciami i dłońmi w przeciwników po obu bokach. Walczy z armią duchów pojawiających się przed nią, twarze bez nazwisk, tak wyprane z tożsamości jak Cunin-gham, ich głosy to potrzaskiwanie martwych gałęzi poruszanych słabym wiatrem. Energia przepływa przez jej mięśnie niczym żywe srebro, dziewczyna wybucha ruchem, obraca się, kopie, skacze, otoczona zasłoną ze śmigających rąk.

Nagle nieruchomieje, w postawie pełnej gotowości, a armia duchów rozwiewa się. Pot ścieka jej wzdłuż brwi. Ciężkie powietrze przelewa się jej przez gardło jak gęsty miód. Od drogi o rozpadającej się nawierzchni, znajdującej się jakieś pięćdziesiąt metrów za krzakami, dobiega łomot ciężarówki na wybojach. Sara odczekuje, aż dźwięk całkowicie zaniknie w nadciągającym mroku.

Odwraca się i uśmiecha do Kowboja.

- Teraz bym coś zjadła - mówi.

- Nie powinnaś się uklonić czy coś w tym rodzaju?

Wyciąga z plecaka zafoliowaną paczkę, rzuca w jej kierunku. Jej nerwy wciąż są na nadbiegu, chwyta pakiecik, jakby poruszał się w zwolnionym tempie. Siada przed pancerniakiem w półłocie i rozrywa folię.

Kowboj przygląda się jej ciemnymi, syntetycznymi oczami.

Zdjął czapkę i perukę, leżą na trawie obok niego.

- Masz kryształ? - pyta. - Czy też doszedłeś do tego ciężką pracą? Sara posyła mu wilczy uśmiešek i oddziera pasek analogu mięsa.

- Trochę tego, trochę tego - odpowiada.

- Nie dziwię się. - Jego źrenice się zwężają. - Ta blizna przeci-nająca lewą brew. Nie wygląda jak po nożu czy brzytwie. Sara przełyka suchy kawałek białka sojowego, potrząsa głową. - Butelka - wyjaśnia. - Mój ojciec upił się i zaciął mnie, kiedy jeszcze byłam mała.

- A ta na policzku?

- Nożownik w ulicznym starciu. Lata temu.

- Pod wargą?

Przez chwilę dziewczyna znów widzi szalone oczy odbijające słabe, czerwone światło, mokre wargi powtarzające raz za razem, niczym jakąś inkwizycję, „suka, suka”, brzytwę zaciśniętą w pobielających palcach. Przypomina sobie, jak zorientowała się, że straciła nad tym kontrolę, że w końcu trafiła na jednego z tych klientów, którzy mają konkretną nazwę, wymawianą nawet przez najtwardsze jej współpracownice ochryplym, przerażonym głosem: „kołtun”. A potem rzut krzesłem, rozbryzgujące się krople jej krwi, wysadzany klejnotami półksiężyc zostawiający szkarłatne bryzgi na pastelowo błękitnej koszuli szaleńca, który w następnej chwili umierał w nogach łóżka ze strzaskaną czaszką. Stała nad trupem i szczątkami krzesła, krew spływała jej po szyi, pierśiach i ramionach, a w głowie kołatała się jedna myśl - równie przerażająca jak uświadomienie sobie przed chwilą, z kim ma do czynienia - że w końcu poznała, kim naprawdę jest. Podnosi na Kowboja wzrok przepełniony wściekłością.

- Co my tu robimy, facet? - pyta. - Piszemy historię? Sporządzamy katalog moich błędów? - Prycha, łapie z ziemi butelkę z wodą,

1HB

unouituum

gwałtownie ją odkręca. - Każda blizna to błąd, okay? Odrobinę niewłaściwa ocena sytuacji, kiedyś tam, w przeszłości. Ale nie robię ich już więcej. Tym razem stawka jest nieco wyższa, nieprawdaż?

Odchyła głowę do tyłu, pije. Woda jest ciepła i śmierdzi plastikiem.

® - Zastanawiam się, czemu ich nie usunęłaś - wyjaśnia spokojnie Kowboj. Nie zamierza odpowiedzieć złością. - To wszystko. Sara wyciera usta w rękaw dżersejowej bluzki.

- Bo pomagają w interesach - odpowiada. - Niektórzy ludzie mają wątpliwości, czy ziemniak nie boi się oszpeceń albo czy nie obawia się ran bardziej niż facet. No to udowadniam, że nie, jak się da najlepiej. Zadowolony?

Kowboj uśmiecha się, Sarze przypomina się Cunningham, ta wyrażona wąsko zaciśniętymi wargami zimna, pełna wyższości ocena.

- Zadowolony - potwierdza. - Nie obawiasz się mówić ludziom, kim jesteś. Ja też nie.

Dziewczyna spogląda na gniazdka wszczepione w jego czaszkę, niemal niewidoczne w zapadającym mroku.

- Kiedy pierwszy raz cię spotkałam, myślałam, że jesteś nabi-janym łbem. Sądziłam, że będę musiała nianczyć dinozaura. - Na Zachodzie gniazda fejsowe znaczą coś innego. Jednak jeśli tutejsi chcą popełniać tę pomyłkę, w porządku. Nie potrafię się przejmować ich zdaniem.

Sara kończy paczkę sojowego posiłku, zgniata ją. Słyszą wizg pociągu przejeżdżającego gdzieś na południe od nich, czują wywołane przez niego drżenie ziemi. Kowboj odwraca się w stronę dźwięku.

- Dawnymi czasy załapałibyśmy się na pociąg - mówi. - Za parę dni byłibyśmy na Zachodzie.

- He? Bardzo dawnymi czasy, jeśli przed wyposażeniem wago-nów w zautomatyzowane wyrzutnie paralizujących strzałek i laserowe czujniki.

- Nie tak dawno. Wówczas trzeba było uważać tylko na prywatne gliny zwane bykami. Jeden z moich przyjaciół ma o tym parę piosenek w szafie grającej.

- Jakiej szafie? Czy to kolejne coś, co macie tam na Zachodzie?

Przygląda się jej w zamyśleniu.

- Chyba tak - odpowiada.

Pot Sary chłodzi jej skórę. Pociąga kolejny łyk wody, żałuje, że skończył się elektrolitowy napój uzupełniający Kowboja. Mają tylko witaminy i aspirynę z pakietu pierwszej pomocy. Pochyla się do przodu, rozprostowuje ramiona, czuje sprężystość mięśni.

Dobrze dziś będzie spała na poduszce z trawy. |

To niemalże mogłyby być wakacje, myśli. Gdyby nie świadomość, co czeka ich na końcu drogi. „n>,”

NAJGORĘTSZE LATO W HISTORII

SZÓSTY REKORD W CIĄGU OSTATNICH DZIEWIĘCIU LAT Rekordowe Fale Upałów od Wybrzeża do Wybrzeża (Wyjaśnienia klimatologów, strona 16)

Motocyklista ma około siedemnastu lat, jest chudy, pokazuje obnażoną, zapadniętą klatkę piersiową. Jego opalenizna tak bar-dzo nie pasuje do niezdrowo wyglądającego ciała, że sprawia wrażenie namalowanej. Chude jak zapalki ręce pokrywają tatuaże, wspinające się aż na ramiona, niebieskie schematy obwodów, przy bliższym przyjrzeniu się tworzące twarze, diabły, ikony, ko-biety z wylupionymi oczami i ciekłokrystaliczne języki. Oczy ma zapadnięte i kompletnie szalone. Włożył na siebie tylko džinsy o nogawkach niezdarnie obciętych nad kolanami i ciężkie bucio-ry z tępymi okuciami z brązu na noskach.

- Zabierzemy was - mówi. Jego głos niemal ginie w jazgocie dosiadanej przez niego turbiny. - Zabierzemy was aż do wielkiej rzeki.

Nazywają siebie Srebrnymi Apaczami, ich przywódca ma na imię Ivan. Jeździ na turbinowym tricyklu z zamocowanym z przodu zrywaczem drutów, wygiętym łukiem w górę srebrzystym ostrzem. Pozostali to mężczyźni pokryci takimi samymi, precy-zyjnymi tatuażami w stylu Eschera, kobiety mające głowy i pier-si okryte chustami zadrukowanymi podobnymi wzorami, siedzą na błyszczących trój- i dwukołowcach o szerokich, lamowanych oponach. Większość prowadzi przez fejs, niektórzy ręcznie. Sara domyśla się, że nie spędzają dużo czasu na utwardzonej na-wierzchni.

- Wsiadaj, łazik - mówi Ivan. - Możecie nazywać nas w skrócie Srebrni. - Obrzuca ją spojrzeniem pełnym uznania. - Zaczę zbro-ję nosisz. Ktoś cię poszukuje?

- Od chwili kiedy mnie znalazł, już nie - odpowiada Sara. Ivan uśmiecha się, pokazując brunatne zęby oplecione metalem. Kowboj rozmawia z czarnoskórym Srebrnym, którego skołtu-nione włosy nie do końca przesłaniają dwa rzędy gniazd wpusz-czonych w czaszkę, większość z nich stanowi jedynie szczególną ozdobę - przecież pięć złącz pancerniaka pozwala mu prowadzić interfejsem dowolny pojazd. Sara spogląda na Kowboja, widzi je-go wzruszenie ramion, mówiące, że wszystko w porządku. Zajmu-je niewielkie, sprężynowo zawieszone siedzenie za Ivanem. Grze-bie w kieszeni džinsów, przy czym mięśnie ramion prężą się pod tatuażem.

- Nerwo-płuka, łazik? - pyta i podaje jej galwanizowany inha-lator.

Sara potrząsa głową.

- Nie. Dzięki.

Kombinacja amfetaminy i okablowanych nerwów jest zbyt nie-przewidywalna. Ivan wzrusza ramionami.

- Najlepszy sposób na uciechę z jazdy. Ale jak chcesz, łazik. Odpala torpedę w każde nozdrze, odrzuca głowę do tyłu, śmie-je się. Turbina zwiększa obroty.

Srebrni Apacze gnają z pełną prędkością, tworząc mniej wię-cej jedną linię, przeskakując rowy, przecinając pola kukurydzy albo soi, zmieniając kierunek jedynie po to, by ominąć miastecz-ka lub zamieszkane budynki. Gdy drogę zagra-dza im płot, na czo-ło wysuwają się chromowane tricykle ze zrywaczami drutów. - Próbujemy przywrócić niegdysiejszą wolną drogę, kapujesz. Ivan śmieje się, gdy tricykl przecina dwuipółmetrowe ogrodze-nie, zwijające się jak bicze druty uderzają go po

ramionach, tryska krew. Bydło ryczy przerażone, rozbiega się na wszystkie strony.

Kiedy tricykl przeskakuje rowy i łożyska strumyków, czasami pędząc tylko na dwóch tylnych kołach, Sara ma kłopoty ze znalezieniem uchwytów dla rąk. Z tego, co widzi, styl jazdy Srebrnego powinien być leniwy, ot, leżenie sobie w siedzisku i sterowanie przez interfejs, bez emocji, jakby się oglądało wid - nawet ci prowadzący ręcznie usiłują sprawiać wrażenie, że jadą bez wysiłku - lecz nerwopłuk Ivana psuje efekt. Ciągłe wystukuje palcami rytmy na gołych kolanach, na chromowanych klawiszach komputera przymocowanego do bezużytecznej kierownicy.

Późnym popołudniem Ivan przecina płot otaczający pastwisko, jednak nie wjeżdżają na nie, wszyscy się zatrzymują, przyglądają się, jak czarnoskóry Srebrny zsiada z motocykla, bierze młot na krótkim stylisku i jednym uderzeniem powala jałówkę. - Świeża cielęcinka - mówi Ivan, szczerząc zęby w uśmiechu.

Srebrni wyciągają noże do oprawiania i podchodzą bliżej. Gumowe pasy przytrzymują na motocyklach okrwawione pa-kunki z wołowiną. Srebrni wjeżdżają w obniżenie na wschodnim brzegu Wabash, porośnięte rzadkimi krzakami. Dwie wędrowne rodziny rozbiegają się w poszukiwaniu kryjówek przy akompaniamencie dzikich gwizdów, białe nogi dzieci błyskają w słońcu niczym ogony przerażonych jeleni.

- Nasza rzeka! Nasza plaża! - wrzeszczy Ivan, przekrzykując wycie turbiny, a jego zrywacz drutów tnie na strzepy schronienie sporządzone z brezentu i wyrzuconego na brzeg drewna. Zeska-kuje z motoru, by splądrować zawiniątka z koców pozostawione przez wędrowców.

- Pieprzone ofiary! - Jego wrzask przypomina jazgot silnika. - Myślicie, że będę spał pod waszymi zapchlonymi szmatami? - No-żem do oprawiania zwierząt rozdziera na pół koc, miażdży pod butem lalkę z kolby kukurydzy. - Precz mi z oczu! - Pozostali śmieją się i dołączają do niego.

Srebrni Apacze rozpalają ogniska z wyrzuconego przez wodę drewna, najpierw palą resztę porozrzucanej własności wędrownych rodzin, potem zaczynają własne barbecue. Kilkoro z nich zanurza się w mulistej wodzie, splukując kurz. Sara patrzy na rzekę, czuje ciężar hecklera & kocha w plecaku, decyduje, że nie czas na to. ‘

- Nie krępuj się - odzywa się Kowboj. Jest zaskoczona, że zdołał podejść do niej tak, że go nie usłyszała. - Popilnuję ci pistoletu. Sara zrzuca plecak ruchem ramion, ściąga kuloodporną kurtkę i tenisówki, wchodzi do ciepłej wody. Srebrni wyją i chlapią w pobliżu, lecz kiedy tylko się zanurza, wrzaski cichną, ma wrażenie, że pod wodą słyszy to, co się dzieje kilometry dalej. Rzeka unosi ją. Kładzie się na plecy i dryfuje, pozwalając Wabash przejąć na siebie cały ciężar świata.

ni

vnnvviwvm

Później, kiedy Kowboj idzie do wody, leży na brzegu z plecakiem pod głową. Zachodzące słońce zmienia rzekę w potok żywego srebra. W powietrzu unosi się zapach jedzenia. Sara obserwuje, jak Ivan chodzi tam i z powrotem po plaży, rozgląda się na prawo i lewo, jakby przeprowadzał przegląd swojego oddziału. Motocyklista od czasu do czasu śmieje się bez widocznego powodu. Zauważa ją w cieniu, podchodzi, uśmiechając się pod nosem. - Masz coś fajnego w plecaku, łazik? - pyta. - Przerzucasz prochy przez Granicę?

- Gdybym to robiła, siedziałabym w pancerce w drodze z zachodu na wschód - odpowiada Sara - a nie łapałabym stopa w niewłaściwym kierunku.

Ivan wzrusza ramionami.

- Nie zawsze, łażiku. My czasami przeskakujemy Granicę. Możemy przewieźć niewielkie ilości, to pozwala zadbać o motory. W tym interesie jest wielu amatorów, sporo chodzi pieszo. I trochę to śmieszne, że nosisz zbroję.

- Człowiek, który mi ją sprzedał, twierdził, że nie można jej odróżnić od normalnego materiału. I nie przewożę prochów. Ivan chichocze.

- Co ty powiesz. Wszyscy mamy swoje sekrety.

Sara podnosi na niego wzrok.

- Czy to tajemnica, dlaczego nienawidzisz wędrowców?

Motocyklista uśmiecha się szyderczo, wzrusza ramionami. - Hej - mówi - oni stracili, okay? Stracili swoją robotę, domy, samochody. Wszystko. - Nachyla się nad nią, wyszczerza w uśmiechu metalizowane zęby. - Ale ci głupi frajerzy chcą to odzyskać. Właśnie dostali wolność i nie chcą jej - chcą tylko swojego domu, roboty w fabryce i kawałka zieleni do biegania dla dzieciaków. - Śmieje się i macha rękami. - Kiedy mogą mieć to! Wolność! Grzebie w kieszeni, wyciąga inhalator, odpala dwie torpedy. - W zeszłym tygodniu wysmarkałem kawał śluzowki prosto w garść - oznajmia. - Któregoś dnia będę musiał przejść na pigułki. Ivan odchodzi niezdarnie, porusza przed sobą palcami, jakby stukał w klawiaturę komputera. Sara szuka w plecaku butelki z wodą. Znow zbliżają się kroki, widzi jedną z kobiet Srebrnych, zbliża się z dwiema butelkami piwa. Chyba każda jest inna. Jej wygląd jest rezultatem dobrej mieszanki genów murzyńskich i azjatyckich, włosy ma krótko przycięte, co zapewnienia dostęp do złącz, jest nieco starsza od pozostałych. Brodawki sutkowe sterczą jej pod mokrą chustą, którą przewiązała niewielki biust. Wyciąga rękę z piwem.

- Mam na imię Sloe. Jak w nazwie nalewki*.

- Dzięki. - Sara bierze butelkę i patrzy na nią. - Skąd wzięliście piwo w butelkach z plastiku zrobionego z ropy naftowej? - Jeden z naszych nieregularnych członków je warzy. Flaszki mają pewnie z osiemdziesiąt lat.

- Warte są fortunę.

- Wiemy. Po prostu mamy to gdzieś.

Sara przechyla głowę w tył, pije. Piwo jest ciemne, leciutko słodkawe. Kiwa głową z uznaniem, ociera usta. Od strony, gdzie odbywa się barbecue, dobiega rechot Ivana. Sloe zwraca swoje skośne oczy w jego stronę.

- Ivan umrze - mówi. - To dlatego za nim podążamy. - Zwraca się z powrotem do Sary, z uśmiechem Mony Lisy. - Zawsze idzie-my za skazanymi. Tymi, którzy wskazują nam drogę. - Etyczni Nihilisci?

Sloe kiwa potakująco głową.

- Słyszałaś. To dobrze.

- Czasem docierają na Florydę, w okolicę gdzie mieszkam i podpalają się albo coś w tym rodzaju. Kompletnie to psuje po-ranne raporty o nieboszczykach. Umrzyj z klasą i miej nadzieję, że cały świat pójdzie za tobą, prawda?

Głos Sloe jest cichy, delikatny w swej pewności. - Świat pójdzie za tym, niezależnie od wszystkiego. My po prostu chcemy, by inni to zaakceptowali. Odejść z odrobiną godności, przezorności.

- Jesteś na to troszkę za stara, czyż nie? - Sara tnie głosem jak brzytwą.

Sloe potrząsa głową. Słońce, prześwitujące pomiędzy liśćmi rosnących za nią drzew, rzuca na jej

twarz ruchome cienie przypo-minające tatuaże Ivana.

- Nie. Tylko nie bardzo wiem, jak chcę odejść. Mogę to zrobić tylko raz, a nie mam takiego wycucia jak Ivan.

- Walcz, powiedziałabym.

Sloe patrzy na nią z delikatnym uśmiechem.

· Sloe gin - nalewka na tarninie (przyp. tłum.).

- To nie w moim stylu - wyjaśnia. Wyciąga rękę i ujmuje dłoń Sary. - Może chciałbym zginąć w ramionach obcej osoby? Mającej blizny i kamizelkę kuloodporną, i moją chustę zawiązaną w dłoniach.

Sloe układa sobie na tętnicy szyjnej dłoń Sary, która zanim cofnie rękę, wyczuwa jeszcze jej puls.

- Nie - mówi.

- W porządku - godzi się Sloe. - Jeśli nie chcesz. - Wybuch nagle gwałtownym chichotem. Światło zmierzchu tańczy w jej oczach. - Nie myśl sobie, że każdej obcej osobie to proponuję. - Wiem - warczy. - To była miłość od pierwszego wejrzenia.

Sloe odpowiada miękko. Jej oczy nagle stają się niepewne.

- Może rzeczywiście była.

Wstaje, jej wzrok prześlizguje się po biwaku. Ivan wlewa sobie piwo do gardła. Nadmiar spływa brunatnymi strumieniami po je-go piersi.

- Pochodzi z rodziny wędrowców - mówi Sloe. - Stracili farmę załatwieni przez erozję z jednej strony i bloki z drugiej. Przeszli cały kraj tam i z powrotem w poszukiwaniu roboty. W końcu pomarli. Z powodu pecha, jak sądzę.

Sara milczy, gapi się nieruchomo na rzekę. Kowboj, bez koszu-li, wychodzi zdecydowanie z wody. Mokre dzinsy oblepiają mu no-gi. Jego opalenizna jest intensywna i równa na całej powierzchni ciała, które widać. Dziewczyna myśli o naświetlających lampach i zastanawia się, czy Kowboj ma taką, zakopaną w jego sezamie w Montanie. Pociąga łyk piwa.

Sloe odchodzi powoli, próbując sprawić wrażenie, że porusza się, mając jakiś cel na myśli. Kowboj podnosi koszulę z krzaka i zbliża się do Sary.

- Mam już dość, rzygać mi się chce od tych ludzi - mówi dziewczyna, podaje mu piwo. Kowboj nie pyta dlaczego. - Próbowałem pogadać z nimi o wojnie - oznajmia. - O Tempel, Arkadiju, o wszystkim. Myślałem, że mogą się nam w jakikolwiek sposób przysłużyć. - Wzdycha i ściera kropelki wody z ramion. - Ale nie mogą - kończy Sara. - To Kult Buzzarda, tak?

- Etyczni Nihilisci. To ich gadka.

- Czy już któraś z dziewczyn poprosiła cię, byś ją zabił?

Kowboj patrzy na nią zaskoczony, potem potrząsa głową.

- Poczekaj tylko trochę - przepowiada Sara.

Zabiera mu piwo z ręki i odchyła głowę w tył.

Nagle od strony rzeki rozlega się ryk, oboje odwracają się i wi-dzą dwa poduszkowce patrolowe pędzące na południe pod bande-rami Illinois, kierują się do. Ohio, w stronę dzisiejszej pancerki. Słońce błyszczy na pleksiglasowych wieżyczkach. Kowboj przyglą-da się im z lekkim skrzywieniem, spokojnymi oczami obserwuje je chłodno, profesjonalnie.

- Przystarzałe działka impulsowe - mówi. - Nie zadziałają na kryształ, ale dopóki nie mieliśmy

odpowiednich ekranów, zazwyczaj potrafiły trochę popsuć silnik. Jednak te rakiety snopowe są wyjątkowo paskudne, kiedy trafiają.

Sara czuje nagły przyływ wdzięczności za to, że jest tu z nią - że jest spokojny, w miarę normalny i dość bystry, by przeprowadzić pancerkę w poprzek kraju, pomimo takich rzeczy jak ryczące patrolówki pędzące po rzece, że potrafi ocenić przeciwnika, zaakceptować stawkę i uznać rezultat rzutu kością.

Dla Sary oznacza to, że może się od czasu do czasu odprężyć wiedząc, iż to on poradzi sobie ze wszystkim. Kończy piwo, odkłada starą flaszkę. Jej żołądek gwałtownie domaga się jedzenia. Wstaje i podchodzi na miejsce barbecue. Czuje, jak jej mięśnie karku rozluźniają się dzięki świadomości, że ktoś pilnuje jej pleców.

SZTUCZNA INTELIGENCJA PRZEGRYWA PROCES O OJCOSTWO

„MÓJ MAŁY ANDROID MA NAZWISKO”

ŁKA PEŁNA WDZIĘCZNOŚCI MATKA

KOROLEW I. G. UCHYLA SIĘ OD KOMENTARZY Następnego dnia Srebrni Apacze zabierają ich na drugi brzeg Wabash, przecinają Dlinois do samej rzeki Missisipi. Ivan zostawia im trochę pieczeni w plecakach. Sloe, leżąc leniwie w swoim siodełku, patrzy na Sarę zimmym wzrokiem.

Kiedy tak stoją na brzegu Missisipi, Sara spostrzega, że Kow-boj spogląda w stronę stanu Missouri jak człowiek obserwujący wroga, dla którego ma sporo szacunku. Przechodzą mostem do Hannibal, celnicy, przyzwyczajeni do wędrowców, w ogóle nie zwracają na nich uwagi.

Następna okazja, jaką łapia, to dwóch mężczyzn w kamionetce wyładowanej zniszczonymi, najwyraźniej wyrzuconymi meblami. Kowboj siedzi obok kierowcy, Sara gniecie się z drugim facetem na ciasnym siedzeniu z tyłu. Obaj mężczyźni są potężnie zbudowani, opaleni, mają spracowane dłonie. Okazuje się, że chcą rozmawiać o Jezusie. Sara tylko rzuca im wrogie spojrzenie, ale Kowboj najwyraźniej zna ich język i daje im nadzieję na podtrzymanie rozmowy przez cały czas trwania jazdy.

Kierowca proponuje im żywność i schronienie na parę dni, skręca w stronę komuny. Udaje, że nie słyszy Kowboja mówiącego, iż chcą jechać na zachód, a nie na północ. Sara przygląda się dwóm mężczyznom i zastanawia się, jak daleko odważą się posunąć. Czuje mrowienie w mięśniach i myśli o jeździe kradzioną ciężarówką aż do Montany. Dochodzi do wniosku, że to powinno być łatwe.

- Zatrzymaj się - mówi Kowboj. - Ruszmy stąd na zachód.

- Pozwólcie mi najpierw zaoferować wam posiłek. Sara wpatruje się w grubego kark kierowcy, zgina palce jak szpony. Ogluszyć tego z tyłu, myśli, potem zaatakować kierowcę od tyłu. Spogląda na Kowboja. Niech on to rozegra, postanawia. Zobaczmy, co zrobi.

- Nie - mówi Kowboj. - Mamy tyle żywności, ile jesteśmy w stanie unieść.

Kierowca oblizuje wargi, rzuca pancerniakowi niepewne spojrzenie.

- Spodoba się wam. Poczekajcie, aż spotkacie Szefa. Krótkie zamieszanie wybucha na przednim siedzeniu, okablowane nerwy sterują ruchem szybszym, niż oczy Sary są w stanie prześledzić. Krótka lufa pistoletu wbija się w ucho kierowcy. - Możesz spotkać się z Jezusem później - mówi Kowboj, nawet nie podnosząc głosu ani nie zwracając sobie głowy spojrzeniem na mężczyznę z tylnego siedzenia - albo zobaczysz go za trzydzieści sekund. Wybieraj.

Minutę potem, kiedy stoją w chmurze kurzu podniesionego przez ciężarówkę szybko znikającą w oddali, Kowboj uśmiecha się i wsuwa pistolet z powrotem w pas.

- Słyszałem o nich - wyjaśnia. - Baraki, drut kolczasty, w każdym rogu wieżyczki z karabinami maszynowymi i strażnikami nazywanymi Chartami Chrystusa. Ja bym zasuwał cały dzień w polu, a ty naprawiałabyś stare meble do momentu wezwania przez Szefa.

- Żałuję, że mi to przeszło koło nosa. Mogłabym tego ichniego bossa parę razy zaskoczyć.

Pancerniak śmieje się.

- Jeden z moich kumpli, Jimi, pewnej nocy wpadł do nich pan-cerką. Zwalił parę wieżyczek,

poszarpał druty. Słyszałem, że mnóstwo nawróconych skorzystało z okazji i dało dyla. - Potrząsa głową. - Jimi to wariat. Nawet nie miał w tym żadnego interesu, zrobił to dla zabawy.

Kowboj poprawia plecak i spogląda na nią z rozbawieniem. - Hej, myślałem, że jesteś moim ochroniarzem. Powinnaś trzymać mnie z dala od takich sytuacji.

- Radziłeś sobie świetnie sam. Ja jednak zatrzymałabym cię-żarówkę.

Zaczynają iść wzdłuż śladów opon odcisniętych w kurzu. Kowboj nie zgadza się z nią, wyrażając to drobnym ruchem podbródka. - Nie. W tym stanie nie chcę na siebie zwracać uwagi. Jeśli tu mnie złapią, rozwalą na miejscu.

- Czy mogę spytać dlaczego?

- Bo kilka tygodni temu załatwiłem szesnaście kaperskich po-jazdów i troszkę są z tego powodu wściekli.

- To ty jesteś tym pancernikiem?

Kowboj nie odpowiada, po prostu idzie, obserwując horyzont spod zagiętego runda kapelusza. Sara nie może się zdecydować, czy wierzyć mu, czy nie, dochodzi do wniosku, że jeśli to prawda, wszystko nabiera sensu.

- Nic dziwnego, że cię szukają.

- Mam przyjaciół - odpowiada.

- Takich jak Reno? Podobni do nas nie mają przyjaciół, Kow-boju. Co najwyżej sprzymierzeńców.

Pancerniak nie odpowiada. Sara obserwuje go w marszu, widzi pot spływający po jego szyi spod zakurzonej peruki, wciąż jest zaskoczona usłyszaną informacją, fragmenty układanki powoli wskakują na swoje miejsca. Stał się zbyt znaczący, spostrzegli to nawet ludzie, dla których jest użyteczny. Postanowili go więc usunąć, zanim zorientuje się, jak wielką siłą dysponuje. Nawet teraz miał jej dość, żeby im się postawić, może nawet zdołać zaaranżować układ, który pozwoli mu ująć na emeryturę z życiem. Jednak za mało na wygraną. Sara ma pewność, że idzie za czołwiekiem, który przegra swoją pierwszą, największą wojnę. Czuje, jak obejmują ją zimne, suche palce smutku. Nie da się wygrać, nie stając się jednym z nich.

Sara zastanawia się, czy on o tym wie, czy snuje plany po prostu dlatego, że nic innego nie umie robić, czy też naprawdę sądzi, iż jest dla niego jakakolwiek nadzieja. W jakiś dziwny sposób pragnie, by nie wiedział, by jeszcze jakiś czas wierzył w swoją gwiazdę, żeby nie stracił wszystkiego za jednym zamachem, wszystkiego, na co pracował czy o czym marzył... Zbyt dobrze sama wie, jak to smakuje.

Przypomina się jej to jego jedno spojrzenie, wtedy ostatniego dnia w pancerce, świadome, że nie ma nadziei i pełne desperacji, zdaje sobie sprawę, że on doskonale wie, co się z nim stanie, gdy dotrze już do celu. Gra z samym sobą, udając, że czekają tam na niego tylko przyjaciele i pieniądze oraz szansa na walkę... że idzie, bo zna tylko tę jedną drogę.

Przez dłuższą chwilę pragnie, by ta wędrówka trwała w nie-skończoność, by do celu - beznadziejnej, przegranej wojny jedno-cześnie z Zachodem i Florydą - nigdy nie dotarli. Ponownie spogląda na długonogiego Kowboja, kroczącego ku przeznaczeniu widocznemu dla obojga aż nazbyt jasno, i ściska się jej serce. Kowboj podnosi głowę, obserwuje spod runda niebo. Wydaje się, że węszy.

- Będzie padać - mówi.

I idzie dalej.

**JEŚLI TO HOB, TO JEST PRAWDZIWIY... A JEŚLI
PRAWDZIWIY,**

TO JEST TO MARC MAHOMED

Tego dnia nie udaje im się już złapać żadnej okazji, wczesnym popołudniem obserwują potężne, kłębiące się chmury burzowe, które gromadzą się nad prerią jak kobry podnoszące się z ziemi i rozpościerające kaptury. Robi się ciemno, błyskawice zaczynają przeskakiwać pomiędzy chmurami, zupełnie jak piłka w czasie rozgrzewki drużyny.

- Chyba tu niedaleko powinna być stodoła - mówi Kowboj, ale nie zna tego terenu ze zwiadów, deszcz zaczyna padać ciepłymi fa-lami, próbując ich stłamsić, wgnieść w błoto. Pierwsze jego uderzenie odbiera Sarze oddech. Brną na ślepo w ciemności, dopiero błyskawica wydobywa z mroku poszukiwaną długą, betonową ru-inę. Następne rozbłyski ukazują belki dachowe oblepione błotnymi gniazdami jaskółek, kąty wypełnione złożami szcurzych odchodów. Budynek farmy, do której niegdyś należała stodoła, złożył się niczym domek z kart i wpadł do piwnicy. Znajdują suche miejsce koło drzwi i rozkładają śpiwory. Ciemność owija się wokół nich jak mokry filc. Strugi leją się na cementową podłogę, płynne złoto wylewane w czern.

- Przepraszam, myślałem, że jest bliżej. - Bezcielesny głos Kowboja odbija się od murowanych ścian.

- Nie twoja wina. Czy znasz każdą starą stodołę w Missouri? - Lepiej, żeby tak było, jeśli mam przeżyć. - Chwila ciszy. - Jednak jestem przyzwyczajony do przemieszczania się przez ten skrawek kraju z nieco większą prędkością.'

Piorun eksploduje im nad głowami, Sara widzi srebrzystą ścianę wody lejącą się na ziemię tuż za połamanymi wrotami stodoły, Kow-boja opartego niedbale o ścianę ze smutnym uśmiechem, złącza w jego głowie, które odbijają światło błyskawicy, tworząc srebrno-turkusowy wzór, jak oczy gapiące się do wnętrza jego czaszki. Sara czuje falę smutku z powodu tego pozbawionego sprzętu pancernia-ka, zostawiającego ślady butów w pyłe, nad którym przelatywał, mając umysł działający z prędkością światła. Sięga po jego dłoń, w mroku nocy widzi błękit oczu Dauda, lazur miękkich prześciera-deł Danicy, przejrzystą barwę długich fal w Zatoce, nieuchronnie, powoli wtaczających się na ciemniejszy ląd.

- Będziesz znów jeździł pancerką - mówi przez ściśnięte gardło.

Czuje, jak mężczyzna pochyla się w przód, wyciąga na ślepo drugą rękę i trafia na szyję, wyczuwa ciepło skóry, zimny deszcz. Śmieje się.

- To nie fair - mówi. -Ty widzisz w ciemności, ja nie. - Porozmawiaj ze mną - prosi Kowboj. - Powiedz mi, dlaczego to robisz.

Jego głos rozbrzmiewa bardzo blisko. Owiewa ją jego oddech. - Idziemy na zachód - odpowiada. - U celu drogi mamy różne rzeczy do zrobienia. Samotnie.

- Okay. - Waha się przez moment, dziewczyna słyszy, jak usiłuje wykrztusić słowa, ale nie chcą mu przejść przez gardło - Jeste-śmy przyjaciółmi, Saro? - pyta w końcu. - Czy tylko sprzymierzeńcami?

IBU

unouiuuinm

Sara czuje śmiech wzbierający jej w piersi.

- Trochę tego, trochę tego, Kowboju.

- Cieszę się.

Mężczyzna pochyla się do przodu, dotyka policzkiem jej szyi. Obejmuje ją i przytula, nieruchomo. Ona przeczesuje palcami je-go krótkie włosy, znów widząc błękit Zatoki, tęskniąc do dotknięcia tego nieskalanego ogromu.

Dłonie Kowboja zaczynają się poruszać. Sara przyjmuje pocieszający dotyk słonego błękitu.

Rozdział dziewiąty

Pocięte głębokimi cieniami Góry Skaliste drgają w popołudniowym upale. Nieruchome powietrze wypełniają chmury koma-rów i woń krzewów bylicy. Kowboj obserwuje stary pasterski szałas, uwiera go pistolet wciśnięty w dzinsy.

Sara przykucnęła jakieś pięćdziesiąt metrów z boku, osłania go z hecklera & kocha wycelowanego w pokrytą zniszczoną farbą ścianę szopy. Porykuje bydło, zgromadzone koło znajdującego się z tyłu wodopoju. Teraz Kowboj musi wykonać ruch. Wzrusza ramionami, głęboko wdycha gęste powietrze, wstaje i schodzi z boku do szałas. Niskie - dla ochrony przed zimowymi wichurami - ściany budynku pokryte są cedrowym odeskowaniem przybitym do ram z belek, pomalowanym na rdzawy kolor piasku. Przy zachodniej ścianie zgromadzono równy stos drewna. W pobliżu stoi pusta stajnia o czterech boksach. Kowboj wyciąga z metalowej framugi drzwi wtyk na kablu, wciska go do gniazda w czaszce, podaje zamkowi kod.

Wewnątrz stoi metalowa szafa z narzędziami, krzesła, stół, dwie wąskie prycze, ułożone na boku pod ścianami, i stary żelazny piecyk z czajnikiem na płycie. Na ścianach wiszą przybory kuchenne, na półkach stoją puszkami z cukrem, mąką, smalcem, kawą, fasolą. Kowboj wychodzi w słońce, macha zapraszająco do Sary. - Zamek twierdzi, że od wiosny nikogo tu nie było - mówi. - Nie sądzę, żeby ktoś przy nim majstrował. Wątpię, żeby w ogóle znaleźli to miejsce, poza tym nie widzę powodu, żeby zakładać tu pluskwy.

Sara rozgląda się niepewnie, pocąc się w pancерnej kurtce za-piętej pod szyję.

- Pewnie jest, jak mówisz. To twój kraj, nie mój. Kowboj cofa się, wpuszcza ją do środka. Dziewczyna odkłada hecklera & kocha na stół, zdiera z siebie kurtkę, wachluje się brzegiem bluzki.

- Ludzie mieszkają tu tylko zimą - wyjaśnia Kowboj. - Przyjeżdżają doglądać bydła korzystającego z pobliskiego wodopoju. Sara rozgląda się po niewielkiej izbie.

- Posprzątajmy tu i otwórzmy okiennice - proponuje. - Chcę widzieć, co się dzieje w okolicy.

- Najpierw najważniejsze.

Kowboj podchodzi do szafy z narzędziami, wyciąga długi łom, gwoździe i młotek. Przesuwa starą metalową ramę pryczy i podnosi dwie deski podłogi. Wyciąga długie metalowe pudełko, które otwiera.

Pieniądze na drogę, dokumenty identyfikujące go jako Gary Coopera urodzonego dwadzieścia pięć lat temu w Bozeman oraz lśniące igła na srebrnym łańcuszku.

- Skrytka depozytowa w Butte - wyjaśnia - w której pan Gary Cooper trzyma oszczędności.

Sara przegląda zapasy na półkach, znajduje starą flaszkę whisky, wypełnioną do połowy. Zdmuchuje z niej kurz, spogląda na Kowboja i uśmiecha się.

- Możemy zrobić imprezę - proponuje.

Kowboj nakłada łańcuszek na szyję, znad pieca zdejmuje ciężki nóż, znów podchodzi do metalowej szafy. W kącie stoi karabin w futerale, wyciąga ją, w nozdrza uderza go zapach oliwy i lanoliny - to zapach wełny wyściełającej pokrowiec. Wygięte magazynki leżą w pudełku na górnej półce. Słyszy, że Sara odkręca butelkę. - Przyniosę parę steków - mówi.

Z trzaskiem wpina magazynki do karabinu. Bydło i tak jest w połowie jego własnością.

Cmy krążą samobójczymi spiralami wokół żółtego światła lampy naftowej, objając się o błękitnawe szkło starego klosza. Kowboj leży obok Sary pod czerwonym kocem przeznaczonym na handel wymienny i gapi się na surowe cedrowe belki dachu, zaskakuje go odkrycie, że brakuje mu widoku gwiazd. Sara się wzdyga. Dziewczyna siada gwałtownie, koc zsuwa się jej z piersi, kiedy sięga po pistolet maszynowy.

- Co to było? - szepcze.

-Nic.

- Zdawało mi się, że coś słyszałam.

Nasłuchuje uważnie, wolno przesuwa wzrok z kąta do kąta.

- Nic - powtarza Kowboj. - Nie spałem.

Sara jeszcze chwilę wyteża słuch, potem jej ramiona rozluźniają się, opada z powrotem na poduszkę. Kowboj zastanawia się chwilę, czy otoczyć ją ramieniem, jednak tego nie robi. Są takie chwile, kiedy ona nie chce być dotykana, a sądząc po twardym wyrazie jej twarzy, to właśnie jedna z nich. Dziewczyna wciąż zda-je się nasłuchiwać, ciągle jest czujna.

- Och, pieprzyć to - mruży w końcu, sięga po pistolet maszynowy, z kieszeni wyciąga inhalator, wstrzykuje dawkę w każde nozdrze, potem cichutko podchodzi bosą do drzwi. Nasłuchuje chwilę, jej nieruchome ciało w migotliwym świetle lampy zdaje się wciąż poruszać, potem otwiera drzwi i wślizguje się w noc. Kowboj podkłada ręce pod głowę i czeka. Po kilku minutach Sara wsuwa się z powrotem, stojąc na jednej nodze, ze składaną kolbą pistoletu opartą na biodrze, oczyszcza stopę z ziemi. Oczy ma nieobecne, wpatrzone w dal. Kowboj podziwia grę mięśni pod opaloną skórą. Sara bez słowa otrzepuje drugą stopę i wślizguje się pod koc.

- Nie zaśniesz po tych torpedach - zauważa Kowboj. - Wiem - odpowiada dziewczyna patrząc w sufit. - Powinnam poćwiczyć.

Kowboj sięga nad jej głowę po butelkę, pociąga mały łyk. Po-daje Sarze, ta potrząsa głową.

- Snujesz plany?

- Próbuję. - Bierze jednak butelkę, podpira się na łokciu i pociąga łyk. Odstawia whisky na koc pomiędzy nimi. - Myślę, że przedostanę się do Wolnej Strefy przez Hawanę. Nie będę wtedy musiała przechodzić przez cło w Tampie, zabiorę się lotem krajowym. W Tampie mogę się ukryć do czasu, kiedy pogadam z odpowiednimi ludźmi i zorientuję się, czy mogę się już bezpiecznie ujawnić. Przypuszczam, że nic mi nie będzie - Hetman za głęboko w to wlaź, by móc się wycofać, będzie potrzebował żołnierzy. A wiemy już, że wojna nie toczy się o mnie.

- Taak. Wiemy za to, że toczy się o mnie.

Sara spogląda na niego.

- Tak. W pewien sposób.

ich

umrarawmn

Kowboj składa głowę na rękach i uśmiecha się. Fragmenty obrazów z interfejsu pancerki przelatują mu przez głowę, płomieni-ste zawory, czujniki poszukujące przeciwników unoszących się w powietrzu... Miło jest brać udział w tym zamieszaniu. Nie sta-wić się na wojnę toczoną o twoje ciało byłoby wyjątkowo paskud-nie. Myśli o Elfego Baca spokojnie piekącym tortille na śniada-nie, podczas gdy pociski bandy Teksańczyków odłupują kawałki ścian jego ziemianki; o łowcach bizonów pod Adobe Walls spokoj-nie przygotowujących swoje sharpy, kiedy wyjąca horda indiań-skiej koalicji Quanaha Parkera wypada z mroku; o poruczniku Christopherze Carsonie, prześlizgującym się na tyły lansjerów Pi-co, by przeprowadzić piechotę morską pod dowództwem komodo-ra Stocktona idącego na pomoc kolumnie wojsk Kearny'ego... Jakkolwiek się to skończy, myśli Kowboj, pamięć o mnie przetrwa bardzo długo.

- Uważam, że powinniśmy zmienić się na jakiś czas w Apaczów - mówi. - Mało rzeczy, ciągła zmiana miejsca. Namówić moich ludzi do tego samego. Arkadij nie będzie sobie mógł pozwolić na wy-puszczenie przemytnika czy zagarniaczy bez porządnej ochrony. - Znasz na tyle jego organizację?

- Nietrudno będzie się o tym przekonać. Wiemy, gdzie szukać. - Śmieje się. - Podobno mam w sobie trochę krwi Apacza, ale w moim świecie od bardzo dawna czymś takim nikt się nie chwa-li, więc nic nie wiadomo. No to okaże się, czy to prawda. Sara wpatruje się w niego z napięciem, zaczyna coś mówić, milknie. Potem znów odwraca wzrok w stronę sufitu. - Kowboju - ostrzega - zawsze zostawiaj sobie drogę ucieczki.

Nie musisz wygrywać za każdym razem.

- Uciekam od początku swojej kariery. I wygrywam.

Jej głos twardnieje.

- Po prostu musisz wiedzieć, kiedy dać sobie spokój. Kiedy na-leży się wycofać.

Kowboj patrzy na nią, czuje smutek, opanowujący go powoli.

- Uważasz, że nie wygram, prawda?

Sara odwraca głowę. To jest odpowiedź.

Kowboj ponownie pociąga nieco whisky. Po plecach zaczynają mu przelatywać chłodne dreszcze, gaszą żar trunku. - Uważasz, że Michael ma większe szansę? - pyta.

Sara wzrusza ramionami.

- Ma więcej środków do dyspozycji, więcej kontaktów, lepszą pozycję przetargową.

- A na Florydzie odwiedzisz brata.

-Tak.

Kowboj siada, krzyżuje nogi, znów popija whisky. Patrzy na Sa-rę, jej szerokie ramiona, mięśnie naciągnięte na żebrach, spręży-ste jak u kota, biust, który wydawałby się nieproporcjonalnie duży u niższej kobiety. Przełącza się na podczerwień, przygląda się cie-płu wędrującemu po jej mięśniach, gorącej fali pulsującej na szyi. Dziewczyna patrzy na niego niecierpliwie.

- Spójrz na to z tej strony. Kiedy nasza wędrowka się skończy, będziemy znów sprzymierzeńcami, może nawet niezbyt długo. Do-stanę honorarium, pojedę do domu i wtedy zostaniemy tylko z własnymi kłopotami.

- Wiem. Chciałbym tylko pożałować tego przez jakiś czas, jeśli wolno.

- Tylko nie zrób się sentymentalny.

Przełącza się z powrotem na normalny wzrok, obserwuje jej ściągniętą twarz, kiedy przetacza się na brzuch i układa głowę na przedramionach, pokazując mu tył głowy.

- Wydaje mi się - mówi Kowboj - że tutaj ochroniarz potrzebny mi jest o wiele bardziej niż w trasie. Ktoś, kto nie może prze-handlować mnie wrogom, bo jego szukają równie zaciekle jak mnie.

- Nie. Jest Daud.

- Możesz go sprowadzić tutaj.

Patrzy na niego przez ramię. Jej głos tnie jak brzytwa. - Posłuchaj no, od tej chwili to już tylko interes. Seks znika z listy usług, a moja standardowa stawka od jutra rośnie. - Gdybym wiedział, że seks mieści się w ramach usług, skorzy-stałbym z tego nieco wcześniej.

Jej twarz zastyga na moment, potem łagodnieje.

- Przepraszam, Kowboju. Miło było, ale nie mogę wiązać się z nikim, z kim robię interesy. Wiesz zresztą dlaczego. - Domyślam się.

Kowboj pociąga kolejny łyk, zobaczywszy blask lampy odbijają-cy się we wnętrzu butelki, jak słońce pośród postrzępionych chmur, przez chwilę wspomina niebo, głęboką czerń i nieruchome gwiazdy pośród niej widziane, gdy pędził deltą przez Granicę w świt...

100

unouiuiuiiii

Sara kładzie się na poduszce, oczy ma ciemne jak kokpit delty, połyskujące taką samą subtelną poświatą. Znowu zamyka się w twardej skorupie, myśli Kowboj, i ma powody: wraca do miej-sca, w którym nie ma przyjaciół, gdzie sama musi pilnować swoich tyłów. Gdzie nie może sobie pozwolić na obdarzenie kogokolwiek zaufaniem, może poza Daudem leżącym w szpitalnym łóżku... Podobnie jak on sam. Sądzi, że może ufać większej liczbie lu-dzi niż ona, ale ten najbardziej zaufany właśnie gdzieś wraca do zdrowia po postrzale.

W oddali kojoty zaczynają swoje dziwne jęki. Czuje, jak Sara koło niego sztywnieje na moment, a następnie się rozluźnia. Za-myka butelkę whisky i kładzie się. W myślach przegląda całą dłu-gą listę planów, jakie mu przysły do głowy w czasie wędrówki przez prerię.

Przede wszystkim musi zorganizować sobie coś na kołach. Kowboj znów prowadzi fejssem, dźwięki gitary elektrycznej prze-biegają mu dreszczem po plecach w górę i w dół jak zimowa zawie-rucha. Jest to tylko średniej wielkości packard w wersji czterokoło-wej, lecz wciąż jednak to fejs, wciąż sunie poszarpaną taśmą szosy pod wolnym, lazurowym niebem. Kowboj uwielbia to, monitoruje obroty turbin, układ paliwowy, temperaturę silnika, zupełnie tak samo jakby doglądał monstrów rolls-royce'a w swojej pancerce. Sara siedzi obok niego. Kierują się w stronę stacji kolejowej i pociągu Butte Bullet, który zabierze ją do Nowego Kansas City z prędkością trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę. Stamtąd złapie samolot do Hawany w Okupowanych Stanach. Znowu jest uzbrojona, ma na sobie świeżo upraną niebieską kurtkę z postawionym kołnierzem, lustrzane, ciemne okulary ukrywające oczy. Pokryta bliznami, kostyczna, ze ściągniętą twa-rzą, chwilami nieświadomie napina mięśnie rąk, jakby zaciskała je na czymś gardle. Kowboj prawie widzi kolejne wspomnienia powracające do dziewczyny z ulicy, odruchy, nad którymi w ciągu kilku ostatnich tygodni panowała.

Czas walki o przeżycie, myśli Kowboj. To dziwne, myśleć o włó-czędze w poprzek kraju jak o wakacjach. Jednak tak było, a teraz znów zrobiło się nieciekawie.

Dworzec Bullet znajduje się pod ziemią, pod ulicami miasta. Kowboj sprowadza packarda na głęboko położony parking, czując echo pomrukujących opon, wędrujące mu wzdłuż nerwów. Jego umysł zaczyna dryfować z prędkością światła. To fejs, już za długo. Niechętnie wyłącza turbinę. Koło zamachowe pomrukuje miękko w głębi karoserii, Kowboj wychodzi z fejsu i odwraca się do Sary. Już częściowo otwarła drzwi. Podąża za nią. Dziewczyna czeka, aż otworzy bagażnik. Jej torba, dopiero co kupiona w Butte, jest ciężka od złota, jednak lżejsza niż przed-tem - heckler & koch nie prześliznąłby się przez detektory. Na ka-wałku papieru ma napisany kod otwierający ładownię pancerki, żeby Hetman mógł odzyskać swoje serca.

Kowboj podaje Sarze torbę, czuje ujmujące ją chłodne palce, myśli o zimnym górskim powietrzu, przesyconym zapachem topo-li... szorstkie dotknięcie pustynnego, zimowego wiatru, gorący, srebrzysty dotyk jej ciała, kiedy kochali się w fejsie, jej skóra lśniła bielą w jego widzących podczerwień oczach, ciemny, czer-wonopomarańczowy oddech wypływający z jej ust jak smugi chmur oświetlonych zachodzącym słońcem.

- Nie zamierzam być sentymetntalna - mówi Sara. - Jeśli będziesz potrzebowała się ze mną skontaktować - infor-muje Kowboj - zostaw wiadomość pod numerem Randolpha Scot-ta w Santa Fe. Otworzę go za parę dni.

- Randolph Scott. Zapamiętam. - Przesłonięte oczy chyba na moment skierowały się ku niebu. - Ty możesz zostawić dla mnie wiadomość w barze Błękitny Jedwab. - Uśmiecha się do siebie. - Właściciel to mój przyjaciel.

- Dobrze.

Dziewczyna wyciąga rękę.

- Dobrze się z tobą robiło interesy, Kowboju.

- Może jeszcze kiedyś się sprzymierzimy. - Uznaje, że równie dobrze może rozgrywać taką grę jak każdą inną. Kiedy ujmuje jej dłoń, ona robi krok do przodu i obejmuje go. Kowboj czuje jej zbroję wciskającą mu się w pierś. Dziewczyna całuje go w szyję i gwałtownie się cofa. Pancerniak widzi, jak szybko mruga oczami za lustrzanymi szklami. Uśmiecha się ponu-ro do siebie samej, obciąża pancierz i odwraca się. Kowboj czuje spojrzenie wbite w kark, ogląda się za siebie, nie ma nikogo. Zamyka bagażnik packarda i siada za sterami. Czas na południe, myśli. Montana będzie bardzo samotnym miejscem.

Rozdział dziesiąty

PODSUMOWANIE NOCY W TAMPIE, 8 RANO:

22 ZABITYCH ZNALEZIONYCH W OBRĘBIE MIASTA.

„LUCKY WINNERS” PŁACI 3 DO 1

„Pony Express” przycupnął w wielkim hangarze jak hebanowa rzeźba pantery uchwyconej w momencie skoku. Reflektorki wur-litzera rzucają czerwone, żółte i niebieskie plamy na belkowanie sufitu, Texas Playboys grzmą w ogromnej przestrzeni, dźwięki instrumentów dętych obijają się o metalowe ściany, a basy dudnią głęboko w betonie. Kowboj czuje znajomą woń kokpitu, która otacza go, kiedy siada w fotelu, poprawia hecklera & kocha leżącego na kolanach. Podłącza wtyczki do głowy, budzi czujniki delty, wzmocniony wzrok rozwija się przed nim jak folie z obrazami, widzi tylko hangar, pusty oprócz czekających delt, ustawionych skrzydło w skrzydło.

Włącza wskaźniki uzbrojenia - same czerwone światełka, zasobniki rakietowe są gdzieś w magazynie, w obu działkach, górnym i dolnym, nie ma amunicji. Okay, myśli, to żadna niespodzianka. Heckler & koch musi wystarczyć.

Z zewnątrz dobiega go wycie turbiny samochodowej, ktoś przyjechał. Zapina suwak szarej opancerzonej kurtki, którą kupił w Boulder, podnosi kołnierz dla ochrony szyi, nakłada hełm, który kryje podłączenia czaszkowe. Otwierają się drzwi i na wyświetlaczach widzi pojedynczą postać wchodzącą do hangaru, jej kroki zagłusza swing.

„Pony Express” widzi intruza jednocześnie w podczerwieni i w noktowizorach, obrazy nakładają się, czerwień i chromowa biel, kanciasty cień, sylwetka na tle błysków szafy grającej. To Warren, rozpoznaje Kowboj, porusza się powoli, ostrożnie, w dłoni ścisną karabin. Samym przyjazdem tutaj uruchomił sporą część elektroniki mechanika, który przyszedł sprawdzić, co się dzieje.

Jeszcze żyje, myśli Kowboj, może nie jest aż tak źle. Włącza dolne światło sygnalizacyjne, wirujący, czerwony błysk pędzi po ścianach w rytm perkusji Smokeya Dacusa. Warren za-trzymuje się, patrzy wzdłuż rzędu delt, rusza w stronę „Pony Express”, cały czas trzymając się w cieniu skrzydeł. Kowboj włącza swoje wspomaganie nerwów Santistevana, wysuwa głowę z kokpitu.

- Pomyślałem sobie, że mogą obserwować twój dom.

Mechanik zerka spod daszka czapki.

- Hej, K'boj. - Opuszcza karabin, wyszczerza w uśmiechu pięćki zębów. - Szukali cię tu jacyś ludzie.

- O co im chodziło?

- Nie mówili. Osobiście sędzę, że większość z nich chciała cię zabić. - Odkłada karabin na ziemię, wspina się po drabince na kółkach do kokpitu. - Arkadij przyjechał osobiście. Za twojego trupa oferuje dwa tysiące dwieście zwykłych udziałów Tempel. Kowboj czuje rozbawienie.

- Ciekawe dlaczego akurat tyle?

- W zeszłym tygodniu pojawił się tu jeden z ludzi Arkadija, tak powęszyć. Chapel. Znasz go, dinozaurzy łeb. Ponowił ostrzeżenie, przypomniał o nagrodzie. A czego tu się spodziewać. Powiedziałem mu, że próbuję się nie mieszać. Może się tym zadowolił. Kowboj wyłącza czujniki i spodnie światło.

- Chapel - mówi. - Okay. Kto jeszcze pracuje dla Arkadija? - Teraz to przede wszystkim wojna pomiędzy trzeciakami. Nie-zależni pancerniacy usiłują trzymać się z boku. Jeśli chodzi o trzeciaków, to Pancho i Sandman przyłączyli się do Arkadija. Georgij i Saavedra zostali zlikwidowani na samym początku. Faceman, Haystack i Dimitrij Strzała walczą obecnie z Arkadijem, ale kiepsko im idzie. Jednak większość z ich pancerniaków jest wobec nich lojalna, przynajmniej na razie. A

chłopcy Dodgera dostali szafu.

Kowboj czuje dreszcz napięcia przebiegający mu wzdłuż ramion na wzmiankę o Dodgerze. Bierze ostrożnie wdech. - Co z nim? - pyta.

Warren przygląda mu się.

- Wydobrzeje. Teraz jest w górach, otoczony strażnikami Flash Force i elektroniką. Dopóki nie zdecyduje się stamtąd wyleźć, Arkadij się do niego nie dobierze.

Kowboj czuje, jak napięcie opada z niego.

- Muszę się z nim zobaczyć.

- To się da zorganizować.

Pancerniak zdejmuje hełm i z niechęcią odłącza się od fejsu.

Czerwone kontrolki zanikają w jego umyśle.

Warren obserwuje go, krzywi się.

- Nie wszyscy moi goście byli od Arkadija - mówi. - Jimi Gutierrez wpadał parę razy. Najwyraźniej żywił przekonanie, że ja będę wiedział, gdzie cię znaleźć, zachowywał się, jakby mi nie wierzył, kiedy twierdziłem, że nie mam pojęcia. Mówi, że chce się do ciebie przyłączyć i prosił o przekazanie tej wiadomości. - Okay. Przekazałeś.

Warren sprawia wrażenie rozbawionego.

- Jimi jest w porządku. Jednak mocno stuknięty. Kowboj uważnie przygląda się mechanikowi, na karku czuje dotknięcie niemiłego przeczucia.

- Warren - mówi - muszę wiedzieć, czy chcesz mi w tym pomóc.

Jego przyjaciel wbija wzrok w ziemię.

- Mam rodzinę - mruczy.

Kowboj czuje opadający go smutek. Wykrzywia się w stronę znajdującego się przed nim pulpitu przyrządów.

- W porządku, rozumiem.

Warren rzuca mu ostre spojrzenie, oczy błyszczą mu po obu stronach haczykowatego nosa.

- Nie powiedziałem, że nie pomogę. To miało tylko oznaczać, że się zastanawiam. - Zaciska w złości wargi w wąską linię. - Jutz mówiła, że dzwoniłeś i powiedziałeś o udziale Orbitalców. - Na pewno Tempel. Arkadij robi dla nich.

Warren odchrząkuje pogardliwie.

- To w ten sposób zdobył udziały na nagrodę. Nędzny drań. Kowboj śmieje się z całego serca. Wyszczерza się do mecha-ni-ka, triumfalnie uderza pięścią w owiewkę.

- Nie chciałbyś tego przegapić - mówi. - Zadbamy o twoją rodzinę, Warren. Ukryjemy ich do czasu, kiedy się to wszystko skończy. Usta przyjaciela wykrzywają się w złośliwym grymasie.

- A ile to zajmie lat, jak myślisz, K'boju?

- Niedługo. Przecież Orbitalcy w tym siedzą. Mają za duże środki i wygrają, jeśli wojna potrwa za długo.

- Na to wygląda. Masz sposób, żeby ją skrócić?

Kowboj podnosi na niego wzrok.

- W tej chwili potrzebuję paru rzeczy. Muszę znaleźć krystal-dzoka, żeby odblokował mi trochę

gotówki. Potem muszę poroz-mawiać z Dodgerem. A ty, Warren... - Przygląda się, jak stary człowiek pociera w zamyśleniu szczecinę na brodzie. - Chciałbym, żebyś na razie trzymał się z boku. Niech Chapel i Arkadij myślą, że się nie mieszasz. Za to siedź tu na górze, szykuj delty. Przygotuj „Pony Express” do akcji.

Kowboj widzi szok na twarzy Warrena.

- Delty? - pyta mechanik. - Chcesz znów przelecieć nad Granicą?

- Może. - Pancerniak opada na oparcie siedzenia, ma wrażenie, że matowoczarna delta jest przedłużeniem jego ciała, gotowym do wlotu. - Arkadij lubi pilnować swoich interesów z samolotu - wyjaśnia. - Lata nad Kolorado i Wyoming. Widzi błysk zrozumienia w oczach przyjaciela. Pojawia się z wolna, piękne jak wschód słońca.

POŻAR MAGAZYNU W ORLANDO

PRZYPUSZCZALNIE SĄ OFIARY ŚMIERTELNE Policja zaprzecza pogłoskom o strzelaninie Marc Mahomed szepcze z ukrytych głośników, jego głos niesie niesłyszalne wiadomości wymieszane z delikatnymi dźwiękami i rytmem hoba. Maurice wpatruje się z twarzą bez wyrazu w foto-grafie na ścianie, tak jest nimi pochłonięty, jakby były ekranem widu. Kiedy wchodzi Sara, jego metalowe oczy obracają się ku niej, leciutki uśmiech rozjaśnia mu twarz.

- Rum z limonką? - pyta.

Sara potwierdza skinieniem głowy, czuje, jak zimne powietrze z klimatyzatora nad barem chłodzi jej pot nad brwiami. Uśmiecha się z wdzięcznością, znajome otoczenie zmniejsza nieco na-pięcie.

Rozgląda się po barze, widzi tylko dwóch dawnych klientów:

Rosjanki, które - sądząc po nazwiskach; Lenin, Stukalin, Bunin,

IIC

vnmuwvin

Trocki, pojawiających się ciągle w rozmowie - prowadzą swoją zwykłą dyskusję, kiedy i gdzie Związek Radziecki popełnił kry-tyczne błędy podczas swej misji cywilizowania reszty świata. Sta-ry spór wiedziony przez rosyjskich emigrantów na całym świecie. Sara ignoruje to i bierze od Maurice'a oszronioną szklanę.

- Napij się ze mną. Ja stawiam - mówi.

Maurice potakuje, sięga po white horse'a z powolną, precyzyj-ną gracją mima, definiującego niewidzialną rzecz. - Ostatnio cię tu nie widywałem, miss - mruczy.

Sara pociąga łyceczek swojego drinka.

- Wyjechałam z miasta. Interesy. I próbowałam trzymać się z daleka od pewnych ludzi.

- Tego dżentelmena Orbitalca?

Dziewczyna wzrusza ramionami, co ma oznaczać potwierdzenie. - Nie lubię tych ludzi. Najwyraźniej nie mają pojęcia, kiedy trzeba kogoś zostawić w spokoju.

- Szukają cię tutaj. Ten facio Cunningham. Mówię mu, żeby stąd spieprzał.

Sara obdarza go uśmiechem pełnym wdzięczności.

- Dziękuję ci, Maurice.

- Często widuję tu ludzi, którzy mogą pracować dla niego, ale nie mam pewności. - Potrząsa głową. - Od tygodni nie widziałem nikogo podejrzanego. Myślę, że Cunningham wrócił do domu. - Mam nadzieję, ale bardzo w to wątpię.

Jedna z Rosjanek podnosi rękę, zamawiając niebieską wódkę, Maurice nalewa ją do oszronionych szklaneczek i zanosí im do stolika. Sara czuje, jak rum delikatnie rozgrzewa jej gardło. Drz-wi za nią otwierają się, wpuszczając falę wrześniowego gorąca, dziewczyna rzuca szybkie spojrzenie przez ramię. Wózek inwa-lidzki, na którym siedzi biały mężczyzna w średnim wieku z kiku-tami nóg amputowanych tuż nad kolanami. Jeden z dawnych przy-jaciół Maurice'a ze służby, widziała go już kiedyś. Wydaje jej się, że ma na imię James. Wpatruje się w swoją szklaneczkę, słyszy, jak barman i gość wymieniają ciche pozdrowienia. Maurice przygotowuje Jamesowi drinka i stawia go na stole. Odmawia przyjęcia zapłaty pomimo dość gwałtownych protestów klienta. Sara odnosi wrażenie, że już nie raz to przerabiali. Marc Mahomed biadoli nad przegapionymi szansami, utratą miłości, sensu

życia. James manewruje wózkem w stronę toalet na zapleczu. Maurice wraca do baru z nietkniętym drinkiem w ręce, bez końca wpatruje się niemrugającymi oczami w zdjęcia na ścianie. Sara dopija white horse'a. Gestem prosi o powtórkę.

- Maurice - mówi - mieszkasz tu na górze, prawda?
- Zgadza się, miss.
- Masz wolny pokój?

Pozbawione wyrazu oczy Zeissa podnoszą się, by spojrzeć prosto w jej.

- Dlaczego pytasz?

- Chciałabym mieć metę w Tampie - wyjaśnia Sara. - Gdzie Cunningham i jego kumple nie będą mogli mnie odnaleźć. Zapłać za wynajem, Maurice. Z góry.

Barman przygląda się jej spokojnie, a ona zastanawia się, czy nacisnęła w nim jakiś guzik, czy wzmianka o Orbitalcach wyróci wszystko.

- U mnie nie robi się żadnych interesów - zastrzega Maurice. - Nic niezgodnego z prawem, żadnych ludzi, których nie znam. Nie chcę kłopotów.

- Nie będzie kłopotów, Maurice. Potrzebne mi tylko miejsce do spania.

Barman odstawia drinka na blat.

- No dobrze - zgadza się. - Tydzień. Potem się zobaczy. Sara czuje falę ulgi rozluźniającą jej mięśnie. Unosi do góry szklaneczkę i posyła znajomemu słaby uśmiech. - Dziękuję ci, Maurice. Jesteś przyjacielem.

Otwierają się drzwi toalety, James przemyka na wózku pomiędzy stolikami do swojego miejsca. Maurice przygląda mu się w zadumie.

- Ten kapitan to był kiedyś świetny facet. Szalony od wielu lat, bo nie może latać.

Sara spogląda na Jamesa przez ramię, wyczuwa smutek wywołany wspomnieniami.

- Taak - potwierdza. - Znam kogoś takiego jak on.

PRÓBA ZABÓJSTWA W CASPER

BURMISTRZ ANDRIEJEWICZ ODNOSI
NIEWIELKIE OBRAŻENIA

Oświadcza: „W stanie Wyoming nie mam wrogów” Policja całkowicie zbита z tropu Dom Dodgera stoi na zboczu niewielkiej góry po wschodniej stronie Sangre de Cristos, roztacza się stąd wspaniały widok na setki kilometrów leżących poniżej równin. Nieprzypadkowo wzniesiono go w miejscu znakomitym z militarnego punktu widzenia, widać zeń wszystko, co się dzieje poniżej, tył zaś przylega do niemal niezdołanego grzbietu. Obcy nigdy w tych stronach nie byli nazbyt ciepło przyjmowani, miejscowi wysłedziliby każdego obserwatora.

Kowboj prowadzi przez fejs na południe, heckler & koch spoczywa mu na kolanach. Rozpędza packarda do granic możliwości po szosie, nad którą niebo wydaje się znajdować w zasięgu ręki. Świt opromienia wielkie wschodnie równiny. Wokół Kowboja rosną wysokie sosny, młode drzewa zasadzone po masowym wyrębie kilka lat temu, ich wzrost przyspieszono dzięki zastosowaniu orbitalnych chemikaliów.

Packard pędzi w interfejsie, gdzieś pomiędzy umysłem a okiem, niebem i ziemią, wschodem słońca a ostatnim, chłodnym dotknięciem zmierzchu. Oczy Kowboja zerkają w okna każdego mijanego samochodu, każdej ciężarówki, poszukując znajomych rysów, zdużonych albo chytrych spojrzeń. Nie znajduje nic oprócz twarzy całych rodzin, zdążających do miasta na wczesną mszę. Przy bramie posiadłości Dodgera stoi dwóch ochroniarzy w maskujących wojskowych zbrojach, nałożyli pękate noktowizory i kamery na podczerwień, daje im to te same korzyści co implantry Kowboja, któremu wydaje się, że w podczerwieni wypatrzył jeszcze dwie sylwetki w maskującym namiocie rozbitym w pobliżu; trzymają coś, co sądząc po konturach, uznał za ręczne wyrzutnie rakiet. Przekłada hecklera & kocha z kolan na siedzenie obok.

Zatrzymuje się przed bramą i wyłącza turbinę. W porannej ciszy jazgot silniczka opuszczającego szybę wydaje się potwornie głośny. Kowboj patrzy wprost w wystające skanery zbliżającego się mężczyzny.

- Chciałbym widzieć się z Dodgerem. Proszę mu powiedzieć, że to dawny przyjaciel Tom Mix, z rodeo w Portales. - Najpierw proszę mi to oddać.

- Zaopiekujecie się nim dobrze. Lubię jego dotyk. Podaje hecklera & kocha, mężczyzna wtyka go sobie pod pachę. Kowboj przygląda się naszywce Flash Force nad kieszenią ochroniarza, oznace najlepszych i najbardziej nieprzekupnych najemników na rynku. Ochroniarz przekazuje informację od Kowboja przez laryngofon, dociska hełm lewą ręką, żeby lepiej słyszeć odpowiedź. Spogląda na gościa i potrząsa głową. - Musisz pan być samym Aniołem Pańskim. Mam nawet oddać panu broń.

- Serdecznie dziękuję.

Turbina jęklonie budzi się do życia, gdy ochroniarz daje sygnał do otwarcia bramy. Packard rozrzuca żwir na boki, wspinając się krętymi koleinami. Kowboj widzi w podczerwieni kilka patroli, jednak oczekuje się od niego, by ich nie zauważał. Parkuje przed długim, niskim domem, wysiadając, zostawia broń na przednim siedzeniu, rzuca na nią perukę.

Jut wychodzi mu na spotkanie z uśmiechem podbarwionym przez świt na różowo, wydaje z siebie pisk i skacze na niego, obejmując go rękami i nogami. Kowboj stoi na wyłożonej kostką ścieżce, nie przestaje się łagodnie uśmiechać.

- Sukinkocie - mruży, przegarniając mu krótkie, jasne włosy. - Cholernie za tobą tęskniliśmy. - Przygląda mu się niebieskimi oczami, otoczonymi zmarszczkami. - Dobrze cię karmili? Wyglądasz całkiem-całkiem.

- Wszystko ze mną w porządku. Musiałem na piechotę prze-drałować większość tego kraju, ale cały czas miałem przy sobie ochroniarza.

Jutz staje na ziemi i wsuwa kciuk za pasek concho. Kowboj otacza ją ramieniem, idą w stronę drzwi.

- Jak się czuje Dodger? - pyta.

- Coraz lepiej. Teraz śpi, więc pozwól, że dam ci trochę posolę, a potem pogadamy o byle czym i zaczekamy, aż się obudzi. Przechodzą pod skanującym nadprożem, nie błyska ani jedno czerwone światełko, żaden głos lasera śledzącego nie każe im się zatrzymać. To jest miejsce wypoczynku Dodgera, nie ranczo-pracownia: wygląda jak budynek, przez który przewija się więcej ludzi, niż to naprawdę ma miejsce.

Na kuchennym piecu stoi dwudziestogalonowy kocioł z posolę, ma do niego dostęp każdy człowiek pracujący dla Dodgera w nie-typowych godzinach, w podgrzewaczu znajduje się stos tortilli. Kowboj bierze sobie po trochu jednego i drugiego, wrzuca kilka ćwiartek w szafę grającą, którą parę lat temu kupił swoim przyjacielom na Boże Narodzenie. Rzędy światełek na jej obudowie migoczą w takt muzyki, podczas gdy Jutz podaje mu najświeższe wiadomości.

Kowboj wyciera tortillą ostatnie resztki posolę. Wydaje się, że zaczyna brakować załóg. Trzeciacy potrzebują pieniędzy na pro-wadzenie walki, posyłają więc coraz większe transporty towaru i północno-wschodnie stany zaczynają składować nadwyżki. Cena tam spada, jednocześnie na Zachodzie rośnie wskutek zwiększonego popytu. Pancerki ruszają w trasę tak często, że zaczynają pojawiać się oznaki zużycia: uszkodzenia, brak niektórych pancerek--przynęt skonfiskowanych przez policję. Jeden z ludzi Dodgera musiał sześć dni przesiedzieć w zepsutej, postrzelanej panierce w stodole w Missouri, zanim zdołano naprawić jego pojazd i zorganizować ucieczkę.

- Próbowali ataku na dane liniami telefonicznymi, raz nawet po mikrofalach z Wagon Mound - mówi Jutz. - My oczywiście trzymamy swoje dane w głowach. Dlatego właśnie chcieli zabić Dodgera.

Kowboj odczuwa zupełnie mu obce ukłucie poczucia winy.

- Myślę, że to miało trochę wspólnego ze mną - mówi.

Jutz patrzy na niego, uśmiechając się spokojnie.

- Taak. Doszliśmy do tego.

Kowboj czuje się niepewnie pod jej spojrzeniem.

- Przepraszam, że to wywołałem - usprawiedliwia się.

Jutz śmieje się i klepie go po dłoni.

- I tak by do tego doszło. Może gdybyś ich nie przestraszył, przygotowaliby się lepiej i dokładniej celowali.

Kowboj słyszy kroki, odwraca się i widzi wchodzącego Dodge-ra, jest ubrany w niebieską jedwabną piżamę, na którą narzucił kamizelkę z baraniego kozuska. Wygląda krucho, jest blady, chudszy niż zwykle. Włosy ma potargane po śnie, ostrożnie stąpa po nawahskich dywanach. Zobaczywszy go, Kowboj czuje tak potężny przypływ radości, że wybucha śmiechem.

Dodger wykrzywia się do niego.

- Wiem, że wyglądam śmiesznie - prycha - ale nie musisz tego tak podkreślać.

Kowboj już zerwał się z siedziska i podbiega, by uścisnąć mu dłoń. Objąłby go, lecz nie jest pewien, czy nie naruszyłby mu szwów.

Oczy Dodgera rozszerzają się z radości.

- Cholera - mówi. - Dobrze, że jesteś z powrotem.

- Mam parę pomysłów. Oraz trochę wieści.

- Okay, posłucham. Ale pozwól, że najpierw napiję się trochę kawy.

- Jasne.

Kowboj czuje, że szczyrzy zęby niczym nabijany łeb przy pierwszej, porannej elektroszprycy. Odwraca się i idzie za Dodge-rem do kuchni. Kiedy ten nalewa sobie kawy, pancerniak wrzuca kolejne ćwiartki do szafy grającej. Ma ochotę tańczyć. Wracają do frontowego pokoju. Kowboj wyjawia swoje pomysły, a Dogder siedzi w wygodnym fotelu i słucha z przymkniętymi oczami. Skulony, opatulony w kożuszkową kamizelkę ściska kubek w obu dłoniach. Od czasu do czasu kiwa potakująco głową al-bo prosi o dodatkowe wyjaśnienia. Dolewa sobie kawy, wypija i z zamkniętymi oczami odchyła się na oparcie fotela. - Taak - mówi. - Wypróbujemy ją.

- Najpierw krystaldżok - oponuje Kowboj.

- Racja.

Równocześnie odzywają się dwa radiotelefony, jeden na pasku Jutz, drugi w kieszeni Dodgera, który wyciąga aparat i odpowiada na wezwanie.

- Tu Lockyer przy bramie - słychać bardzo wyraźnie. - Jest tu Jimi Gutierrez, chce się z panem widzieć. Twierdzi, że ma nowiny. Po twarzy Dodgera przebiega błysk niesmaku.

- Okay. Przeświatl go i przyślij na górę.

- Tak jest.

Dodger wsuwa radiotelefon z powrotem do kieszeni. - Cholera. Jestem za stary na zadawanie się z takimi punkami jak on.

- On jest po naszej stronie - zauważa Kowboj.

- Ciągle mi to powtarza. Ale robi to z tym swoim wariackim uśmieszkiem i stale mam wrażenie, że jest po mojej stronie tak samo jak oswojony ryś - do momentu kiedy pomyli moje ręce ze swoim śniadaniem.

Kolejny ochroniarz pojawia się, by pod skanerem w nadprożu wprowadzić Jimiego do pokoju. Chłopakowi drga na ustach krzywy uśmieszek, źrenice ma tak rozszerzone, że wyglądają jak wyłoty luf dubeltówki. Jest ubrany w zbrojoną kurtkę i dzinsy z obcię-

178

UKSDiuuiani

tymi nogawkami, tenisówki włożył na boscie stopy. Spozstrzega Kow-boja siedzącego w kącie i śmieje się triumfalnie. Metalowe klam-ry błyskają mu w ustach.

- W końcu cię złapałem, Kowboju - trajkocze. - Hej, ja się chcę dołączyć. Pamiętasz ten dzień na Zachodnim Stoku? - Tak. Siadaj i przekazuj nowiny.

Jimi jest zbyt podekscytowany, by usiąść, podskakuje w miejscu, jak na sprężynie. Jutz przygląda mu się tolerancyjnie. - Mam antybiotyki Arkadija warte dziesięć kilopatoli, zabun-krowane w ładowni pancerkki sto pięćdziesiąt kilometrów na pół-noc stąd - oznajmia zwariowany pancerniak. - Przydadzą

ci się, Dodger? - Obraca się radośnie w miejscu z uniesionymi rękami, wspomagane stopy wybijają rytm tańca zwycięstwa. - I dorwałem tego sukinsyna Chapela. Dostał takiego kopa w dupsko, że pewnie wylądował w połowie drogi do Meksyku.

Uśmiechając się coraz szerzej, Kowboj patrzy na Dodgera, który odwraca twarz od Jimiego i zamyka oczy.

- Siadaj, Jimi, zanim przez ciebie dostanę ataku serca, i opowiedz, co się stało.

Chłopak spogląda na gospodarza, nie tracąc nic ze swojego entuzjazmu, sadowi się na brzeżku fotela, gumowymi podszewkami wciąż wystukuje rytm o podłogę. Sandman, jeden z sojuszników Arkadija, wynajął go do przeskoku przez Granicę ze wschodniego Kolorado. Chapel pokazał się przy ładunku, więc Jimi zorientował się, że Arkadija przynajmniej częściowo interesuje ta trasa. Ruszył pancerkę, z działką i rakietami skosił obsługę naziemną, wysadził w powietrze cysterne paliwową razem z Sandmanem i Chapelem, a potem zwał w Góry Skaliste poszukać kryjówek.

- Za jednym zamachem zdobyłem sobie dziesięć milionów dolarów w ładunku, nowiusienką pancerkę i skasowałem paru oślizłych drani. - Kończy opowieść, zrywa się z krzesła, klaszcze nad głową. - Czy to wystarczy, żeby załapać się do drużyny? - Myślę, że tak - odpowiada Kowboj.

Przygląda się, jak Dodger kapituluje przed nieuniknionym.

- Tak, Jimi - wzdycha w końcu - Myślę, że dobrze zrobiłeś.

Jutz wstaje i obejmuje chłopaka za ramiona.

- Dzięki - mówi - dobrze jest wiedzieć, że mamy kilku przyjaciół.

Jimi chwyta ją, wiruje, unosząc ją z ziemi. Jutz śmieje się radośnie, a Dodger przygląda się temu kwaśno spod przymkniętych powiek.

- Wrzucę jeszcze parę ćwiartek do wurlitzera - proponuje Kowboj. Idąc do kuchni, ogląda się przez ramię. - Hej, Jimi, chcesz trochę posolę?

Chłopak stawia Jutz na ziemi i sięga do kieszeni po przezroczystą flaszkę meskalu.

- Jasne - mówi. - Fajnie być na pokładzie, wiesz? - Wiem - zgadza się Kowboj, idzie w stronę migających światełek szafy grającej, grzebiąc intensywnie w kieszeniach.

NOWY PREZYDENT UKRAINY ZOSTAŁ WYBRANY

ZACHOWA NEUTRALNOŚĆ

W KONFLIKCIE ESTONIA-MUSCOVY

Sara wchodzi do pokoju Dauda i widzi rosyjskiego księdza stojącego przy łóżku drugiego pacjenta, którego ręce i nogi są przywiązane skórzanymi pasami do jasnej metalowej ramy łóżka. Wirusowa choroba Huntingtona, myśli dziewczyna, erozja umysłu i ciała. Już po fazie zakaźnej. Brodaty ksiądz nie poświęca jej nawet jednego spojrzenia, wpatruje się w umierającego mężczyznę.

Daud ma już dwoje oczu, jedno otacza siniak po wczorajszej implantacji opłaconej z pieniędzy, które przesłała z dworca Bullet w Kansas City. Chłopak patrzy na Sarę, kiedy ta mija księdza, twarz mu łagodnieje.

- Saro - odzywa się.

- Jestem.

Ujmuje wyciągniętą rękę brata, przytula do siebie.

- Gdzie byłaś?!

Sara przygląda mu się, obserwuje wewnętrzne zmagania odzwierciedlające się na jego twarzy, mieszaninę wdzięczności i urazy.

- Musiałam uciekać, Daud - wyjaśnia.

- Zostawiłaś mnie samego.

Dziewczyna gładzi delikatnie jego dłoń, nową, różową skórę. - Niech cię szlag - mówi Daud. - Dlaczego zniknęłaś? Powie-działaś, że to tylko kilka dni.

IDU

unouiuwom

- Coś źle poszło.

Próbuje pocałować go w policzek. Chłopak odsuwa głowę, więc Sara cofa się i zadowolona się trzymaniem go za rękę. - Zmniejszają mi dawkę - skarży się Daud. - To boli. Moje no-gi, wszystko. Nie mogę wykonywać ćwiczeń, które mi zalecają. Sara spogląda na niego, widzi zarys nowych, chudych nóg pod okryciem.

- Nie mogą cię stąd wypuścić, dopóki nie zaczniesz normalnie chodzić - wyjaśnia.

- W ogóle nie mogę chodzić, chyba że dostanę swoją działkę. - Daud - mówi siostra, usiłując zachować łagodny ton. - Nic ci nie przyniosę. Żadnych maskerów hormonalnych ani endorfin. Chłopak zabiera rękę. Sara próbuje z nim rozmawiać, ale on nie odpowiada. Przygląda się, jak drgają mu mięśnie policzka i szyi, czuje, jak narasta w niej gniew i frustracja. Upomina samą siebie, że takie gierki to wszystko, co mu pozostało, że odgrywa je, bo chce mieć pewność, iż obchodzi ją jeszcze na tyle, by je zno-siła, lecz złość narasta zbyt gwałtownie, dlatego odwraca się i od-chodzi, nie chce wybuchnąć.

Na korytarzu cichy szum chłodnego powietrza brzmi jak szept.

Sara już wie, jaką wiadomość jej przynosi.

Miasto się zbliża, a nie ma nikogo, kto mógłby ubezpieczać jej tyły.

TEMPEL PHARMACEUTICALS OGŁASZA OPRACOWANIE LEKU NA HUNTINGTONA. AKCJE TEMPEL SZALEŃCZO ROSNĄ Lek opisywany jest jako „wirus o ukierunkowanej zjadliwości” Thibodaux to krystaldżok. Jest zawsze poważny, w samochodzie Kowboja kuli się za swoim terminalem, głęboko zatopiony w ja-kimś wewnętrznym transie. Krzywi się, stuka w klawiaturę trzy-maną na kolanach. Kowboj poznał go przelotnie parę lat temu, kiedy Thibodaux miał kochanka pancerniaka, który później dał się rozwalić gdzieś na polach pszenicznych Dakoty Południowej. - Okay, facet - mówi džok. - Ta kompania holdingowa w Mon-tevideo została uprzedzona. Możemy ruszać.

Cała sztuka nie w przesłaniu pieniędzy - to będzie prościut-kie, kiedy tylko da kody Thibodaux. Sęk tkwi w zgubieniu progra-mów śledzących, założonych przez gliny na jego konta, mają podą-zać za każdą transakcją i poinformować policję o tym, gdzie prze-bywa.

Pracują z samochodu Kowboja, terminal krystaldżoka podpię-ty jest do publicznego telefonu umieszczonego na aluminiowym słupku przy West Alameda w Santa Fe. Gliniarze mogą być wystarczająco dobrzy, żeby wytropić ciąg poleceń, dlatego Kowboj nie chce używać żadnej linii, do której ma stały dostęp. W samochodzie unosi się woń napięcia, nerwy iskrzą od adre-naliny. Thibodaux wchodzi w interfejs i wywołuje robomaklera Kowboja, który podaje z kryształu pierwszy kod i w ciągu dwóch sekund cały jego pakiet zostaje przerzucony skomplikowanymi i pozornie przypadkowymi drogami na giełdy w Singapurze, Lon-dynie i Nowej Mombasie.

Mniej więcej trzy sekundy później wszystkie akcje zostają wy-mienione na inne. Po zakończeniu transakcji Thibodaux daje sy-gnał Kowbojowi, który podaje kolejny kod ze swoich scalaków. Wszystkie jego tytuły własności do różnych depozytów metali szlachetnych, złożonych głęboko w sejfach różnych banków, roz-rzuconych po wielu zachodnich stanach, zostają przerzucone na rynki towarowe na Tobago.

Ciągi danych reprezentujące nowy pakiet akcji Kowboja, zakupionych w trzech różnych miejscach,

zostają zakodowane, przerzucone przez geosynchroniczne satelity należące do Miko-jana-Gurewicza, Toshiba oraz Korporacji Gold Coast Law I. G. i sprzedane na trzech kolejnych giełdach za meksykańskie peso, franki CFA w Bangui oraz korony islandzkie.

W tym czasie złoto i srebro Kowboja jest wymieniane na szy-lingi ugandyjskie, które wędrują do Manili, gdzie zostają złożone w depozycie fejsowego banku ukrytego za fasadą czegoś o nazwie Greater Asian Trade Company. Stanowią zabezpieczenie dla kre-dytu stanowiącego około 99,999 procent ich wartości. Czas trwa-nia pożyczki wynosi dziesięć sekund.

Kowboj podaje Thibodaux trzeci kod i jego udziały w luksusowych apartamentowcach w Lightside Development w Stałym Śro-dowisku Orbitalnym Mitsubishi położonym w Czwartym Punkcie Libracyjnym Lagrange'a zostają sprzedane, z niewielkim zys-kiem, inwestorowi mającemu siedzibę w Zurychu. Zapłata we frankach szwajcarskich wędruje potem do fejsowego banku w Mel-bourne, gdzie również służy jako zabezpieczenie dziesięciosekun-dowego kredytu.

W czasie gdy kody reprezentujące franki szwajcarskie dociera-ją do Australii, trzy ciągi danych, stanowiące pakiet akcji Kowbo-ja, z prędkością światła przebiegają pomiędzy kilkoma satelitami i stacjami naziemnymi. Program stworzony przez Thibodaux jest zintegrowany, wędruje razem z danymi i po zainicjowaniu już nie wymaga żadnych poleceń, za to programy podczipione do danych przez policję działają trochę inaczej - za każdym przelotem z Zie-mi do satelity i z powrotem do czasu opóźnienia pomiędzy chwilą, gdy zauważają transfer, a chwilą gdy główny program tropicielski znajdujący się w zimnym, kryształowym sercu naziemnego kom-putera może zareagować na tę operację, dodaje się ułamek se-kundy.

W czasie skoków z Ziemi w kosmos i z powrotem każdy ciąg da-nych przechodzi przez odbiornik usytuowany na dawnej platfor-mie wiertniczej koło Big Sur. Thibodaux czatuje na osobnej, bez-pośredniej linii połączonej z tą stacją i w momencie przejścia danych dodaje do nich nowy program, który dołącza się do pierw-szej wiadomości, imitując ją, jak się da najwierniej... Fachowcy nazywają go kleszczem.

Kredyty zaciągnięte przez Kowboja wędrują osobnymi droga-mi do Singapuru i Nowej Mombasy, gdzie służą do zakupu akcji w Greater Asian Trade Company. Te z kolei idą do Manili, gdzie po cenie nominalnej zostają odsprzedane z powrotem Trader Company za koningi ukraińskie, przesłane następnie do Patago-nii w celu zawarcia operacji terminowych kupna bydła. Peso, franki CFA i korony pędzą z prędkością światła do stacji odbiorczej na wyspie Ascension, gdzie czeka kolejna wiadomość od Thibodaux. Każdy ciąg danych dzieli się na pół, kleszcz, udając pierwotną informację, oddziela się i pędzi jak wściekły w późno-wieczorne niebo, przy odrobinie szczęścia zabierając ze sobą tro-picieli. Tymczasem dane reprezentujące pieniądze przeskakują przez satelitę Korolewa wprost do Montevideo, do interfejsowej skrzynki pocztowej oznaczonej „Kompania Holdingowa, nr 384673”. Komputer kompanii przelicza walutę, odejmuje honora-ria Thibodaux oraz własne i powiadamia operatora - znudzoną ko-bietę w średnim wieku siedzącą przy przestarzałym terminalu w obdartym jednopokojowym biurze nad groblą powstrzymującą połączone wody Atlantyku i Rio Płata. Urzędniczka uruchamia kolejną linię telefoniczną i zaczyna wystukiwać kod. Kiedy tak stuka, zgięta nad klawiaturą, główny komputer Gra-ter Asian Trading Company spostrzega, że dziesięciosekundowy kredyt nie został spłacony i przejmuje zabezpieczenie. Cała na-dzieja w tym, że razem z szylingami ugandyjskimi wchłonał poli-cyjnego tropiciela, który nie jest w stanie podążać za kredytem. Patagońskie transakcje terminowe kupna bydła zostają sprze-dane w Namibii za ruble południowoafrykańskie. Pieniądze te wędrują z Ziemi na orbitę i z powrotem, tak samo jak

wcześniej-sze ciągi danych, również przechodzą przez przybrzeżną stację Big Sur i zabierają po drodze kleszcza.

Bank w Melbourne przejmuje franki szwajcarskie zabezpieczające drugi kredyt. Kobieta w Montevideo kończy operację ręcznego transferu pieniędzy do Urugwajskiego Banku Sony, z którego Thibodaux natychmiast przesyła je na giełdę w Chicago serią skomplikowanych i pozornie przypadkowych zakupów akcji. Kleszcz podłączony do rubli południowoafrykańskich odpala się w stronę Piątego Punktu Libracyjnego Lagrange'a, gdzie ruble oddzielają się i lecą do Montevideo. Kolejny ciąg danych pojawia się w komputerze Kompanii Holdingowej nr 384673. Kobieta znów pochyla się nad klawiaturą; stukając, myśli o kolejnym papierosie.

Kleszcze pojawiają się w biurach NewsData w różnych kompleksach orbitalnych, ukrywając się pod winietką DO NATYCHMIA-STOWEGO ROZPOWSZECHNIENIA jako kopie notatki Reutera dotyczącej triumfalnego tournée Marca Mahomeda po Malezji. Thibodaux wycofuje ruble z Urugwajskiego Banku Sony, by dokonać kolejnego zakupu akcji w Chicago. Nad jego górną warstwą łośni pot. Wychodzi z fejsu i spogląda na Kowboja. - Okay - mówi. - Dawaj kody na akcje.

Kowboj podaje serię kodów, potem Thibodaux wręcza mu kryształ wyjęty spod klapki. Kowboj również wychodzi z fejsu i odbiera scalak.

- Żaden gliniarski tropiciel nie powinien być zdolny do przesłedzenia czegoś takiego. Powinny zostać zatrzymane na amen, w momencie gdy pieniądze poszły na zabezpieczenie kredytów - bardzo mało prawdopodobne, by były zdolne do przełączenia się ze śledzenia naszych walorów na forszę pożyczaną nam przez fejsowy bank. Z takim długim opóźnieniem, jakie im potem dodaliśmy, nie powinny potrafić odróżnić kleszczy od prawdziwych danych, więc powinny pójść za nimi. A zupełnie już nie widzę sposobu, w jaki mogłyby przeskoczyć tę kompanię holdingową w Urugwaju, gdzie człowiek pracuje na dwóch komputerach pozbawionych w ogóle interfejsu.

Thibodaux sięga po papierosa i uśmiecha się.

- Myślę nawet, że zyskałeś trochę na tych wymianach akcji - dorzuca. - Jak mi się zdaje parę tysięcy dolców.

- Nie przejmuję się gliniarskimi tropicielami - odpowiada Kowboj. - Chcę, żeby Orbitalcy odczepili mi się od tyłka. - Nawet oni nie potrafią podróżować szybciej niż światło - ri-postuje Thibodaux. - W każdym razie Urugwaj ich zatrzymał. Żeby znaleźć twoje pieniądze, musieliby mieć dość rozumu, żeby sprawdzać wszystkie linie telefoniczne w mieście - potrząsa głową. - Do diabła, najpewniejszym posunięciem dla nich byłoby włamanie i przejęcie w czasie jednego z transferów - ich programy są wystarczająco dobre, żeby - jeśliby im zależało - zrealizować taki atak.

Spogląda na Kowboja i uśmiecha się szeroko.

- Będziesz miał pewność, kiedy spróbujesz ruszyć część tego pakietu.

- Tak. Dzięki.

Kowboj zamierza sprzedać wszystko, zanim jeszcze Thibodaux zniknie mu z oczu, a potem dać nowe kody. Krystaldżok ma reputację uczciwego fejsowca, ale lepiej nie ryzykować. Thibodaux opuszcza okno packarda, sięga do telefonu, żeby odłączyć terminal. Kowboj wchodzi w fejs samochodu. Turbina za-skakuje niemal bezgłośnie, lekkie drżenie przebiega karoserią samochodu.

Krystaldżok, krzywiąc się, patrzy na swój terminal. - Wiesz, może rzeczywiście Orbitalcy podczepili ci jakiegoś tropiciela. Na pewno był więcej niż jeden. Na początku jechałem razem z

programem, przez parę pierwszych skoków, i czułem je na ogonie.

-Tak?

- Jeden jednak był dziwny. Coś w rodzaju etykiety z wiado-mością. - Jego oczy robią się na moment zamglone, potem spoglą-da na Kowboja. - Znasz niejakiego Reno?

Pancerniak czuje lodowate dotknięcie na karku. Patrzy na Thi-bodaux, a strach rośnie w nim nagle jak fala uderzeniowa. Potrzą-sa głową.

- Reno nie żyje - mówi.

- Jesteś pewien? Jedyne fragment wiadomości, jaki udało mi się odczytać, brzmiał: KOWBOJU ZADZWOŃ DO RENO, raz za razem.

- Nic więcej?

Thibodaux wyszczerza zęby w uśmiechu.

- Nie zadałem sobie trudu, żeby przeczytać cokolwiek więcej. Wynająłeś mnie do przerzutu pieniędzy, a nie rozpracowywania programów siedzących im na ogonie.

- Prawda.

Kowboj oblizuje wargi, próbuje z powrotem skoncentrować się na ruchu pędzącym po West Alameda. Wypatruje właściwy mo-ment i rusza, wjeżdżając pomiędzy dwa samochody. - Myślę, że to jakiś trik - mówi. - Chcieli, żebym się odezwał, a wtedy by mnie namierzili.

- Prawdopodobnie. Jednak dziwacznie zrealizowany.

- Dziwacznie. Reno był dziwakiem.

Kiedy Kowboj odwraca się w stronę porannego słońca wiszą-cego wysoko nad odległymi, zielonymi stokami Sangre de Cristos, jego źrenice robią się małe jak łebki szpilki. Czuje lodowatą, kry-staliczną obecność ducha Reno, zagubionego gdzieś w interfejsie, wyciągającego pajęczę, metalowe palce, z których rozwijają się długie, hieroglifopodobne ciągi danych... Nie, to była jakaś sztuczka, myśli.

Musiała być.

KOROLEW ODDAJE CIOS

ZAPOWIADA NOWY MODEL JOWISZOWEJ ZGARNIARKI OCZEKIWANE JEST OBNIŻENIE CEN PLASTIKÓW Z PLANET GAZOWYCH Sara patrzy w dół na pancerkę stojącą samotnie w wąwozie. Leżą na niej opadłe gałęzie, suche liście zgromadziły się po osło-niętej stronie. Smutek targa nią jak porywisty wiatr Montany. Coś się tu zaczęło, wędrówka, w czasie której miasto i ulica rozto-piły się w słońcu późnego lata, a ona sama uzyskała dość swobody, by stać się kimś innym niż opancerzona ziemniarka po omacku szukająca biletu.

Spoza lustrzanych okularów patrzy na czterech ludzi Hetma-na, którzy przyjechali tu z nią z Florydy.

- Okay - mówi - idziemy po nasze kryształę.

Schodzi do wąwozu i wstukuje kod do zamka ładowni pancer-ki. Klapa z sykiem unosi się na pneumatykach.

Serca czekają, odarte ze zbroi.

DEMEUREZ-VOUS AU PAYS DE DOULEUR?

LAISSEZ NOUS VOUS ENVOYER A HAPPWILLE! *

- Pointsman Pharmaceuticals A. G.

Kiedy Jimi wchodzi do pokoju, świadomość Kowboja opuszcza akurat interfejs. Szalony pancerniak wrócił z przerzutu kradzieży antybiotyków do Kentucky, teraz wychodzi z haju, na którym znajdował się przez ostatnie trzy dni. Na szyi i ramionach ma siniaki od pasów przytrzymujących go w czasie manewrów z dużymi przeciążeniami - wynik trzystukilometrowego wyścigu z glinami z Nebraski, który zakończył się przymusowym lądowaniem helikoptera w kukurydzy, a pionowzlot musiał powlec się do domu na jednym silniku, najwyraźniej zassawszy do wlotu drugiego kłęb aluminiowych odbijaczy.

- Mam nadzieję, że ten sukinsyn doleciał - mówi Jimi. - Cholernie dobry pilot.

Zaczyna zdradzać oznaki zmęczenia, widać je w postawie, w opadających powiekach. Bierze od Dodgera whisky z wodą i wali się na siedzenie.

- Mam przyjemność powiadomić cię, że dobrze zapłacono ci za siniaki - oznajmia gospodarz. - Twój udział właściciela i honorarium za trasę dały razem ponad pięć milionów.

Jimi jest zbyt wyczerpany, by odpowiedzieć. Kowboj wie, jak on się czuje, sam właśnie wrócił z czterodniowej wyprawy na północ i zachód z dwoma najemnikami z Flash Force; siedzieli z tyłu packarda i stali mu za plecami, kiedy rozmawiał z pancerniakami - jednym, dwoma naraz, usiłując uzyskać ich zgodę na powstrzymanie Franc. „Żyjesz w mieście bólu? Pozwól nam się wysiać do Happyville!” (przyp. tłum.). manie wojny Arkadija. Niektórzy wydawali się chętni do wzięcia w tym udziału, jednak nikt nie chciał być pierwszy. Kowboj zdaje sobie sprawę, że musi najpierw stworzyć jakąś organizację, uruchomić jakiś program działań. Jak na razie ma wrażenie, że robi postępy, lecz świetnie wie, iż jedna zła wiadomość może wszystko zepsuć.

- Jeśli jeszcze raz usłyszę „Nie robię tego dla ładunku, lecz dla samej jazdy” - oświadcza - złamię komuś nos.

Dodger zerka na niego.

- Sam zwykłeś tak mówić.

Kowboj pociąga łyżeczkę letniej kawy w nadziei, że kofeina utrzyma go na nogach jeszcze przez parę godzin. - Do momentu gdy przejrzałem na oczy - odpowiada. Jimi masuje sobie kark. Kowboj zastanawia się, czy nadszedł już czas na powiedzenie mu o rozmowie, jaką Dodger przeprowadził z szefową Biura Korolewa, która przybyła tu na górę, zaproszona przez gospodarza w celu przedyskutowania utworzenia jednolitego frontu przeciwko Arkadijowi i Tempel. Chłodno odmówiła wchodzenia w jakiegokolwiek układy, dopóki Dodger nie spełni warunków, które byłyby całkowitym poddaniem się - przekształceniem w oddział Korolewa zamiast Tempel, i to w dodatku bez walki.

Wskazała, że interesy Korolewa na planecie nie są zagrożone, a jeśli firma miałaby się zaangażować, musi mieć pewność, że na tym nie straci. Dodger odmówił jej i doszedł do wniosku, że blok Korolewa był całkiem zadowolony, iż Tempel musi przeznaczyć część swoich pieniędzy na wojnę niemającą związku z podjętą próbą jego przejęcia, ale nigdy nie zgodzi się finansować ruchu społecznego wymierzonego w jakikolwiek blok, nawet wrogi. Pancerniaczy będą musieli walczyć bez poparcia z góry. Kowboj uznał, że to nawet dobrze. W jego pojęciu przyjęcie propozycji Korolewa zrobiłoby zeń kogoś nie lepszego od Arkadija. Dopija kawę, zdaje sobie sprawę, że następna filiżanka nie pomoże, już jest otumaniony, jeśli włączy okablowanie, nabierze wi-goru na

jakaś godzinę, a potem, po zużyciu wszystkich rezerw, padnie i nie wstanie. Postanawia więc spróbować raz jeszcze i wraca w interfejs. Widzi barwną strukturę - poprzepłataną kra-townicami dźwigary i kolumny - przedstawiającą Tempel Phar-maceuticals I. G.

Czterowymiarową reprezentację bloku Tempel wraz z filiami skonstruował Thibodaux. Większość tych informacji pochodzi z publicznie dostępnych zapisów, lecz część - a zwłaszcza związki z Arkadijem - to rezultat logicznego wnioskowania. Całość jest gi-gantyczna. Zimne, trupie paluchy Tempel w poszukiwaniu zysku grzebią w tysiącach różnych garnków. Firma jest tak rozgałęziona, że trudno dobrze uchwycić pojedynczą operację, przeplata się ona z setkami innych, jej tropy giną wśród mnóstwa śladów. Astronomiczne ilości prywatnej gotówki przewijają się wśród pli-ków, wysypują się z tysięcy zsyków, znikają w bezimiennych pral-niach i pojawiają się zupełnie gdzie indziej, całkowicie gubiąc pierwotne źródło. Nazwiska pojawiają się na krótko, potem prze-padają w czwartym wymiarze, przeskakują po sieci w czasie, w ogóle nie mając nic wspólnego z tym, co Kowboj zdołał rozpra-cować ze struktury organizacyjnej. Zaczyna więc śledzić pojedyn-cze nazwiska, usiłując cokolwiek pojąć ze sposobu, w jaki ludzie z samego szczytu firmy poruszają się w tej sieci. Przypadkowo wy-brany facet, Marcus Thorn, zaczyna w laboratoriach narkotyko-wych w starym, naziemnym Nowym Jorku, a kiedy ten przemysł wywędrowuje z planety, przenosi się do Orbitalnej Grupy Badaw-czej, potem otrzymuje tytuł zastępcy kierownika personalnego w czymś o nazwie Przyspieszeniowa Grupa Maximum, prowadzo-nym przez ambitnego Henri Couceiro. Po sześciu latach na tym stanowisku przenosi się do Zakładu Lunarne-go Wydziału Patolo-gii. Tam Kowboj znajduje inne nazwisko, Liu McEldo'vny, która rok wcześniej, tak samo jak Thorn, zmieniła miejsce zatrudnie-nia. Zgodnie z zapisem transferów w skrzynce Zakładu Lunarne-go wróciła do Grupy Przyspieszeniowej tuż przed Wojną Skał, po jej zakończeniu pozostała tam jeszcze miesiąc, by potem trafić do Komisji Kontrolnej Orbitalnego Wolnego Portu, którą Kowboj zna jako komórkę organizacyjną prowadzącą Wolne Strefy Flory-dy, Teksasu i Kalifornii.

Thorn przebywa na Księżycu przez następne dwa lata, następ-nie zostaje przewodniczącym Komitetu Budowy Solarnych Sateli-tów Energetycznych, który, pomimo nazwy, najwyraźniej zajmuje się sprawami personalnymi. Tutaj podlega bezpośrednio Couce-iro, który znów się pojawił jako szef komórki wykonawczej całego Wydziału Farmaceutycznego. Z Komitetu Budowy SSE Thorn zmienia stanowisko na równorzędne, zostając wicedyrektorem w Dziale Bezpieczeństwa, a dwa miesiące później, w momencie objęcia kierownictwa całej organizacji przez Couceiro, zostaje powołany do rady dyrektorów. Pozostając w radzie, Thorn ma pie-czę między innymi nad Wydziałem Rozwoju i - ponownie - Kon-trolą Wolnego Portu. Jedną z jego współpracownic - kto by się spodziewał - jest nie kto inny jak Liu McEldowny. Kowboj śledzi przebieg jej kariery, znajduje kolejne powiąza-nie z Couceiro, kiedy byli oni numerami, odpowiednio, jeden i pięć w filii Kontroli Eroзии, która zajmowała się udzielaniem kre-dytów na hipotekę tysięcy akrów zerodowanej ziemi ornej na Ukrainie i następnie jej przejmowaniem. Kowboj ponownie wę-druje wzdłuż kratownicy czasowej, obserwując zmiany składu ra-dy dyrektorów, spostrzega duże zamieszanie, gdy stanowiska prze-wodniczącego obejmuje Couceiro, liczba członków maleje z dwudziestu czterech do piętnastu, a pozostali nieznacznie zmie-niają stanowiska. Śledzi wszystkich, którzy odeszli, i odkrywa, że trzech umiera, kilku otrzymuje wysokie stanowiska w firmie - nie-mniej znajdujące się w takich miejscach jak Ceres czy Antarkty-ka. Niektórzy zostają po prostu wyrzuceni i, po operacji przenie-sienia umysłu poprzez kryształ do innego ciała, osadzeni na niskich stanowiskach, do momentu gdy rada zorientuje się, czy transfer osobowości nie zmniejszył ich przydatności. Kowboj do-chodzi do wniosku, że Couceiro w tym momencie mocniej skupia w ręku władzę nad radą i osłabia opozycję,

rozsyłając jej członków jak najdalej od siebie.

Już w dwa lata później pojawia się kolejne zamieszanie, dyrektorzy wymieniają się zakresami kompetencji, przy czym jeszcze jeden wypada całkowicie. Kowboj spostrzega zawieszony w kratownicy wskaźnik do informacji zaczerpniętej z brukowca „MediaNet”. Podąża za nim, odczytuje artykuł i odkrywa, że te ostatnie zmiany są wynikiem nieudanej próby odzyskania stanowiska, podjętej przez poprzedniego przewodniczącego, Albrechta Roon, który przegrał jednym głosem. Przed objęciem władzy przez Couceiro Roon szefował przez osiemnaście lat, a potem przerzucił mu mózg do nowego ciała i zesłano do Komisji Zasobów Asteroidowych - na stanowisko, które w bloku mocniej zaangażowanym w transport kosmiczny byłoby bardzo wysokie, ale w Tempel stanowi odpowiednik Syberii. Stamtąd próbuje powrócić do władzy, lecz przegrywa. Jeden z udzielających mu poparcia zostaje odesłany na emeryturę i zastąpiony człowiekiem Couceiro, a on sam ląduje jeszcze niżej, na stanowisku kierownika Południowo-amerykańskiego Działu Marketingu.

Taka szybka, zaledwie w ciągu kilku lat, degradacja z szefa będącego na szczycie studni grawitacyjnej do wygnańca w Ameryce Południowej świadczy o bardzo poważnej niełasce. Kowboj śledzi karierę Roon w całej konstrukcji Tempel, potem sprawdza Couceiro, pomimo że robił to już wcześniej. Dostępne informacje wnoszą niewiele. Będzie musiał pogrzebać głębiej. Wychodzi z interfejsu i odkrywa, że Dodgera nie ma, prawdopodobnie zażywa popołudniowej drzemki. Jimi zasnął w fotelu, ściskając udami obrastającą rosą szklaneczkę z drinkiem. Kowboj cichutko opuszcza dom, zapuszcza silnik packarda, krętymi drożynami jedzie na stare miasto w Cimarron, zbudowane na dłu-go przed tym radosnym kundlem Lucienem Bonaparte Maxwellem, znajomym Christophera Carsona i Williama Bonneya. Całe miasto powstało, bo Maxwell był właścicielem największej polaci ziemi w historii i uważał, że powinno na niej stanąć. Kowboj wpiął komputer do ulicznego telefonu i zaczyna grzebać w bibliotekach.

Teraz, kiedy już wie, czego szukać w kryształach bibliotecznych, informacje nie są trudne do znalezienia. Roon urodził się w Bonn, do szkół uczęszczał w Lipsku, gdzie uzyskał dyplom na wydziale chemii, zatrudnił się w Tempel Pharmaceuticals I. G. w tym samym roku, w którym firma rozpoczęła budowę pierwszej orbitalnej fabryki narkotyków. Wkrótce potem otrzymał pierwsze stanowisko w kosmosie, przez jakieś dziesięć lat firma przerzucała go to na górę, to na dół, aż w końcu zarząd firmy przeniósł się na orbitę, a Roon wraz z nim.

Kiedy został przewodniczącym, dążył do zapewnienia niezależności Orbitalców. W pewnym momencie, wbrew opinii Komisji Kontroli Przestrzeni, wysłał swoich dzoków do pasa asteroid, odważne posunięcie, jeśli wziąć pod uwagę, że Tempel nie była najmocniejsza w górnictwie i dysponowała zaledwie kilkoma statkami. Roon był inicjatorem pierwszego Kongresu Bloków Orbitalnych, w strukturach władzy stał tuż za Greczką. Jak się zdaje, był twórcą wielu programów Kongresu Bloków, jednak wolał trzymać się w cieniu i pozwalać Greczce grać pierwsze skrzypce. Po Wojnie Skał Roon stał za przyjęciem doktryny bałkanizacji głównych ziemskich mocarstw i ustaleniem Wolnych Stref nadzorowanych przez Orbitalców.

Henri Couceiro urodził się na orbicie z rodziców Brazylijczyków, w czasie gdy Roon jeszcze na Ziemi pracował nad uzyskaniem dyplomu. Był dumny z tego, że nigdy nie postawił stopy na planecie. W jednej z najbardziej kontrowersyjnych spośród swoich publicznych wypowiedzi, ogłoszonej wkrótce po zajęciu stanowiska przewodniczącego, nazwał Ziemię „po prostu jeszcze jedną, dużą asteroidą”.

Jednak to oświadczenie należało do bardzo krótkiej listy jego kiepskich politycznie posunięć. W

gładkim, precyzyjnym przebiegu jego kariery zdarzały się potknięcia, ale w jej wczesnym okresie najwyraźniej przetrucano go w ogromnej organizacji Tempel z miejsca na miejsce jako specjalistę od likwidacji kłopotów - przeorganizowywał programy i struktury, zmuszał podwładnych do trzymania się zasad, zwalniał niekompetentnych. To właśnie Grupa Maximum opracowała plany militarne, które doprowadziły do zwycięstwa bloków w Wojnie Skał i podziału łupów po jej zakończeniu.

Przyspieszeniowa Grupa Maximum wyraźnie przysporzyła Cou-ceiro sławy. Kiedy jej doktryny wcielono w życie, trzymał się z dala od polityki, skoncentrował się za to na zdobywaniu praktycznej wiedzy o biurokracji. W końcu dotarł na szczyt Wydziału Farmakologii i do miejsca w radzie. Stąd pokierował nią tak, by po transferze mózgu odmówiła Roonowi przedłużenia kadencji na stanowisku przewodniczącego -jak się zdaje, głosowanie przeprowadzono, kiedy jego umysł znalazł się już w kryształach - i pierwsza z degradacji stała się faktem.

Kowboj wynurza się z modelu Thibodaux, przez chwilę myśli o Couceiro i Roonie, rozłamanie pomiędzy twórcą niezależności Orbitalców a człowiekiem, który pomógł wprowadzić jego plany w życie. Będzie musiał przebiec model jeszcze raz, wyszukując po kolei popleczników obu tych mężczyzn zarówno w radzie, jak i wśród urzędników, spróbować poszukać tam jakichś możliwości wywarcia nacisku.

Lecz teraz, ku swemu zaskoczeniu, Kowboj spostrzega w skomplikowanej architekturze modelu jakieś poruszenia, czerwone kształty pojawiają się na kratownicach, pulsują rytmicznie, rozdzielają się na litery wędrujące wzdłuż belek i kolumn Tempel...

KOWBOJUPOMÓŽRENOKOWBOJUPOMÓŽRENOKOWBO-

JUPOMÓŻRENO

Adrenalina wręcz skwierczy mu w żyłach. Z krzykiem wrywa wtyczkę z głowy, wyszarpując interfejs z umysłu. Siedzi w packardzie, gapiąc się przed siebie na milczący, krystaliczny wyświetlacz i czując łomot serca w piersi. Drżącą ręką odłącza przez okno terminal od telefonu.

Znaleźli mnie, myśli. Zabójcy są na jego tropie, a on nie zabrał ze sobą ochroniarzy. Ogląda się przez ramię w lewo i w prawo, usiłując zdecydować się, czy jechać prosto do Dodgera, czy spróbować zmylić prześladowców, wybierając trasę przez góry. Opiera głowę na wyściełanym zagłówku, kładzie dłonie na pulpicie, prostuje ramiona, próbując powstrzymać dygot. Musi znów wejść w fejs, by uruchomić samochód, ale nie ma ochoty nawet dotknąć wtyczek, znów zobaczyć wiadomości z pulsujących liter. Pochyla się do przodu, czyści całkowicie RAM pojazdu, co powinno zlikwidować jakiegokolwiek upiorne przekazy od Reno, w końcu bierze wtyczki w dłonie. Już mu prawie nie drżą. Wciska złączki do głowy. Jedzie prosto do Dodgera z największą możliwą prędkością. Jest praktycznie pewien, że zwieje każdemu pościgowi.

Tak czy siak czas to sprawdzić.

NOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWE

Zachowaj Ciągłą Kontrolę Swojego Pakietu

Niezależnie Gdzie Się Znajdujesz

I Co Robisz!

Nasze Dwukierunkowe Platynowe Złączki do Nerwów Wzrokowych i Słuchowych Zapewnią Ci Bezustanny Kontakt z Twoim Robomaklerem 24 Godziny na Dobę Członkom Klubu CYBORG Przysługuje Dwudziestoprocentowa Zniżka Za Zabiegi Chirurgiczne NOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁO Michael Hetman przypala cygaro dygoczącą zapałką. Oczy ma zapadnięte i zaczerwienione.

- Wielka szkoda - mówi. - Podejrzywałem, że moje źródło mo-że nie być uczciwe. Bardzo mi przykro, że się nie myliłem. - Ci ludzie byli dobrzy w swoim fachu - odpowiada Sara. Strach krąży po jej nerwach małymi pakietami, ciarkami spły-wa po rękach. Wciska je w kieszenie, żeby nie drżały.. W ustach jej zaschło, marzy o chłodnym soku cytrynowym, zamiast tego sma-kuje suche, lodowate powietrze gabinetu Hetmana. Michael sięga po tryskawkę z wódką, cienkim, srebrzystym strumyczkiem nalewa do dwóch szklaneczek.

- Wydawało się to warte ryzyka - mówi.

Sara spędziła noc skulona w bramie, mając do towarzystwa tyl-ko bicie własnego serca i smak potu. Wcześniej czekała jeszcze z pięcioma osobami na pracującego dla Laffita zagarniacza, który miał się pojawić z aktówką pełną farmaceutyków i tylko jednym ochroniarzem amatorem. Jednak albo informacja była częścią spisku, albo zagarniacz wyczuł pismo nosem, bo nagle pojawiły się pędzące ulicą dwa opancerzone samochody z lufami wystają-cymi z czarnych, lustrzanych szyb, łomot kanonady odbijał się od ścian budynków, a pociski z teflonowym płaszczem dziurawiły be-ton i zamieniały cegły w pył. Ludzie w pojazdach byli okablowani i bardzo szybcy, dlatego Sara tylko szczęściu zawdzięczała uciecz-kę, mimo że starannie wybrała sobie stanowisko z dobrą drogą od-wrotu. Samochody pogoniły za innymi, a ona pędziła przez noc, która nagle zmieniła się w potwora o wilgotnym, cuchnącym kom-postem oddechu, skanerach podczerwonych zamiast oczu, stwora, którego śmiech brzmiał jak jazgot broni automatycznej. Walka trwała tylko kilka sekund. Resztę nocnych godzin spędziła, cze-kając w bramie, przytulona policzkiem do mokrego, miejskiego żwiru pocącej się ściany, a samochody patrolowały ulice w poszu-kiwaniu pozostałych przy życiu.

Powinna postawić jakąś sumkę na liczbę trupów w raporcie z dzisiejszej nocy. Będzie wyższa niż zwykle.

Sara bierze szklaneczkę wódki z ręki Michaela, wlewa sobie powoli do gardła zimny, alkoholowy ogień.

- Ten interes mógł mi kupić jeszcze z tydzień - mówi Hetman, siada w głębokim fotelu z chromu i czarnej skóry. Patrzy na nią wodnistymi oczami. - Obliczyłem wszystko - ciągnie cichym gło-sem. - Mam osiem miesięcy, potem wszystko diabli wezmą. Zwró-cone przez ciebie kryształły dały mi jeden z tych miesięcy. Odchyła się w tył, wpatruje się w czarne, akustyczne płytki su-fitu. Ręce mu drżą, nawet położone na podłokietnikach fotela. - Tempel odciął moje źródła, ale jakiś czas przetrwam na prze-chwytach, przekupstwach, przemycie towaru z moich własnych la-boratoriów wszystkiego, co zgromadziłem. Kiedy tylko zaczęła się wojna, napożyczałem, ile się dało, bo wiedziałem, że mój kredyt nigdy nie będzie tak dobry jak wtedy. Chciałem mieć długi u jak największej liczby ludzi, nabrać dla nich wartości żywy. Sara zamyka oczy, widząc noc, nagły ruch, blask szperacza, po-łysk

laserowych hologramów odbijających się w wypolerowanej masce rozpedzonego samochodu.

- Mogę prowadzić wojnę przez sześć miesięcy i mnie to nie osłabi - mówi Michael, jego głos o miętym akcencie jest jedy-nym dźwiękiem w tej wyciszonej fortecy. - Potem nie będę już w stanie płacić policji, więc zaczną mnie ścigać. Dochody spadną. Po siedmiu miesiącach nie będę miał czym zapłacić ochroniarzom z Maximum Law, więc skończy się na wynajęciu amatorów. Prę-dziej czy później któryś z moich przyjaciół dojdzie do wniosku, iż za bardzo mu przeszkadza fakt, że żyję.

Sara otwiera oczy, Michael patrzy na nią z rozbawionym wyra-zem twarzy.

- Tobie jedynej mogę zaufać - oznajmia. - Ty jedna mnie nie zdradzisz. Ciebie też chcą dopaść.

- Ja nie mogę pomóc, Hetmanie - oponuje dziewczyna. - Nie potrafię zmienić rzeczywistości.

- Wiem, że nie potrafisz - zgadza się Hetman. Odwraca od niej wzrok, który zaczyna przypominać spojrzenie hazardzisty wlepio-ne w koło ruletki w oczekiwaniu na moment, w którym srebrna kulka wybierze przegródkę. - Możemy tylko działać dalej. Po pro-stu robić swoje. A kiedy się zawali - wzrusza lekko ramionami - spróbujemy zwać i mieć nadzieję, że nie będziemy już dla nich znacząc tyle, żeby chciało im się nas gonić.

Sara zagląda do szklaneczki z wódką, widzi w niej odbicie mrocznego, lodowatego wnętrza Michaela. Spróbuj nie mieć zna-czenia, myśli, może cię nie zauważą i pozwolą żyć. Znacz tyle co Hetman czy Kowboj i załatwią cię. Tylko szczury przeżyją, nigdy lwy.

A szczury nie ubezpieczają sobie nawzajem tyłków. NAJAZD ORBITALNEJ POLICJI NA MAGAZYN W TEKSASIE UJAWNIONO FABRYKĘ BRONI DOMOWEJ ROBOTY UWAŻA SIĘ, ŻE RAKIET UŻYWANO W TRAKCIE PRZEMYTU „Pony Express”, poruszający się strzępek nocy, ślizga się po paraboli jak smyczek po skrzypcach w trakcie delikatnej gry. Kowboj znów jest w fejsie; unosząc się wysoko nad Górami Skali-stymi, czuje zimne powietrze szepczące na matowoczar-nym ka-dłubie delty, w nerwach krąży mu podniecenie wolnością. Jego metalowe oczy przeszukują niebo w poszukiwaniu podczerwo-nych sygnałów.

To nie trasa pocztowa. Kowboj jest na polowaniu. Po tym dniu w Cimarron jechał do domu jak wariat, czując Re-no, czy też coś, co ciągnęło za Reno. Nikogo tamtego dnia nie wi-dział, nikt go nie śledził, nawet jednego podejrzanego spojrzenia. Przez następne dwa tygodnie ani śladu wroga. Od tamtej pory nie wchodził w fejs. Cokolwiek kryło się za tą wiadomością, Kowboj nie chce mieć z tym nic wspólnego.

Bursztynowy błysk pojawia się na jego radarze, pancerniak przygląda mu się uważnie. Jeden z rzadkich lotów handlowych, uznaje, za wysoko na maszynę Arkadija.

Delta przecina gładko powietrze, jej potężna moc pozostaje uszpiona, uważnie kontrolowana. Samolot Arkadija jest mały, a ra-dary „Pony Express” są niezbyt sprawne i mają ograniczony za-sięg - dotychczas Kowboj bardziej był zainteresowany wykrywa-niem wrogich radarów niż używaniem własnych. Wie jednak, że Arkadij gdzieś tu jest. Opłacany przez Dodgera recepcjonista z lotniska przekazał informacje, że samolot trzeciaka wystartował tuż przed zachodem słońca z nim samym na pokładzie oraz że je-go włosy wciąż podnoszą się i zmieniają co parę sekund. Neuroprzekazniki muskają kryształ Kowboja, „Pony Express” przechyla się i pędzi na wschód, nad Medicine Bow. Elektroniczne uszy poszukują transmisji mikrofalowych. Dalekie radary pulsują lekko na pochłaniającej fale radiowe powierzchni delty. Wewnątrz jednolitego, czarnego kaptura hełmu Kowboj słyszy jedynie echo własnego oddechu, czuje tylko smak gumy i anestetycznego gazu.

Uczucie sprawowania kontroli nad wibrującą mocą delty na-pełnia go radością, po nerwach biegnie przyjemne mrowienie. Stanowczo zbyt dawno ostatni raz posiadał niebo.

100

viivviiwwiii

Srebrzystobiała kropeczka sunie na tle obracającej się gwiazd-nej sfery, Kowboj przygląda się jej dokładniej. W porządku, to sy-gnał podczerwony, unosi więc nos delty w górę, żeby użyć czoło-wego radaru, przeciążenie naciąga mu skórę wokół oczu. Na wyświetlaczach pojawia się bursztynowa kropka, obrysowuje nie-pewny sygnał. Kowboj wyobraża sobie siebie jako sokoła składa-jącego skrzydła, przygotowującego się do spadnięcia na odległą ofiarę.

Przy akompaniamencie gitary elektrycznej grającej mu w my-ślach otwiera szeroko dopływ paliwa do silników, wielki samolot wspina się ku gwiazdom. Pojękiwanie wiatru zmienia się w syk. Kręgosłupem Kowboj wyczuwa delikatne wibracje wędrujące w przód i w tył kadłuba, oznaki zwiększonego obciążenia kon-strukcji. Dochodzi do wniosku, że Arkadij na pewne rzeczy jest ślepy, nie jest w stanie pojąć, o co tu chodzi. Nie potrafi dotrzeć pod sam szczyt, myśli wyłącznie w kategoriach pieniędzy i mody, żywi nadzieję, że kriomaksowymi ciuchami kupi sobie bilet do świata prawdziwych zdarzeń. Przez cały czas, gdy pancerniaczy tworzą swoją legendę i żyją nią, Arkadij pozostaje gdzieś z boku, nieruchomo, próbując udawać, że jest znaczącą osobą. Sygnał podczerwony jest coraz bliżej, dla Kowboja lśni bielą. Dwa silniki. Jego delta znajduje się powyżej celu i poza nim, na szczycie długiego odcinka paraboli. Opuszcza dziób, przymyka przepustnice, odgłos pracy silników cichnie, zanika niemal całko-wicie, pozostawiony daleko za ogonem samolotu. Cel jest już bardzo blisko. Kowboj wypuszcza klapy „Pony Express”, czuje walkę maszyny z hamowaniem, drżenie. Sygnał podczerwony zbliża się, dwoje kocich oczu w środku nocy. Kowboj wyłącza podczerwień i widzi powiększającą się ciemną sylwetkę. Musi być pewien, że to właściwy samolot.

Neuroprzekazniki przerzucają przełącznik, elektrony pędzą po kablach, by gwałtownie zapalić jasne światło kwarcowych re-flektorów do lądowania. Noc nagle rozbłyska kształtem białego kadłuba w niebieskie prążki. Samolot Arkadija, wszystko się zga-dza. Maszyna przechyła się na skrzydło, próbuje uciekać w dół. Za późno. Już traci powietrze ulatujące dziurami w poszyciu wybitymi przez pociski z powarkującego działka zamontowanego w górnej wieżycze delty Kowboja. Skrzydło łamie się, jeden z sil-ników się zapala, rozpada na kawałki, rzygając ogniem i roztopio-nym metalem. „Pony Express” zatacza luk nad spadającym wra-kiem, odwrócony owiewką w dół, tak żeby Kowboj mógł obserwo-wać jego lot. Wie, że minie dobre pół godziny, zanim zestrzelony samolot grzmotnie o ziemię gdzieś w okolicy granicy z Nebraski, wśród gradu koziółkujących trzydziestomilimetrowych łusek, a przez całą drogę na dół włosy Arkadija będą stawać sztorcem co parę sekund, zmieniając barwę - pomarańczowe, zielone, nie-bieskie - bezcelowa, modna sekwencja...

Kowboj obserwuje upadek maszyny, powoli w jego uczucia wpełza żal. Arkadij nie żyje, ale za łatwo to poszło. Trzeciak sie-dział w bezbronny, cywilny odrzutowcu, miał przeciwko sobie zwrotnego, opancerzonego potwora. Nerwy Kowboja wciąż są roz-palone, gotowe do walki, nie zdały sobie jeszcze sprawy, że już po wszystkim.

Czuje radary Alei Potępienia z wściekłością próbujące do-tknąć go pazurami mikrofal, głęboko w jego duszy tkwi tęsknota, by jeszcze raz pokonać Granicę, usłyszeć jęk konstrukcji delty w czasie zwrotów z prędkością naddźwiękową, zatańczyć pomię-dzy lancami wrogich rakiet, poczuć błękitne alkoholowe płomie-nie rozpalające się za jego plecami, unoszące go ku bezpieczeń-stwu... To proste przechwycenie izestrzelenie było poniżej godności „Pony Express”, nie stanowiło kulminacyjnego

momen-tu walki.

Kowboj kieruje dziób delty w dół, wchodzi na kurs do Kolora-do. Wykonał swoją robotę - usunął Arkadija ze sceny, Dodger i jego sprzymierzeńcy uzyskają więc pewne pole manewru. Pocięgę znajduje w fakcie, że to nie ostatnia bitwa. Tempel stała za Arkadijem, wkrótce powrócą do gry z kimś innym. Uzyskał tylko chwilę wytchnienia i ma nadzieję, że wystarczy mu czasu na zorganizowanie swojej ambasady u Albrechta Roona.

MARC MAHOMED MÓWI CI, KIM JESTEŚ

Sara wślizguje się tylnym wejściem do Błękitnego Jedwabiu, otaczają ją nieruchome rzędy kartonowych opakowań alkoholi i narkotyków. Cicho zamyka drzwi, wsuwa klucz do kieszeni. W jej pokoju na górze znajdują się jedynie: biurko, terminal komputerowy z modemem, jedno krzesło, plastikowy pojemnik chłodzący i wąski materac rzucony na podłogę. Z baru dobiega dudnienie muzyki, same basy. Sara naśladuje szczura, kryje się przed wężącym nad głową terierem.

Ściąga kurtkę i bluzkę, sięga po ręcznik, ociera pot. Właśnie odwiedziła Dauda, spędziła z nim godzinę, którą wypełnił narzekaniem na szpital, terapię, na lekarzy zmuszających go do nadmiernego wysiłku i obcinających dawki, na Jackstrawę nieodpowiadającego na telefony, odbierane przez jakiegoś nowego chłopaka, którego głos nie podoba się Daudowi... Długi monolog wylewający się z niego przy każdej wizycie, jak taśma zdolna jedynie odtwarzać w kółko ten sam motyw. Sara wreszcie czuje się wyczerpana.

Odrzuca ręcznik, sięga po piwo do pojemnika chłodzącego i dopiero wtedy spostrzega na terminalu światełko oznaczające otrzymanie wiadomości. Zdziera zębami foliowe wieczko z butelki, sięgając jednocześnie do klawisza, który wyrzuci na ekran informację przekazaną do niej na górę przez Maurice'a. Kiedy pojawiają się słowa, czuje ciepło rozlewające się po jej nerwach, tak delikatne i prawdziwe jak po dawce znakomitego narkotyku:

JUTRO, TRZECIA, BŁĘKITNY JEDWAB
ZOSTAW WIADOMOŚĆ, JEŚLI NIE MOŻESZ PRZYJŚĆ
NA SPOTKANIE
RANDOLPH SCOTT

Rozdział jedenasty

Howboj, pełen niepokoju, z tylnego siedzenia samochodu obserwuje wiatr szarpiący połamanymi liśćmi palmy usychającej przed Błękitnym Jedwabiem. Biały szum syczy w odbiorniku radiowym leżącym na siedzeniu obok kierowcy z Flash Force. Ciemne, lustrzane okna baru odbijają obraz ulicy smażącej się w upale i jarzącego się jak laserowe światło, trójwymiarowego hologramu z nazwą knajpy przesuwającego się przed oczami przechodniów. Wewnątrz znajduje się kolejny człowiek z Flash Force, próbuje wywęszyć pułapkę. Kowboj nerwowo poprawia się na siedzeniu i ma nadzieję, że ochroniarz nie spłoszy Sary, że dziewczyna nie przemyka się właśnie zaułkami za barem z obrazem zabójców w oczach. Z odbiornika na siedzeniu dobiegają dwa krótkie, ostre szumy, kiedy najemnik w knajpie dwukrotnym cmoknięciem wysyła z przekaźnika wbudowanego w czaszkę sygnał informujący, że wszystko w porządku. Kierowca rusza wzdłuż wąskiego chodnika i zatrzymuje samochód dokładnie przed barem. Jednym rzutem oka obrzuca tłum, kiwa przyzwalająco głową, Kowboj wyskakuje z pojazdu i w kilku susach wpada w chłodne, zapraszające drzwi Błękitnego Jedwabiu.

Sary nie ma w barze, jest tylko kilku biznesmenów pochłaniających późny lunch, mężczyzna w wózku inwalidzkim gapiący się w dół, gdzie kiedyś były jego nogi, oraz ochroniarz Kowboja spokojnie siedzący nad szklaneczką kanadyjskiej whisky z wodą, plecami do ściany, tak żeby nie musiał oglądać się przez ramię. Pan-cerniak podchodzi do baru i zamawia piwo u cichego, czarnego mężczyzny o metalowych oczach.

Zanim je dostaje, dostrzega fotografie na ścianach i domyśla się, skąd wzięła się nazwa baru.

UKaoioujani

- Znał pan gościa nazwiskiem Warden? - pyta. -W czasie woj-ny był dowódcą załogi Vandenbergu.

- Nie, sir - odpowiada Maurice. - Ja wyruszałem swoim ku-trem z Panamy.

- Był pan z Townsendem? No to musiał pan działać dużo do-brego.

- Nie dość, cholera - odzywa się mężczyzna w wózku, odrucho-wo z dumą zadzierając głowę na dźwięk nazwiska Townsend. Kow-boj z zaskoczeniem spogląda w parę oczu Zeissa lśniących pokręconą, pełną urazy furia, sugerującą brak piątej klepki. - Podsmażyli mnie na początku i nigdy nie wylazłem ze studni - ciągnie kaleka. - Rozwaliłem się tu, na Florydzie. Maurice był wśród tych, którzy spuścili chińskiego SSE, ale dostał w drodze powrotnej i musiał przymusowo lądować w Orlando. Kowboj odwraca się do Maurice'a. Słyszał może o kilkunastu ludziach, którzy wrócili z walki o satelity energetyczne. - To był kawał znikomitego pilotażu - mówi.

- Wojna się skończyła, jeszcze zanim oderwaliśmy się od zie-mi. Tylko jeszcze tego nie wiedzieliśmy.

Miękki głos Maurice'a podszyty jest goryczą. Kowboj wyobra-ża sobie, jak rozbrzmiewa z głośników kontrolerów lotu w Orlan-do, spokojnie prosząc o pozwolenie na awaryjne lądowanie, pod-czas gdy jego płonący kuter tnie gorące niebo Florydy smugą ognia.

Kowboj pociąga łyceczek piwa.

- Jestem pilotem. Lotdżokejem.

- Tak myślałem. - Maurice podnosi palec do swoich pozornie ślepych, metalowych oczu. - Zauważyłem twoje wyposażenie. W czasie gdy Kowboj opróżnia połowę szklanki rozmawiają o lataniu. Potem pancerniak podnosi wzrok na Maurice'a i ścisza głos. Czuje, jak oczekiwanie rozgrzewa mu nerwy. - Czy Sara tu jest? Mógłby jej pan przekazać, że Randolph Scott chce z nią pogadać?

Maurice ruchem podbródka wskazuje na ochroniarza z Flash Force, ściskającego w kącie swojego drinka.

- To pański?

-Tak.

- Dobrze. Przypuszczałem, że znów należy do, hmm, innych lu-dzi. Chwileczkę, sir.

Odwraca się do kasy, paznokciem wystukuje na jej klawiaturze jakiś kod. W jego oczach odbijają się bursztynowe litery wia-domości.

- Okay, panie Scott. Proszę iść na tyły, do wejścia do toalet, skorzystać z drzwi z napisem PRYWATNE, schodami w górę. Kowboj dopija piwo.

- Dzięki. Pogadamy później.

Wychodzi, nie zerkając nawet na ochroniarza, wchodzi do po-mieszczenia na zapleczu. Słyszy trzask elektrycznego zamka za plecami. W powietrzu unosi się delikatna woń haszyszu. Otaczają go w półmroku palety z alkoholami i legalnymi narkotykami. Wchodzi po wąskich schodach, w świetle gołej żarówki wiszącej na podeście widzi sylwetkę Sary.

Dziewczyna ma na sobie czerwoną koszulkę z oberwanymi rękawami, miękkie, białe bawełniane dzinsy, jest boso. Włosy jej urosły, ich końce dotykają ramion. Kiedy Kowboj wchodzi na po-dest, wyciąga rękę i dotyka jego pancernej kurtki. - Jak widzę odwiedziłeś mojego krawca.

- Płaszcz i dwie pary spodni.

Sara odwraca się, rusza wzdłuż korytarza zastawionego kolejnymi skrzynkami z alkoholem.

- Chodźmy do mojego pokoju.

Idąc za nią, obserwuje jej pełen nieufności krok pantery. Zaskakuje go widok wąskiego niewielkiego pomieszczenia o białych ścianach i zamurowanym oknie. Zdejmuje ciężką kurtkę i siada na jedynym krześle. Sara częstuje go piwem z pojemnika, potem siada na swoim małym materacu w pozycji półłotosu. Zrywa zębami plastikową pokrywkę z piwa i spogląda na niego.

- No więc po co przyjechałeś na Florydę, Kowboju?

- Żeby pogadać z Michaeliem Hetmanem.

- O czym?

- Jak wygrać wojnę.

Sara śmieje się.

- Dobrze. Obawiałam się, że po prostu zrobiłeś się sentymentalny.

Znów ta sama gra, myśli Kowboj. Okay, umie w nią grać wystarczająco dobrze.

- Sentyment to może mam do piwa Srebrnych Apaczów - mówi.

Przygląda się jej ostrożnie. - Wciąż pracujesz dla Hetmana, tak?

Nie zmieniłaś stron?

Krótkie potrząśnięcie głową.

- Wciąż jesteśmy w tej samej drużynie. Poza tym druga strona by mnie nie chciała.

- Czyli nadal jesteśmy sprzymierzeńcami.

Sara pozwala sobie na lekki uśmiech.

- Tak. Chyba jesteśmy.

Punkt dla mnie, myśli Kowboj. Popija piwo.

- Kiedy możesz skontaktować mnie z Michaeliem? - Akurat wiem, że jest poza miastem. Dopiero jutro wieczorem będę mogła go złapać.

Kowboj pociąga długi łyk piwa, opuszcza butelkę. Przełącza oczy na podczerwień, widzi srebrny płomień krwi na policzkach Sary.

- Arkadij nie żyje - mówi. - Zestrzeliłem jego samolot. Sara zastanawia się nad tą informacją, po twarzy przebiegają jej różne wzory cieplne.

- Dobrze - decyduje. - Ale to nie zakończy spraw w twojej części świata, prawda?

- Prawdopodobnie nie, zważywszy na fakt, kto za nim stał, lecz zdobyliśmy trochę czasu. - Przełącza się na normalny wzrok. Ciemne oczy Sary obserwują go uważnie.

- Czasu na co? - pyta dziewczyna.

Opowiada jej o Tempel. O Henrim Couceiro siedzącym w sztucznym środowisku w punkcie libracyjnym Lagrange'a i oglądającym Ziemię zimnymi oczami stworzonymi w kosmosie; o Albreckie Rooney przelewającym swoją osobowość przez kryształ do nowego, młodego ciała; o pakietach akcji, biurach, powiązaniach; o swoim wycuciu, jak losy głosowań rady mogą się zmienić w wyniku konkretnych wydarzeń; o udziałowcach, których przedstawiciele utrzymywali równowagę sił. To czysto intuicyjne rozważania, zwykłe przemyślenia Kowboja na temat ludzi, których rozpracowywał, ale uważa, że się nie myli.

Sara słucha w milczeniu, siedząc w pozycji półłotosu, pociągając piwo małutkimi łydkami, przy

akompaniamencie stłumionych dźwięków muzyki przenikającej z dołu. Kiedy Kowboj kończy, przez długą chwilę wpatruje się w podłogę.

- A jeśli to nie zadziała?

- Przegramy jeszcze szybciej niż teraz. Kończymy interes i zwiewamy.

Sara patrzy na niego.

- O ile będziesz wiedział, kiedy zwijać interes, Kowboju. Ani ja, ani Daud nie zamierzamy popełnić seppuku razem z tobą, nie sądzę też, żeby Hetman miał na to ochotę.

- Możesz się wycofać, kiedy tylko zechcesz. Ani nie zdołałbym cię powstrzymać, ani nie będę próbował.

Dziewczyna patrzy na niego dłuższą chwilę z napięciem, w końcu kiwa głową.

- Tak sądzisz.

Rozplata długie nogi, wstaje, podchodzi do starego, zamurowanego okna, opiera się ramieniem o parapet, wpatruje się w prze-strzeń, zupełnie jakby w ramie tkwiło szkło.

- Czy sądzisz, że możemy wygrać tę wojnę, Kowboju? - pyta.

- Tak. Jeśli Roon da nam to, czego potrzebujemy. - Nie planowałam, żeby wygrać. Chciałam tylko utrzymać się na powierzchni wystarczająco długo, by Daud dostał bilet na orbitę. Potem... - Potrząsa głową. - Jakoś, co będzie potem, nie miało znaczenia. Przypuszczam, że usiłowałbym zwiąć, kiedy nasza stro-na by się rozleciała.

- Miejsce na niebie. Tego chcesz?

Sara odwraca twarz ku niemu, całym ciałem nadal oparta o ścianę.

- Cholera, facet, sprzedałam duszę za bilet. Okazało się, że ludzie, którym ją przehandlowałam, nawet jej nie chcieli. Zbyt brudna dla nich, jak sądzę. - Gorzki, upiorny uśmiech, przywodzący na myśl wyszczerzoną czaszkę, przemyka przez jej twarz. - Jednak wezmą Dauda, jeśli będzie miał dość szmalu. Może zmarszczą nosy od smrodu, ale wezmą go.

- Czy on tego chce?

Zachmurza się na moment.

- Tak będzie najlepiej. Jeśli zostanie ze mną, umrze. Kowboj zdaje sobie sprawę, że trzyma w dłoni chłodną plastikową flaszkę, po kciuku spływa mu osadzona na niej rosa. - Być może wcale nie wyświadczasz Daudowi przysługi, wysyłając go na szczyt studni, Saro - mówi. - Tam na górze nie ma naszych ludzi.

Dziewczyna śmieje się.

- Nasi ludzie, Kowboju, są ofiarami. Przegrali dwanaście lat temu i wciąż jeszcze przegrywają.

Kowboj czuje, jak tężeją mu mięśnie szczęk, dłonie zaciskają się w pięści.

- Tym razem możemy wygrać - oświadcza.

Sara podnosi wzrok, przygląda mu się dłuższą chwilę. Z baru na dole akurat dobiega długa, basowa sekwencja, wypełnia ciszę. - Tak - potwierdza. - Możemy. Dla odmiany moglibyśmy wyszarpać coś dla siebie.

Kowboj niemal widzi, jak obecność dwóch ochroniarzy z Flash Force doprowadza Sarę do szału,

jednak dziewczyna pozdrawia ich krótkim skinieniem głowy i wychodzi z baru do wynajętego samochodu. Spogląda w prawo i w lewo, na poruszające się w zwolnionym tempie po zacienionej ulicy sylwetki. Kowboj wsia-da za nią na tył samochodu, kierowca gładko odjeżdża od krawężnika.

- Bezpieczny telefon - mówi pancerniak, żałując, że nie jest podłączony do fejsu i nie prowadzi osobiście, ale kierowca poru-sza się płynnie w ruchu, przepatruje przestrzeń za samochodem w poszukiwaniu ogona. Kieruje się do publicznego telefonu stoją-cego koło banku, otwartego dwadzieścia cztery godziny na dobę, gdzie pilnowani będą nie tylko przez Flash Force, ale jeszcze przez system bankowy. Sara pozostawia samochód, wstukuje nu-mer, rozmawia półgłosem.

Wracając do samochodu, posyła Kowbojowi słaby uśmiech. - Właśnie balował z paroma swoimi rosyjskimi przyjaciółmi, lecz chce zobaczyć się z tobą jutro rano. Pomyślałam sobie, że o tej porze albo jeszcze będzie narąbany, albo ciężko skacowany, więc ustaliłam spotkanie na popołudnie. Sądzę, że wtedy więcej do niego dotrze. Pasuje?

- Jak złoto - zgadza się Kowboj.

Sara zamyka drzwiczki, automatyczny zamek wydaje trzask, zimny dźwięk nieczułego stopu, domknięcie klatki zwanej Bezpie-czeństwo.

- Zabrać cię z powrotem do Błękitnego Jedwabiu? - pyta pan-cerniak - czy najpierw postawić ci obiad?

Sara rzuca króciutkie spojrzenie na ludzi z Flash Force na przednich siedzeniach, formułując w ten sposób pytanie. - U mnie w pokoju, w Ritz Flop - wyjaśnia Kowboj. -1 tak nie pozwoliliby mi pokazać się w miejscu publicznym. Dziewczyna opiera się wygodniej na wyściełanym oparciu, palcami przesuwając po nierównościach sztucznej skóry. - Dobrze - zgadza się. Sprzęgło koła zamachowego chwyta de-likatnie i samochód odsuwa się od spękanego krawężnika. W Ritz Flop lśniący stop przeplata się z obsydianowym szkłem, gładki ciąg paraboli, wpuszczonych częściowo w ziemię, ani jednej linii prostej wokół, świat z punktu libracyjnego La-grange'a, który dogadał się z grawitacją. W pokoju Kowboja, po-dobnie jak w pozostałych, nie ma kątów prostych, tylko miękkie krzywizny schodzące się niczym chmury ze snu o nocnym locie. Ciemne drewno mebli przy dotknięciu okazuje się zimnym sto-pem, palce wyczuwają delikatną wibrację, o częstotliwości ultra-dźwiękowej jakby szybkie drżenie skrzydełek kolibra, tuż poza granicą czułości ludzkich zmysłów.

Kowboj stuka w klawiaturę komputera wmontowanego w wez-głowie łóżka, zamawia steki wołowe, do których dołączona jest gwarancja, że nie pochodzą z kadziowej hodowli tkankowej, oraz Białe Krio. Jeden z cieni Flash Force wślizguje się razem z obsłu-gą, pancerniak spostrzega, jak Sara krzywi się na widok skano-wania ich posiłku. Po wyjściu ochroniarza dziewczyna jakby się nieco odpręża, ruchem ramion zrzuca kurtkę, potrząsa włosami. Patrzy na matowoszarą krzywiznę sufitu.

- Kiedy pracowałam jako twój ochroniarz, robiłam to o wiele mniej ostentacyjnie - mówi, krzywiąc się.

Sięga po metalową butlę z Białym Krio; kiedy przechyla ją nad swoim pucharkiem i naciska zawór uwalniający azot, opadają z niej grube płatki szronu. Biała piana wypryskuje ponad krawę-dzia kielicha, ląduje na kostce dłoni Kowboja, który podnosi rękę do warg i oblizuje, czując mroźny szok przebiegający po zębach, po nerwach.

Po obiedzie wyjmuje z bagażu inhalator ze świetlikiem, synte-tycznym narkotykiem, który nie dobiera się do podrasowanych nerwów. Sara dopija ostatni łyk swojego Białego Krio, wdycha dwie torpedy.

Odrzuca głowę w tył, potrząsa włosami, uśmiecha się. Kowboj dwukrotnie uruchamia inhalator, czuje, jak pędzony wiatrem pożar stepu rozpała się na obu półkulach jego mózgu. - Pamiętasz...? - rzuca Sara.

- Dobrze, że znów jesteśmy sprzymierzeńcami.

Potem przewracają się w łóżku. Kowboj przygląda się jej ciału w podczerwieni, widzi krew napływającą jej do skóry srebrnymi strumieniami, tworzącą jaskrawe jeziora na piersiach i łonie. Przy każdym jego dotknięciu za sunącymi po jej ciele opuszkami palców podążają rozjarzone smugi, jak małe wężyki. Z wezglowia łóżka wyjmuje zestaw nagłowny i kilka wtyczek, fejsuje się, dopasowuje hełm do skroni Sary. Jej rozmarzone oczy nagle trzeźwieją, zrywa zestaw z głowy.

- Nie, Kowboju.

Zaskakuje go strach brzmiący w jej głosie, przełącza oczy na normalny tryb. Twarz dziewczyny tonie w głębokim cieniu. - Pomyślałem, że moglibyśmy dzielić umysły - wyjaśnia Kowboj.

Czuje, że Sara potrząsa krótko głową.

-Nie.

Wzdycha głęboko, kładzie mu dłoń na policzku. - Ja nie... - Znów potrząsa głową - W mojej głowie są rzeczy, o których wolałbyś nic nie wiedzieć.

Opiera się czołem o jego czoło, patrzy mu prosto w oczy, jej od-dech muska mu wargi.

- Rzeczy z mojej przeszłości - mówi dziewczyna z żalem, sta-rannie wymawiając słowa. - Rzeczy nie mające nic wspólnego z tobą. To jest tak... czasem po prostu są. Nawet jeśli nie chcę ich obecności. I na pewno by ci się nie spodobały.

- Widziałem niejedno - protestuje Kowboj.

- Na pewno nic w tym rodzaju, bo w takim wypadku nie chciałbyś podpiąć nas do tego samego fejsu.

Pancerniak powoli sięga do głowy i odłącza się od sieci. Sara obejmuje go, sunie jedwabistym udem po jego biodrze. Kowboj przełącza się na podczerwień, widzi rozjarzające się w mroku sre-brzyste i rdzawe wzory. Myśli o jej pokoiku nad barem, samotnym krześle, gołym, wąskim materacu. Wie, że nie zostanie zaproszony do tego łóżka, że miłość będą uprawiać wyłącznie na jakimś neu-tralnym gruncie - bo ona zawsze będzie potrzebować tej klitki, niemal pustego kąta, w którym może się skryć, gdzie nic nie może jej dotknąć.

Obraca się, biorąc ją pod siebie, wchodzi w nią, patrzy na jej ciało jarzące się na tle prześcieradła, skórę pałającą srebrzystym ogniem. Jej oczy mają barwę ciemnofioletową, mocno zatrzaśnię-te okna do jej duszy.

Kiedy Kowboj budzi się kilka godzin później, zastaje Sarę po-grażoną głęboko we własnym rytmie - z włączonym wspomaga-niem neuronowym wykonuje serie ciosów i kopnięć w pozorowa-nej walce, toczy bitwę z nocą, z usiłującymi ją dopaść fantomami. Pancerniak przygląda się jej poruszeniom w mroku, czuje w plecach narastające drżenie Ritz Flop, zastanawia się, co ona widzi, wyprowadzając atak, jakie twarze mają legiony wyimagi-nowanych wrogów, czy wśród nich wyobraża sobie i jego oblicze - żeby zawsze utrzymać odpowiedni dystans.

Wtedy spostrzega błysk ciemności wyprysku jacy spomiędzy jej warg i przeszywa go lodowaty dreszcz. Przełącza się na pod-czerwień i rozpoznaje cybernetyczny bicz, Łasicę, syntetycznego węża zadającego mordercze ciosy harmonizujące z ruchami jej rąk i nóg, uderzającego w duchy wypełniające pokój. Czuje strach, chłód spływający mu na koniuszki palców. Obser-wuje, nie

unosząc głowy z poduszki, uświadamia sobie, że ona za-wsze ma w głowie ten fejs i zimny, metalowo-plastikowy kawałek szaleństwa wbudowany w gardło, ukryty pod ciepłym, wilgotnym językiem.. Serce wali mu w piersi, narasta w nim pragnienie ucieczki. Kowboj myśli o przypadkowym włączeniu się do fejsu węża, o poczuciu jego zimnego, krystalicznego umysłu przez posiadane złącza... „W mojej głowie są rzeczy, o których wolałbyś nic nie wiedzieć”. Rzeczywiście, w głowie, a także w gardle, w ser-cu. Ukryte za fioletowymi oczami.

Dziewczyna kończy ćwiczenia, wciąga Łasicę. Kowboj zamyka oczy, mając nadzieję, że zostanie uznany za śpiącego. Sara cicho przechodzi pod prysznic, dając mu czas na uspokojenie oddechu. Kiedy wraca do łóżka, on posuwa się, robiąc jej jak najwięcej miejsca.

Rozdział dwunasty

Pot zbiera się na górnej wardze Dauda, na czole, jego błękitne oczy są zmętniałe z bólu. Robi kilka ostrożnych kroków na no-wych, różowiutkich nogach. Opiera się przy tym na metalowych poręczach, mięśnie ramion nabrzmiewają mu od utrzymywania całego ciężaru ciała.

- To jest to, Daud. Pojąłeś, o co chodzi.

Stojąca tuż obok, asekurująca go rehabilitantka o blond włosach namawia do dalszych prób. Sara dokłada swoje słowa zachęty, podczas gdy chłopak dociera powoli do końca poręczy, odwraca się i w udreće wraca do fotela na kółkach.

- Było świetnie, Daud - mówi później Sara, prowadząc fotel do windy. - Jak dotychczas, najlepiej.

Głowa brata spoczywa bezwładnie na zagłówku.

- Może zajdziemy po papierosy? - pyta.

- Mam trochę przy sobie.

Po powrocie do pokoju Sara pomaga mu wdrapać się na łóżko, potem otwiera jedną z przyniesionych paczek papierosów. Drugą wkłada do szuflady, skąd łatwo mu będzie je wyciągnąć. Siada na sąsiednim, wolnym łóżku.

Wchodzi pielęgniarz z rzadką bródką, niesie miskę do kąpieli Dauda.

- Nie powinieneś palić w łóżku - mówi łagodnie.

Zaczyna starannie układać ręczniki na stoliku przy łóżku.

- Ja go umyję - oznajmia Sara.

Zsuwa się z łóżka i sięga po miskę trzymaną przez pielęgniarza, który spogląda na nią zaskoczony.

- Musimy pogadać z Daudem - wyjaśnia dziewczyna. - W cztery oczy.

Pielęgniarz rzuca nerwowe spojrzenie na Dauda, który kiwa potakująco głową.

- Mnie tam wszystko jedno - mówi pielęgniarz i wzrusza ramionami. Patrzy na Sarę. - Nie powinnaś siadać na łóżkach. - To się więcej nie powtórzy.

Pielęgniarz wychodzi, Sara zsuwa prześcieradło okrywające brata, rozpina mu piżamę, odsłaniając zapadłą, bladą klatkę piersiową, pokrytą różowymi bliznami po odłamkach. Kiedy go myje, brat gapi się w sufit z papierosem w kąciку ust.

- Powinieneś więcej ćwiczyć, Daud - mówi Sara. - Kiedy mieszkałeś ze mną, ćwiczyłeś często. O wiele prędzej zacząłbyś chodzić.

- Za bardzo boli. - Wydmuchuje dym w stronę wysokiego sufitu odbijającego dźwięki. - Wciąż zmniejszają mi dawkę. Sara myje długie nogi brata, cienkie, chude łydki wydają się jej pozbawione ciężaru.

- Znow muszę wyjechać, Daud - oznajmia. - Nie wiem na jak długo.

Daud mruga, oczy ma wciąż wlepione w sufit.

- Wiedziałem, że znow cię gdzieś poniesie - mówi. - Te wszystkie popołudnia, kiedy byłaś na spotkaniach i nie mogłaś zobaczyć się ze mną.

Dziewczyna bierze od niego papierosa i strzepuje długi wałek popiołu do popielniczki.

- Muszę płacić twoje rachunki, Daud - wyjaśnia. Chłopak przełyka gwałtownie ślinę. Siostra przygląda się wystającym ścięgnom na jego szyi, potem oddaje mu papierosa. - Nie jedź - prosi

brat. - Nie zostawiaj mnie znów.

- Obróć się na bok.

Myje mu plecy, głęboką, białą kotlinę pomiędzy łopatkami. - Jest taki numer, pod którym będziesz mógł zostawić dla mnie wiadomość - mówi. - To w Nowym Meksyku. Może będą cię mogli stamtąd przełączyć bezpośrednio do mnie, może nie. Jed-nak dostanę wiadomość i zadzwonię, niezależnie, gdzie będę. Okay?

- Jak chcesz - odpowiada beznamiętnie, udając, że nic go to nie obchodzi.

- Dam ci ten numer - kontynuuje siostra. - Musisz go zapamię-tać, nie mogę go nigdzie zapisywać. Nie możesz też tam dzwonić z tego pokoju, twój telefon wciąż może być kontrolowany. Bę-dziesz musiał wsiąść na wózek, zjechać do poczekalni i dzwonić stamtąd. Dam ci szpilkę kredytową. Zrozumiałeś? - Tak. Rozumiem - szepcze Daud.

Sięga do stolika po ręcznik, chwytą go, ale używa lewej, nowej ręki, której ruchom brak precyzji. Ręcznik rozwija się, Sara widzi błysk, kiedy fiolka spada na podłogę i kręci się pod stolikiem. Zimny grzechot szkła na kamieniu wydaje się trwać w nieskoń-czość. Dziewczyna ma wrażenie, jakby lodowaty metal dotknął jej nerwów.

- Nie - mówi Daud. - To moja, nie patrz.

Wydaje z siebie cichy jęk, kiedy siostra podnosi ampulkę do światła. Polimiksyna-fenylendorfina Ni, roztwór dwunastoprocen-towy. Przy dawnym poziomie uzależnienia wystarczyłaby mu mniej więcej na dobę. Teraz na krócej. Nic dziwnego, jeśli się za-stanowić.

Daud skomle cicho, kiedy Sara przeszukuje ręczniki i łóżko. Znajduje jeszcze jedną pełną fiolkę i prawie opróżnioną pod po-duszką.

- Nie - mówi chłopak. - Słuchaj, Joseph tylko wyświadczał mi przysługę.

Spostrzega lodowaty wyraz jej twarzy i milknie. - Nie masz żadnych pieniędzy, Daud - rzuca sucho dziewczyna. - Jak za to zapłacisz?

Brat zaciska usta i potrząsa głową. Sara ścisną ręcznik w dłoni, strzela mu nim przed nosem. Daud szarpie głową w tył, ma łzy w oczach.

- Powiedz.

Chłopak przetyka, próbuje odwrócić głowę. Sara znów strzela ręcznikiem, rozlega się głośny trzask.

- Posłuchaj - odzywa się w końcu Daud - oni po prostu dopiszą koszt do... do szpitalnego rachunku. Zamaskowane, fałszywe po-zycje. Joseph ma kumpla w biurze. Nigdy byś się nie dowiedziała - mówi coraz szybciej. - Od tego czasu zacząłem robić takie po-stępy, Saro, naprawdę.

- Zabieram cię stąd. Do jakiegoś szpitala rehabilitacyjnego.

Już nie potrzebujesz pełnej opieki.

- Saro...

- Milcz.

Unosi rękę zaciśniętą na ręczniku, trzęsącą się z gniewu. Zwi-ja ręcznik w kulę, ciska go w kąt pokoju, odwraca się gwałtownie i wychodzi.

Odnajduje Josepha w innym pokoju, myjącego wymizerowa-ne, węzłaste mięśnie człowieka po wypadku, mającego obie nogi na wyciągu.

- Hej, Joseph - woła i rzuca mu w głowę jedną z fiolek. Pielęgniarka uchyła się, ampulka roztrzaskuje się o ścianę. Po-kój wypełnia się zapachem gliceryny.

Sara porusza się zbyt szybko, by mógł się jej wymknąć. Pierwszy kopniak trafia go w okolice przepony, drugi w twarz. Upada, ona staje nad nim w rozkroku, chwyta za kołnierz, który mocno zaciąga, materiał wrzyna mu się głęboko w szyję. - Joseph - oznajmia - powinnam resztę wstrzyknąć ci naraz w żyłę. Jak by ci się podobało milutkie przedawkowanie endorfiny, hej?

Facet po wypadku usiłuje niezgrabnie dosięgnąć dzwonka. Sara puszcza brodatego pielęgniarkę, delikatnie odsuwa przycisk dzwonka poza zasięg ręki pacjenta. Joseph podnosi dłoń do gardła, spazmatycznie łapie powietrze.

Sara odwraca się do niego.

- Trzymaj się z daleka od mojego brata, Joseph - ostrzega. - On nie potrzebuje ani ciebie, ani tego świństwa, które ukrywasz w ręcznikach.

- Ja tylko...

Sara uderza go na odlew w twarz. Czuje, jak mężczyzna w łóżku podskakuje na ten dźwięk.

- Wykonuj tylko polecenia. Mój brat nie będzie dostawał żadnych narkotyków, które rozprowadzasz, a cena tego, co mu już dałeś, zniknie z mojego rachunku. Ani się waż cokolwiek mówić, kiwnij tylko głową, czy się zgadzasz, czy nie.

Pielęgniarka patrzy na nią, powoli kiwa potakująco głową. Sara prostuje się, wciska dzwonek w dłoń człowieka po wypadku.

- Przepraszam - mówi do niego. - Musiałam tylko dogadać się z miejscowym handlarzem endorfinami.

Widzi zdziwienie w oczach pacjenta.

- Proszę bardzo dokładnie sprawdzić rachunek, zanim pan zapłaci. Joseph mógł do niego dopisać parę fałszywych pozycji. Odwraca się i wychodzi z pokoju, tłący się gniew przeistacza się w smutek. Nie zdoła utrzymać Dauda z dala od endorfin, na-wet jeśli będzie z nim bez przerwy. Obecnie są jednym z elementów utrzymujących go przy życiu. Nie ma teraz przed sobą nic oprócz kolejnego zastrzyku, nic oprócz wizyty siostry - Sara pragnie jedynie spowodować, żeby znów zaczął czuć, przywrócić go do świata bólu, gdzie nic nie będzie pomiędzy nim i miastem. Nic dziwnego, myśli, że dogadał się z Josephem. Ona jest częścią miasta, miasta, które sięga po niego. Joseph był jego jedyną szansą ucieczki.

Rozdział trzynasty

0:

odger? - Kowboj ze zdumieniem patrzy na telefon.

- A któż by inny? - pyta Dodger.

Pancerniak uśmiecha się szeroko na dźwięk jego głosu. - Cieszę się, że wyszedłeś. Mam nadzieję, że faceci z Flash Force równie dobrze pilnują ciebie jak mnie.

- Z tym wszystko w porządku. - Kowboj słyszy odgłos przesuwania prymki tytoniu do zucia z jednego policzka w drugi. - Kilku najemników próbowało urządzić zasadzkę pod Morą, na ziemi starego Boba Aguilara. Usłyszałem o tym od paru ludzi, w tym także wprost od Boba, więc wynajęliśmy dodatkowy pluton na jedno popołudnie i sprzątnęliśmy ich. Walka na kablach trwała najwyżej dziesięć minut. Musiałem zamknąć Jimiego w łazience, żeby nie wskoczył do pancerki i nie

dołączył do rozróby. Nie są-dzę, żeby nasi przyjaciele jeszcze raz pokazali się w górach. Tutaj obcy troszkę za bardzo rzucają się w oczy.

Kowboj śmieje się i składa gratulacje. Rozmawia z publiczne-go telefonu na terminalu promowym w Orlando przez link miesz-kania Randolpha Scotta w Sata Fe. Godzina rozmowy została ustalona wcześniej, dzięki czemu ludzie Dodgera mieli czas po-dać numerowi Randolpha Scotta, gdzie przełączyć rozmowę, do Mory, Eagle Nest czy do jakiegokolwiek innego publicznego tele-fonu, z którego Dodger korzysta.

- Spotkanie z Roonem wciąż jest ustalone na jutro - mówi Kowboj. - Mam kość z założeniami układu, który mamy zawrzeć. Gotów do odbioru?

- Kiedy tylko chcesz, Kowboju.

Pancerniak zatrzaskuje kłapkę nad kością, przetrzuca dane do Nowego Meksyku. Głos przyjaciela informuje go, że ma już trak-tat w swoim kryształ.

ZIH-----UKaoiourcni-----

- Michael wczoraj w nocy mocno oberwał - mówi Kowboj. - Je-den z jego ludzi przeszedł na drugą stronę razem ze swoim zespo-łem oraz magazynem pełnym serc i antybiotyków. - My tu radzimy sobie troszkę lepiej.

Pomimo kiepskiej wiadomości Dodger zdaje się mieć wyśmie-nity humor. Prawdopodobnie dlatego, myśli pancerniak, że po raz pierwszy od miesiący wyrwał się z domu.

- Ekspresowi jeźdźcy, hmm, lada moment oderwą się od grupy Arkadija. - Fala radości wypełnia umysł Kowboja. Pancerniacy idą za jego przykładem. Mogą całkiem zatrzymać interesy trze-ciaka. - Po tym, co Jimi... zrobił... Arkadij zaczął nalegać, by w każdym pojeździe dostawczym jechał jego człowiek ze śrutów-ką. Kierowcom niezbyt się to spodobało. A po katastrofie samolo-tu Arkadija jego ludzie zrobili się jeszcze bardziej nerwowi. Wy-daje się, że zastępca pojawił się bardzo szybko.

Wargi Kowboja odsłaniają zęby. Tempel pokazuje swój pazur.

- Ktoś znany?

- Jak się zdaje, facet z orbity. Nazywa się Calvert. Ludzie wi-dywali go czasami z Arkadijem, ale nie wiedzieli, kto to taki. Nie jest Rosjaninem i Rosjanie Arkadija go nie lubią. - Myślisz, że mogą zmienić zdanie na temat, gdzie są dobrzy, a gdzie źli?

Wzruszenie ramionami Dodgera odbija się w jego głosie. - Rosjanie są tak szaleni i zdradzieccy, że wszystko jest możli-we. Ale Calvert za dobrze zna ludzi Arkadija, wie, gdzie mieszka-ją i z kim są związani. Ma ich w garści, a oni za to nic o nim nie wiedzą, nie mają pojęcia, jak się do niego dostać. Ten Calvert to kawał drania. Nikt nie chce mu się narazić po pierwszym spotka-niu. Sprowadził też nowy zespół, Orbitalców. Twierdzi, że jeśli za-wodowi ekspresowcy przestaną dla niego pracować, to jego wła-śni ludzie zaczną jeździć przez Granicę.

- Straci mnóstwo ładunków.

- Dla tych ludzi to kieszonkowe, Kowboju. Jeśli dojdą do wnio-sku, że na dłuższą metę rzecz się opłaci, mogą ponosić straty cały-mi latami. My nie.

Pancerniak pociera brodę. Czuje ostrzegawcze mrowienie na karku.

- Jak ten Calvert wygląda?

- Średniego wzrostu. Prawdziwy twardziel. Mówi jakby szep-tem. Wygląda, jak gdyby zaczynał jako bagniak przed wydosta-niem się ze studni.

Kowboj podnosi wzrok na Sarę stojącą pięć metrów dalej, dziewczyna tupie bezwiednie w granitową posadzkę portu pasa-żerskiego w oczekiwaniu, aż on skończy rozmowę. - Sądzę, Dodger, że facet jest tu znany jako Cunningham - mó-wi. - Prowadzi wojnę również po tej stronie.

- Przyszło mi to do głowy, Kowboju. Jeśli to prawda, facet jest bardzo zajęty.

- Spróbujemy dostarczyć mu dodatkowej roboty. - Właśnie. - Dodger odchrząkuje. - Warren prosi, żeby ci po-wiedzieć, że przygotował szóstą deltę do lotu. Wedle plotek ludzie Arkadija usiłują poskładać delty z wszelkich części, jakie uda im się dopaść. Miło, że zmonopolizowałeś rynek, zanim poleciałeś za-łatwić Arkadija.

- Nostalgia bywa użyteczna - odpowiada pancerniak. Na wyświetlaczu nad głową widzi błyskające światło, oznacza przyjmowanie pasażerów na pokład promu.

Pożegnawszy się z Dodgerem, macha ręką do ludzi z Flash For-ce, stojących przy bramce.

Roon obiecał im ochronę, lecz Kowboj uważa, że wie, ile to jest warte. Jeśli Orbitalec zdradzi, oboje z Sarą zginą. W takim wypad-ku Flash Force nie działałaby nic oprócz wprowadzenia drobnej zmiany w liczbie trupów.

Rozdział czternasty

Oom Roona, myśli Kowboj, to mozaika, zwijająca się z logiką nie-skończonego koszmaru. Czarno-srebrny sen wdzierający się w umysł Kowboja, przepalający się przez jego kryształ. Narzuca-jący mu swoją architekturę, logikę, swoje wzorce. Czuje się w nim zagubiony, bezradny w wirze czasu.

- Ziemia - mówi Roon. Wilgotne oczy ma okolone henną. - Urodziłem się w studni. Dojrzałem na orbicie. Odrodziłem się w kryształ. Do tej chwili nie rozumiałem.

Siedzący po drugiej stronie stołu Kowboj czuje jego zepsuty oddech. Orbitalec wyciąga drżącą rękę, by dotknąć włosów małej dziewczynki trzymającej jego kieliszek z winem. Pancerniak widzi drgnięcie dziecka, rozszerzone oczy, usta otwarte w wyciszonym wdechu, preludium krzyku, który nigdy nie następuje. - Rozumiem, jak możemy pracować razem - mówi Roon. - Wy i Ziemia jesteście przeszłością. Ja i niebo to teraźniejszość. Wy jesteście prochem, ja wizją. Pragnę wymodelować Ziemię, nadać jej właściwy obraz. Zbudować architekturę dla przyszłości. Pot strachu zaczyna się zbierać pod kołnierzykiem Kowboja. Spogląda na kryształową szklankę trzymaną w dłoni, wyobraża sobie, jak łatwo byłoby uderzyć nią o kant stołu. Śpiew odłamków szkła tańczących na politurowanym drewnie pomiędzy bezcennymi talerzami z ropopochodnego plastiku, ostre jak brzytwa krawędzie odwracające świat w odbiciach wysokiego, zacienionego sufitu, wyraz szeroko otwartych, przerażonych oczu dziewczynki, puls na szyi Roona, kiedy on sam przesadza stół z ostrym szkłem w dłoni, w końcu jasną, tętniczą krew rozlewającą się po blacie, zalewającą porozsypywane szklane światy, gaszącą wszystkie małe światełka szkarłatną falą...

Ręka Kowboja drży w pogotowiu. Zaciska mocniej dłoń na szklance, żeby to powstrzymać. Płyn w naczyniu drga, odbicie górnego światła ma kształt małego półksiężyca, który wygląda jak krawędź innego świata.

Podnosi wzrok na Sarę, na jej beznamiętną twarz, starannie przymrużone oczy. Myśli o tej zabójczej rzeczy w jej gardle i szaleństwie, które sugeruje. Szaleństwie świata czy dziewczyny? Może obu naraz? Zastanawia się, co by zrobiła, gdyby zaatakował, czy jej cyberwąż uderzyłby w Roona, czy też w jego obronie. Odstawia kryształowy pucharek na stół, składa dłonie na kolnach, splata palce, by powstrzymać ich drżenie. Jaka to różnica? - myśli i wie, że właśnie poszedł na pierwszy kompromis z tym szaleństwem, z tą grozą.

- Wszystko, co robię, robię z miłością - mówi Roon. Głaszcze małą dziewczynkę po włosach. Łzy zostawiają ślady henny na po-zbawionym zarostu policzku. - Kocham was wszystkich jak ojciec dzieci. Kocham was bardzo mocno.

Długi walec suborbitalnego promu Floryda-Wenezuelska Wol-na Strefa jest pełen lecących za darmo orbitalskich wysokich urzędników, dzoków w ozdobnych kurtkach przenoszących się z jednego wolnego portu do drugiego i mieszanki Ameryki Pracującej składającej się z profesorów dość bogatych na skorzystanie z transportu powietrznego, dziwek i hazardzistów w kriomaksach, wyciskaczy z udawaną nonszalancją obnoszących zaminowane torby przykute kajdankami do ręki, oficjeli z kolaboracjonistycznych rządów pocących się w izolacji, siedzących pomiędzy obojętnymi pracownikami bloków i prostytutkami o drapieżnych uśmiechach.

Kowboj patrzy w dół, na horyzont zakrzywiający się na tle czarnego nieba, błękitną, ceramiczną krawędź Ziemi zmiekkzoną przejrzystą mgiełką atmosfery. Pod pojazdem są chmury, ułożone w nieprawdopodobnie prostych smugach, tworzące klin ponad frontem przechodzącym nad Małymi Antylami, zakurzonymi, brunatnozielonymi wyspami przycupniętymi na krawędzi rozjarzonego,

turkusowego oceanu. Kiedy prom rozpoczyna powolne schodzenie ku Ziemi, Kowboj czuje, jak ciało napiera na pasy, usiłując kontynuować lot w górę, lecz studnia grawitacyjna trzyma mocno prom w uchwycie i jego ciało również leci w dół. Odwraca się do siedzącej obok Sary, widzi w jej oczach pragnienie, pożądanie równe jego tęsknocie za czystą, bezpowietrzną czernią. -Niech ich szlag... - szepce dziewczyna cicho, potrząsając głową.

Kowboj bez pytania wie, o kogo chodzi.

Prom trzęsie trochę, kierując się w stronę La Grañ Sabana, wysokiego wenezuelskiego płaskowyżu w pobliżu równika, gdzie Orbitalcy zbudowali największy kosmoport. Zielony teren wydaje się pomarszczony jak noworodek, pocięty rzekami wyglądającymi niczym naszyjniki z kropel rtęci. Kowboj widzi długą, postrzępioną krawędź płaskowyżu Roraima, wznoszącą się po lewej stronie, a prom zniża lot i miękko ląduje na sporządzonym z betonu i stopu dnie studni.

- Architektura ziemską zawsze rwała się w niebo. Pomyślcie o zikkuratach Babilonu, piramidach Egiptu. Katedry średniowiecza, pagody Chin. Palce wskazujące w górę studni, ku wolności. - Roon potrząsa głową. - To już nie jest konieczne. Ludzkość sięgnęła w stronę niebios i znalazła je. Jednak mieszkający w niebie oddzielili się od tych, którzy wciąż żyją w prochu. Konieczna stała się nowa wizja, a wraz z nią nowa architektura. Tak jak to miejsc, metafora syntezy ziemi i nieba. Dominująca nawet nad górą, na której spoczywa.

Architektura to moja pasja - wyznaje Roon.

Kowboj i Sara idą za nim spiralami domu, pomrukującymi korytarzami ze stopu, pod holograficznymi oczami dzieci Ziemi. Roon podnosi palec.

- Architektura we wszystkich swoich formach. Włączywszy w to strukturę kryształu danych w sercu maszyny. Oto prawdziwe two-rzywo. W przeszłości ludzkość hamowało współczucie ciała dla ciała, współczulne pojmowanie przez każdego człowieka organicznych słabości innej osoby. Teraz możemy zintegrować naszą świadomość z nieskazitelną perfekcją danych. Bariery Ziemi znikły. Żadne ciało nie jest w stanie zlikwidować przewagi liczb. Współczucie już więcej nie jest potrzebne. Kryształy znają jedynie logikę konieczności. Konieczność - powtarza Roon, spogląda na nich umalowanymi oczami. - Konieczność w świecie kryształów jest tym samym co nieuchronność. Wszystko, co jest konieczne, wydarzy się niezależnie od waszych uczuć, od waszych czynów. - Uśmiecha się. - Tak samo jak mój powrót do władzy jest nieunikniony. Zgodnie z tym, co wasze kryształy w swojej mądrości wam podpowiadają. Roon mieszka o pół kontynentu na zachód od lądowiska na La Grañ Sabana, w paśmie Kordyliera Wschodnia. Podstawił dla Kowboja i Sary prywatny transport, odrzutowiec czarny jak niebo nad orbitą, z wyjątkiem niebieskiego emblematu Tempel nad każdą gondolą silnikową. Ziemniówka w mundurze pośpiesznie ładuje ich bagaże do samolotu. Pilotem jest dzok poruszający się płynnym krokiem, co wskazuje, że urodził się w przestrzeni; chłodny, drobny mężczyzna o wylupiastych japońskich oczach, w kurtce z naszywkami kompanii. Patrzy na Kowboja z lodowatą pogardą i odzywa się monosylabami. Złość narasta w pancerniaku, czuje, jak pali mu kryształ w mózgu, ramiona bolą go, jakby się mocował z deltą; miałby wielką ochotę spotkać tego człowieka w powietrzu, zmierzyć się na „Pony Express” z orbitalnym kutrem dzoka. Widzi ściągniętą twarz Sary, jej palce zakrzywiają się niczym szpony, wie, że dziewczyna myśli o spoconych ulicach swojego miasta, zalicza dzoka do oślizłych monstrów nocy.

Lot trwa zaledwie dwadzieścia minut, samolot przecina kontynent w tak absolutnej ciszy, jakby powietrze nawet nie mogło dotknąć jego lustrzanej, obsydianowej powierzchni. Kowboj zazdrości prowadzenia tej maszyny, żałuje, że nie może poczuć jej kontaktów w czasce. Sara podnosi się ze

swojego miejsca i zagląda do pokładowego barku. Proponuje coś Kowbojowi, ten odmawia, więc wraca na fotel ze szklaneczką rumu z limonką, pije w milczeniu, postukiwanie kostek lodu jest najgłośniejszym dźwiękiem w samolocie. Pancerniak patrzy w dół na ciemny, zielony łąd oznaczony brunatnymi plamami erozji, dławiące się srebrzyste rzeki, które ciemnieją od splukanego mułu. Czarna igła przebija chmurę. Znad Sierra Nevada Kowboj spostrzega pałac Roona lśniący na wniosłych, zielonych zboczach, orbitalny stop i kryształ wciśnięte w ziemię.

Zasłania go szczyt, blask gaśnie. Samolot przechyla się pomiędzy górami, leci wzdłuż doliny. Przy lądowaniu kostki lodu Sary dzwonią lekko, lecz Kowboj ledwie wyczuł moment przyziemienia. Rozgląda się po okolicznych górach w poszukiwaniu srebrzystego błysku i widzi znak nawigacyjny Roona świecący pomiędzy drzewami... Ililll Przez holograficzne drzwi, znikające w momencie wyczucia jego obecności, Roon wprowadza ich do pomieszczenia pełnego hologramów kryształów, zmieniających się stale - rosnących, przynikających się. Ich blask odbija się w oczach gospodarza, w oczach dwojga dzieci stojących nieruchomo przed terminalem komputerowym. Dziewczynka w białej sukience ma jakieś dziesięć lat, oliwkową cerę. Chłopiec ma na sobie białą koszulę i ciemne spodnie. Oboje są boso. Ciemne włosy mają krótko przycięte wokół gniazd wmontowanych w czaszki. Na krystalicznych wyświetlaczach migoczą programy edukacyjne.

- To jest Lupę - oznajmia Roon. - Nazwałem ją tak z powodu wilczych oczu. Jej brat ma na imię Raul.

Patrzy w dół na oboje i uśmiecha się.

- To najstarsi akolici w mojej świątyni. Znalazłem ich na ulicy, bytowali jak małe gryzonie. W ich życiu nie było nic ludzkiego. Ich rodzice nie żyli, krewnych nie obchodzili. Najprawdopodobniej przed osiągnięciem dojrzałości zmarliby z niedożywienia albo z powodu choroby. Gdyby przetrwali, egzystowaliby na samej krawędzi, staliby się kryminalistami, ćpunami, zapewne by się sprzedawali. Dziewczyna mogłaby przed dwudziestką urodzić z szóstką dzieci. - Potrząsa głową. - Teraz ich możliwości są... nie-ograniczone. Karmię ich, uczę. Wpajam im drogę, którą wraz z Ziemią muszą podążać.

Znów spogląda na dzieci.

- Raul urodził się tuż po wojnie. Całe życie spędził w nowym ładzie. Nowa glina do uformowania orbitalnymi rękami. - Podnosi wzrok na gości. - Starsi nasiąknęli zbyt wieloma przestarzałymi poglądami rodziców. Ich umysły opierają się nowej edukacji, woli nauczyciela. Z tymi...

Uśmiecha się w stronę dzieci - słodko, z dumą, podnosząc ręce w geście błogosławieństwa, jak właściciel. Programy nauczające znikają z matryc krystalicznych.

- Ci mogą poprowadzić Ziemię przez czas zmian, ku jej nowemu związkowi z niebiosami.

Podnosi na Kowboja lodowate spojrzenie z głębi obwiedzionych henną oczodołów.

- Widzieliście, jak prosto stali, nauczyłem ich tego - mówi. - Jak żołnierze na baczność. Zdyscyplinowani. Posłuszni, lecz dumni ze swej służby.

Z jego oczu bije radość. Zepsuty oddech snuje się po pomieszczeniu.

- Nowy związek - dopowiada. - Kształt, który przyjmie przyszłość.

Wychodząc z kabiny, dzok nie poświęca im nawet jednego spojrzenia, wdusza przycisk, który otwiera drzwi ciśnieniowe i opuszcza wrzecionowatą drabinkę ze stopu. Wcisną pięści w kieszenie

kurtki, robi krok na zewnątrz, udając się do sali dla pilo-tów. Sara podnosi wzrok.

- Hej! - Jej głos tnie jak brzytwa.

Dżok odwraca się i zatrzymuje, częściowo już za drzwiami.

- Zapomniałeś naszych toreb - wyjaśnia Sara.

Pilot zachowuje kamienną twarz. Kowboj czuje uśmiezek usi-łujący unieść mu kąciki ust.

- To nie należy do moich obowiązków - mówi dżok. - Do twoich obowiązków należy uszczęśliwianie gości pana Roona - oznajmia dziewczyna. - Goście pana Roona. Nie-Noszą--Swoich-Pieprzonych-Toreb.

Jej oczy są bardziej lodowate niż trzymany w dłoni drink, na ustach ma uśmiech tygryscy.

Krew napływa dżokowi do twarzy. Kuli się w swojej kurtce i sięga do przedziału bagażowego. Sara wstaje i uśmiecha się z lo-dową słodyczą.

- Wielkie dzięki.

Kowboj wychodzi za nią.

Na zewnątrz czeka helikopter, zimny, czarno-srebrny bocian przycupnięty na metalowej płycie pasa startowego. Pałac kofeino-wą pałeczkę, o kabinę opiera się mężczyzna, którego teraz Kow-boj umie już rozpoznać jako najemnego ochroniarza. Bagniak o szerokich ramionach, ubrany schludnie, ma dobraną chustecz-kę w kieszonce, a nawet pasujące do reszty szelki. Otwiera prze-dział bagażowy i przygląda się, jak dżok wpycha tam torby. Sara wciska w dłoń dżoka srebrną monetę, widzi, jak zaciska-ją mu się mięśnie szczęk. Kowboj nie może się powstrzymać od uśmiešku, a kiedy pilot odrzutowca odchodzi, słyszy odgłos meta-lu podskakującego na betonie. Najemnik najwyraźniej jest roz-bawiony wściekłością dżoka.

- Jestem Gorman - przedstawia się i otwiera drzwi helikoptera. - Infiltracja - mówi Roon. - Wzajemne przenikanie się ataku-jącego i celu. Owijanie subtelności w subtelność. To metafora na-szych czasów. Działanie jest prymitywne, głupie. Strata energii. Wzdycha, trzymając swój kryształowy puchar w powietrzu. Kowboj widzi holograficzne gwiazdy w jego skośnie szlifowanych krawędziach.

- Couceiro i ludzie z jego Grupy Przyspieszenia nie rozumieją tego, brak im subtelności. Traktują całą tę sytuację jak wojnę. Ją pojmują. Ich ataki są bezpośrednie, gwałtowne, zawsze skierowa-ne na oczywiste cele. Nigdy nie zdają sobie sprawy, że po odpo-wiednim przygotowaniu działanie wprost staje się zbędne. Tyle tylko że Grupa Przyspieszenia będzie próbowała walczyć na dwóch frontach jednocześnie, przeciwko Korolewowi i trzecia-kom. Atak na nich był przygotowywany już od dłuższego czasu, więc opóźnienie nie spowodowałoby konieczności zmiany planów. Unosi brew.

- Zupełnie jak wirusowa choroba Huntingtona - kontynuuje. - Schorzenie atakujące prostymi środkami nazbyt łatwo zlikwido-wać; żeby przetrwać w dzisiejszych czasach, zaraza musi działać subtelnie. Infiltrować cel całe lata przed ujawnieniem się, przy-czaić się w mózgu i nerwach. Potem wejść w okres zakaźności, roz-siać potomstwo po niczego się niespodziewających ludziach, a na koniec zaatakować nagle, całym oddziałem wirusowych sabotaży-stów, żeby szybko powalić ofiarę. Ta choroba rozprzestrzeniała się w populacji przez całe lata, zanim w ogóle zdaliśmy sobie sprawę z jej istnienia. Rozsiewała się dzięki skutkom wojny. Zagroziła mi-lionom, które w ogóle o tym nie wiedziały.

Śmieje się.

- Możemy ją zwalczyć, działając subtelniej od niej. Stwarza-jąc skrojonego na miarę wirusa, drobną

wtyczkę, która potrafi udawać patogen Huntingtona. Która obróci jego liczebność przeciwnie niemu samemu - zbliży się do celu, wstrzyknie tam skonstruowany w laboratorium DNA, a ten zliguje się z patogennym i zmutuje go. Przemieni czorta w anioła, wirusa Huntingtona w jednego z naszych. W ten sposób zainfekowana komórka przejdzie na naszą stronę, zawrze sojusz z życiem.

Uśmiecha się z satysfakcją, potem zwraca wzrok na Kowboja. - Podoba mi się subtelność waszego planu - oznajmia Roon. - Podoba mi się pomysł użycia tego leku na zarazę jako środka do zniszczenia Couceiro. Obrócenie jego największego sukcesu przeciwnie niemu.

Gładzi plecy trzymającej mu filiżankę dziewczynki, nie zwracając właściwie na nią uwagi.

- Wpiszę wasz plan do swojego kryształu - oświadcza. - Dopasuję waszą logikę do logiki danych. - Odsłania w uśmiechu brunatne zęby. - Wtedy zobaczymy, czy wasza architektura jest godna niebios.

Gorman pilotuje ręcznie, nie wchodzi w fejs nawet przy użyciu zestawu nagłownego. Zмага się z helikopterem, jakby to był aligator. Kowboj krzywi się, widząc taką niezdarność. Z powietrza posiadłość Roona wygląda jak rzeźba i miejsce zamieszkania zarazem, skrzycona hiperboloida wbita w ziemię, powierzchniowo - tafle czarnego szkła wmontowane w srebrzyste kratownice - zbiegają się w kierunku niemożliwej wręcz osobliwości. Zbudowano ją z orbitalnego stopu powyginanego niefrasobliwie w gaussowskie krzywe, które zdają się do pomyślenia jedynie w środowisku pozbawionym ciężenia. Prawdopodobnie żaden ziemski metal nie nadawałby się do realizacji tego projektu. Cały teren wokół pozbawiony jest śladów życia, tylko czarne szkło i srebrzyste wsporniki, zupełnie jakby budynek rozpełzł się cienką warstwą po otaczającej go ziemi. Kowboj myśli o czterowymiarowym modelu Tempel stworzonym przez Thibodaux, jego wewnętrznej złożoności i współzależnościach. Sprowadzony tu, na Ziemię, analogia do orbitalnej władzy.

Gorman ląduje, walcząc z porywistym wiatrem. Kiedy wizgo-czące łopaty wirnika cichną i nieruchomieją, ogląda się przez ramie, sięgając do kieszeni po kolejną kofeinową pałeczkę. - Pan Roon powie wam, że ten dom to metafora - oznajmia. - Zgódźcie się z nim.

Kowboj wzrusza ramionami.

- Okay, jeśli to ważne.

Gorman spogląda mu prosto w oczy swoim sztucznym wzrokiem.

- Ziemiacy muszą się tu poruszać bardzo ostrożnie. Fajnie załatwiliście Hideo, ale w pobliżu Roona nawet nie myślcie o czymś podobnym. - Odpina uprząż bezpieczeństwa i otwiera drzwi, wydychając miętowo pachnący dym. - Jeśli mu się nie spodobać - wyjaśnia - prawdopodobnie każe mi was zabić. A ponieważ nikt mi za to dodatkowo nie płaci, wolałbym tego nie robić. Kowboj przygląda się Gormanowi z ciekawością. - Zrobiłbyś to po cichu w piwnicy czy Roon chciałby popatrzyć?

Gorman zastanawia się przez chwilę.

- To zależy, czego by to miało nauczyć. On bardzo dobrze udziela lekcji.

Goście wysiadają z helikoptera. Kowboj zauważa, że pomimo wysoko stojącego słońca metalowa powierzchnia dziedzińca jest chłodna. Pod spodem musi być jakiś system odprowadzania ciepła. Zaskakuje go widok dwojga dzieci, dziewięcio- czy dziesięcio-letnich, szybko przecinających plac w kierunku helikoptera. Ubrane są w jednakowe ciemne spodnie i sztywne, białe koszule, włosy mają krótko przycięte. Dopiero kiedy podchodzą bliżej, może odróżnić chłopca od dziewczynki. Przeżywa kolejne zaskoczenie, spostrzegając gniazda wszczepione w ich czaszki. - Wy pracujecie dla Roona, tak? - pyta Gorman Sara. - Nie należycie do ochrony kompanii?

- Bezpieczeństwem kompanii zajmuje się Couceiro. Wiecie, kto to jest, prawda? Roon nie życzy sobie, żeby ci ludzie się kręci-li w pobliżu.

- Miło to słyszeć - mówi Kowboj.

Chłopiec i dziewczynka podchodzą do maszyny, otwierają przedział bagażowy, wydobywają ich torby i w milczeniu ruszają z po-wrotem do domu.

Gorman zamyka za nimi helikopter.

- Idźcie za dziećmi - radzi Gorman. -1 dziękujcie Bogu, że uro-dziliście się przed wojną.

- Nigdy mi nie przyszło do głowy, żeby się z tego cieszyć - oświadcza Kowboj. Obserwuje jaskrawobiałe plecy dzieci oddala-jące się po metalowej powierzchni pociętej srebrnymi liniami. Odwraca się do pilota.

- Gorman, a pan często się modli?

Najemnik śmieje się cicho, gniewnie.

- Tutaj? Każdego przeklętego dnia.

Okno pokoju Kowboja wychodzi na wschód. Ogląda przez nie blady przedświt, ponad zacienionymi szczytami gór widzi jasną li-nię, jakby diamentem przecięto szklaną kopułę nieba. To smuga kondensacyjna rakiety startującej z La Grań Sabana, lodowate, rozrzedzone powietrze przemienione w warkocz kryształków zała-mujących światło słoneczne, linia wspinająca się ku ostatnim blednącym gwiazdom i wysoko zawieszonym konstelacjom orbi-talnych światów. Kowboj odnosi wrażenie, że coś tu jest nie w po-rządku.

- Nie wiem. - Potrząsa głową. - Nie wiem, co się tu dzieje. Te dzieci, sposób, w jaki on mówi. Samo to miejsce. Usunęli z pokoju wszystkie mikrofony poukrywane przez Roo-na. Ewentualne przegapione są zakłócające przez elektroniczne urządzenie dostarczone im przez Flash Force. Można tu rozmawiać tak bezpiecznie, jak to tylko możliwe w posiadłości Orbitalca. - Naprawdę nie wiesz, co się tu dzieje? - Sara wyplątuje dłu-gie nogi z prześcieradeł. - Nie wiesz, co on robi? Podchodzi do niego od tyłu, obejmuje go. Kowboj czuje jej po-liczek na ramieniu. Myśli o tej rzeczy w jej gardle. Przygląda się tęczowej smudze, czuje tęsknotę narastającą w sercu... - On rżnie te dzieci, Kowboju - mówi Sara, a jemu lód ścina myśli. Jej głos jest łagodny, znikła cała twardość ulicznicy. - Pie-przy tych wszystkich małych chłopczyków i te małe dziewczynki. A także wdrukowuje im siebie w umysły, tak żeby nie mogli od niego uciec, nawet we własnych myślach. O to chodzi w tej całej jego religii. Właśnie taki układ chce zawrzeć z dziećmi Ziemi. Zrozumienie wzbiera Kowbojowi w gardle jak fala żółci. Bie-rze głęboki wdech, przetyka ślinę. Na myśl o panującym nad nim obcym umyśle wręcz palą go gniazda w czaszce. Potrząsa głową.

- Nie wchodzę z nim w układy - mówi drżącym głosem.

- Nie możesz im pomóc.

- To jeszcze nie znaczy, że jemu mam pomagać. Czuję, że dziewczyna się cofa. Zbiera się w sobie, oczekując chłosty słownej, lecz jej głos wciąż jest łagodny. - On, Couceiro i inni... zabili miliony. Zamordowali niemal ca-łą moją rodzinę, przez nich i ja, i mój brat pokryci jesteśmy bli-znami. Gdybym mogła, to i Roonowi, i Couceiro, i Greczce wpako-wałbym bezpłaszczowe pociski we flaki, a potem, zdychających, rzuciłabym mrówkom na pożarcie. Ale nie mogę tego zrobić. - Ja nie... - Kowboj znów potrząsa głową, głos mu zamiera. - Pomiędzy Couceiro a Roonem dostrzegam tylko jedną różni-cę. Couceiro chce nas zabić. Roon pozostawi nas przy życiu. Znów czuje jej rękę oplatającą mu ramiona, ciężkie jak żelazo, jak Ziemia.

- To nie to - mówi. - Ja chcę pozostać... czysty.

- Kowboj szczęściarz. - Po raz pierwszy w jej głosie pobrzmie-wa sarkazm. Leniwie sączą mu się słowa do ucha. - Szczęściarz Kowboj i jego czyste rączki. Przez przypadek zostałeś obdarzony talentem, który komuś był potrzebny i teraz możesz sobie pozwo-lić na zasady. No i ciesz się.

Ciężar znika z jego ramion, słyszy kroki za plecami. Dziewczyna wyrzuca z siebie słowa krótkimi seriami, jakby strzelała z pistoletu maszynowego, zgodnie z jakimś własnym wewnętrznym rytmem. - Są lepsze sposoby na życie niż pieprzenie się ze staruchem, ale jest sporo dużo gorszych. Opowiem ci...

Staje za nim tak blisko, że muska mu oddechem szyję. Kowboj próbuje opanować dreszcze.

- Mój brat jest dziwką i ćpunem. Przeszedł korektę chirurgicz-ną i brał mnóstwo supresorów hormonalnych, żeby zachować mło-dziutki wygląd, bo właśnie takich chłopaczków poszukują klienci. Blokada hormonalna oznaczała łagodną impotencję, ale nawet na to są amatorzy. Lecz na ulicy można znaleźć rozmaite gusta... na-zwijmy jeden z nich smakowaniem realności.

Słowa padają powoli, nieuchronnie, każde z nich uderza. Po-wolne pociski. Przy każdym Kowboj chciałby się wzdrygnąć. - Towarem dziwek jest spełnianie marzeń. Są dobre w ocenie pragnień klienta i od tego, jak dobrze się do nich dopasowują, za-leży ich zarobek. Wszystko jest udawane, lecz większość klientów albo tego nie,, dostrzega, albo ma gdzieś. Innym, tym, którzy pra-gną realności - zależy. Chcą rzeczywistych doznań. Prawdziwy seks, prawdziwy orgazm. Nawet prawdziwa miłość. A kiedy tego nie otrzymują, dostają szału. Oni chcą, by to, co dzieje się pomię-dzy nimi a chłopcem, było prawdziwe. Nawet jeśli dla uzyskania prawdziwej reakcji muszą torturować go aż do śmierci. Takich lu-dzi nazywa się kołtunami.

- Słyszałem to słowo.

- Tak. Tyle tylko że nie masz pojęcia, co znaczy. - Kowboj czu-je, jak dziewczyna się cofa. - Niektórzy są kołtunami i to już źle. Niektórzy giną z ręki kołtunów i to źle. Wiesz, co jest gorsze?

Czeka na jego odpowiedź. Cisza łomocze mu w uszach.

- Gorsze jest - wyjaśnia Sara - że kołtunowi nie brakuje ofiar. Bo wciąż są ludzie wystarczająco zdesperowani albo zmęczeni, żeby już było im wszystko jedno. Nie podejmują żadnych środków ostrożności, ponieważ zbyt pracochłonne jest dla nich trzymanie się życia, które stało się bezcelowym, nieskończonym pasmem udręk. Niektórzy nawet idą z kołtunem, na wpół żywiąc nadzieję, że umrą - kiedy wykonywanie czynności niezbędnych do przeżycia jest już zbyt kłopotliwe, kiedy życie zmieniło się w nieustający ból. Cisza przez jedno uderzenie serca.

- To mój brat - kończy Sara. -To Daud.

Kowboj gapi się przez szklaną taflę, widzi zanikającą długą, tęczową rysę rozwiewaną wysokimi wichrami. W końcu odzyskuje głos.

- No więc - mówi - Lupę i jak mu tam, Raul, mają dobrze, tak? - Nie, oni są ofiarami. Roon to zło. Ja tylko mówię, że mój brat w jednej chwili zamieniłby się z każdym z nich. A był czas, że ja zrobiłabym to samo.

Ostatni ślad smugi kondensacyjnej znika. Kowboj bierze głę-boki wdech i odwraca się do Sary, stojącej w głębokim cieniu z dłońmi opartymi na biodrach i obserwującej go lodowatym wzrokiem.

- Chcę go zabić - mówi. - Zabić Roona. Nigdy niczego bardziej nie pragnąłem.

Czuje się tym zaskoczony. Nawet Arkadij nigdy nie wydawał się wart nienawiści - ot, po prostu

rosyjski trzeciak, dość głupi, by stanąć pomiędzy Kowbojem a jego legendą. Lecz Roon to coś innego, mgliste zło o zgniłym oddechu, unoszące się w swoim obra-mowanym srebrem gaussowskim koszmarze... Stwórz wart zabicia. Sara potrzęsa głową.

- Więc go zabij. Nie będę cię powstrzymywać. Za dwa miesiące od dzisiaj.

- Kiedy wyniesie się ze studni, gdzie go nie mogę osiągnąć. - Zabij najpierw Couceiro. Wtedy Roon spróbuje zgładzić cie-bie.

Drzwiami łączącymi pomieszczenia Kowboj przechodzi do po-koju Sary, podchodzi do białego plastikowego barku stojącego wśród hologramów starych, neonowych, tropikalnych widoków: zielonych palm, błękitnej wody, dziewcząt w falujących spódnicz-kach z trawy. Sięga po butelkę, czuje w palcach chłód szkła, widzi przez nią hologramy, zniekształcone, koszarne. Upuszcza flaszkę, czuje na wargach smak potu. Zdaje sobie sprawę, że włączyło mu się wspomaganie, że impulsy pędzą mu po podrasowanych nerwach, fala adrenaliny wywołuje zaburzenia wzroku i ciemny pokój wydaje się zaginać ku niemu...

Zamyka oczy, kieruje wzrok w górę. Na wewnętrznej stronie powiek widzi wiry i zakręty świata kabli i kryształów, zwycięzcy wydostają się ze studni, budując swoje gmachy władzy, przyglądając się Ziemi sztucznymi, drapieżnymi ślepiami. Miliony na pla-necie w swoich szurzych norach pazurami wydrapują sobie ma-lejące porcje, a powietrze robi się coraz gorętsze, ręka bloków zaciska się coraz mocniej, ciśnienie liczb rośnie. W czarnych, mrocznych zaułkach wojny wszystkich przeciwko wszystkim cyberwąż Sary jest logiczną konsekwencją, podstęp cyborga może zabijać tylko tych, którzy zaufają jej na tyle, by podejść blisko. Tylko ich może osiągnąć. Inni latają za wysoko, poza jej zasię-giem. Fakt, że jest aż tak zdesperowana, by wszczepić sobie coś takiego, dowodzi przede wszystkim, iż sama jest ofiarą. Co innego ma już mniejsze znaczenie.

Przymierze z Roonem? Łatwizna. Kilkoro dzieci straci dzieciń-stwo - a kto może dowieść, że i tak by go nie straciły, tutaj czy na ulicach? Przynajmniej są dobrze karmione. W zamian za podda-nie się złu.

Kowboj otwiera oczy, patrzy na zimny, lśniący hologram noc-nego nieba pokrywający tu sufit, płonące gwiazdy i platynowej barwy, nieruchome znaczniki automatycznych fabryk krążących po orbitach geostacjonarnych.

- Już dawno temu straciliście możliwość wyboru - szepczą kon-stelacje - i jakiegokolwiek wykonujecie posunięcia, są to wyłącznie te, na które wam pozwalamy. Aha, Kowboju - nie dopuszczamy zachowania niewinności. To pierwsza rzecz, którą nam oddajesz. Kowboj jest świadom, że Sara stoi w drzwiach, skryta w cieniu. W jej oczach można wyczytać troskę, ale jednocześnie domagają się dokonania wyboru. Wszelka niewinność, jaką kiedykolwiek miała, zniknęła już dawno temu, zniszczona pod ciosami życia na ulicy. Cyberwąż jest teraz mniej przerażający, raczej zdaje się żal-łosną próbą obrony, zdobycia sobie miejsca w nowym, ponurym porządku świata.

Kowboj próbuje podsumować swoje długi wobec Sary, Dodgera, Warrena, pary dzieciaków skulonych razem w śpiworze, w jakiejś rozpadającej się stodole w Missouri. Wobec dzieci znajdujących się tutaj, w pałacu Roona. Wobec własnych, rozpalonych snów. - Dobrze - szepcze. Mruga oczami, stary odruch, pozbawiony sensu, kiedy ma się plastikowe oczy i usunięte kanaliki łzowe. - Dobrze. Zrobimy to po twojemu.

Sara podchodzi do niego powoli, obejmuje go za szyję, przytu-la swój policzek do jego.

- Przykro mi, Kowboju - mówi. - Przykro mi.

On przytula się do niej na chwilę, pozwala zaprowadzić się w mrok jej przerażonego umysłu, zszarganego życia, ponurych wyborów.

Kiedyś był swobodny, w powietrzu, na ostatniej wolnej drodze. Teraz jest w tunelu, coraz ciaśniejszym i ciemniejszym. Nawet nie spostrzegł, jak ściany wznoszą się coraz wyżej, dopóki nie znalazł się głęboko w jego wnętrzu, pędząc wyznaczonym szlakiem, coraz węższym, mroczniejszym, pełnym echa.

Będzie musiał uważnie obserwować Sarę. Ona wie, jak przeżyć w takim miejscu.

Roon użytkuje swoje nowe ciało dopiero od ośmiu lat i nie powinno wyglądać na więcej niż trzydziestkę, jednak wokół oczu ma zmarszczki, których henna nie jest w stanie całkowicie zamaskować, świadczą, jak intensywnie jest wykorzystywane. Gospodarz ma niemal całkowicie ogoloną głowę, został mu jedynie niewielki, tłusty, skręcony lok nad lewym okiem. Diamentowe okruchy poły-skują w jego gniazdach czaszkowych. Wygląda, jakby nigdy nie mył zębów. Śmieje się, bierze swojego drinka. Kowboj czuje drżenie powiek, strach pełzający mu wzdłuż kręgosłupa. - Studnia była barierą dla nas wszystkich - oznajmia Roon. Sięga po inhalator, odpala dwie rakiety, odrzuca w tył głowę, mocno wciągając powietrze przez nos.

- U przebywających poza zasięgiem grawitacji świadomość ewoluowała odmiennie. Ale kryształy pozwalają przekroczyć tę barierę, płonąc w naszych głowach, wypalając niedoskonałość. Jesteśmy bezbronni wobec ich nieuchronnej logiki. Wyciąga rękę, dotykając jednego z gniazd Kowboja, który stara się nie wzdygnąć. Owiewa go trupi oddech gospodarza. Po drugiej stronie stołu widzi nieruchomą jak maska twarz obserwującej wszystko Sary.

- To perfekcyjna architektura kryształu łączy brzegi przepaści pomiędzy nami, Kowboju - mówi Roon. - Bariery Ziemi i jej studni grawitacyjnej mogą zostać zniesione. Zbudowany nowy ład. Zjednoczenie wyzyskiwacza i jego ofiar, żyjących w kosmosie i na planecie, drapieżcy i łupu.

Dłoń opada. Roon odwraca się do Sary, patrzy na nią z ukosa, pochyła się ku niej, ujmując jej twarz w dłonie. Nerwy Kowboja podnoszą wrzask.

Słowa Roona są niewyraźne, jakby był pijany.

- Nasze nowe stosunki były z początku wymuszone. Wojna była nieunikniona wskutek głupoty przywódców Ziemi. Nawet teraz usiłujecie się nam opierać. Lecz wkrótce się to zmieni. Przyjdziecie z ochotą. Staniecie się zdobyczą naszej wizji, naszą rozkoszą. Kryształy was przyprowadzą.

Uśmiecha się, znów sięga po drinka, rozsiada się wygodnie na kanapie, zamyka oczy. Kowboj obserwuje, jak jego oddech pogłębia się, jak napój wyslizguje mu się z palców i bezgłośnie odbija się od grubego dywanu. Lupę i Raul, nieruchomi po obu stronach kanapy, wymieniają ukradkowe spojrzenie.

Kowboj wstaje z fotela, jego umysł wręcz nurza się w nienawiści. Sara zerka na niego, potem na Roona i z powrotem, podejmując decyzję. Kiedy pancerniak rusza w stronę ich apartamentu, idzie za nim.

Są w połowie drogi, gdy dobiega ich krzyk, potem odgłos ciosu. Kowboj odwraca się w ciemnym metalowym korytarzu, jego nerwy się aktywują. Biegnie przez sporządzone ze stopu tunele ze snu Roona.

Raul leży nieprzytomny na grubym dywanie, bok głowy zaczyna mu sinieć. Koło jego dłoni spoczywa nóż, na którego koniuszku drga szkarłatna kropla. Roon stoi nad nim okrakiem, owijając ramię serwetką. Krew spływa mu po ręce na gładką, białą powierzchnię plastikowego talerza.

- Głupi akt buntu - mówi Roon. Oddycha spazmatycznie. - Próbował zarznąć mnie w czasie snu.

Dwóch strażników wpada przez kuchenne drzwi, opancerzone płaszcze powiewają za nimi. Roon odwraca głowę. - Chłopiec - wyjaśnia. - Załatwiłem to sam.

Kowboj przykłęka koło Raula. Powieki chłopca drgają, przetacza głowę, to w lewo, to w prawo. Odzyskuje przytomność. Pancerniak spogląda w górę, w przerażone oczy Lupę wciąż stojącej na swoim miejscu przy kanapie gospodarza. Gorman przez radio wzywa lekarza. Po policzkach dziewczynki powoli spływają łzy. Kowboj wstaje i obejmuje ją za ramiona. Czuje, jak dziecko drży, lecz za bardzo się boi Roon, by ruszyć się z miejsca. Raul otwiera oczy. Kowboj zwraca wzrok na gospodarza.

W gardle czuje łomot serca.

- Co pan z nim robi?

Roon patrzy w dół na chłopca z łagodnym wyrazem twarzy. - Nic - odpowiada. - Wyprowadźcie go za bramę. Niech żyje poza wspólnotą z niebem.

Spogląda na Kowboja, na ustach ma uśmiech pełen prawdziwego smutku.

- To najgorsze, co mu się może przytrafić, naprawdę. Zostać na zawsze odcięty od przyszłości, jaką przed sobą miał. Jeden z najemników schyla się, za kołnierz stawia Raula na nogi.

- Biedny głuptas - wzdycha. - Jednak wciąż go kocham. Patrzy w dół na Lupę, kładzie dłoń na jej drżącym czole. Krople krwi plamią wykrochmaloną, białą sukienkę. - Oczywiście siostra zostanie. Nie odtrącę jej za grzech brata. Wydaje się, że dopiero teraz zdaje sobie sprawę ze szkarłatnej strugi spływającej mu po nadgarstku.

- Gdzie lekarz?

Krzywi się i odchodzi w stronę swojego pokoju, zostawiając za sobą szlak z ciemniejących kropel.

Kowboj obserwuje jego odejście. Raul biernie zwisa trzymany za kołnierz przez strażnika, gotów zaakceptować konsekwencje swojego buntu. Policzek płonie mu czerwienią w miejscu, w które uderzyła dłoń Roon.

Gorman spogląda na strażnika, wzrusza ramionami.

- Słyszałeś, co mówił szef. Wyprowadź go za bramę. Obaj strażnicy wychodzą. Kowboj głaszcze Lupę po głowie, próbując ją pocieszyć. Ma nadzieję, że dziewczynka nie odbiera tego jako podstępnej pieśczoły. Gorman wzrusza ramionami, dłoń nie ma oparte na biodrach, potem zwraca wzrok na Kowboja - który przez moment, zanim najemnikowi udaje się stłumić emocje, widzi w jego oczach dokładne odbicie własnej nienawiści. Wtedy pancerniak wygrzebuje z kieszeni szpilkę kredytową i podaje w wyciągniętej ręce.

- Czy może pan dopilnować, żeby to dostał?

- Raul?

Kowboj potwierdza skinieniem głowy.

- Proszę mu powiedzieć, od kogo to jest.

Gorman bierze szpilkę z małym klejnotem z kryształu na końcu i wsuwa ją do kieszeni. Przez pół sekundy wpatruje się prosto w oczy Kowbojowi, który nie ma pojęcia, co z nich wyczytuje. Gorman

powoli skłania głowę.

- Tak. Okay - zgadza się.

Wzywa strażników przez radio, mówi im, żeby poczekali, i szyb-ko wychodzi.

Kowboj czuje wbity w siebie wzrok Sary.

- Ile tam było? - pyta dziewczyna.

- Kilka tysięcy. Coś koło tego.

- W dolarach?

Kowboj nie odpowiada. Sara uśmiecha się krzywo, odwraca się i patrzy w ślad za znikającym Gormanem.

- Dolary nie są u nas wiele warte, ale tu dużo więcej. Ten ma-ły bękart będzie bogaty... jeśli nie uznają, że to ukradł. Sara sięga po serwetkę ze stołu, kuca przed Lupę, ociera jej łzy. Teraz, kiedy nie ma ani Roona, ani strażników, dziewczynka odważa się poruszyć, obejmuje Sarę. Wybuchą łkaniem. Kowboj cały czas gładzi ją po głowie, nie wie, co mógłby jesz-cze zrobić. Fale adrenaliny szarpia mu stargane nerwy. Patrzy na drzwi, którymi wyszedł Raul, czuje na języku smak zazdrości. Po-winien był sam to zrobić, powinien był strzaskać szklanekę i sko-czyć Roonowi do gardła z kryształowym ostrzem w dłoni. Pozwo-lić, by jego działanie stało się jedną z metafor tak lubianych przez Orbitalca.

Nigdy tego nie robi. Jest zbyt tutaj uwikłany w materię ciem-ności, kompromisy, na które poszedł, zbyt mocno wniknęły w nie-go, by kiedykolwiek znów był zdolny do jasnego osądu. Kiedy Sara i Kowboj podchodzą bliżej, wydaje im się, że części domu Roona wywijają się z pola widzenia, jakby przemieszczały się w czwarty wymiar, niby model Thibodaux. Gorący wiatr z ka-nionu niesie kurz układający się z sykiem na czarnej powierzchni budynku w zmienne, elegancko wyglądające wzory. Nie ma drzwi oraz oznaczeń granicy pomiędzy geometryczną, orbitalską fanta-zją i dziedzińcem; po prostu pod jasnym, pozwijanym jak precle belkowaniem wchodzą w obszar chłodnego, nieruchomego powie-trza, w taką ciszę jakby budynek wstrzymał oddech. Światło słoń-ca, rozszczerzone przez znajdujący się w górze kryształ, spada w dół kurtynami zieleni, fioletów, dotyka mebli z rzeźbionego me-talu delikatnymi palcami pastelowych barw...

- To musi być metafora, hę? - pyta Kowboj.

Śmiech Sary odbija się ostro od milczącego metalu. Idą za dwojgiem dzieci metalowym korytarzem, który przecho-dzi w kręty hol. Obcasy butów Kowboja głęboko zapadają się w dywan. Dochodzą do dwóch połączonych ze sobą pokoiów, ca-łych z cieni i krzywizn, całkiem jak Ritz Flop, tyle że z hologra-ficznym obrazem jakiegoś kosmicznego habitatu, wolno wirują-cym w pobliżu jednego z rogów sufitu. Kowboj czuje nagłą chęć skorzystania z inhalatora ze świetlikiem, spoczywającego w kie-szeni, ma wrażenie, że poczucie nierealności mogłoby mu pomóc odnaleźć się w tym miejscu. Sara przechodzi przez tęczowe drzwi łączące pokoje.

- Jesteśmy w głębi Krainy Fantazji - mówi. - Wiesz coś o tym miejscu? W Orlando, gdzie później zbudowano kosmodrom? - Nigdy o nim nie słyszałem.

- Przeznaczone było dla dzieci, żeby mogły się przekonać, jak piękna powinna być przyszłość. - Śmieje się. - W tym względzie niewątpliwie się mylili, nieprawdaż?

W kącie salonu jest holo dziecka-uciekiniera, same zebra i oczy. Kowboj nie chce na to patrzeć.

Roon cicho wchodzi za nimi do pokoju, pancerniak czuje, jak od zapachu tego człowieka stają mu włosy na karku. Słodka woń pomady, którą namaścił sobie lok nad czołem, trupi smród w od-dechu.

Gospodarz w milczeniu przechodzi za fotelem gościa, kładzie blade dłonie na stalowych mięśniach jego ramion. Kowboj widzi nieprzenikniony wyraz twarzy Sary moszczącej się wygodnie na sofie w pozycji półłotosu.

- Rozważyłem wasz plan - oświadcza Roon. - Mój kryształ mówi mi, że jest dobry. Przyjmę go.

Robi krótką przerwę.

- Zorganizuję chronioną łączność.

Kark Kowboja wciąż jest napięty.

- Dziękuję, panie Roon - mówi.

Kciuk gospodarza naciska jego kark z wystudiowaną siłą, jak-by próbując rozluźnić mu napięte mięśnie. Kowboj jest tak samo nieruchomy jak dwoje dzieci przy stole.

- Błogosławieni jesteście - oznajmia Roon. Paskudny dech niesie się przez pokój. - Pomożecie mi odzyskać niebiosą. Stamtąd sprowadzę na Ziemię moje kryształowe sny.

- My jesteśmy jedynie posłańcami - odpowiada Kowboj. Czuje krople potu we włosach.

Roon najwyraźniej w ogóle go nie słucha.

- Powinienem odesłać Couceiro na ziemię - mówi nieobecny głosem, odpływającym w szaleństwo.

- Na powierzchnię planety, której nienawidzi. Może by go to nawróciło, może ludzie Ziemi nauczyliby się go kochać. Kto wie?

Zabiera ręce i Kowboj czuje ulgę wypełniającą mu mięśnie. Roon idzie w stronę Sary. Na ramieniu ma biały bandaż. Ujmując w dłonie twarz dziewczyny, pochyla się głęboko, by mocno ucałować ją w usta.

- Dziękuję ci - mówi. - Dziękuję wam obojgu.

Odwraca się i obdarza Kowboja tym swoim radosnym uśmiechem. Serce pancerniaka wypełnia płynny azot.

- Umożliwiliście realizację wszystkich moich snów. Odczekawszy godzinę, Sara i Kowboj postanawiają ruszyć na zwiad. Zaglądają losowo tu i ówdzie, znajdują takie same miękkie, ocienione pokoje, oświetlone rozszczepionym światłem słońca. Łóżka, fotele, stoły, panele dostępu do komputerów wydają się poustawiane w dość losowych miejscach, tylko nieliczne pomieszczenia wyglądają, jakby miały czemuś służyć. Holograficzne obrazy gwiazd, statków, kolonii przemysłowych poruszają się powoli na ścianach i sufitach. W cichych, obitych pluszem pokojach znajdują się też zdjęcia dzieci, bosych uciekinierów o wielkich oczach, będące swoistym apelem o dobroczynność. W końcu, przez przypadek, trafiają na Roona, wszedłszy do pokoju, w którym siedzi na wysokim, białym stołku, zafejsowany do przenośnego komputerowego panelu trzymanego w absolutnym bezruchu przez stojącą obok dziewczynkę w białej sukience. Kowboj zaczął już wątpić we wszystko, co widzi, i dłuższą chwilę zajmuje mu zdanie sobie sprawy, że to nie kolejny hologram, że mężczyzna z długim światłowodem wpiętym w gniazdo na skroni od-dycha lekko, że jego zamknięte powieki drgają w takt poruszeń gałek ocznych towarzyszących przeglądaniu danych. Obrzeźone czernią oczy otwierają się, niewidzący wzrok błądzi przez pokój. Odnajduje gości, skupi** ńę na nich, wyraz twarzy mu się wyostrza.

- Kocham was - mówi - jakbyście byli moimi dziećmi. Czarno-srebrna osobliwość obraca się w wymiarowej przestrzeni. I wspólny koszmar Roona i Kowboja znów się zaczyna.

Rozdział piętnasty

Ha znajdującej się przed nimi skośnie wznoszącej się krawędzi leży płaska, zielona granica półwyspu Floryda, poszarpana w miejscu, gdzie dochodzi do niej morze. Chmury wiszą nad nią jak przyklejone, przypominają wycinanki z kartonu. Powracająca grawitacja ściska klatkę piersiową Sary. Przęłyka mocno, czuje Łasicę ciężącą jej w gardle jak kamień.

W domu Roona nie ośmieliła się odprężyć - albo bezustannie obserwowała gospodarza, albo pilnowała Kowboja, żeby nie schrzanił wszystkiego. Czas spędzony u Orbitalca wydawał się wiecznością, zdziwiła się, że to tylko pięć dni. Przed odlotem pro-mu zmieszała w barze portu dotrask z alkoholem, pierwsze roz-luźnienie, na które sobie pozwoliła, i weszła na pokład skąpana w potokach wewnętrznego blasku. Teraz narkotyki ociężałe prze-lewają się jej w żyłach, stępując ostrze rzeczywistości. Spogląda na Kowboja i krzywi się. Przez większą część podró-ży siedział w fejsie swojego komputera, a nawet kiedy wyłaził z kryształu, wciąż miał rozogniskowany wzrok, jakby usiłował coś zrozumieć... może trójwymiarową kratownicę bloku Tempel, spo-sób, w jaki Roon w nim tkwi, w jaki belki i oczka sieci konstruk-cji wnikają w jego gniazda, jak Kowboj i Sara stają się przedłuże-niami tej sieci, tunelem, przez który Roon porozumiewa się ze wszystkimi siłami tego świata znajdującymi się poza Tempel. Dziewczyna sądzi, że jej partner usiłuje zrozumieć swoje powiąza-nia z Ronem i co to oznacza dla świata, w którym żył przez tak wiele lat, dla tej nieprawdopodobnej wizji samego siebie, której przebłyski od czasu do czasu udawało się jej dostrzec - sam osprzęt o napędzie odrzutowym wraz z kryształem uciekający w czarne korytarze nocy, czujniki zewnętrzne pełne ognistych ra-kiet, płomień alkoholu, wycie pomp - i cała ta mechaniczna prze-moc w nieprawdopodobnej służbie jakiegoś transcendentalnego, osobistego poczucia sprawiedliwości, życia dla jakichś nieписа-nych kodeksów honoru i egzystencji... Sara dochodzi do wniosku, że Kowboj całe życie spędził wśród złych ludzi, lecz żadnemu, jak dotąd, nie pozwolił się dotknąć.

Szczęściarz, myśli dziewczyna i pociąga rum z limonką. Grawi-tacja przygniata jej pierś, Sara widzi, jak bąbelki w szklance zwalniają swój ruch ku górze, a potem zawisają w zimnej cieczy, czekając na uwolnienie przez studnię. Jej głowa wciska się w wy-ściełane oparcie.

- Myślisz, że da sobie radę? - Sara nie potrafi powiedzieć, czy Kowboj zamruczał to do siebie, czy do niej.

-Kto?

- Raul.

Dziewczyna zamyka oczy, przygląda się smugom koloru krwi narastającym po wewnętrznej stronie powiek.

- Tak - odpowiada. - Nic mu nie będzie.

Może to nawet prawda, choć Sara podejrzewa, że najpewniej poderzną mu gardło przy pierwszej próbie wykorzystania amerykańskich dolarów otrzymanych od Kowboja. Żałuje, że nie dał ich jej - znalazłaby dla nich lepsze zastosowanie niż obdarowanie no-żowników z jakiegoś osiedla slumsów gdzieś w Kordylkach. - Może zdołam go odnaleźć. Zabrać do Stanów, zostawić z mo-im wujem. Zawsze przyda mu się dodatkowa para rąk do pracy. Sara czuje szum atmosfery opływającej kadłub promu. Otwie-ra oczy. Chmury nad Florydą uniosły się skośnie ponad lądem, jak nadruk na folii zawieszony nad mapą. Ziemię poniżej znaczą pla-my cienia. Ucisk w jej gardle słabnie.

- Jeśli chcesz wejść w taki interes - mówi - bezdomne dzieciaki znajdziesz dużo bliżej niż w Wenezueli.

Kowboj nie odpowiada, gapi się przed siebie i znów wsiąka w fejs. Sara pociąga drinka i zamyka oczy. Promem zaczyna rzu-cać, Wolne Strefy są coraz bliżej, sięgają po nich. - Michael spotka się z wami dziś wieczorem - mówi człowiek z Flash Force pilnujący bramki. - Tymczasem podwieziemy was, dokąd zechcecie.

Wychodzą na beton, w żar słońca.

/

- Ritz Flop - proponuje Sara, lecz kątem oka spostrzega, że Kowboj potrząsa głową.

- Nie - decyduje. - Gdzieś indziej.

Dziewczyna patrzy na niego w milczącym zdumieniu. Krople potu lśnią mu na czole jak dodatkowy komplet złącz. - Dokąd? - pyta.

Pancerniak wzrusza ramionami. Patrzy na długi samochód z nieprzejrzystymi szybami, potem na nią.

- Może do ciebie, tam nad barem?

Już ma zaprotestować, kiedy coś ją powstrzymuje. Jego wy-gład, drgnięcie szóstego zmysłu, coś. Świadomość, że odmowa bę-dzie złym posunięciem - nie niemądrym, po prostu niekoniecz-nym okrucieństwem.

- Okay - zgadza się powoli. - Ale będziesz sam. Skoro z Het-manem mam się spotkać dopiero wieczorem, popołudnie zamie-rzam spędzić z Daudem.

Kowboj ponownie wzrusza ramionami.

- No to Błękitny Jedwab - Sara wydaje polecenie kierowcy i opada na tylne siedzenie.

W czasie jazdy do Tampy Kowboj zachowuje milczenie, zato-piony we własnych myślach. Sara zatrzymuje się w barze tylko na chwilę, żeby powiadomić Maurice'a, iż pozwala Kowbojowi zostać u siebie na popołudnie, i odjeżdża limuzyną Flash Force do Dau-da.

Przeniosła go ze szpitala do kliniki rekonwalescencyjnej na przedmieściach Tampy, koło hałaśliwej, ograniczonej autostrady łączącej Tampę z Orlando. Dostał pokój bardziej przypominający akademik niż salę szpitalną i Sara uważa, że nikt z personelu nie wygląda tam jak Joseph ukrywający strzykawki w ręcznikach. Kiedy wchodzi do pokoju, Daud siedzi na fotelu. Wygląda le-piej, choćby tylko dzięki pozbyciu się szpitalnych łachów. Słabą ręką podnosi hantle. Dziewczyna pierwszy raz od eksplozji widzi go ćwiczącego z własnej woli, uśmiecha się, podchodząc do niego. - Cześć, Saro.

Dziewczyna pochyla się, żeby go pocałować. Spod nienaruszo-nych brwi śmieją się błękitne oczy brata.

-Daud... - Mruga z niedowierzaniem oczami. Lodowaty dreszcz przebiega jej po nerwach. Chłopak uśmiecha się szerzej, wciąż podnosząc hantle. - Jak...?

- Projektantka ciał dwa dni temu usunęła mi blizny z twarzy.

Laserem.

Oddycha ciężiej z wysiłku. W głosie pobrzmiwa mu napięcie.

Siostra opiera się o ścianę, krzyżuje ramiona.

- Kto za to zapłacił? - pyta.

- Ten... facet, którego spotkałem. Jego siostra jest tutaj, ma... umiera na Huntingtona. Jest bogaty. - Uśmiech Dauda staje się niepewny. Pojawiają mu się ścięgna na szyi. Dwukrotnie jeszcze podnosi

ciężarek, odkłada go. Odchyła głowę w tył i bierze głęboko ki wdech.

- Czym ten człowiek się zajmuje?

- Pracuje gdzieś w transporcie. Pochodzi z południowej Afryki. Znalazł się tutaj tylko dlatego, że jego siostra jest pacjentką tej kliniki. - Unosi głowę i spogląda na Sarę. Uśmiecha się z wahaniem. - Sądzi, że mógłby wrócić do domu ze mną. - No cóż. - Sara słyszy w swoim głosie niechcianą szorstkość. Przełyka ślinę i próbuje to opanować. - Szybko. Romantyczny Afrykanin z za morza. Wszystko w ciągu pięciu dni. Spojrzenie Dauda robi się nieufne.

- Myślę, że byś go polubiła - oznajmia.

- Jest teraz tutaj?

Daud w milczeniu potrząsa głową.

- Wyszedł jakąś godzinę temu.

Sara chciałaby złapać go, przytrzymać rękę, zedrzeć rękaw i sprawdzić, czy ma ślady po nakłuciach. Potrząsnąć nim, żeby mu aż zęby zadzwoniły. Zamiast tego zmusza się do uśmiechu. Wie, jak bardzo potrzebny mu jest ten nowy cień nadziei, nie odważy się go zniszczyć, dopóki nie nabierze pewności, że jest tylko ułudą. - Mogę się zobaczyć z jego siostrą?

- Jasne. Ale jest sparaliżowana przez wirusowego Huntingto-na. Nie może mówić.

Sara czuje, jak obawa walczy w jej organizmie z dotraskiem.

Podchodzi do łóżka brata. Próbuje się jeszcze raz uśmiechnąć. - Daud, mam nadzieję, że jesteś ostrożny. Dlatego że temu człowiekowi może chodzić o mnie.

Widzi, jak tężeją mu mięśnie szczęk, w chłodnym spojrzeniu brata błyska gniew. Odwraca się do niej.

- Nie potrafisz uwierzyć, że na świecie są rzeczy niezwiązane z tobą, co? Wszystko się musi kręcić wokół ciebie, nawet ja i ludzie, których znam. - Wyrzuca ręce w górę. - Czy nie możesz się wynieść z mojego życia?

- Ja tylko próbuję cię ochronić, Daud. Jeśli okaże się, że ten człowiek należy do ludzi, którzy mnie poszukują. - Nie należy. Troszczy się o mnie. Naprawdę.

- Bardzo się cieszę. Jeśli... - Pozwala niedokończonemu zdaniu zawisnąć w powietrzu.

- Jeśli okaże się prawdziwy. - W głosie Dauda wrze bunt. - To chciałaś powiedzieć, prawda? - Potrząsa głową. - Nawet nie raczyłaś spytać, jak się nazywa. Nick Mslope.

- Nie chcę walki, Daud.

- Nick Mslope. Powtórz to.

- Tak, dobrze. Nick Mslope. Który może być prawdziwy albo nie. - Patrzy na brata. - Możesz teraz ty to powtórzyć? Chłopak odwraca się, grzebie w kieszeni w poszukiwaniu papierosa.

- Możesz, Daud? - mówi to najłagodniejszym tonem, na jaki ją stać.

- Nie muszę tego znosić - mruczy Daud. - Nie muszę mówić niczego, czego nie chcę. - Zapala papierosa. - Nie muszę już więcej być zależny od twoich pieniędzy. Nick się mną zaopiekuje. - Mam nadzieję, że to robi - mówi Sara. - Ale najpierw mu coś powiedz. Że mnie widziałeś, że pokłóciliśmy się i nigdy więcej mnie nie zobaczysz. A jeśli wtedy się tobą zaopiekuje, to świetnie. Dym unosi się nad odwróconą głową brata. Sara pochyła się.

- Powiesz mu to, Daud? Zaryzykujesz?

Szczęki mu drżą.

- Nie muszę - odpowiada.

- Ja tylko chcę jasnej sytuacji. Dla wszystkich. Jeśli Nick chce ci pomóc przez to przejść, świetnie. Z radością przestanę za to płacić. Lecz nie wypytuj go zbyt dokładnie, dopóki nie dostaniesz wszystkich części.

Spogląda na nią kątem oka.

- Niech cię szlag - mówi. - Wszystkiego mnie pozbawiasz.

- Wcale mnie to nie cieszy.

- Tak twierdzisz.

Próbuje powiedzieć to ostrym głosem, lecz tylko się krztusi. Sara sięga, żeby go dotknąć, czuje, jak brat próbuje się odsunąć, potem jednak ją akceptuje.

Sprowadzanie ludzi na ziemię. Jak się zdaje, ostatnio tylko to robiła, rzygać się od tego chce, żółć podchodzi jej do gardła. Zbliżyła się do brata, otacza go ramionami, całuje w chłodny, iległy policzek.

- Uważaj, Daud - szepcze. - Uważaj.

Wie, że nie posłucha, że nie jest zdolny do niczego więcej niż srania wszystkiego tak, jak nadchodzi. Będzie czepiał się nadziei, >ez względu na to, czy ona istnieje, czy nie.

Rozdział szesnasty

Pod dnem butelki powstaje na piersi Kowboja chłodny krąg. Jest mu gorąco, nie może spać. Coś go gryzie.

Mały pokoik Sary jest jak pudełko, nagle czuje, że dłużej tu nie wytrzyma.

Wstaje, dopija piwo, naciąga koszulę. Schodzi po schodach, wychodzi tylnymi drzwiami, żeby nie pociągnąć za sobą faceta z Flash Force. Zaulek paruje po przelotnym deszczu. Kowboj wychodzi z niego, miasto oblepia zapachem uroczynu. Zastanawia się nad hajem, ale narkotyki nie załatwią niczego-go... Musiałby naprawdę znaleźć się wysoko, w delcie, lecąc nad nocą, zanim naćpanie się cokolwiek by mu dało. Pomogłoby na-wet posiedzenie w opuszczonej pancerce. Zastanawia się, czy już ją znaleziono, pozostawioną w wąwozie w Ohio. Przechodnie gapią się na złącza w jego głowie, zdaje sobie sprawę, że zapomniał peruki. Patrzy ostro na nich, odwracają wzrok, ukrywając ciekawość. Nie jestem ćpunem - myśli do nich - jestem pilotem. Ukradkowe spojrzenia padają nadal. Kowboj poddaje się z obrzydzeniem i wchodzi do pierwszego napotkane-go baru. Jest pełen palm w donicach i wysmakowanych hologra-mów unoszących się nad biznesmenami pijącymi na rachunek po-zycji „koszty własne”. Tego też Kowboj nie potrafi znieść. Wyłącznie dla zapewnienia sobie chwili prywatności wchodzi do budki telefonicznej i zamyka drzwi.

Włącza się niewielki wentylatorek w suficie, warczy jak nie-wielka turbina. Chłodne powietrze owiewa mu twarz. Wcisną te-lefon w gniazdo nad prawym uchem, postanawia zadzwonić do Norfolk pogadać z Cathy, swoją panią porucznik ze Straży Przy-brzeżnej, sprawdzić, czy zdoła się wyrwać na weekend, gdzieś w pasmo Western Slope, skąd daleko jest do nizin, a czysty wiatr przebiega wśród osik jak ostrze przez rzadkie powietrze. Dowia-duje się jednak, że dziewczyna jest na morzu i nie dostanie z nią połączenia. Gapi się na telefon, zaciska pięści, czuje, że ma dość ostrożności, dowiadywania się, że nie może pomóc ludziom, kiedy tego pragnie.

Dzwoni na numer Reno w Pittsburghu.

- Kowboj, Kowboj, mój Boże.

Brzmi to jak głos zagubionego dziecka, jednak to Reno, może trochę beznamiętny, lecz wciąż wystarczająco prawdziwy, żeby po skórze Kowboja spłynęła fala płynnego tlenu, dreszcz strachu, lodowaty, a jednak w jakiś sposób ożywiający.

- Kowboju, co się stało? Nie mogę sobie przypomnieć. - Napadli nas, Reno - odpowiada. Mózg przyjaciela był wybie-lony, jak pamięta. Cały czas w fejsie. Niemal widoczny zanik oso-bowości. O ile to nie podstęp Tempel. O ile nie mają programu siedzącego na sieci, identyfikującego ten aparat telefoniczny, wy-syłającego twardzieli o zrobotyzowanych oczach i napchanych ste-rowanymi kryształem śmiertcionośnymi paskudztwami. - Rozmawialiśmy o sercach, które chciałeś sprzedać - mówi Reno. - To pamiętam. A także dziewczynę, która była z tobą, tę z pistoletem. Potem nie pamiętam nic, aż do chwili... Pamiętam ogień wszędzie. Alarmy ostrzegające przed intruzami. Nie mia-łem pojęcia, kto to był. Cały czas siedziałem w fejsie, próbując wezwać pomoc.

Na chwilę zapada cisza.

- Myślę, że umarłem, Kowboju - odzywa się z wahaniem głos. - Wyczytałem w brukowcach, że umarłem. Nie wspominali o tobie. Kowboja oblewa lodowaty pot. Ze strachu bołą go zęby. Sięga na oślep, dotyka matowej aluminiowej płyty czołowej telefonu. - Reno - odzywa się. - Reno, gdzie jesteś?

- W publicznym kryształach, Kowboju. W Pittsburghu, w Mary-landzie... Wszędzie są moje kawałki.

Biblioteki, zbiory danych o najniższych zabezpieczeniach, nieużywane numery telefonów. Banki, gdzie otwierałem konta i miałem hasła. - Głos zaczyna błądzić, doprowadzając Kowboja do szału. - Byłem zafejsowany przez domowy kryształ, przez kości pamięci, miałem te wszystkie dane. Ale jestem tak rozproszony, że nie mogę porządnie ich wykorzystać. I jeszcze tyle straciłem.

Głos Reno brzmi jak łkanie dziecka. Kowboj myśli o Lupe, o krzyku w jej gardle, wzbierającym pod dotknięciem Roona. - Kowboju - mówi Reno. - Zapomniałem różne rzeczy. Zapomniałem, jak być osobą. Pamiętam, jak to płonęło. Mój mózg wrzący w ogniu. Pomóż mi, Kowboju.

Pancerniak wyczuwa Reno tuż po drugiej stronie złącza, próbującego wydobyć się z kryształu, znów stać się osobą. Zwija dłoń w pięść, uderza w szklaną ścianę budki. Barmani rzucają mu spojrzanie, odwracają wzrok.

- Posłuchaj - mówi. - Możemy cię stamtąd wydostać. Do ciała.

Codziennie przeprowadza się transfery osobowości.

\ - Nie sądzę, żeby mnie dość zostało. Ciągłe tracę fragmenty. Bity giną w transferach. Czasem ludzie trafiają na mnie w swoich kryształach i usuwają moje części, zanim się zorientuję, zanim zdążę uciec.

- Brzmi to tak, jakby Reno, gdziekolwiek jest, płakał. - Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej? Jesteś jedną z nielicznych osób, które pamiętam. Próbowałem wszystkiego, żeby się z tobą skontaktować. Próbowałem telefonów, śledzenia twoich kont. Myślałem, że raz cię złapałem, w bibliotece w Nowym Meksyku, ale wyszedłeś z fejsu. Wszyscy się odcięli.

- Trwa wojna, Reno. Zostałeś zabity. Wszyscy inni się poukrywali.

- Wojna? Z kim? Kto mnie zabił, Kowboju?

Rozległo się pukanie do drzwi. Kowboj podnosi wściekły wzrok, widzi jednego z kelnerów, wysokiego, południowoamerykańskiego typu o zimnych oczach i wykrzywionych wargach. - Przeszkadzają mi tu. Przepraszam. - Kowboj otwiera drzwi. - Kto mnie zabił, Kowboju? - rozlega się w jego kryształ słuchowym. Głos staje się coraz bardziej zniekształcony, jakby Reno tracił kontrolę nad sygnałem tworzącym dźwięk w głowie pancerniaka. - Ten telefon jest wyłącznie dla wygody naszych gości, sir - mówi kelner.

- No to proszę przynieść mi coś. Piwo. Wszystko jedno jakie. - Kowboj zatrzaskuje drzwi.

- Kowboju? - Głos Reno jest niemal niesłyszalny w falującym, niekontrolowanym białym szumie. Kowboj krzywi się, tak głośny to hałas. - Jak umarłem?

- Tempel cię zabił. Tempel Pharmaceuticals Interessensgemeinschaft. Oni i ich kumple.

- Tempel... Tempel... - Głos Reno znów brzmi czysto, jakby zrozumienie w jakiś sposób zlikwidowało kłopoty z jego interfejsem. - Wciąż mam mnóstwo szczegółów na temat Tempel - było zafejsowane do mojej kości pamięci, kiedy umarłem. Rozmawiałem też z tobą przez ten twój model Tempel. Czy kiedy przebywaliśmy u mnie w domu, gadaliśmy o tym bloku? Pamiętam, że coś ci mówiłem.

- Tak, rozmawialiśmy o Tempel. O wojnie.

- To tak dawno temu... Ja teraz odmierzam czas pikosekundami.

Kowboj znów myśli o siedzących w opancerzonych samochodach, ściskających metal w dłoniach twardej twardzieli, którzy mają twarze całe z zimnych płaszczyzn, oczy jak z lodu. - Reno - mówi. - Muszę wiedzieć, czy jesteś prawdziwy. Możesz być pułapką.

- Kowboju, jestem prawdziwy, pomóż mi.

- Powiedz mi coś, o czym tylko my możemy wiedzieć. Powiedz mi, Reno.

- Kowboju. - Ciche łkanie niknie w białym szumie. - Nie wiem. Tak wiele straciłem.

Kelner pojawia się z piwem pancerniaka, który zaciska dłoń na ramie budki tak mocno, że aż bieleją mu kostki palców. Duży-mi haustami łyka chłodne powietrze spływające z góry. - Posłuchaj, Kowboju. - Biały szum huczy jak przybój na Oa-hu. - Pamiętam czasy, kiedy graliśmy w pokera. W tej szopie sto-jącej w pobliżu granicy z Dakotą. Właśnie przyprowadziłeś „Express” z trasy i postanowiłeś zostać, a później dołączyć do mo-jej załogi naziemnej. Obaj tam byliśmy, kiedy wpadł Saavedra na parę rozdań, siedział tam jeszcze jeden dzok. Begay, wielgachny Nawaho. Ten, który zginął w wypadku spowodowanym przez jego brata. Zgarnął całą naszą forszę i dał nam cygara, pamiętasz? Kelner stoi koło budki z piwem w ręce. Kowboj jest tak słaby, że opiera się o przejrzysty plastik. Łkanie wrywa mu się z gar-dła.

- Jezu, Reno. Mój Boże. To ty. To ty.

Zapłakałby, gdyby potrafił. Saavedra i Begay, obaj nie żyją i nikt nie mógł powiedzieć Tempel o tej grze. Reno jest gdzieś schwyty w kryształ, to, co z niego zostało, jest elektronicznym duchem zawieszonym w nieskończonej pętli pomiędzy dwoma światami, pędzącym donikąd z prędkością światła. Kowboj wali tyłem głowy w ścianę budki, pragnąc jasności bólu. Kelner patrzy na niego z dezaprobatą, ćpun z nabijanym łbem dostający świra w jego czystym barze pełnym palm.

- Słuchaj, Reno, wyciągniemy cię. - Czuje smak krwi w ustach. Ociera czoło wierzchem dłoni. - Razem z Dodgerem. Znajdziemy ciało dla ciebie.

- Nie mam pieniędzy, Kowboju. Mam większość swoich kont, ale za mało na nich jest.

Kowboj śmieje się. W małej budce brzmi to ogłuszająco, w od-bitym echu brzmia tony hysterii. Z trudem udaje mu się opano-wać wesołość.

- Cholera, bracie, jesteś już jedną nogą po tej stronie. - Zdaje sobie sprawę, że krzyczy, ścisza głos. - Już wydostałeś się z ciała i wlałeś w kryształ. Musimy zapłacić tylko za ostatni etap. Założę się, że dostaniemy solidny rabat.

Otwiera z rozmachem drzwi, odbiera piwo od zaskoczonego kelnera.

- Jeszcze coś na ząb - mówi. - Nachos, jeśli je macie, ale wy-starczą orzeszki ziemne.

- Kowboju... Kowboju... - Głos Reno pojawia się i znika w bia-łym szumie.

- Tak, Reno. Jestem, jestem.

- Dziękuję, Kowboju. Bardzo ci dziękuję. Wszyscy, do których dzwoniłem, albo nie żyją, albo się ukrywają. Zupełnie jakbym ich pozabijał albo przepędził.

- Reno, jestem tutaj.

Oddycha ciężko. Mała budka śmierdzi piwem.

- Jestem tutaj - próbuje mówić pocieszającym tonem. -Wciąż jestem.

Ale gdzie ty jesteś? - myśli. Zagubiony program, kradnący komputerowy czas, gdzie się da, ukrywający się przed systemem, który zabiłby go, nawet nie wiedząc, kim jest. Uciekający bezustannie, tracący bity siebie w niedokładnych transferach, aż w końcu nie zostanie prawie nic, tylko powiew z zaświatów mu-skający interfejs elektronicznym tchnieniem.

- Zajmę się tobą - mówi Kowboj.

Myśli przy tym o małej dziewczynce drżącej pod ręką Roona, o dwojgu dzieciaków w stodole w Missouri, o wszystkich sprawach, których się nie podjął i ile dobrego dla każdej z tych osób zrobił...

- Znajdę wyjście - obiecuje i gdzieś, w jakimś zakamarku umysłu pojawia się mu monochromatyczny obraz jego samego i Reno, Raula i Lupe, Sary jakby z ujęcia autorstwa von Sternberga i przypominającej Louise Brooks, wszystkich zgromadzonych w nieprawdopodobnie wielkiej kabinie delty, żeglującej na tle szarych, jakby namalowanych akwarelą chmur, pociętych jasnymi ostrzami promieni słonecznych - szczęśliwe zakończenie z kryształków azotanu srebra lśniące na wewnętrznej powierzchni jego zamkniętych powiek. Towarzyszy tej wizji uczucie, że jest w stanie ją jakoś zrealizować, pstryknąć przełącznikiem i wszystko potoczy się w tym kierunku, gdyby tylko wiedział, który to przełącznik i gdzie go znaleźć.

Rozlega się pukanie do drzwi budki. To kelner z orzeszkami. Kowboj podnosi na niego wzrok, na chudą twarz spoglądającą na niego z wyrazem dezaprobaty, ze śladami popękanych naczynek na kościach policzkowych, na przycięty siwiejący wąsik. Starannie wyrażoną pogardę wzmacnia jakoś wygięciem dolnej wargi. Czarno-biały obraz pod powiekami blednie, nie ma napisu THE END przesuwanego się po niebie z nagłym wybuchem triumfalnej muzyki Alfreda Newmana. Przełącznik wyśliznął się Kowbojowi z palców, za to schwytyany jest w pułapkę potniejących ścian klatki w małym barze na Florydzie, utknął tu razem ze wszystkim zagubionymi dziećmi Ziemi i najwyraźniej nie potrafi odnaleźć wyjścia...

Rozdział siedemnasty

ŻYJESZ W MARTWEJ STREFIE?

GWARANTUJEMY REWANŻ!

Kiedy Sara wraca, Kowboj siedzi ze skrzyżowanymi nogami na materacu, bez koszuli, w samych tylko dżinsach z obciętymi no-gawkami. Kilka pustych flaszek po piwie wala się wokół niego. Smaruje sobie oczy, odwraca je w oczodołach w górę, podłączając końcówkę buteleczki z silikonowym żelem do małego zbiorniczka w dniu każdego z implantów.

Kiedy kończy i spogląda na nią, widać, że ma oczy otoczone fioletowymi cieniami. Na szyi wystąpiły mu ściegna, których wcześniej nie było widać.

- Kowboju - mówi Sara. - Wyglądasz jak z krzyża zdjęty.

Pancerniak patrzy w podłogę, przełyka ślinę.

-Tak.

Sara podchodzi do niego, przykuca na piętach i kładzie mu ręce na ramionach. Jest cały mokry. Dziewczyna czuje ukłucie wdzięczności, że nie usuwa się przed jej dotykiem jak Daud. Patrzy mu w oczy.

- Coś się zdarzyło, kiedy mnie nie było?

- Tylko... - zaczyna odpowiadać Kowboj, potem potrząsa głową. - Nie. Nic.

- Na pewno?

-Tak.

Sara całuje go w policzek, czuje kłujący zarost. Wstaje i zsuwa kurtkę z ramion.

- Idę się odświeżyć - oznajmia. - Przyłączysz się? Prysznic jest nad starą, zniszczoną wanną, w łazience na końcu korytarza, którą Sara dzieli z Maurice'em. Drzwi z matowego szkła zatrzymują parę w kabinie, która wypełnia się miękką, widmową poświatą podbarwiającą ich ciała wzorami z rozproszonego, mgławicowego światła. Kowboj długo stoi pod gorącym strumieniem, woda z mydłem przejrzystymi strugami spływa po jego piersi, Sara zaczyna masować mu mięśnie. Tworzą węzły, są napięte jak stalowe postronki przez wszystkie krzyki zdławione w ciągu ostatnich pięciu dni z Roonem, każdy z nich zakodowany w podskórnych splotach jak dane w kryształach. Dziewczyna nie spieszy się, zajmuje się każdym mięśniem po kolei, czuje, jak pod jej palcami wracają do życia. Potem zmienia wodę na zimną, przygląda się dreszczom przebiegającym mu po plecach. Pierwszy raz od wielu dni w jego oczach pojawia się błysk życia. Sara zakręca wodę i Kowboj obejmuje dziewczynę, przytula się do niej zimną skórą. Ona policzkiem ściera mu krople z ramienia. Stojąc w błyszczącej, podrapanej wannie zaczynają się kochać, właściwie zanim którekolwiek z nich zdaje sobie z tego sprawę. Sara nie bardzo wie, kiedy Kowboj podnosi ją i niesie do jej pokoiku. Nie potrafi powiedzieć, czy ten mężczyzna jest we właściwym miejscu, czy pasuje tutaj... Uważa, że istnieje różnica pomiędzy wpuszczeniem kogoś do swego ciała a wprowadzeniem do swego domu - lecz właśnie wtedy uświadamia sobie, że chce jego obecności tutaj, że on pasuje do tej kryjówki na poddaszu. Obejmuje go za szyję, zaskoczona własnym podnieceniem, obecnością kogoś dość wysokiego i silnego, by unieść ją tak łatwo, uwolnić od grawitacji w kołysce z własnych ramion. Obserwuje krople wody spływające mu z włosów na kark po mocnych mięśniach szyi. Czuje pod ramieniem jego twardą pierś. Odchyła głowę w tył, potrząsa nią, czuje, jak woda spływa jej z włosów parabolicznymi, tęczyowymi smugami. Śmieje się. Postanawia pozwolić sprawom toczyć się własnym biegiem.

We dwoje nie bardzo mieszczą się na jej wąskim materacu, ich długie kończyny splatają się na ciemnej, lśniącej podłodze, głowy pozostawiają mokre ślady na polimerze... To wszystko nie ma znaczenia. W końcu siedzą twarzami do siebie, Sara na jego udach. Poruszają się powoli, niemal

niedostrzegalnie, to poznawanie od nowa niemal pozbawionych tarcia śluzówek, sunących wolniej niż rytm kurantów oddechu i serca. Światło z okna rzuca na jego pierś wzory przypominające zniekształconą krzyżówkę. Sara wy-ciąga rękę, by ich dotknąć, wypełnić jasne kwadraty alfabetem własnego pomysłu, muska, drapie, pociera kostkami dłoni lub opuszkami palców. Kowboj wpatruje się w nią z milczącą inten-sywnością, niepokoi ją to do chwili, gdy zaczyna czuć, że po raz pierwszy cały jest tutaj, nie odpływa w jakąś dziwną przestrzeń ukrytą za sztucznymi oczami, ale patrzy na nią, jakby była czymś nigdy przez niego niewidzianym. Ona też wpija się w niego wzro-kiem, w twarde, rozszerzone źrenice, które zdają się pochłaniać ją, absorbować promieniowanie, którym się stała, bezdenne oso-bliwości wszczepione w jego głowę... Wyciąga rękę i wtedy dozna-je spełnienia, twarz Kowboja rozmywa się, jakby przed jej roz-ogniskowanymi oczami spadła kurtyna lodowatego deszczu, oddech zatrzymuje się jej w gardle, pali płuca.

Sara spazmatycznie oddycha, wciąż czując na sobie wzrok Kowboja. Przeczesuje mu palcami krótkie, jasne włosy. Poznaw-szy się, poruszają się nieco szybciej, popycha go w tył, na plecy. Słońce ogrzewa jej jedną stronę twarzy. Mięśnie ud ma napięte niczym lina mostu, tworzą łuk obejmujący jego biodra. Kowboj dotyka jej piersi, obejmuje je dłońmi, unosi głowę, by wziąć sut-ki w usta. Sara odrzuca głowę, czuje końce włosów łaskoczące ją w łopatki. Porcje energii pędzą autostradami jej nerwów, wyjące syreny przelatują w górę i w dół z drgającymi wskazówkami ta-chometrów, pełznącymi w górę, ku prędkości światła. Kowboj kła-dzie się, znów czuje na sobie jego wzrok... Ponowne spełnienie, nadświatlne.

Uderzenie, plusk, wprost w serce gwiazdy. Sara jest pulsarem, ciskającym płonące fotony rozszerzającymi się kręgami... Zaska-kuje ją chłód ciała jej gwiazdnego towarzysza, że nie doznał opa-rzenia słonecznego. Teraz jest nad nią, ich orbity okręciły się wo-kół siebie. Pod lewą łopatką czuje zmięty, wilgotny ręcznik. Powolna muzyka dudni w barze na dole. Pokój znów błękitnieje. Sara unosi rękę, chwyta w nie głowę Kowboja. On doznaje speł-nienia tuż przed nią, podwójny kolaps grawitacyjny. Obejmuje go rękami, przyciąga do siebie, rozkoszuje się dotknięciem jego od-dechu na szyi.

Muzyka z wolna wpełza pod plecy Sary. Kowboj znów się uno-si, jej ramiona wciąż oplatają jego kark. Dziewczyna zastanawia się, czy to jest ktoś, na którym punkcie mogłaby stać się sentymen-talna.

Jego wzrok opada na nią niczym deszcz, czuje, jak fragmenty jej ciała wracają do życia.

- Reno żyje - mówi Kowboj głosem powolnym jak nagranie odtwarzane z dwukrotnie mniejszą prędkością. - Przed chwilą z nim rozmawiałem.

TEMPEL OBIECUJE DOSTARCZENIE LEKU NA HUNTINGTONA

W CIĄGU 6-10 TYGODNI

NIECIERPLIWOŚĆ NARASTA

Przez tłum kłębiący się na stacji szybkiej kolei maszerują zdecydowanie dwie grupy ludzi: biali z Flash Force Kowboja spoglądający prowokacyjnie w stronę podejrzanych, czarnych ludzi z Gold Coast Maximum Law, których Michael Hetman wysłał do Nowego Meksyku, by pomogli zorganizować bezpieczne linie łączności. Najemnicy nie mogą sobie pozwolić na zbyt długą pamięć, ale te dwie grupy ścierały się w przeszłości i choć nikt nie okazuje otwartej wrogości, nie ma najmniejszych szans, by w najbliższej przyszłości zapanowała pomiędzy nimi przyjaźń. Sara wyczuwa napięcie. Kowboj już wygląda nieszczęśliwie na myśl o podróży do Santa Fe z takim tłumem. Stawia kołnierz kurtki i rozgląda się po platformie.

Zbliża się domokrążca sprzedający narkotyki z wózka. Niewyraźny, damski głos w trzech językach zapowiada pociągi, wymienia perony i tory.

- Zobaczymy się za parę tygodni - mówi Sara.

- Do zobaczenia.

Otoczają ich twarze, czarne i białe, splatając niewidzialne wzorce obrony, siły, poruszając się niezależnie od woli Sary, jak orbitalne konstelacje zamieszane w jakąś potężną i nieprawdopodobnie subtelną grę strategii pozycyjnej... Ich obecność przeszkadza jej, próbuje zlekceważyć ten wpływ, nie udaje się jej. - Spodobają ci się góry - rzuca Kowboj.

- Nie mogę się doczekać.

Hiszpańskie liczebniki gromadzą się w powietrzu, jak ptaki polatują pomiędzy ich bezcelowymi, banalnymi wypowiedziami. Pieprzyć to, myśli Sara, łapie Kowboja za rękawy kurtki. - Hej, Kowboju. - Patrzy w górę, w jego szczupłą, beznamiętną twarz. - Jesteśmy przyjaciółmi czy sprzymierzeńcami? Zimny uśmiech drga mu w kącie ust.

- Chyba przyjaciółmi - odpowiada. - Kiedy możemy sobie na to pozwolić.

Sara czuje dreszczyk rozbawienia.

- Tak. - Powoli potakuje skinieniem głowy. - Stąd tak to wygląda.

- Zadzwoń do Reno, kiedy tylko zdołasz - prosi Kowboj. - Czuje się bardzo samotny.

Dziewczyna wspomina białomózgiego scyborgizowanego zombi, rozjarzoną, małą macicę w Pensylwanii, potem wyobraża sobie jego bezcielesny, widmowy głos wydostający się z jakiegoś odłamkowego kryształu, pulsujący w jej uszach... Ten człowiek wystarczająco przypominał ducha, będąc jeszcze we własnym ciele, nie ma sensu dopraszać się nawiedzenia. Wzrusza ramionami. - Spróbuję. Ale facet wystarczająco nastraszył mnie jeszcze za życia.

Kowboj krzywi się lekko.

- Może pomóc. Ma zadołowane mnóstwo forsy.

- Okay. Zadzwoń do niego. Obiecuję.

Zegnął się. Sara obserwuje jego wysoką sylwetkę okrążoną przez czarne i białe satelity. Kowboj oddala się po oświetlonym fluorescencyjnymi lampami peronie, znika w tunelu, a ona zastanawia się, czy ponowne zobaczenie się z nim będzie dobrym pomysłem. Łatwo mogłaby to zorganizować, po prostu pogadać z Hetmanem, by wysłał kogoś innego do Dodgera, kiedy nadejdzie czas... Sara

ma wobec siebie i brata zobowiązania, które nie zezwalają na sentymenty. Wie, że wpuszczenie ludzi do miejsc, gdzie się żyje, daje im możliwość zadania ran, a tych ona ma wystarczająco dużo. Jej ochroniarz z Maximum Law sprawia wrażenie zniecierpliwionego. Ponieważ Sara zna plany Hetmana, zrobiła się wystarczająco ważna, żeby otrzymać osobistego strażnika. Pilnujący jej chłopak prawdopodobnie otrzymał rozkaz zabicia jej, gdyby nie udało mu się zapobiec porwaniu. Po zakończeniu tej sprawy zabierze ją do hotelu, gdzie łatwiej będzie jej strzec; w najbliższej przyszłości nie będzie miała szans wpaść do swojej kryjówki w Błękitnym Jedwabiu. Odwraca się tyłem do ochroniarza, żeby od przechodzącego handlarza kupić działkę snapkoki. Znakomite samopoczucie wije się helisami przyjemności w jej żyłach. Kupuje trochę papierosów dla Dauda i rusza w stronę wyjścia. W czasie wizyty u brata będzie się świetnie czuła, przynajmniej póki narkotyk będzie działał.

NOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWE

ŁONOWECIAŁONO

Zmęczony Widokiem Codziennie Oglądanym w Lustrze?

Pozwól, by NOWECIAŁO Dało CI Nową Twarz!

W Tym Miesiącu Oferta Specjalna na Fizjonomie Sławnych Osób!

NOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWECIAŁONOWE

LONOWECIAŁONO

Daud ma gości. Jest tu projektantka ciał o wielkich, niemrująco-jących, sowych oczach i kościach policzkowych ostrych jak odłamki szkła. Pomrukującym laserem usuwa postrzępione, różowe blizny z piersi chłopaka. Obserwuje to życzliwym spojrzeniem czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku.

- Nick Mslope? Jestem Sara.

Niewysoki, delikatnej budowy gość podnosi wzrok z miłym uśmiechem. Ubrany jest w gładko zaprasowane, białe bawełniane dzinsy i tropikalną koszulę, z której kieszeni wystaje nadgryziony batonik, starannie zawinięty w opakowanie.

- Bardzo mi miło - mówi z nieznanym jej akcentem. Tkanka blizn znika z bladej piersi Dauda w smugach szarego dymu. Chłopak otwiera oczy i patrzy na Sarę.

- Cześć, przyjrzyj się, dobrze? Panna Deboyce twierdzi, że tych blizn nie da się dojrzeć bez mikroskopu.

- Nie gadaj - odzywa się projektantka. Palcem dłoni w rękawiczce usuwa mu popiół z piersi. - Nawet nie oddychaj, jeśli po-trafisz.

Poprawia szkła powiększające na nosie i pochyla się nad nim z grymasem skupienia na twarzy.

Mslope zapala papierosa, wsuwa go Daudowi między wargi. Sara czuje ukłucie gniewu, osłabione snapkoką. Gość zerka na nią, potem obchodzi łóżko i staje przy niej. Dziewczyna obserwuje go ostrożnie.

- Dziękuję panu za to wszystko - mówi. - Oboje z Daudem jesteśmy wdzięczni.

- Bardzo mnie cieszy, że mogłem pomóc.

Przygląda się, jak laser nacina bliznę, zamienia ją w parę. - Daud sprawia wrażenie bardzo wartościowego młodego czło-wieka i... cieszę się, że mogę się przydać, rozumie pani. - Potrząsa głową. - Moja biedna siostra... dla niej nic nie jestem w stanie zrobić.

- Jest nowy lek - mówi Sara.

Czuje narastające zakłopotanie spowodowane tym, co ona wie, a o czym Mslope nie ma pojęcia.

- Za późno. Powstrzymałby postęp choroby, ale jej umysł już został zniszczony. Śmierć, kiedy nadejdzie, będzie błogosławieństwem.

Laser liże pierś Dauda szkarłatnym językiem. Sara przenosi wzrok z gościa na brata i z powrotem.

- Czym się pan zajmuje, panie Mslope? - pyta.

- Proszę mówić mi Nick.

- Nick.

- Transportem. Przewozimy poduszkowcami towary z kosmo-dromu w Cape Town.

Lodowaty uśmiech pojawia się na ustach Sary.

- Znam paru ludzi związanych z tym interesem.

- Sądzę... - Mslope spogląda na jej brata - że będę mógł tam zatrudnić Dauda. Jeśli będzie chciał się do mnie przyłączyć. Sara czuje, jak napinają się jej wszystkie nerwy.

- Jako kogo? Nie jest wykształcony.

- Jako mojego sekretarza. Jestem pewien, że bardzo szybko nauczy się tej pracy.

Sara uśmiecha się do niego krzywo, zastanawiając się, czy uśmieszek Mslopego jest cyniczną odpowiedzią, czy tylko reakcją na jej grymas. Czuje wlepione w nich spojrzenie błękitnych, zamglonych oczu Dauda, bezradnie obserwującego ich walkę o jego serce, rywalizację tworzącą jego przeszłość.

- Bardzo bym nie chciała znaleźć się od niego daleko - mówi Sara - jeśliby się coś nie udało.

Mslope wyjmując chłopakowi papierosa z ust, otrząsa go do popielniczki, z powrotem wkłada mu pomiędzy wargi. - Bardzo poważnie traktuję swoje obowiązki, Saro. Nigdy bym nie zabrał młodego człowieka tak daleko, nie zapewniając środków na powrót do domu, gdyby poczuł się nieszczęśliwy. - Spogląda na dziewczynę. - Być może byłbym w stanie pomóc i tobie. Mam trochę znajomości w porcie. A jeśli pojedziesz z nami do Afryki, na pewno będę mógł załatwić ci pracę.

- Jaką?

Jego spojrzenie pozostaje niewzruszone.

- Z pewnością sama najlepiej byś wybrała.

Sara śmieje się, rozbawienie wraz z snapkoką kotłują się w jej żyłach. Laser znów mruczy. Unosi się szary dym, w kolorze meta-lu, z którego sporządza się broń, ból przemieniony w parę.

PANCERKA PORWANA W NEBRASCE

ZACIĘTA WALKA

POLICJA NIE MA PODEJRZANYCH

- Tu Sara. Pamiętasz mnie?

- Sara. Tak.

Głos jest bulgotliwy, jakby przed dotarciem do niej przedzie-rał się przez całe kilometry wody. Od tego dźwięku cierpie jej skóra. Za oknami samochodu przesuwa się szereg usychających palm, brunatne kształty na tle stalowoszarego nieba. Sara dzwoni z telefonu komórkowego, z pojazdu Maximum Law, wciąż nieprze-konana, czy nie jest to jakaś wyszukana pułapka. Bezustanne przemieszczanie się wydaje jej się najlepszym sposobem na unik-nięcie zasadzki.

- Byłaś z Kowbojem - mówi Reno - tuż przed moją śmiercią. Od tych słów, od tego spokoju, z jakim zaakceptował swój los, przenika ją lodowaty dreszcz.

- Zgadza się.

Samochód wspina się na wiadukt St. Petersburg, w tle powoli przemieszczają się wypatroszone budynki weneccji. - Pomogłam mu przedostać się do jego ludzi na Zachodzie.

- Cieszę się, że uciekłaś. Pracujesz dla Michaela Hetmana?

- Czasami.

- Chyba go raz spotkałem. Słabo pamiętam wiele rzeczy. - Re-no waha się przez moment, potem kontynuuje pospiesznie, szcze-rze: - Dziękuję, że zadzwoniłaś, Saro. Jestem tu bardzo samotny. -Tak. Sara patrzy na wodę w dole, ciemną, leniwą, pokrytą warstew-ką oleju. Myśli o zimnych oczach Dauda, pozbawionych wiary w cokolwiek, o uderzeniach wody i wiatru w długie betonowe brzegi Missouri, o Kowboju oddalającym się na zawsze po pero-nie, idącym ku naddźwiękowemu horyzontowi.

- Samotność - mówi. - Wiem, jaka może być.

„COROCZNIE REKULTYWUJEMY DWIEŚCIE TYSIĘCY KILOMETRÓW KWADRATOWYCH ZIEMI UPRAWNEJ!”.

Mikoyan-Gurevich Karmi Świat

Sara codziennie spotyka Mslopego. Kiedy jest sama, łapie się na tym, że o nim myśli, o jego łagodnym głosie, sposobie, w jaki deli-katnymi dłońmi wydaje się sięgać po nią, zawsze jednak powstrzymując się, o drobnych uprzejmościach - przypalenie Daudowi pa-pierosa, podsuniecie jej krzesła. Jednego dnia poczęstował ją batonikiem, który zawsze ma wsunięty do kieszeni nieodmiennie tropikalnej koszuli... Zupełnie jakby uczestniczyli w jakimś dziwnym rytuale godowym, uwodzicielskim tańcu, którego ośrodkiem jest Daud, posuwając się w zwolnionym tempie ku nieuniknione-mu zakończeniu. Sara jest przekonana, że wie jakiemu. - Uwierz, proszę, że rozumiem twoje obawy - protestuje Mslope. Otwiera aktówkę, żeby pokazać jej kontrakt czekający tylko na podpis Dauda: powrotny bilet na suborbitalny prom z Hawany do Cape Town; roczne uposażenie, płatne niezależnie od osiągnięć zawodowych; zakwaterowanie na koszt Mslopego... - I, oczywiście, dopilnuję, żeby otrzymał wszelką potrzebną pomoc medyczną - dodaje z uśmiechem.

Przez chwilę podejrzenia Sary blakną, zastanawia się, czy ten facet w ogóle może być prawdziwy, dochodzi do wniosku, że takie rzeczy nie zdarzają się w realnym świecie. Gdzie Oni znaleźli tego gościa? Jakimi naciskami się posługują? Czy też po prostu jest on jednym z Nich? Zakłada, że istnieje prawdziwy Mslope. Nie byli-by aż tak niedbali. Prawdziwy Mslope też ma umierającą siostrę, której agonię Tempel Pharmaceuticals I. G. złagodzi, jeśli pan Mslope zgodzi się użyczyć swojej tożsamości na jakiś czas. Pochlebne, myśli Sara, iż zależy Im na niej aż tak bardzo, że opracowali tak misterny plan.

- Kontrakt jest dobry - mówi Daudowi. - Podpisz go, jeśli chcesz. Jednak wraz z Mslope obserwują się uważnie, ich wzrok krzy-żuje się nad łóżkiem chłopaka. W końcu to nie o jej brata Im cho-dzi. W tej chwili niemal przestał się liczyć.

- Może będę mógł cię komuś przedstawić - mówi Mslope tym swoim łagodnym głosem. Sięga do kieszeni po batonik, rozdziera opakowanie. - Znam wielu ludzi w porcie. Możesz dostać dobrą pracę.

- Bardzo chętnie się z kimś spotkam - odpowiada Sara. - Lecz raczej tutaj.

Jak dalece Mslope jest gotów się odsłonić? Żaden prawdziwy szef z portu nie przeprowadzałby rozmowy wstępnej z ewentualnym pracownikiem w miejscu przez niego wybranym. - Nie wiem, czy to będzie możliwe - mówi Mslope. Sara wzrusza ramionami. Daud skrobie swój podpis na kontrakcie. Mslope odgryza kęs batonika.

- Jutro mam spotkanie w Tampie - oznajmia. - Może potem zdołam ściągnąć tu jednego ze znajomych...

- Byłoby bardzo miło - mruczy Sara.

Daud, słysząc ton jej głosu, unosi głowę, zastanawiając się, co się tu dzieje. Jego oczy wyrażają coraz większą dezorientację. Sa-ra kładzie mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Miss Deboyce będzie tu jutro, prawda? - pyta.

Mslope uśmiecha się uspokajająco.

- Oczywiście. Moja kompania dobrze dba o swoich pracowni-ków. Jestem pewien, że lepiej niż ktokolwiek w tej branży. W myślach Sary brzmią struny ze stopu, stara, słodka pieśń mi-łości. Znów jest dla nich użyteczna i są gotowi zapłacić za jej usłu-gi. Jeśli zdoła uniknąć różnych rzeczy, które mogą się wydarzyć, kiedy jej użyteczność się skończy - rakiety, pocisku czy igły bez-głośnie niosącej nadmierną dawkę - być może uda się jej dostać to, czego potrzebuje.

Dwa bilety. Może w końcu się tego domyślili.

Spogląda przez okno na długi, ciemny samochód Maximum Law.

Będzie musiała prowadzić negocjacje pod ich czujnym okiem.

- O której będzie dobrze? - pyta.

Wzrok Mslopego znów spotyka się z jej.

- O drugiej - pada odpowiedź.

W chwili kiedy spostrzega kumpla Mslopego, czekającego na nią we frontowej poczekalni, zdaje sobie sprawę, że nie będzie ła-two. Steve Andre jest twardy, potężnie zbudowany, co niezbyt skutecznie próbuje zamaskować luźną koszulą oraz workowatymi spodniami. Ubranie idealne do walki na ulicy, zauważa mimochodem dziewczyna i przez moment zastanawia się, czy ten człowiek naprawdę zamierza siłą zmusić ją do współpracy. Cunningham nie zwracał na siebie uwagi, był cywilem, agentem, żyjącym w cie-niu pomiędzy niebem i ziemią. Andre jest inny, to żołnierz. Wszystko w nim o tym mówi. Sara zakłada, że jest okablowany, Bóg jeden wie ile ma scalaków, stalowe źrenice jego oczu świadczą o poszerzonej percepcji. Sara jest głęboko wdzięczna za fakt, że drzwi budynku wyposażone są w detektory wysokiej klasy - Andre nie zdołałby wnieść broni w swojej cienkiej aktówce i Ła-sica może dać jej pewną przewagę.

- Zostawię was samych. Odwiedzę Dauda - oznajmia Mslope z uśmiechem i sięga do kieszeni po batonik, odwracając się w stronę pokoju chłopaka.

Sara siada na jednym z pluszowych foteli, stojących w pocze-kalni i uśmiecha się do Andre. Za jej plecami kilku pacjentów w starszym wieku narzeka po hiszpańsku na lekarzy. - Jak się ma Cunningham? - pyta. - A może Calvert, czy jak tam sam siebie dziś nazywa?

Pomyślała, że takie ukłucie może nieco wytrącić go z równo-wagi, jednak w jego oczach pojawia się tylko krótki błysk. - W porządku, Saro. Nie ma się czym niepokoić, jest po stro-nie, która wygra.

- Proszę przekazać mu pozdrowienia ode mnie. Ostatni raz wiT działał go trochę przed tym, jak wasi ludzie zaczęli walić do mnie z rakiet.

Andre wpatruje się w nią przez chwilę. Sara poznaje ten styl Cunninghama, to milczące, aroganckie przeświadczenie o własnej wyższości. Jednak ten mężczyzna to nie Cunningham, nie potrafi sprawić tak groźnego wrażenia, przywodzącego na myśl hartowa-ną brzytwę.

- Wtedy stanowiłaś zagrożenie - mówi. - Teraz wszelkie infor-macje na temat naszych operacji, jakie masz, są przestarzałe. Po-lityka się zmieniła.

- Skąd mam wiedzieć, że zaraz znów się nie zmieni?

- Mam pełnomocnictwo do udzielenia gwarancji. Sara śmieje się, wyrażając mu pogardę. Zauważa, że poczuł iry-tację, nie przywykł, żeby ziemniaki uważały go za zabawnego. - Gwarancje poparte czym? Pańskim słowem honoru zabójcy na usługach bandy masowych morderców?

Andre wykrzywia usta, jakby właśnie ugryzł cytrynę.

- Nie spotkaliśmy się tu, żeby rozmawiać o polityce. - Właśnie, raczej, żeby omówić panujący w pańskiej kompanii zwyczaj mordowania ludzi, kiedy przestają być dla was użyteczni. Andre porusza trzymaną na kolanach aktówką.

- Jakiego zabezpieczenia żadasz?

- Biletów na górę studni dla mnie i mojego brata. Do bloku, który sama wybiorę. Może pan być pewien, że nie będzie to wasz. - To kosztowne.

- Nie dla was. Dajcie mi udziały. Kupię za nie to, co chcę. Andre pochyla się do przodu. Sara widzi, jak jego zimne chro-mowe źrenice rozszerzają się, kiedy tak wpatruje się w nią jak snajper.

- Chcemy Hetmana - mówi.

- Dostaniecie go. Jeśli ja dostanę swoje gwarancje. - Zrozum - wyjaśnia Andre - nie jesteś dla nas aż tak warto-ściowa. Hetman i tak przegrywa, w najlepszym razie zostało mu kilka miesięcy. My tylko chcemy wszystko szybko zakończyć, po prostu tak jest wygodniej.

- Jeśli nie jestem tak wartościowa, to dlaczego pan ze mną roz-mawia? - Dziewczyna pochyla się ku rozmówcy, przez co nadaje kpiącemu tonowi swojego głosu pozór bliskości. - A może pana właściciele nie dali panu pełnomocnictw do zawierania porozu-mień?

Andre sięga do kieszeni po papierosa. W czasie potrzebnym do jego zapalenia po autostradzie za szpitalem przelatuje z wizgiem poduszkowiec, pomimo obowiązującego ograniczenia prędkości robiący dwieście na godzinę.

- Nie jestem pewien, czy Michael Hetman jest wart tyle, ile żądasz.

- Przed wygłaszaniem takich opinii radziłabym panu pogadać ze swoimi władcami.

Sara odchyła się do tyłu, uśmiecha się do niego bezczelnie. - Rozumiem - dodaje. - Dam wam Hetmana, ale nie zamie-rzam ułatwić wam sprawy, dając się złapać w krzyżowy ogień, kiedy wszystko się zacznie. Będę wtedy po przeciwnej stronie miasta w towarzystwie własnych ochroniarzy. Powiadomię was, gdzie Hetman się zatrzymał albo kiedy będzie przeno-sił się z jed-nej kryjówki do drugiej. Wtedy możecie odpalić swoją rakietę. Andre wpatruje się w nią nieruchomo.

- Teraz nie mogę dać gwarancji spełnienia któregoś z twoich żądań.

- Proszę zawiadomić mnie, kiedy będzie pan mógł. Wie pan, jak mnie znaleźć.

Sara wstaje i rusza w stronę korytarza prowadzącego do poko-ju Dauda. Kroczy powoli, starając się jak najbardziej spowolnić swoje odejście. Przez całą drogę czuje wbity w siebie wzrok An-dre, zupełnie jakby patrzył przez celownik.

„MAJĄC ZAIMPLANTOWANY KRYSZTAŁ, JESTEM W STANIE SKRUSZYĆ CEGŁĘ!”.

MÓWI STRAŻNIK WIDEO, KNUT CARLSON,

ZADOWOLONY ZE SWOJEGO NOWEGO OKABLOWANIA KARATE. Tak na wszelki wypadek przed wyjściem z samochodu i wizytą u Dauda Sara korzysta ze swojego inhalatora. Czując, jak nerwy iskrzą jej od żarowiny, wchodzi do budynku i widzi Andre, siedzą-cego w holu. Wie, że go złapała. Obnaża zęby w drapieżnym uśmiechu.

- Czy to był prom, panie Andre? - pyta. - Czy on przeważył szalę?

Tego ranka pancierka przedarła się przez ogrodzenie w Van-denberga i pociskami kalibru trzydzieści milimetrów rozwalila prom Tempel. Dalsze szczegóły pozostawały nieznane. Pancierka najprawdopodobniej zwiłała.

- Nie mam nic wspólnego z operacjami na Zachodnim Wybrze-żu - oświadcza Andre.

- Szczęściarz z pana.

Sara siada na fotelu, przerzucając lewą nogę przez podłokietnik.

- Wciąż pan uważa, że tu będzie choć odrobinę łatwiej? Andre wpatruje się w nią kamiennym wzrokiem. Z oddali roz-lega się wycie turbiny, dobiegające z autostrady za szpitalem. -

Upoważniono mnie do udzielenia ci gwarancji. Żarówina krąży jej w żyłach jak pieszczota płonącego jedwa-biu. Ponad studnię, myśli Sara, oboje z Daudem otoczeni przez czystą, welwetową czerń.

- Proszę podziękować w moim imieniu Cunninghamowi - mówi.

Chromowe źrenice Andre się rozszerzają.

- Chcemy czegoś jeszcze oprócz Michaela.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

- Proszę mi powiedzieć. A wtedy zdecyduję, czy będzie to kosz-towało ekstra.

- Nie. To transakcja dwa-za-jedno, Saro. To powinno być dla ciebie łatwe.

- Jak mówiłam, chcę usłyszeć, o co chodzi.

- Michael wciąż przerzuca swoje pieniądze. Nie jesteśmy w stanie prześledzić wszystkiego, ale wzorzec jest dziwny. Ludzie od komunikacji przybyli ze Złotego Wybrzeża. Chcemy, żebyś powiedziała nam, co on planuje.

Sara czuje chłód na podniebieniu. Zmusza się do pełnego wyż-szości uśmiechu.

- To będzie kosztowało ekstra.

- Wiesz, co to jest?

Jego reakcja jest natychmiastowa, więc dziewczyna zdaje so-bie sprawę, że Tempel bardzo potrzebuje tej informacji. Potrząsa głową.

- Może zdołam się tego dowiedzieć.

- Nie wiesz, Saro? W organizacji Michaela zajmujesz wystar-czająco wysoką pozycję, żeby otrzymać ochroniarza, a nie znasz jego planów?

- Mam ochronę, bo jestem łącznikiem z Dodgerem na Zacho-dzie, a nie dlatego że Hetman zwierza mi się ze swoich zamiarów. Ale może się dowiem.

- Nie jestem pewien, czy „może” jest do zaakceptowania. - Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem, czego chcecie - od-powiada Sara. Stuka się palcem w kolano. - Hetmana? Jego pla-nów? Czy też jednego i drugiego? A jeśli zdołam załatwić tylko jedno?

- W każdym wypadku zapłata jest taka sama.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

- Okay. Z tego wynika, że nie mam powodów narażać się po-nad konieczne minimum, prawda?

Sara odchodzi, pozwalając Andre przetrwać sprawę przez na-stępne dwadzieścia cztery godziny.

Nazajutrz, kiedy Sara wchodzi z nosem zdrętwiąłym od żarowi-ny, przedstawiciel Orbitalców ma na swojej niewielkiej aktówce dokumenty przygotowane do podpisu.

- Akcje na Dauda - mówi. - Wystarczająco dużo, by mógł udać się, dokąd zechce.

Sara kuca i ogląda staromodne papierowe certyfikaty. Przeli-cza je w myśli i uśmiecha się zimno - ma w dłoni to, czego chciała przez cały czas, chłodny, suchy papier wart więcej niż pieniądze. -

Dobrze - mówi. - Kiedy zobaczę swoje?

- Dostaniesz tyle samo akcji za Hetmana, w chwili kiedy za-dzwonisz i powiesz, gdzie będziemy mogli go dopaść. O pięćdzie-siąt procent więcej, jeśli dostarczysz nam jego plany operacyjne. - Nie słuchał mnie pan, Andre - protestuje Sara. - Pytałam kiedy, nie ile.

- Przetransferujemy akcje do twojego portfela w chwili otrzy-mania od ciebie telefonu.

- Najpierw akcje, żebyśmy mogła potwierdzić transfer przez telefon. Potem informacja.

Chwila wahania Andre, niewiele dłuższa niż mgnienie oka.

- Dobrze - zgadza się.

Sara składa akcje, chowa je do kieszeni i uśmiecha się. - Dziękuję - mówi. - Miło się z panem robi interesy, oczywiście dopóki pamięta pan, że jeśli chcecie, bym wam ufała, proszę lepiej dopilnować, żebyśmy pozostała na wolności i za każdą robotę dostawała zapłatę z góry.

Andre wpatruje się w nią ponuro. Jej uśmiech robi się lodowaty. - Do zobaczenia w niebie - mówi dziewczyna i wchodzi do pokoju Dauda.

Jej brat pali papierosa i ogląda wid. Zobaczywszy ją, sięga po pilota i wyłącza monitor.

- Co się dzieje? - pyta. - Gdzie Nick?

- Nick? Nie wiem. - Sara wyciąga spod kurtki paczkę papierosów, rzuca je na stolik Dauda. - Czy panna Deboyce już dziś była? Chłopak potrząsa głową.

- Ma wpaść po południu.

Sara opiera się o stół.

- Jeśli się nie pojawi - mówi - chcę o tym wiedzieć.

Daud podnosi na nią zaskoczony wzrok.

- Czemu miałyby się nie pojawić?

- Rozmawiałam ze znajomym Nicka. Chce czegoś ode mnie.

Zamierzam tylko upewnić się, że dotrzymuje warunków umowy.

- Tak? A czegoż to chce?

- Czegoś, co mogę dla niego znaleźć.

Błede oczy brata omiatają niespokojnie pomieszczenie. Przeciąga powoli dłonią po szczęce.

- Przyjaciel Nicka płaci za moją projektantkę ciąż? Ale... - Unosi do góry wypalonego do połowy papierosa. - Sądziłem, że Nick... płacił...

Głos mu zamiera, na twarzy odbija się narastające zrozumienie.

- Żaden z nich nie ma pieniędzy, Daud - wyjaśnia Sara. - To ich pracodawca opłaca Deboyce i jeszcze parę rzeczy. Brat wpatruje się w nią przez dłuższą chwilę, powieki mu drżą.

Dziewczyna wyjmuje z kieszeni certyfikaty akcji. - Mam dla ciebie bilet - oznajmia. - Twoją ucieczkę od tego życia.

Powiedz mu teraz, kiedy jest wystarczająco zdesperowany, by się zgodzić.

Uraza wręcz paruje z Dauda.

- Co zrobiłaś, żeby to zarobić, Saro? - pyta ostro. - Co sprzedałaś? Siebie? Kogoś innego?

- To moja robota, nie twoja.

- Twoja pieprzona robota wciąż niszczy mi życie! - krzyczy brat. - Ty ciągle... - Zachłystuje się wściekłością, łzy spływają mu z jednego naturalnego oka.

- Nie mogę nawet poznać jakiegoś faceta - skarży się - żeby zaraz nie okazało się, że naprawdę chodzi mu o ciebie. - Ostrzegałam cię. Mówiłam, że Nick może okazać się nieprawdziwy.

- Mam gdzieś, czy jest prawdziwy. Chcę tylko, żeby był tutaj! Sara robi krok do przodu, wyciąga do niego rękę. Brat się nie opiera. Dziewczyna upuszcza mu certyfikaty na kolana, przytula go do siebie, zapłakanego, przyciska jego głowę do swojego brzucha. Próbuje skupić się na biletach, na wizji

czystych konstrukcji ze stopu, płynących przez kosmos, dysponujących nieograniczoną przestrzenią, zasobami. Na życiu, jakie można tam prowadzić, wolnym od ziemskiej gleby, brukającej grawitacji. Tak daleko jest do tych satelitów, że widoczne są jedynie jako jasne gwiazdy na tle konstelacji niebieskich.

Jednak w jej myśli wdziera się inna gwiazda, jaskrawy, błękitny płomień na tle nieba, napędzający igłę ciemności, wbrew władzy Orbitalców. Kowboj, jego plastikowe oczy odbijające brylantowy blask gwiazd z wizji Sary, pędzący w swej delcie, wysoko, w zimnym, bezchmurnym powietrzu, ze świadomością sięgającą wprost z kryształu w jego głowie do długich, polimerowych kości wielkiego kadłuba samolotu, do hydraulicznych mięśni, światło-wodowych nerwów... Sara spogląda w dół na certyfikaty akcji leżące na kolanach Dauda i zastanawia się nad swoimi długami. Michael by zrozumiał, myśli. Zna jej życie, wie, czego pragnęła przez długie lata, zdaje sobie sprawę, że spełnienie ich przekracza jego możliwości. Rozumie, że nie jest mu nic winna, że otrzymała zapłatę za każdą wykonaną dla niego pracę, że nie może odmówić najgłębszemu pragnieniu serca.

Z Kowbojem jest inaczej. Jest uwikłany we własną sieć lojalności, ideały, na które ona nie może sobie pozwolić. Jego plan obalenia Couceiro ma małe szanse. Zbyt zależy od niestałych żądź Roona, któremu nie można zaufać bardziej niż innym. Lepiej robić interesy z płacącymi żywą gotówką. Jeśli Kowboj jest na tyle głupi, żeby pchać się w taką śmierdzącą sprawę, kiedy wszystko się rozpada, to jego problem.

Żadnych sentymentów, myśli. Kowboj sam to powiedział. Jesteśmy przyjaciółmi, kiedy możemy sobie na to pozwolić. Spogląda w dół na Dauda, głaszcze go po włosach spiralnymi ruchami. Po autostradzie za szpitalem z wyciem przelatuje poduszkiwiec.

- Zdobyłam dla nas bilety - mówi Sara. - Straciłam je, ale odzyskałam.

Mamy To, Czego Ludzie Poszukują...

Mamy To, o Czym Ludzie Rozmawiają...

Mamy Wygląd, Którego Ludzie Żądają...

Nazwaliśmy Go

ZIMNYM KAMIENIEM

- Saro. - To zanikający głos Reno. - Chcę pomóc. Chcę wziąć udział w wojnie.

Dziewczyna znów siedzi w samochodzie poruszającym się po zniszczonych ulicach Florydy. Przez dźwiękochłonną szybę widzi we wstecznym lusterku błysk oczu ochroniarza rozglądającego się za „ogonami”.

- W jaki sposób? - pyta. - Co możesz zrobić? Jesteś tak wrażliwy na ciosy.

- Żyjąc tutaj, nauczyłem się paru rzeczy na temat włamań do systemów komputerowych. Mogę spróbować dobrać się do ich przekazów albo danych. Dowiedzieć się, co knują. - Reno, ich komputery są zbyt dobrze zabezpieczone. Są inne niż rządowe maszyny, w których żyjesz. Orbitalców stać na najlepszą ochronę. Gdybyś był programistą, nie powstrzymałabym cię. W takiej sytuacji mogą co najwyżej cię namierzyć, lecz zawsze zdążysz się zmyć. Ale ty tam żyjesz. Mogą cię naprawdę zniszczyć.

- Saro, wciąż się uczę. Mam w pamięci każdy dostępny okruszek informacji o Tempel. Wszystko zaczyna się układać w sensowne wzorce. Wiem, że są słabi. Potrzebuję tylko dostępu. - Dostęp. - Sara się śmieje. - Zdobyćcie dostępu zawsze było głównym problemem, Reno.

- Mogę pozostać tu uwięziony na zawsze. Jeśli wy przegracie, nie będzie żadnej drogi ucieczki.

Desperacja w głosie Reno dotyka czegoś w duszy Sary, ucinając jej śmiech. Dziewczyna czuje chłód skóry wywołany nadmuchem z klimatyzacji.

- Wpuść mnie do ich systemu. Jeśli nie możesz się sama włamać, zapłać komuś w Orlando - pracuje tu dość glebiarzy, niektórzy na pewno mają dostęp.

- Próbowaliśmy tego cały czas, Reno. Tak, prawda, możemy cię wpuścić w ich zewnętrzny kryształ, ale tylko kilkudziesięciu ludzi ma dostęp do głównego komputera Tempel, na każdego przypada po dziesięciu okablowanych strażników, a w dodatku niemal nigdy nie opuszczają budynku.

- To mi niepotrzebne. Kiedy przepłacisz kogoś, to jeszcze nie oznacza, że będzie wiedział, czego szukać. Zbyt wiele danych do przetworzenia dla jednej osoby. Posłuchaj, Saro. - Głos Reno dobiega mocniej z odbiornika, niesie w sobie chłód niczym bańki gazu w płynnym tlenie. - Na Florydzie Orbitalcy są nieźle przemieszani, tutaj nie obowiązują linie demarkacyjne. Tempel prowadzi tu mnóstwo interesów, a część z nich jest tajna. Ukrywają je nie tyle przed nami, ile przed konkurencją. Jeśli dostanę się do ich systemu, będę mógł zacząć kojarzyć dane. Kwitek za wynajem samochodu, przyłot wahadłowca, odnotowana w spisie rozmowa telefoniczna z Pittsburghiem, bilety dla mocno strzeżonych ważniaków opuszczających się na dno studni - to wszystko razem oznacza ładunek wysyłany na północ, Saro. Człowiek by tego nie zauważył, nie miałby dość czasu na przekopanie się przez takie zwały danych. Ale ja mogę. Mogę wygrzebać dla Hetmana informacje, gdzie oni składują towary, jak je rozdzielają pomiędzy swoich trzeciaków, może nawet którędy biegają używane przez nich szlaki.

Sara przypomina sobie białomózgiego byłego pilota dryfującego tam i z powrotem przez interfejs, gadającego rozmarzonym głosem o węzłach, systemach, sposobach, w jakie Orbitalcy się dopasowują. Jeśli to nie zadziała, myśli, Reno wcale nie znajdzie się w gorszej sytuacji niż w tej chwili. Jeśli się uda, na pewno zdoła wywrzeć nacisk na Tempel.

Sarze podoba się wizja ludzi Tempel mających nóż na gardle.

Dzięki temu będzie dla nich więcej warta.

- Okay, Reno - godzi się. - Pogadam o tym z Hetmanem.

NADZIEJA TO NASZA BRANŻA

Sara jest zaskoczona, widząc Mslopego siedzącego cicho przy Daudzie i dzielącego się z nim papierosem. W tle mruczy laser i blizny na plecach chłopaka zmieniają się w popiół i dym. - Nie mogłem trzymać się z dala - mówi Mslope, dotykając karku Dauda. - Powiedzieli, że powinienem. Przekonałem ich do zmiany zdania.

Jest coś takiego w Daudzie, co powstrzymuje odpowiedź Sary. Wiedzą, jak użyteczne jest dawanie mu nadziei, myśli. Lecz teraz, kiedy już ją ma, nie może mu jej odebrać.

- Dobrze - mówi. Wyciąga rękę, dotyka policzka brata. - Wiem, że za panem tęsknił.

Z NASZEJ BEZGRAWITACYJNEJ PLATFORMY OBEJMUJEMY CAŁĄ ZIEMIĘ OBIEMA DŁOŃMI. NASZE UMYSŁY SĄ PEŁNE NADZIEI I SMUTKU.

- Mitsubishi I. G.

Faceci z Maximum Law węższą w słonym powietrzu jak psy goń-cze, czujne na zapach przemocy. Sara wyczuwa jedynie woń poin-cjany ukrywającą bungalow Hetmana przed oceanem oraz wiszącym w powietrzu napięciem. Dzisiaj jeden z bagniaków zatrud-nionych w Tempel ma dać Reno dojście do kryształu Orbitalców. Tylko Sara jest z Michaelem, który nie ufa nikomu. Pochyla się nad domowym terminalem, odpalając jednego rosyjskiego papie-rosa od drugiego i wstrzeliwuje sobie torpedy snapkoki w mózg. Sa-ra stoi za nim, wyglądając przez przesuwane szklane drzwi w na-dziei, że przez zasłonę poincjany wypatrzy choć skrawek błękitu. - Ruch w łączach jest bardzo duży - informuje Reno. Jego głu-chy głos, chwilami ginący w szumach tła, dobiega z terminalu Mi-chaela. - Ich kryształy mają solidne zabezpieczenia nawet na naj-niższych poziomach. Próbowałem wjechać razem z przychodzącymi danymi, ale zawsze mnie wyblokują.

- Jest szósta - mówi Michael. Oczy błyszczą mu jak stare szkło.

- Powinien już dzwonić.

Zaciąga się papierosem. Sara obserwuje ostro odcinające się od tła, barokowe cienie rzucane przez tarasowe meble z kutego żelaza.

- Daj mu czas - mówi. - Musi być sam, żeby zadzwonić. Odwraca się, widzi profil Hetmana, który odwraca się w stronę popielniczki. Otoczone zmarszczkami oczy, drżące ręce. Martwy, myśli. Przenika ją chłód żalu. Odwraca się, przygląda się falom gorącego powietrza unoszącym się nad patio. Nie mogę sobie pozwolić na rezygnację, myśli. Michael by to zrozumiał.

- Dostałem wiadomość - mówi Reno. - Wchodzę.

TO, CO ROBIMY, MA SWOJĄ NAZWĘ

MÓWIMY O TYM DUMA CYBORGA

- Moi ludzie zaczynają się niecierpliwić - mówi Andre. Jego głos dociera do Sary przez kłęby żarowiny. Dziewczyna za-częła dostrzegać w nim różne szczegóły: małą bliznę koło ucha, znikającą pod włosami, złamaną kiedyś, prawdopodobnie w wal-ce, kostkę dłoni. Że wszystkie jego koszule mają wszyte w kiesze-nie plastikowe ochraniacze. Że zawsze ma przy sobie dokładnie trzy długopisy.

- Robię, co mogę. Michaela nie jest łatwo złapać.

Andre ma kamienny wyraz twarzy, nieustępliwy.

- Nasza oferta ma limit czasowy. Jest coraz bliżej. - Jeśli podejrzewacie zdrajcę, macie rację - oświadcza Sara i obserwuje, jak Andre próbuje opanować szok.

Wie dobrze, dlaczego nagle zaczęli tracić cierpliwość. W czasie pierwszych kilku godzin spędzonych w komputerze Tempel Reno wyszukał dwie dostawy i wydedukował lokalizację głównego magazynu narkotyków. Ludzie Michaela gładko je przejęli, bez strat. Oczy Andre wpatrują się w nią nieruchomo, dwa stalowe pier-ścienie.

- Muszę wiedzieć kto.

- Ktoś głęboko w strukturze - odpowiada dziewczyna. - Ktoś mający szeroki dostęp. Michael kupił jego czy ją, nie wiem jak. To polowanie powinno zająć ich na długie tygodnie.

- Skąd to wiesz?

- Wczoraj w nocy widziałam się z Michaelem. Był na haju, bar-dzo z siebie zadowolony. Wymknęło mu się.

Andre patrzy na nią dłuższą chwilę.

- Możesz powtórzyć, co powiedział?

Sara potrząsa przecząco głową.

- Sama byłam na haju, Andre. Nie pamiętam dokładnie słów.

- Pomyśl. Powtórz mi, co pamiętasz.

Sara patrzy na podłogę, udaje skupienie. Nerwy drgają jej od żarowiny.

- Tak - mówi. - Dobrze. Powiedział: „Wysłałem naszych przy-jaciół. Trzy trafienia. Przeciągnąłem na swoją stronę jednego z szefów i znam każdy ich ruch”.

- Pewna jesteś, że to wszystko?

Dziewczyna spogląda zimno w źrenice z kwasoodpornej stali. - To wszystko. Potem zdał sobie sprawę, że mówi coś, czego nie powinien i zmienił temat.

- Żadnych nazwisk?

- Żadnych nazwisk.

- Gdzie to było?

Sara podaje umiejscowienie domku na plaży. Usta jej rozmów-cy zaciskają się.

- Mnie to wygląda na opóźnianie akcji. Dlaczego nie powie-działas nam, że Michael tam będzie?

- Sama nie wiedziałam. Kierowca po prostu otrzymał polece-nie zabrania mnie z hotelu.

- Jeśli kłamiesz... - Andre nie kończy myśli, za to sięga do kie-szeni i wyciąga rekorder. - Jeśli sądzisz, że masz któredy się wyco-fać, właśnie zawiadamiam cię, że nie ma takiej drogi. Nagrałem wszystkie nasze rozmowy. Możemy przesłać je do Michaela. Po wspomaganych nerwach Sary przebiega płomień wściekło-ści na własną głupotę. Patrzy na Andre oczami wypełnionymi gniewem.

Ci ludzie oczekują od nas zaufania, nawet mimo że nas zdradzają, mimo że wiemy o nadchodzącym przeniwierstwie. Dlatego że nie ma-my wyboru, musimy im ufać. Dlatego że są naszą jedyną nadzieją. - Nie wycofuję się - warczy. - Ale musicie zostawić mi trochę miejsca.

Andre chowa rekorder do kieszeni. Teraz, kiedy już pokazał pazury, mówi łagodniejszym głosem.

- Dostaniesz dość przestrzeni - obiecuje. -Wkrótce jednak ścia-ny zaczną się zbliżać do siebie. To nie groźba, tylko informacja. - Słucham - odpowiada Sara.

Czuje narastającą desperację. Być może aż do tej chwili nie cał-kiem wierzyła w ubity interes, w jego prawdziwe znaczenie. Myśli o Kowboju kręcącym pętle na nocnym niebie, o Hetmanie ukrytym w poincjanie, o Reno, wzorcu migotliwych elektronów krążących desperacko w świecie kabli i kryształów. Cenie jej biletu. Przykro mi. Ale nie zostawili mi żadnej drogi ucieczki.

I nienawidzi samej siebie. Bo to nieprawda.

ZAWSZE, WSZĘDZIE,

WIESZ, ŻE JESTEŚMY Z TOBĄ

Głos zmusza ją do myślenia o bylicy, o rozległych preriach, rdzawych wschodnich stokach gór patrzących w niebo. - Tu jest zimno, Saro. Lato się kończy.

Dziewczyna próbuje pomyśleć o Daudzie, o mruczącym laserze i kto za niego płaci, o bilecie brata i swoim własnym. Dziś po południu projektantka skończyła swoją pracę. Jego ciało jest wyleczone, tylko trochę osłabione.

- Wkrótce osiki zaczną żółknąć. Mam nadzieję, że będziesz mogła to zobaczyć.

- Brzmi świetnie - odpowiada. Sięga do portfela po inhalator, chce żarowiny, z całej siły pragnie haju.

- Reno skontaktował się ze mną. Mówił ci, że się przyda. Sara odpala torpedy, odrzuca głowę w tył. Jej wspomaganie trzeszczy pod zwiększonym stężeniem neuroprzekazników. Reno złamał dostęp do całej sieci dystrybucyjnej Tempel na Wschodnim Wybrzeżu, od Hawany do Halifaksu. Połowa pracujących dla tej firmy ludzi została zlikwidowana w ciągu dwóch dni, reszta związała i nieprędko wróci do interesów. Ludzie Michaela obrabowali tak wiele magazynów, że mają teraz kłopot ze znalezieniem miejsca do przechowywania zdobyczy. Na każdym rogu ulicy wiadomości nerwowo podawały statystyki, a oficjele uchylali się i odmawiali komentarzy.

- Wpadają w desperację - mówi Sara. Drżą jej dłonie, aby je uspokoić, chwytają krawędź stołu.

Przyjaciele, myśli. Kiedy możemy sobie na to pozwolić. Będzie musiała dać im Hetmana już niedługo. Zdradzić też, jaki udział w planach Michaela ma Roon, co będzie jedyną przyjemnością w całym tym ponurym interesie.

- Michael twierdzi, że Reno dał mu następne cztery miesiące - mówi. - Reno jest teraz w jego tanku. Hetman za to zapłacił. Słyszalesz o tym?

- Tak, stamtąd do mnie dzwonił.

Tank Reno to krystaliczna matryca w Hawanie, gotowa do przeprowadzenia wpisu do sklonowanego mózgu, kiedy tylko uda się znaleźć odpowiednie DNA, które pozwoli na przybliżone odtworzenie jego niegdysiejszego wyglądu i wyhodowanie ciała. Żyjąc w komputerach, Tempel zaczynał dostawać kręćka, wiedząc, że prędzej czy później zaczną poszukiwać programu-intruza. Przynajmniej i ciało, i operacja Reno są opłacone z góry. Nie zostanie pociągnięty na dno za upadającym Michaeliem. - Nasz znajomy z Ameryki Południowej jest prawie gotów - oznajmia Kowboj. - Zna datę.

Sara czuje lód w żyłach. Ostateczny termin nadchodzi.

- Kiedy?

- Za pięć dni. Zamierzamy ściągnąć cię tu szybkim pociągiem za trzy dni.

- Muszę przygotować Dauda - mówi Sara. - I zaaranżować spotkanie z Hetmanem.

Właśnie wtedy wszystko się wydarzy, myśli. Równocześnie daje im Roona. A potem, rozważa jakąś część jej umysłu, skontaktuj się bezpieczną linią z Kowbojem, powiadom go, że właśnie przegrał, że wszystkie jego plany i nadzieje zmieniają się w dym na zboczu góry zwanej Rzeczywistością, że czas powiedzieć sobie do widzenia.

- Pozdrów go ode mnie - prosi Kowboj.

Sara przypomina sobie, jak wyglądał kilka miesięcy temu, kiedy siedział w opancerzonej kabine

pancerki pod Pittsburghiem - strach, zdumienie i gniew w jego oczach... Czy będzie wyglądał tak samo, kiedy dotrą do niego wieści?

Kiedy możemy sobie na to pozwolić. Motto operacyjne. Po rozmowie dochodzi do wniosku, że czas na wizytę w barze hotelowym. Jej ochroniarzowi się to nie podoba, ale nie protestuje. Dziewczyna zjeżdża windą i zanurza się w otoczenie pełne łośmotu muzyki, krzykliwych rozmów, ciemnego rumu podawanego bez dodatków, świetlika z restauracyjnego inhalatora, wygładzającego rozedrganie wywołane żarowiną. Przygląda się samotnym facetom, zastanawiając się nad wpuszczeniem któregoś do swoje-go pokoju, nad kulminacją haju w orgazmie, w niezbędnym zapomnieniu. Jednak kiedy jeden z nich podchodzi, odpędza go. Ma mnóstwo czasu.

Spostrzega tłumek zgromadzony wokół jednej z gier na drugim końcu baru. Zabiera drinka i podchodzi tam, słysząc pomruk laserowego ognia, syk raket. Tę grę nazywają Delta. Do siedzenia przypięty jest czarnoskóry mężczyzna, głowę ma zasłoniętą czujnikowym hełmem podającym mu informacje, pozwalającym czuć wstrząs podczas odpalania raket, przeciążenia. Szeroki ekran umieszczony nad maszyną pokazuje widzom obraz jego gry. Rządowe lekkie myśliwce spadają na niego z nieba. Słońce błyska na statecznikach wirujących raket. Ekran radarowy wypełniają sygnały ostrzegawcze. Przeciwnicy robią uniki, podska-kują i eksplodują, rozsiewając płonące szczątki, które pozostawia-ją na niebie długie palce dymu.

Sara traci zainteresowanie i postanawia wrócić po kolejną por-cję świetlika. Odwraca się, by odejść, i napotyka spojrzenie meta-lowych oczu mężczyzny w wózku inwalidzkim. Przypomina sobie. - Czy to Maurice gra?

Mężczyzna kiwa potakująco głową. Wpija się wzrokiem w ekran nad głową.

- Tak. To najlepsza możliwa namiastka.

- Pozdrów go ode mnie.

Kokpit na wideo wybucha płomieniem, trafiony nieprzyjaciel-ską rakieta. W żyłach dziewczyny smutek walczy ze świetlikiem. Sara zastanawia się, czy Kowboj też tak skończy, w nieskończo-ność odgrywając walkę, którą stoczył i przegrał. Maurice próbuje się katapultować, nie udaje mu się jednak, koziółkując, spada ku ziemi jak ranna ważka. Sara odwraca się i odchodzi razem z pomrukującym tłumkiem, zanim pilot zdjął hełm czujnikowy.

ŻYJESZ W MIEŚCIE BÓLU?

POZWÓL NAM SIĘ WYSŁAĆ DO HAPPYVILLE!

- Pointsman Pharmaceuticals A. G.

Andre ubrany jest w świetnie skrojony, tropikalny mundur po-lowy, kompletny, razem z czapką. W cieniu daszka połyskują stalo-we źrenice. Nieśmiertelne długopisy przypiął do kieszeni na pier-siach taśmą rzepową w maskujących barwach.

- Uważamy - mówi - że nie byłaś całkowicie szczerą.

Sara opiera dłonie na biodrach.

- Que? - pyta miękko.

- Uważamy, że wiesz więcej, niż nam przekazujesz. Mówi łagodnie, powoli. Zupełnie jakby podejmował jakąś de-cyzję. Robi krok w jej stronę.

Sara nagle czuje suchość w ustach. Przeciąga językiem po pod-niebieniu, odbiera to, jakby przesuwając papierem ściernym po kamieniu. Rozgląda się na boki, widzi tylko pacjentów w szlafro-kach i piżamach.

- A co, według was, wiem?

- Nie jesteśmy pewni. Niewątpliwie więcej, niż mówisz - odpowiada Andre z szeroko otwartymi, niemrugającymi oczami. Po-woli łagodnie kontynuuje: - Zamierzamy zgarnąć cię na parę go-dzin. Dostaniesz narkotyki, pogadasz trochę. Nie stanie ci się krzywda.

Sara próbuje się uspokoić, obniżyć poziom adrenaliny, pulsują-cej w niej pod wpływem żarowiny. Zimny, wewnętrzny głos, o bez-dusznej modulacji, podobny do głosu Reno, mówi jej, że Andre ma więcej skalaków, że jest lepiej wspomagany. Jeśli spróbuje ucieczki, przegra.

- Mam ochroniarza, Andre. Hetman się dowie.

- Przygotowaliśmy dla niego bajeczkę. Próbowaliśmy cię zła-pać. Zwiataś.

Dziewczyna powoli potrząsa głową.

- Nie uwierz w to.

Andre robi kolejny krok w jej kierunku, jest o parę centyme-trów. Skóra jej cierpnie. Czuje na twarzy jego pachnący miętą od-dech.

- Obejrzyj się. Popatrz przez okno. Uwierz w dowody.

Kiedy się odwraca, czuje, jak włosy na karku stają jej dęba. Andre, stojąc w tym miejscu, ma ją w zasięgu ciosu, tylko in-stynkt może ją uprzedzić, kiedy i gdzie uderzy.

Przez frontowe okno Sara widzi stojący przy krawężniku stalo-wobłękity samochód jej eskorty z Maximum Law. Pomimo lu-strzanych szyb może dostrzec kierowcę, niewyraźną sylwetkę za srebrzystym szkłem.

Ulicą nadjeżdża dziewczyna na rowerze. Mocno opalona, mło-da, włosy ma zebrane w koński ogon przewiązany żółtą wstążką. Na wpół leży w kubełkowym siedzeniu roweru ze stopu, z nogami wyciągniętymi w przód, nisko nad ziemią. Dzięki aerodynamicz-nej osłonie jedzie szybko. Na podołku ma pleciony koszyk ozdo-biony na krawędzi sztucznymi stokrotkami. Ubrana jest w białą bluzkę w czerwone wzory. Jadąc, śmieje się do siebie. Jej białe zę-by mocno kontrastują z brązową twarzą.

Mija samochód od strony jezdni, Sara wyczuwa jakiś ruch, mi-mo że dziewczyna zniknęła jej z oczu. Rower znów się pojawia i w tym momencie rozlega się cichy huk, z trudem słyszalny przez podwójne szyby i izolacyjne ściany szpitala. Okno po stronie kie-rowcy wylatuje na zewnątrz, pędzące odłamki szkła tworzą migo-czący w słońcu stożek...

- Klejowa bomba z półsekundowym opóźnieniem - wyjaśnia Andre, spokojnym, konwersacyjnym tonem. - Wbiła ładunek ku-mulacyjny przez szybę samochodu. Nie sądzę, żeby twój kierowca zdążył się uchylić.

Sara nagle zdaje sobie sprawę, że wstrzymała oddech. Wypusz-cza powietrze z płuc, bierze głęboki wdech. Stężenie neuroprze-kaźników, generowanych przez jej kryształ, rośnie. Jej żyły wręcz dymią od adrenaliny. Cyberwąż w jej gardle czeka nieruchomo, bezużytecznie.

Dostaną wszystko, myśli. Wie, że nie zapłacą jej, ale może po-zwolą żyć. I Daud ma swój bilet. To już coś.

Ostatni odłamek lustrzanej szyby upada na nawierzchnię. Za pojazdem Maximum Law zatrzymuje się drugi samochód. Wysia-dają z niego mężczyźni w letnich garniturach, podchodzą do wybi-tego okna. Stoją przodem do samochodu, widać ich tylko od pasa w górę, wyciągają pistolety. Wyglądają śmiesznie, jakby szykowa-li się do nasikania na wypolerowaną, błękitną karoserię. - Pistolety z tłumikiem - oznajmia Andre. - Jeśli twojemu kie-rowcy jeszcze została głowa, właśnie zaraz ją

straci. Chłodna woń mięty drażni jej nozdrza. Ztyłu za nią, w poczekalni słychać mamrotanie cichych rozmów pacjentów. Zabójcy za-pinają rozporki, ruszają wzdłuż podjazdu. Ich samochód odjeżdża od krawężnika.

Sara widzi lekkie myśliwce rządowe wystrzeliwujące z ekranu. Głowę Kowboja pod czujnikowym hełmem. Jego wzrok, wyraz oczu kogoś, kto stracił swoje marzenia i desperacko szuka no-wych.

W głosie Andre słychać teraz uśmiech zadowolenia. - Wyciśniemy cię do sucha, Saro. Nie masz wyboru. Kupiliśmy cię i będziemy mieli.

Sara powoli opuszcza głowę, bierze głęboki wdech. Cały czas wiedziała, od chwili gdy zobaczyła Andre, że coś takiego się wyda-rzy, że ona na to pozwoli. Że Andre będzie się tym cieszył. Że jego stalowe źrenice rozszerzą się z satysfakcji, kiedy ona przestanie walczyć, a narkotyki opanują jej umysł, kiedy zacznie bełkotliwie opowiadać o każdej myśli wprost do ich czekających, zimnych kryształów.

- Chodź, Saro - mówi Andre. - Czas na przejażdżkę. To ten jego ton wyzwala wszystko. Sara sprzedała samą siebie, z tym potrafi żyć, zaakceptować konsekwencje. Ale sama myśl, że ten mężczyzna, który ją kupił, będzie miał jeszcze z tego uciechę... Coś w głębi jej duszy wrzeszczy z oburzenia. Dziewczyna przypo-mina sobie nieobecny głos, brzytwę, błyskawiczny ruch, czerwone, abstrakcyjne plamy, jak farba. Łasicę przebiega drżenie. Scalaki Sary wydają komendy, biochemiczne szlaki syntezy neuroprze-kaz-ników przyspieszają, zanim jeszcze świadomie podjęła decyzję. Dziewczyna robi krok w tył, w kierunku Andre. Unosi pięść na wysokość piersi, tam gdzie on nie będzie w stanie jej dostrzec. Po-tem przenosi ciężar ciała w tył i błyskawicznie odwraca się, zada-jąc cios zewnętrzną stroną pięści, celując w skroń Andre, wkłada-jąc w to całą energię obrotową górnej części ciała. Oczywiście Andre blokuje to uderzenie. Tylko głupiec sądził-by, że stanie się inaczej - też jest okablowany. Lecz kiedy jego rę-ce poruszają się w górę, dziewczyna zmienia swój ruch z ciosu w zamach, dłońmi i przedramionami zgarnia jego zasłonę w dół. Idzie za tym ruchem, błysk Łasicy celuje w jego gardło... Skądś dobiega suchy odgłos metalicznego pstryknięcia, jak naciąganie kurka...

Ciężar jej ciała jest już przeniesiony w przód, w stronę prawej stopy, lewa noga unosi się w górę, w mierzonym wysoko obroto-wym kopnięciu, którego przeciwnik nie jest w stanie zobaczyć, bo moment jego wyprowadzenia został zasłonięty przez jej pięść i je-go ręce. Kiedy Andre spostrzega ruch ze swojej prawej strony, je-dyne, co może zrobić, to skulić się i potoczyć, absorbując energię ciosu.

Za późno. Kopnięcie niesie z sobą cały ciężar ciała Sary, ener-gię zmagazynowaną w skrócie ramion i bioder i skoncentrowaną na kilku centymetrach kwadratowych czaszki Andre. Goleń dziewczyny uderza w jego skroń z siłą, która posyła wzdłuż jej no-gi fale bólu. Andre pada jak worek piasku, wszystkimi jego ner-wami wstrząsają błędne sygnały. Coś wysuwa się pomiędzy jego warg.

Sara odzyskuje równowagę, lewą nogą robi krok w przód, i czubkiem prawego buta zadaje cios dokładnie między oczy An-dre. Jego głowa leci w tył, odbija się od podłogi, znów podskaku-je. Z ust wysuwa mu się bezużyteczny cyberwąż, lśniący metalowy bicz, uderzający ślepo, szukający czegoś do zabicia. Może Andre nie żyje. Sary to w ogóle nie obchodzi.

Jedno oko leżącego jest zamknięte, drugie otwarte. Dziewczyna zagląda w nie, ignorując miotającego się cyberwęża, spostrzega, że coś jest nie tak. Stalowa źrenica jest szeroko rozwarta, w miejscu soczewki zieje dziura, Sarze przypomina się metaliczne pstryknię-cie. Spogląda w dół na siebie,

widzi stalową igłę wbitą w zbrojoną kurtkę i czuje strach, chwytający ją wraz z falą mdłości. Oczy Andre wyglądały jak celowniki, bo nimi były. Sprężyno-wa wyrzutnia igłowa, na komendę wskakująca na pozycję, strzela-jąca przez luk żrenicy. Sara sięga po igłę, wyciąga ją, czuje szarpnięcie za ciało. Pocisk jest śliski, wysuwa się jej z palców, zostawiając na nich ślad czegoś przypominającego olej. Przebił kurtkę, prześlizgując się tam, gdzie tęponosy pocisk zostałby zatrzymany. Dziewczyna podejrzewa, że mniej niż milimetr wbił się w ciało, ale to może wystarczyć.

Unosi palce do nosa, wącha, czuje delikatny, medyczny zapach. Czyli narkotyk. Igła nie wbiła się cała, więc jest nadzieja, że Sara nie dostała pełnej dawki.

- Kto to jest?

Starszy pacjent w grubych okularach, trzęsący się z oburzenia. Cyberwąż Andre miota się, rozbija o wygłuszający dźwięki dywan. Sara już jest w ruchu, biegnie pomalowanym na pastelowy kolor korytarzem do pokoju Dauda.

Brat ćwiczy, leży na łóżku na plecach, podnosi ciężarki. Mslope przygląda się poruszeniom jego mięśni pod bladą skórą. - Daud - wyrzuca z siebie Sara, wpadając przez drzwi. Mslope podnosi się ze swojego miejsca z oczami rozszerzonymi z niepokoju.

- Wyjść - rozkazuje dziewczyna i widzi w jego oczach rodzący się ból, świadomość, że to już koniec. Nie zwraca na niego uwagi. Podbiega do Dauda, widzi, jak za-niepokojenie odbija się na jego twarzy. Chłopak upuszcza ciężarki z trzaskiem.

- Wszystko poszło źle. Próbowali mnie porwać. - Przyciska swój policzek do brata, szepcze mu wprost do ucha. - Jeśli ucieknę, dzwoń do mnie pod ten sam numer co kiedyś. Randolph Scott, Santa Fe. Nie dzwoń stąd, ten aparat nie jest bezpieczny. - Saro. - Jego oczy przepelnia strach. - Myślałem, że wszystko jest ustalone. Myślałem...

Siostra ujmuje jego głowę w dłonie, całuje go, gwałtownie, może zapamięta ten pocałunek.

- Kocham cię - mówi i znika.

Daud wykrzykuje jej imię, próbuje złapać ją za ubranie. Chce zapomnieć jego głos. Czuje pierwsze, delikatne muśnięcia narkotyku z igły, cokolwiek to było. Coś złego zaczyna dziać się z jej nerwami, jeszcze jest to lekkie jak piórko, muśnięcie kocią łapką, na razie bez wysuniętych pazurów.

Ma w głowie plan szpitala, wie, dokąd iść. Pastelowo zielonym korytarzem, na pastelowo różowym skrzyżowaniu w lewo. Krzyk Dauda dzwoni jej w uszach. Skóra boli ją przy każdym kroku. Dochodzi do stalowych drzwi, bierze ostatni wdech chłodnego powietrza i trzymając się jak najniżej, wypada w piec popołudnia. Z pobliskiej autostrady dobiega jęk turbiny ciężarówki, w wyniku efektu Dopplera gwałtownie zmienia ton. Sarze wiruje w głowie, kiedy niezdarnie podnosi się na nogi i zataczając się, rusza w stronę parkingu dla ciężarówek za szpitalem. Jeśli przedostanie się na drugą stronę szosy, zdoła zgubić się w labiryncie rzędów domów mieszkalnych. Narkotyk właśnie pokazał pazury i teraz każdy krok przypomina przedzieranie się przez żelatynę.

SARO TU CUNNINGHAM... SARO NIE MOŻESZ UCIEC

Nagle powyżej jej pola widzenia pojawiają się bursztynowe znaki. Ktoś nadaje do niej przez radio sprzężone z nerwami optycznymi, kryształ tłumaczy wymawiane słowa na przesuwa-
ją-ce się litery. Sara nie ma nad nim kontroli, nie może go wyłączyć. - Odpierdol się - mamrocze.

CHCEMY JEDYNNIE WSPÓŁPRACY SARO

Dziewczyna prycha, nie wierząc w to.

- Odczep się. Założę się, że nawet nie jesteś Cunninghamem. Obok automatycznej stacji paliw zaczyna wyc turbina ciężarówki, dźwięk narasta. Sara strząsa pot z oczu, przeskakuje niski murek z pustaków, potyka się, niemal pada. W tym momencie coś uderza ją dokładnie pomiędzy łopatkami, przewraca na ziemię. Boleśnie szoruje po betonie piersią, policzkiem. Nie może odzyskać oddechu. Zdaje sobie sprawę, że właśnie została postrzelona. Ktoś z tyłu, koło szpitala, z kryształem strzelca wyborowego i pistoletem.

ZOSTAŃ GDZIE JESTEŚ SARO ZNAJDZIEMY CIĘ CHCEMY

TYLKO POMÓC

- Bzdury - mówi Sara zmęczonym głosem.

Odkrywa, że nie jest w stanie wstać, że może się tylko czołgać. Pod dłońmi czuje nierówności żwiru. Czołga się, pełza, toczy. Ple-cy cierpną jej w oczekiwaniu kolejnego strzału.

Dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, jakie ma szczęście, że nie może wstać. Murek z pustaków zasłania ją przed strzelcami. Jest jednak pewna, że biegną do niej ile sił, że wkrótce nad krawędzią ścianki pojawi się dwóch zabójców w letnich garniturach. Turbiny wyją o centymetr od jej czaszki. Opony miażdżą żwir, coś pojawia się pomiędzy nią a słońcem. Zrobotyzowany ciągnik siodłowy z naczepą, cofający się powoli spod automatycznej pom-py. Sara uświadamia sobie, że zabójcy są po jego drugiej stronie, z trudem opiera się na stopach, opada na jedno kolano, znów chwiejnie się unosi. Kiedy mijają ją wciąż cofająca się szoferka, chwyta poręcz i wchodzi na drabinę prowadzącą do kabiny. Turbina jęczy. Postukuje skrzynia biegów. Ciężarówka szarpie się w przód, niemal zrzucając Sarę. Dziewczyna obejmuje poręcz, przestawia stopę na wyższy szczebel drabinki. Potem drugą. Chwyta klamkę drzwi bezpieczeństwa, szarpie za nią. Rozlega się ostrzegawczy brzęczyk, w jej uszach brzmi bardzo głośno. - Nastąpiło bezprawne wtargnięcie - recytuje głos. - Intruzi podlegają karze po wykryciu.

PODDAJ SIĘ SARO... NIE CHCEMY CIĘ SKRZYWDZIĆ

- Podczas ruchu pojazdu wchodzenie do wnętrza jest niebezpieczne. To jest bezprawne wtargnięcie. Intruzi podlegają karze po wykryciu.

PO PROSTU POŁÓŻ SIĘ TAM GDZIE JESTEŚ ZNAJDZIEMY CIĘ

- Zamknij się.

Ciężarówka z szarpnięciem zmienia bieg. Nawierzchnia prze-suwa się szybciej. Pole widzenia Sary kurczy się, w głowie wiruje jej od narkotyku. Kurczowo trzyma się poręczy, podciąga się. Ból przenika jej ręce, plecy. Dostaje się do kabiny, bierze wdech, się-ga w tył, żeby zatrzasać drzwi. Słyszy głośny stuk elektromagne-sów zamykających je dwoma metalowymi bolcami. Wycie turbiny jest teraz przytłumione.

- To jest bezprawne wtargnięcie. Jesteś uwięziony w kabinie do czasu przybycia ciężarówki do miejsca przeznaczenia, gdzie zo-staniesz przekazany służbom porządkowym. Jeśli jest to prawdzi-wa sytuacja zagrożenia, możesz skontaktować się z policją za po-mocą czerwonego telefonu umieszczonego na tablicy przyrządów. Informacja zostaje powtórzona. Sara poddaje się bólowi. Czu-je ciepły strumyk krwi spływający jej po szyi. Wykasłuje z gardła kłęb flegmy, budząc przy tym ukłucia bólu w plecach, tam gdzie pocisk zatrzymał się na zbrojonej kurtce.

WIDZIELIŚMY JAK WSIADAŁAŚ DO CIĘŻARÓWKI JE-

DZIEMY ZA TOBĄ

Sara niezdarnie sięga po inhalator, odnajduje go, wciąga kolejną dawkę żarowiny. Jej serce dostaje szału, niemal wrywa się z piersi, lecz ból w połączeniu ze stymulatorem zwalczają narkotyki z igły Andre i pomagają nieco oczyścić myśli.

TA CIĘŻARÓWKA JEDZIE TYLKO DO ORLANDO... OR-

LANDO TO NASZE MIASTO SARO

Dziewczyna z wolna zaczyna widzieć ostro. Leży na plecach w poprzek dwóch kubelkowych siedzeń umieszczonych przed ta-blicą przyrządów pełną zielonych światełek. W kabinie obserwa-cyjnej jeżdżą inspektorzy bezpieczeństwa; stąd, w razie awarii kryształu ciągnika, prowadzą ciężarówkę operatorzy. Nie ma wła-ściwie żadnych zewnętrznych urządzeń sterujących, przewidziano obsługę za pomocą fejsu. Sara patrzy na tablicę przyrządów, za-gląda pod siedzenia, nigdzie nie ma zestawu nagłownego. Najwy-raźniej właściciele ciężarówki nie chcą, żeby pasażerowie na gapę znikali gdzieś razem z ich pojazdem. Zresztą i tak nie wiedziałyby, jak sterować ciągnikiem turbinowym.

Siada w jednym z foteli i wygląda przez okna kabiny. Widzi mi-gające słupki na obrzeżach autostrady, lśniące, krótkie i grube ra-diolatarnie kontrolujące zrobotyzowany ruch. Opony wizgoczą po betonie. Wyprzedza ją ostro poduszkowiec, łomoczący śmigłami, gnający po pasie szybkiego ruchu z prędkością trzystu dwudzie-stu kilometrów na godzinę. Dziewczyna ściera krew spływającą po szyi. Wdusza przycisk i wkrótce gorący nadmuch zmienia się w chłodny. Już może myśleć prawie bez przeszkód. Czas wykombi-nować, jak się stąd wydostać. Ociera pot z oczu i przygląda się ta-blicy przyrządów.

Kontrolki świecą na zielono. Kusi ją czerwony telefon. Wyjmu-je go z obejm, słyszy normalny sygnał centrali. Opada na opar-cie, wsłuchując się w jęk słuchawki, zastanawia się, z kim chce porozmawiać.

Z Hetmanem, postanawia. Może przez paru swoich gliniarzy zdoła zorganizować przejęcie jej po drodze. Do tej pory na pewno nie dostał jeszcze żadnych nagrań, później będzie mogła spróbo-wać znaleźć sposób, żeby się z nich wytłumaczyć. Wybiera jedyny numer, jaki zna, okazuje się, że w ciągu ostat-nich dwudziestu czterech godzin został rozłączony, normalna pro-cedura ciągłej zmiany adresu fejsowego, ochrona przed podsłu-chem. Dzwoni do Coast Maximum Law i podskakuje, kiedy telefon wrzeszczy na nią. Ktokolwiek jest właścicielem ciężarów-ki, nie zamierza płacić za transatlantyckie rozmowy.

SARO JESTEŚMY TUŻ ZA TOBĄ WCHODZIMY NA GÓRĘ

Dziewczyna gwałtownie odkłada telefon, gwałtownie spogląda w lusterka wsteczne. Widzi tylko zbliżający się z lewej poduszko-wiec.

- Pieprz się, Cunningham - mruczy i znów sięga po telefon.

ZAMIERZAMY WYSADZIĆ DRZWI SCHOWAJ SIĘ SARO

Sara wybiera numer Reno i ponownie zerka w lusterka wstecz-ne. Czuje adrenalinę w żyłach. Siada wyprostowana, opanowuje chęć trzaśnięcia telefonem w przednią szybę. Po prawej stronie zbliża się długi, czarny samochód, który pędzi poboczem autostra-dy. Rozpoznaje go.

W uchu słyszy bulgotliwe słowa ze słuchawki.

- Tu Reno.

Jej głos brzmi jak krzyk zapędzonego w kąt zwierzęcia. Z tru-dem sama go rozpoznaje.

- Reno, to ja, Sara! Jestem w pułapce! Zabili mojego ochronia-rza, a teraz chcą mnie!

Samochód szybko się zbliża. Droga jest przeznaczona wyłącz-nie dla ruchu zrobotyzowanego i autom nie wolno się po niej po-ruszać, ponieważ ciężarówki i poduszkowce ich nie widzą, ale na poboczu jest prawdopodobnie wystarczająco bezpiecznie. Tuż przy samochodzie dziewczyna spostrzega kolorowy błysk. Głos Reno brzmi tak jak przed chwilą.

- *Gdzie jesteś, Saro? -a*

Sara próbuje uspokoić rozszalałe serce, bierze głęboki wdech. - Jestem w zrobotyzowanej ciężarówce na ograniczonej auto-stradzie, jadę zTampy do Orlando. Doganiają mnie samochodem. - Spostrzega mignięcie ciemnej twarzy w lusterku, koński ogon przewiązany żółtą wstążką. - Są tuż za mną, Reno! Głos załamuje się jej na imieniu martwego człowieka. Podskakuje na siedzeniu, wali rękami w panel sterowniczy, wściekłość się w niej gotuje.

- Jestem zamknięta w ciężarówce! Nie mogę się wydostać! Po-wiadom Hetmana. Niech wyśle ludzi.

SARO ZAMIERZAMY WYSADZIĆ DRZWI PO TWOJEJ PRA-WEJ STRONIE... PRZESIĄDŹ SIĘ NA LEWE SIEDZENIE I ZA-SŁOŃ JAK MOŻESZ... NIE CHCEMY CIĘ ZRANIĆ - Jaki jest numer rejestracyjny ciężarówki? Powinien być gdzieś w kabinie. - Głos Reno przeplata się z wiadomością od Cunninghama, przewijając się przed oczami Sary. Widzi otwierające się drzwi czarnego samochodu, dziewczynę we wzorzystej bluzce wychylającą się z czymś w ręce.

Sara chce wrzeszczeć.

- Jezu, Reno, czy to ma znaczenie!? Są tuż za mną. Dawaj Mi-chaela!

- Numer rejestracyjny. Muszę cię znaleźć. Podaj mi.

CHCEMY TYLKO Z TOBĄ POROZMAWIAĆ... PRZESIĄDŹ

SIĘ NA LEWE SIEDZENIE I UKRYJ JAK MOŻESZ - Och, szlag, Reno. Numer rejestracyjny. Dobrze. Kiedy rozpaczliwie szuka tego numeru, krople jej potu i krwi plamią tablicę przyrządów. Znajduje metalową tabliczkę, recytu-je jej zawartość do słuchawki. Czarny samochód wypełnia sobą dolną połówkę lusterka wstecznego. Sara widzi białka oczu dziewczyny, jej szeroki, słoneczny uśmiech, taki sam, pełen niewinnej radości, jaki miała na ustach, kiedy przyklejała bombę do okna samochodu ochroniarza. Widzi też gruby nadgarstek ręki kogoś trzymającego ją za pasek, kiedy wychyla się z bombą w jednej ręce, palcami drugiej sięgając do poręczy.

- Gdzie są teraz, Saro? - pyta Reno. Spokój w jego głosie do-prowadza ją do szafu.

- Są dokładnie obok mnie. Reno, pomóż mi!!!

Ostatnie słowa wykrzykuje na całe gardło, gdyż widzi w lusterku jedynie rozmazane kształty, biały uśmiech, czarny metal, okna przypominające błękit zmienionych oczu Dauda... Wtedy rozlega się ogłuszające elektroniczne wycie, wypełniające kabinę z wewnętrznych głośników, dziewczyna krzyczy z oburzenia i strachu, rzuca słuchawkę, kuli się na lewym siedzeniu, po omacku usiłując naciągnąć kołnierz kurtki na głowę, zastanawiając się, czy to cię-żarówka w jakiś sposób wyczuwa zbliżające się włamanie. Elektroniczny jęk cichnie. Zielone kontrolki na tablicy zmieniają kolor na czerwony. Następuje wstrząs, który rzuca Sarę na drzwi, a bursztynowe litery ponad jej polem widzenia układają się w napis: O BOŻE UWĄŻAJ NA... W tym momencie Sara czuje dotknięcie metalu, leciusieńkie muśnięcie, spogląda w lusterko i widzi koziółkujący kształt, jasną, barwną bluzkę i żółte wstążki we włosach - zupełnie jak lalka posyłana kopniakami w powietrze przez rozwścieczone dziecko. Zaraz potem obracający się bezwładnie samochód, który łamie słupek radiowy jak zapalnik i spada z nasypu. Uderzenie, bezgłośny kłęb ognia odsuwający się co-raz dalej. Bursztynowe litery, pisana wersja ostatniego krzyku za-bójców, znikają z pola widzenia Sary.

Magnetyczne bolce, blokujące drzwi, odsuwają się z głośnym stukiem.

- Przejąłem sterowanie twojej ciężarówki, Saro - odzywa się głos Reno, słaby, lecz czysty, dobiega z porzuconej słuchawki, krę-cącej się na podłodze. - Powiadomię ludzi ze Złotego Wybrzeża, żeby przejęli cię w tunelu. Zaparkuję tam ciężarówkę. Gliny ją znajdą.

Serce Sary tłucze się jakby w lodowatej pustce, panika wciąż stoi jej w kuli w gardle, bez sensu, skoro przyczyna strachu już zniknęła. Dziewczyna po omacku sięga po telefon. - Reno! - woła. - Reno, dziękuję ci.

- Cieszę się, że mogę coś zrobić, Saro.

Ręce jej drżą po adrenalinowym szoku. Gdzieś za oczami zaczyna budzić się oślepiający ból.

- Musisz zetrzeć z ciężarówki swoje odciski palców, Saro - od-zywa się Reno. W tle jego głosu słychać biały szum. - Zrób to od razu, a potem siadaj i niczego nie dotykaj.

- Pozwól mi tylko złapać oddech.

Odchyła się na oparcie i łapczywie chwyta chłodne powietrze.

Po nerwach przebiegają jej fale gorąca i zimna.

- Reno - mówi - muszę porozmawiać z Hetmanem. TempJp prześle mu pewne taśmy. Mają mój głos z roboty, którą dla nich wykonywałam i... są spreparowane. Powiedzieli, że mu je dostarczą, jeśli odmówię współpracy.

- Połączę cię - odpowiada Reno.

Niewyraźnie, z bardzo daleka, Sara słyszy dzwonek telefonu.

Rozdział osiemnasty

Pony Express” czeka pod siatką maskującą w odległości czterys-tu metrów od posiadłości Dodgera, otoczony mnóstwem elek-tronicznych czujników, aktywnych i biernych systemów ochron-nych. Warren, który zastąpił zestawem nagłownym czapeczkę wciśniętą do kieszeni, wprowadza program do kryształowego ser-ca pocisku naprowadzanego radarem, upewniając się, że rakietka nie zawiedzie. Kowboj stoi w pobliżu pod sosną żółtą i słucha lek-kiego wiatru szumiącego w koronach drzew. Tu, przy ziemi, powie-trze jest nieruchome. W jego ciało nie wiadomo czemu wkrada się napięcie, wślizguje się w mięśnie, w umysł, zmusza do zwrócenia na siebie uwagi.

Poniżej na stoku Kowboj widzi Jimi Gutierrez spacerującego z Thibodaux. Pancerniak i krystaldzok są teraz kochankami, wiel-bicielami fejsu. Thibodaux wciąż tu siedzi, pomimo że jego praca właściwie dobiegła końca, próbując trzymać się jak najbliżej Ji-miego. Nikt nie zaprotestował, dzięki temu Jimi przestał drażnić wszystkich.

Kowboj przerzuca wzrok, zauważywszy jakieś dodatkowe po-ruszenie, i widzi Sarę podchodzącą z boczem. Na jej biodrze zwisa pistolet, Heckler & Koch. Nowe blizny nosi z dawną przekorą, lecz pancerniak dostrzega w niej coś więcej, jakąś gorączkę w oczach. Jakby dręczył ją jakiś niewygaszony strach. Rusza w dół, w jej stronę, pozostawiając w ściółce z igieł półksiężycowate ślady ob-casów.

- Przepraszam, że nie mogłem wyjść ci na spotkanie - mówi. - Warren mnie potrzebował.

- Jasne. W porządku. I tak otaczali mnie ochroniarze. Hetman nie zamierzał więcej ryzykować.

Mówiąc to, obejmuje go, ostatnie słowa wypowiada do jego karku. Kowboj robi mocny wydech i część napięcia ulatuje wraz ze zużytym powietrzem, bo Sara jest tutaj, z daleka od Florydy i czyhających tam na nią pazurów. Cofa się o krok, ujmuje jej podbródek i przygląda się głębokim śladom na policzku. Opuchli-zna już zeszła, ale siniaki wciąż są paskudne.

- Kolejny pieprzony błąd - mówi dziewczyna. Wykrzywia usta ze złością. - Kolejny przeklęty, pieprzony błąd.

- Każdy popełnia błędy.

Kowboj widzi, jak dziewczyna zaciska szczęki.

- Ja nie. Nie mogę sobie na nie pozwolić. Gdyby Reno nie ura-tował mi tyłka... - Potrząsa głową.

- Wolno ci być człowiekiem, Saro - odpowiada.

- Ale nie mogę być głupia! - Wkłada ręce do kieszeni, ru-sza w górę stoku. Idąc koło niej, Kowboj widzi jej pogardę do samej siebie. - Zachowuję te blizny, Kowboju, więc codzien-nie mogę popatrzeć w lustro i przypomnieć sobie, żeby nie być głupią.

- Zostałaś wciągnięta w pułapkę, co może zdarzyć się każde-mu. Dlaczego uważasz, że to dowód twojej głupoty? Sara zerka na niego z ukosa.

- Może kiedyś ci powiem, Kowboju, ale nie teraz.

- Jak się ma twój brat?

Dziewczyna sztywnieje, zwalnia kroku.

- Dobrze. Szuka mieszkania. Zostawili go w spokoju - już nie jest użyteczny.

Kowboj patrzy w górę, na gładki, matowy dziób „Pony Express”, spoczywającego pod siatkami. Nabiera otuchy.

- Reno powiedział, że Cunningham mógł być w tamtym samo-chodzie.

- Nie. Jechała nim jedna kobieta w towarzystwie trzech męż-czyzn. Żaden z nich nie był Cunninghamem, jeden tylko tak twierdził.

- Szkoda.

Sara uśmiecha się blado.

- Tak. Szkoda.

Na jej twarz padają cienie rzucane przez siatkę maskującą, łączącą się z siniakami. Patrząc na nią zza swego warsztatu, Warren mruży oczy.

- Saro - odzywa się Kowboj - to mój przyjaciel, Warren. Delty latają dzięki niemu.

- Cześć, Warren.

- Siema. - Mechanik patrzy na ciemną sylwetkę przyczajonej delty. - Nieźle, jak na chałupniczą robotę, nie?

Sara uśmiecha się.

- Nieźle. - Wyciąga rękę, żeby dotknąć gondoli lewego silnika. - Jak ci się udaje zbudować coś takiego w przydomowym ogródku? - Z różnych różności - odpowiada Warren. Zmrużonymi oczami spogląda w górę, na sylwetkę czarnej pantery. - Silniki są z woj-skowych wyprzedaży. Stanowią dużą część kosztów, bo skonstru-owano je z orbitalnego stopu i co jakieś trzy tysiące godzin trzeba je wymontować do przeglądu. Całą resztę zrobiliśmy samodzielnie. Przy konstrukcji kadłuba unikaliśmy stopów i użyliśmy cze-goś tańszego, a niemal tak samo dobrego - kompozytów sporządzonech z żywic epoksydowych i paru innych rzeczy. Podwozie i część hydrauliki to jedyne części wykonane z metalu. Kowboj wskazuje ledwie widoczną krawędź klapy luku ładun-kowego na gładkim brzuchu delty.

- Delty zbudowano do transportu towarów i muszą zabierać dużo paliwa, jeśli mają mieć odpowiedni zasięg - mówi. - Dlatego też nie mogą być równie szybkie i zwłmne jak lekkie myśliwce rządowe. Próbuujemy wyrównać te braki, montując dużo więcej elektroniki i broni, cięższe opancerzenie, oraz stosując dużą re-dundancję systemów samolotu.

Sara patrzy w dół, na palety z raketami, jedna z nich jest otwarta, Warren sprawdza widoczne elementy.

- Te pociski też robisz sam?

- Tak - potwierdza Warren. - Są najłatwiejsze, bo wszystkie elementy można kupić w sklepie elektronicznym, z wyjątkiem pa-liwa i materiału wybuchowego - a te sporządzamy w szopie. - Składaliśmy te rakiety przez całe popołudnie - wtrąca Kow-boj. - Dlatego nie mogłem wyjść ci na spotkanie w Santa Fe. Sara schyla się, wchodząc pod skrzydło, idzie wzdłuż samolo-tu, przyglądając się gładkiej, czarnej, epoksydowej powierzchni nad sobą, sunąc palcami po poszyciu bez jednego nita. Kowboj podąża za nią.

- Jutro lecę do Nevady, rano, tuż przed świtem. Chcę lądować w momencie, gdy nad bazą wzejdzie słońce.

ZU6

vnnvviwvwm

Dziewczyna mija ogon samolotu, prostuje się i ponad niewielką górską łąką patrzy na dalekie zielone szczyty. Kowboj idzie za nią, przygląda się cieniom siatki maskującej, tańczącym po twarzy i rękach Sary.

- Dodger umieścił mnie w pokoju na tyłach - mówi do niej. - Możesz u mnie nocować, jeśli nie przeszkadza ci moje wczesne wstawanie.

Odpowiada mu kosym uśmiechem.

- Cieszę się, że mi to zaproponowałaś, Kowboju. Wstawiłam swój bagaż do twojego pokoju.

- W porządku.

Odczuwane cały dzień napięcie zdaje się go opuszczać.

- Widziałaś już szafę grającą?

- Jaką szafę? A, nie, nie widziałam.

- Pozwól, że najpierw pomogę tu Warrenowi. Potem ci pokażę. Sara kiwa potakująco głową, zmienia pozycję, żeby odciążyc biodro, na którym ma pistolet.

- Strzegę cię teraz - oznajmia - więc nie daj się wysadzić w powietrze.

- Na pewno nie.

Kowboj przygląda się profilowi Sary, wpatrującej się w wyso-ko położoną łąkę i rosnące za nią wielkie drzewa. Widzi, jak na jej twarzy pojawia się jakby ulga albo wdzięczność, uczucie, które wybuchu nagle, przedzierając się przez spękania w jej we-wnętrznej zbroi. Przez chwilę zastanawia się, z czym może się to wiązać.

Ale „Pony Express” czeka. Kowboj odwraca się i wchodzi pod skrzydło swej czarnej polimerowej obsesji.

Rozdział dziewiętnasty

Pancerna limuzyna Sary z szumem pędzi przez równiny północ-no-zachodniej Arizony. Dziewczyna dzieli tylne siedzenie z dwo-ma specjalistami od łączności z Maximum Law, którzy zapewniają ją, że linia telefoniczna jest absolutnie bezpieczna. Miejsce i czas są równie dobre na wykonanie tej rozmowy jak każde inne. -Tak?

Czuje, jak napinają się jej nerwy na dźwięk tego głosu. Próbuje opanować zaskoczenie.

- Jest tam Daud?

- Tak. Chwileczkę.

Następuje chwila ciszy, w której Sara bez większego powodzenia walczy ze zdumieniem i gniewem.

- Cześć, Saro - odzywa się brat.

- Czy to był Nick? - pyta.

-Tak.

Dziewczyna w wyobraźni widzi, w jaki sposób błysnęłyby oczy Dauda, jak odwróciłby wzrok.

- Utknął tutaj. Nie chcę go odesłać z powrotem. Twierdzą, że złamał warunki kontraktu, nie próbując cię zatrzymać. Jak gdyby miał jakiegokolwiek szansę. Kiedy uciekłaś, zmusili mnie też do anulowania mojego kontraktu. Jesteśmy więc oboje bez grosza. - Posłuchaj, on może wciąż dla nich pracować.

- Może i tak. Mam to gdzieś. Ugrzązł tu i musimy rozejrzeć się za jakimś dachem nad głową. - Sara słyszy, jak brat zaciąga się papierosem. - Naprawdę nazywa się Sandor Nxumalo. Bardzo mi trudno nie nazywać go Nickiem.

Sara słyszy, że traci kontakt z bratem. Próbuje go utrzymać, przypominając sobie miękkie ciało Nicka, jego cyniczne spojrzenie. - Daud, proszę cię tylko o ostrożność. Może próbować podłączyć się do linii, na której rozmawiamy. Jeśli będziesz się chciał skontaktować ze mną, dzwoń z...

- Wiem. Tak. Coś jeszcze? Musimy iść szukać chałupy. Przez głowę Sary przebiega myśl, że wystarczyłby jeden telefon do Hetmana i facet byłby już trupem. Lecz Daud wiedziałby, rzuciłby jej to w twarz. W jej serce wkrada się rozpacz. - Tylko bądź ostrożny, Daud.

Połączenie zostaje przerwane. Dziewczyna myśli o tym, że oni dokładnie wiedzą, jak dawać jej bratu nadzieję, że jeśli - tak samo jak w jej przypadku - złożą odpowiednie obietnice, można być tylko posłusznym, nawet jeżeli oznacza to ułatwianie im zdrady. - Trzymaj się, Daud - mówi do telefonu, który odpowiada jej w nieznanym języku. Na pewno jest to ostrzeżenie, ale dziewczyna nie ma pojęcia przed czym.

Rozdział dwudziestą

Mumyśle Kowboja drgają metalicznie nuty piosenki. Nazywa ją m., „Jeźdźcy fejsu na niebie”. „Pony Express” wspina się wysoko ponad białe, wirujące oko niżu nadciągającego nad wybrzeże Pa-cyfiku. Słońce odbija się od czarnych rozperek kokpitu. Niebo nad głową jest jasnoniebieskie, dopiero zaczęło delikatnie ciem-nieć obietnicą przestrzeni kosmicznej. Wznosząc się ku słońcu, Kowboj wydaje hełmowi polecenie opuszczenia osłony. Pogwizdu-je przez zęby, smakując anestetyczny gaz.

- Reno. - Nie zadaje sobie nawet trudu wypowiedzania słów, po prostu przesyła je przez scalaki, nie przestając pogwizdywać. - Powiedz im, że jestem na pozycji.

- Odbiór.

Elektroniczne palce Reno sięgają przez mikrofalowe łącza od wybrzeża do wybrzeża, utrzymując sieć łączności o wiele lepiej, niż to robili najemnicy Dodgera.

Kowboj automatycznie spogląda na wskaźniki, silniki pracują na małym ciągu, w niebieskiej strefie, wszystkie pozostałe kolum-ny są zielone. Wyczuwa w dole kalifornijskie radary, sięgają ku niemu z daleka, dotykają skóry „Pony Express” słabymi łapami, niezdolnymi do uzyskania wystarczająco silnego odbicia od za-okrąglonych powierzchni delty i pokrywającej ją warstwy farby pochłaniającej promieniowanie. Mają mniejszą moc niż radary na Środkowym Zachodzie - nie muszą być silniejsze. Nie ma potrze-by wykrywania delt szmuglerów nielegalnie latających nad Pacy-fikiem.

- Kowboju, jesteś zajęty? - Odległy głos Reno bełkotliwie na-rasta w kryształach.

- Tylko zataczam kręgi. Czekam na naszych przyjaciół. unvviuwvin - Coś znalazłem. Grzebałem trochę w kryształach tutaj, w la-boratorium.

- Czy nie grozi to zerwaniem twojego kontraktu?

- Nudzę się, Kowboju. Nic tu nie ma do roboty.

- To niebezpieczne, Reno.

- Nie. Zewnętrzna ochronę mają naprawdę mocną, ale kiedy się już znajdziesz w systemie, zabezpieczenia są kiepskie. Ich oprogramowanie mogło się sprawdzać z dziesięć lat temu, kiedy budowali system, lecz teraz bardzo łatwo je złamać. Kiedy nasi przyjaciele z Maximum Law patrzyli gdzie indziej, pożyczyłem so-bie od nich program penetracyjny.

Kowboj myśli, co się może stać, jeśli ludzie w laboratorium wy-kryją włamanie i zablokują kryształ Reno. Nieunikniony wypa-dek, powiedzieliby.

- Nadstawiasz karku, przyjacielu - ostrzega.

- Kiedy tylko zobaczyłem, jak zorganizowane jest to miejsce, od razu wiedziałem, czego szukać. To nie jest całkiem nielegalne laboratorium, ale operują głównie w szarej strefie. W ten sposób Michael się o nich dowiedział, dlatego też miał pewność, że wez-mą kogoś takiego jak ja, sam umysł w telefonie, bez ciała. Są przyzwyczajeni do klientów mających skądś kupę forsy i pragną-cych zmienić twarz i tożsamość.

- Powiedziałbym, że są to dodatkowe argumenty za trzyma-niem się z daleka od ich komputerów.

- Słyszałeś kiedykolwiek o Projekcie Czarny Umysł? Kowboj zastanawia się chwilę, przeglądając kontrolki silników i uzbrojenia.

- Nie - mówi w końcu. - Nie słyszałem.

- Wcale się nie dziwię. Ja też nigdy o nim nic nie wiedziałem, dopóki tu nie wlałem. To program

penetrujący najgorszego rodzaju. Opracowany tuż przed wojną przez ludzi z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego USA. Tych samych, którzy przed laty założyli to laboratorium i wciąż je prowadzą.

Nic dziwnego, myśli Kowboj. Ludzie z wywiadu lubią maczać paluchy we wszystkim, co się da. Przywykli do prowadzenia wielu fejsowych banków służących do prania pieniędzy potrzebnych im do działalności, a kiedy zaczynały przynosić zyski, rozglądali się za inwestycjami. Kiedy ich rząd został rozgnieciony przez bloki, po prostu robili dalej to, na czym się najlepiej znali. - Okay. Co on robi?

- Kopiuje umysł do kryształu. Potem wędruje do innego umysłu, żywego i nadpisuje na nim ten pierwszy. Nakłada pierwszą osobowość na drugą. Zastępuje ją programem.

Kowboj czuje chłód w kryształach wszczepionym w czaszkę. Tym razem nie rezygnuje z użycia głosu, wyrzuca słowa do mikrofonu fejsowej maski.

- Boże, dlaczego? Co by to dało? Facet nie mógłby skorzystać ze wspomnień swojej ofiary.

- Może tak, może nie. Transfery osobowości to niezbyt dobrze poznany proces.

- Istnieją zabezpieczenia. Żaden program nie może z kryształu wskoczyć komuś do mózgu.

- Czarny Umysł jest inny.

Kowboj myśli o kimś wtłaczającym się mu do głowy, niszczącym jego wspomnienia, osobowość. Jego ciało, resztki umysłu, zmieniłyby się w marionetkę albo coś innego. To gorsze, myśli, niż działania Roona wobec tych dzieciaków.

- O kurwa - stęka. Groza ściska mu serce. - Trzymaj się jak najdalej od tego kryształu, Reno. Nie chcemy mieć z tym nic wspólnego.

- Ludzie z wywiadu zamierzali użyć Czarnego Umysłu przeciwko Orbitalcom. Plan zakładał wprowadzenie kilku fanatycznych zabójców do umysłów kluczowych osób spośród ich personelu. Gdyby się to powiodło, zaczęliby wydawać rozkazy, w wyniku których uprzedzający atak z Ziemi mógłby zniszczyć Orbitalców. Wykryci popełnialiby samobójstwo - pamiętaj, że oryginalni zabójcy wciąż żyliby na planecie. Nawet gdyby ten plan nie powiódł się całkowicie, przynajmniej kluczowe osoby na orbicie dostałyby psychozy, czy czegoś w tym rodzaju, i na szczycie zapanowałyby zamieszanie. Nikt nie ośmieliłby się użyć fejsowej komunikacji. To był dobry plan.

- Co zatem poszło źle?

- Orbitalcy uprzedzili ich, zaatakowali, zanim Czarny Umysł był gotów. Chodzi jednak o to, Kowboju, że Czarny Umysł wciąż tu jest. Siedzi w komputerze tego laboratorium, może również innych. Bardziej nielegalnych. Orbitalcy... cholera, każdy mógł się do niego dostać. Musimy go wytrzeć bez śladu.

- Psiakrew, jasne. ae. vnvvivwvn - Po tej akcji zacznę się rozglądać. Poszukam, kto jeszcze może gdzieś ukrywać Czarny Umysł.

Reno przerywa na chwilę, potem odzywa się zmienionym tonem:

- Prom ruszył o czasie, Kowboju. Powinieneś zobaczyć jego charakterystyczny sygnał w okolicy dwa-siedem-zero. Kowboj zwraca głowę w lewo, widzi pojaśnienie na ciemniejszym niebie.

- Potwierdzam, Reno. Wysoko, z lewej burty, mniej więcej na godzinie ósmej.

„Pony Express” zaczyna powolny skręt w lewo. Wskaźniki silników przechodzą z niebieskiej strefy na zieloną. Kowboj wręcz czuje rozszerzanie się żył samolotu, którymi przelewa się alkohol. Czarny Umysł zostaje zapomniany w momencie, gdy elektroniczne nerwy Kowboja wnikają w kadłub delty, w jej silniki i skrzydła, w gładką, kompozytową skórę nabijaną czujnikami, a w końcu wprost w zimne, cybernetyczne serca raket, czekających w bezpiecznym ukryciu pod wygiętymi skrzydłami. - Hej, Kowboju! - To głos Sary, dobiegający z nadajnika bazy w Nevadzie. Brzmi trochę nerwowo. - Uszy do góry. Dobrych łowów. Nie wiem, co wy, piloci, mówicie w takich sytuacjach. - Twoje życzenia były właściwe. Dzięki.

- Na razie znikam z sieci, ale będę czule myślała o tobie. Te słowa rozlewają się ciepłem w duszy Kowboja, lecz zaraz przytłacza je lawina danych pchających mu się do kryształu, do wspomnienia. Jego pompy turbinowe jęczą, wstrzykując paliwo do komór spalania ryczącego serca. Neuroprzekątniki pulsują w takt stalowego beatu jak bębny Smokey Dacusa. - Dzięki - mówi, przełączając co chwila wzrok na podczerwień i z powrotem, śledząc jaśniejący na niebie szlak promu. Krawędzie natarcia skrzydeł delty rozgrzewają się od tarcia powietrza. „Pony Express” skręca, pochyła się, wchodzi na nowy kurs. Wskaźniki silników dochodzą do pomarańczowej strefy. Delta spada na prom, wprost ze słońca.

- Kowboju.

Ten głos jest czysto krystaliczny, wyprany z osobowości. Ktoś zafejsował się przez potężne komputerowe serce, fragment gigantyckiego, cybernetycznego umysłu.

- Tu Roon. Jestem zafejsowany do sieci. Będę leciał z tobą. Chcę, byś był moimi uszami i oczami. Może będę mógł coś zasugerować.

Gniew Kowboja eksploduje jak kula odbijaczy nad Aleją Potępienia. Nie jest jednym z należących do tego szaleńca małych chłopców i dziewczynek, którzy nie mają wyboru, muszą pozwalać mu ujeżdżać swoje umysły i ciała, wysysać z siebie wrażenia, zupełnie jakby wampir wkuł im się w żyły.

- Takiego wała - warczy pancerniak i odcina się od sieci. Przychodzi mu do głowy, co Roon mógłby zrobić z Czarnym Umysłem i przez chwilę opanowuje go groza.

Czuje impulsy mikrofalowe wysyłane z Sierry w desperackich próbach odzyskania kontaktu. Odbija je. Prom transportowy schodzi teraz w dół, szybko, srebrna iskra ze stopu błyszcząca na niebie. Ciąg dopalaczy wciska Kowboja w siedzenie. Wskaźniki obciążonych do maksimum silników czerwienieją. Kombinezon przeciwpociągnięciowy zaciska mu naczynia krwionośne, usiłując uniemożliwić przekrwienie tkanek. Kowboj słyszy rozmowę pilota promu z kontrolą naziemną Vandenberg. Ponownie sprawdza uzbrojenie. Myśli o promie transportowym, o kriogenicznych pojemnikach zawierających miliardy zmutowanych, wyhodowanych w przestrzeni wirusów zaprojektowanych tak, by zlikwidować epidemię zwaną wirusową chorobą Huntingtona, lek, który Tempel przez osiem lat pakował dużą część swojego budżetu badawczego. „Pony Express” chwieje się, wpadając w zawirowania torowe ściganego pojazdu. Prom jest ogromny, ma dwieście metrów długości, zajmuje połowę pola widzenia przez przednią szybę owiewki delty, pędzi przez atmosferę z dwukrotną prędkością dźwięku. Kowboj sprawdzał charakterystykę tego typu, jest niesamowicie mocny, ma mnóstwo zwielokrotnień systemów, może znieść rozległe uszkodzenia. Kowboj dochodzi do wniosku, że zestrzelenie go będzie wymagało przynajmniej ośmiu celnych salw, a od lądowania w Vandenberg dzielą go tylko dwie minuty. Mikrofalowe skrzeknięcia z Nevady atakują jego sensory. Kowboj ignoruje je. Najpierw, myśli, silniki. Nieuszkodzony prom ma

większe przyspieszenie od niego. Wchodzi w ślad torowy, zwalnia, odpala pocisk naprowadzający za pomocą radaru. Ucieka z deltą w górę, znów w słońce.

- Co to za sygnał? - pyta jeden z pilotów promu, kiedy pasywne czujniki wychwytyją impulsy radarowe pocisku. Odpowiedź nadchodzi bardzo szybko. U podstawy kadłuba, w skupisku silników, pojawia się kłęb ognia.

- Himmel! - krzyczy ten sam głos.

Kowboj wypuszcza spod osłony kolejny pocisk radarowy.

- Ziemia, tu Tempel jeden-osiem-trzy. Jesteśmy atakowani... Szybko facet kapuje, myśli Kowboj. Drugi pocisk trafia w rufę promu i wyrzuca płonące kawały metalu z przedziału silnikowego. W tym czasie pancerniak włącza dopalacze, wciśnięty w fotel wlatuje pod przeciwnika, który zaczyna robić uniki, próbując uciec. Jest zbyt wolny, za wielki, żeby spudłować.

- Tempel jeden-osiem-trzy, powtórz?

Najwyraźniej kontrola naziemna kojarzy dużo gorzej. Kowboj posyła raketę w stronę wrót ładunkowych i wysuwa górną wieżyczkę z działkiem. Trzydziestomilimetrowe pociski dziurawią brzuch promu. Jeśli zniszczy większą część układów hydraulicznych, nie będą mogli wysunąć podwozia i jeśli nawet mu zwieją, mogą się rozbić przy lądowaniu. Po ogromnym kadłubie skaczą iskierki, krzesane przez pociski odrywające osłony ze stopu. Z porzywanych żył systemów chłodzenia wylewa się w niebo mgła freonu. Pilot nie czeka, aż kontrola naziemna coś wymyśli, robi najlepszy możliwy użytek z silników manewrowych i klap, spada gwałtownie jak winda, usiłując uszkodzić lecącą pod nim deltę. Kowboj bez trudu robi unik, pakuje raketę w postrzelaną część kadłuba, ma nadzieję, że naruszy ona konstrukcję promu. Amunicja do działka się skończyła, wciąga więc wieżyczkę. Leci do przodu pod potężnym pojazdem, odwraca się na grzbiet, z osłoniętego owiewką luku wyskakuje dolne działko. Strzela z niego w okolicę sterówki, chcąc trafić pilota lub kryształ kontrolny. Kulą lodowatego gazu eksploduje zbiornik tlenu. Wszędzie widać błyski spieć pomiędzy porwanymi kablami. Kowboj pakuje kolejną raketę we wrak i nagle szkielet promu stęka ciężko, dźwięk ten dociera do pancerniaka jako zanikające fale uderzeniowe, podrzucające „Pony Express”. Z podstawy siedemnastometrowej gondoli zaczynają odpadać odłamki metalu, małe kawałki odrywane potężnym strumieniem opływającego kadłub powietrza. - Statek rozpada się nam pod nogami - oznajmia pilot promu. To prawda. Delta skrętem usuwa się z niebezpiecznej strefy, a kadłub promu rozlatuje się, płyn hydrauliczny strzyka w powietrze jak krew tętnicza. Przy prędkości dwóch machów nawet nie-zbyt duże zmiany kształtu powodują utratę właściwości aerodynamicznych. Prom zatacza się, przechyla na jedną stronę, zaczyna się łamać.

- Tempel jeden-osiem-trzy... - zaczyna pilot, lecz w tym momencie rozlega się ostatni trzask, kiedy nadajnik trafia w ścianę powietrza, i na tej fali zapada cisza, jeśli nie liczyć słabego głosu kontroli naziemnej, usiłującej odzyskać kontakt, gadającej właściwie do siebie. Prom zmienił się w srebrzysty kłęb kawałków stopu, poskręcanych wzdłużnie, skrzydeł, owiewek, koziołkujących bębnow ładunkowych, pędzących w dół na ostateczne spotkanie z Pacyfikiem, ukrytym pod ogromnym wirem z grubych chmur. „Pony Express” przechyla się nad tym złomowiskiem, zmniejsza ciąg silników do zielonej strefy i rozpoczyna długie schodzenie do Nevady.

Kowboj czuje opadający poziom neuroprzekazników. Przerzuca mentalny przełącznik i wysyła krótki sygnał do Nevady. - Tu Kowboj. Zadanie wykonane. Można klaskać ile dusza za-pragnie.

- Nie czas na wiwaty, Kowboju - odzywa się głos Reno. - Wszyscy są zbyt zajęci. Chcesz posłuchać?

- O ile będziesz trzymał tego białomózgiego pedała z dala od mojej głowy - odpowiada Kowboj.

- Sądzę, że i tak nie chce z tobą gadać. Sprawiał wrażenie troszkę wkurzonego.

„Pony Express” spada nad Mojave niczym jastrząb, wraz z wysokością tracąc prędkość. Reno podłącza Kowboja do sieci komunikacyjnej i nagle w jego głowie rozlega się chór głosów. Ludzie Dodgera na Zachodzie, Hetmana na Wschodzie, oraz Roona - rozrzućeni wszędzie - rozgłaszają najświeższe wiadomości w sieciowych brukowcach. „Lek z Tempel spada w płomieniach”, „Żadnej pomocy dla chorych na wirusowego Huntingtona”. To najważniejsza wiadomość.

Potem informacje zaczynają trafiać do wybranych brukowców.

„NewsFax” dowiaduje się, że prom Tempel został zestrzelony. „Seconds”, że w pojeździe dokonano aktu sabotażu. „MedNews”, że lek mógł mieć nieprzewidziane skutki uboczne, a wszystkie włożone w niego przez Tempel pieniądze zostały wyrzucone w błoto. „MarkReps” dostaje wiadomość, że Tempel przeliczył się z siłami w swojej akcji przejmowania konkurencji, do tego dołączono mnóstwo wygenerowanej przez Roona statystyki. „Med-News” otrzymuje od „wysoko postawionego pracownika Tempel” potwierdzenie, że lek na Huntingtona był bezwartościowy. „News-Fax” ujawnia „niepotwierdzone doniesienie”, że Tempel sam dokonał sabotażu własnego promu, żeby zapobiec przeciekowi informacji na temat leku.

W czasie gdy doniesienia spływają do brukowców, Roona, Dodger i Michael zaczynają wyprzedawać akcje Tempel na giełdzie w Chicago. Polecenia sprzedaży są rozsyłane przez kilkuset robo-maklerów dla ukrycia faktu, że pochodzą zaledwie z kilku źródeł. Automatyczni maklerzy śledzą sieciowy ruch w brukowcach, a słowo „Tempel” pojawia się tam bardzo często. Na pulpitych komputerów ludzi nadzorujących pracę robomaklerów rozbłyskują czerwone światełka. Wiadomości o poleceniach sprzedaży akcji docierają do brukowców i panika wybucha.

Akcje Tempel spadają, uruchamiając polecenia sprzedaży u tysięcy zautomatyzowanych maklerów. Nerwowi inwestorzy dostrzegają drgawek przed monitorami. W momencie gdy działka Kowboja zaczynały ostrzeliwać prom, akcje Tempel stały na wyżynach rzędu 4500, teraz zjechały do prawie 800. Artykuły w brukowcach mówią o braku finansowych rezerw Tempel, zmarnowanym na bezużyteczny lek budżecie badawczym firmy, plotkach na temat sabotażu własnego promu, prawdopodobieństwie niemożności wypłacenia dywidend w tym lub przyszłym roku. Michael i Dodger podsycają panikę ciągłym wysyłaniem niewielkich poleceń sprzedaży akcji. Rynek akcji się załamuje.

„Pony Express” cicho przelatuje nad granicą Nevady, czarny znaczek schodzący w dół jak wykres wartości akcji Tempel. W Chicago błyskają kolejne światła ostrzegawcze. Kierownictwo Tempel zaprzecza doniesieniom brukowców, ale i tak nikt nie wierzy Orbitalcom, więc jedynym tego skutkiem jest zaognienie plotek. W ciągu dwunastu minut akcje Tempel straciły pięćdziesiąt sześć procent wartości. Urzędnicy z giełdy w Chicago zaczynają odczuwać naciski spoza studni grawitacyjnej i wszelkie operacje dotyczące pakietu Tempel zostają zamrożone „do czasu potwierdzenia doniesień”.

To jedynie przyspiesza działania w innych miejscach. Roona przetrzuca duże pakiety na giełdy w Osace i Singapurze. W Mombasie akcje Tempel lecą tak szybko w dół, że nie musi tam w ogóle interweniować. W Osace są warte poniżej 900, zanim Główny Program Giełdowy zdąży je zamrozić. Singapur nie stosuje się do reguł i tam wciąż spadają.

Orbitalcy reagują, ogłaszając natychmiastową wypłatę pięć-procentowej dywidendy. Zjazd na łeb

na szyję zwalnia w chwili, gdy „Pony Express” zatacza krąg nad swoją bazą. Ludzie zaczynają uważniej przyglądać się plotkom. Roon próbuje przeciwdziałać, podając w brukowcu, że Tempel nie jest w stanie zapłacić zadeklarowanej dywidendy, bo wszystkie fundusze ma zaangażowane w przejmowanie Korolewa. Oświadczenie Związku Rad Orbitalnych, że blok farmaceutyczny będzie finansował dywidendę Tempel, pojawia się równocześnie z osobistym wystąpieniem Couceira, w którym wyjawia, iż jego firma wyzbywa się całkowicie pakietu Korolewa; próba przejęcia zostaje uznana za nieudaną, a cały zysk przeznaczony na wypłatę dla akcjonariuszy. Potwierdzenie dywidendy z dwóch niezależnych źródeł powoduje powolny wzrost akcji Tempel. Michael próbuje rozpuścić więcej plotek w sieci, ale ludzie zaczęli już zastanawiać się nad niepotwierdzonymi wiadomościami o Tempel.

Chłodne polecenie, wysłane z wielkiej, krystalicznej SI Roona, przebiega przez sieć. Słyszając je, Kowboj kuli się, czuje w masce fantomowy paskudny smak.

- To już dno. Zacząć kupować. Rozpocznemy sprzedaż przy ty-siącu pięćset, w nadziei rozpętania gwałtownego zapewniania sobie zysku, może wtedy znów akcje pójdą w dół.

Kowboj odwraca ciąg delty, wisząc nad pustynią w Nevadzie. Polecenia kupna rozchodzą się wśród robomaklerów. Powrót Tempel jest szybszy niż upadek. Przy cenie 1500 znów idą w sieć polecenia sprzedaży, ale chętnych do kupna jest więcej niż sprzedających. Cena akcji waha się niepewnie przez kilka sekund, w czasie których zgarniane są zyski, ale wtedy pojawia się kolejne oświadczenie Couceira.

W ciągu kilku dni rezerwa leku na Huntingtona zostanie posłana na planetę, tym razem pod osłoną kutrów orbitalnych. W brukowcach pojawiają się artykuły na temat bezpieczeństwa i skuteczności farmaceutyku. Wartość akcji skacze w górę jak wściekła. Giełda w Chicago wznawia operacje dotyczące Tempel przy cenie 2000. Dodger i Michael już zużyli wszystkie posiadane środki. Pełnomocnictwa do każdej akcji, którą im się udało zdobyć, są na-tychmiast wysyłane do Wenezueli, do Roona. W czasie gdy „Pony Express” zawisa nad swoim stanowiskiem i zniża się, wysuwając podwozie, wartość akcji Tempel stabilizuje się na poziomie około 3000.

Do delty podbiega obsługa naziemna z siatką maskującą. Paskudne przecucie wypełnia serce Kowboja. Informacja nadesłana siecią przez Roona tylko potwierdza jego intuicyjną wiedzę. - Wasze pełnomocnictwa nie wystarczą, by zmusić Couceira do odejścia. Jeśli na tym etapie zarządę głosowanie akcjonariuszy, to tylko zwrócę uwagę na swój udział w całej akcji. - Tchórzliwy łajdak! - krzyczy Kowboj. Ból przenika jego budzące się do życia kończyny.

- Mogę spróbować przekonać kilka osób z rady, ale podejrzewam, że swoimi dzisiejszymi działaniami raczej zdobył więcej uznania, niż przysporzył sobie wrogów. Sugerowałbym zgarnięcie zysków i uznanie tej akcji za dobrą lekcję.

- Boisz się wystawić na strzał, Roon? - pyta ostro Kowboj. - Boisz się zabawiać z dorosłymi?

- Odłączył się od sieci - zwraca mu uwagę Reno. - Nie słyszy cię. - Powinienem był go zabić, kiedy miałem okazję - warczy Kowboj.

Odpina pasy, zdejmuje hełm. Pot spływa mu po czole. Owiewka unosi się przy akompaniamencie jęku silniczka elektrycznego. Pustynia odbiera mu oddech, nawet mimo że siatka maskująca częściowo przesłania słońce. Czuje wściekłość płonącą mu w kryształach, ryczącą w sercu.

- Nie likwiduj jeszcze sieci - poleca. - Będziemy jej potrzebować. Wyjaśnię później.

Wychodzi z fejsu, wstaje w kokpicie, schodzi po drabince ku wyciągającym się do niego pomocnym dłoniom. Tutejszy sztab mieści się w nadymanym namiocie przykrytym siatką maskującą. W pobliżu stoją samochody cysterny z paliwem i dwie panczerki. Ich sylwetki drgają w gorącym powietrzu. Z heł-mem w dłoni Kowboj wkracza do namiotu.

Sara natychmiast do niego podchodzi, spięta, z oczami pełnymi rozpacz. Na czole ma czerwoną pręgę po zestawie nagłównym, za pomocą którego włączyła się do sieci. Wyciąga do niego ręce, obejmuje go. Kowboj zatrzymuje się gwałtownie. Dziewczyna przytula się policzkiem do jego szyi.

- Prawie się nam udało - mówi. - Byliśmy tak blisko.

- To jeszcze nie koniec - protestuje Kowboj. - Gdzie Dodger?

Chcę, żeby nie zamykać jeszcze sieci.

Sara cofa się, patrzy na niego.

- O czym ty mówisz?

- Teraz mamy o wiele więcej akcji, zgarnęliśmy pokaźny zysk.

Znajdujemy się w dużo lepszej sytuacji.

Sara potrząsa głową.

- A co to daje? My nie...

Chłodne powietrze owiewa mu czoło. Kombinezon przeciw-przeciążeniowy lepi się do niego, ściąga na dno studni grawitacyjnej.

- Zestrzeliłem ich raz - oznajmia. - Zrobię to ponownie. Przez chwilę Sara wygląda, jakby była zawieszona w czasie, na jej twarzy maluje się kompletny szok.

- Osłona. Tym razem będą lecieli z osłoną.

- Pieprzyć osłonę.

Kowboj bierze ją za rękę, prowadzi przez wnętrze namiotu do konsoli łącznościowej ustawionej z tyłu. Siedzi tu Dodger, pośród ruin planu. Konsola jest właśnie demontowana, spece z Flash For-ce przyglądają się krzątaniu z chłodnym zawodowym zainteresowaniem. Kowbojowi przychodzi do głowy myśl, że nigdy dotąd Dodger nie wyglądał tak staro.

- Dodger - mówi. - Posłuchaj, to jeszcze nie koniec.

Wszystkie głowy obracają się ku niemu.

- Chcę polecieć.

Stalowa gitara już gnie mu nuty w głowie.

Rozdział dwudziestą pierwszą

Sara, pełna niepokoju, leży nago na swojej palecie w przedziale namiotu oddzielonym od reszty wnętrza zwisającym płatem jo-wiszowego plastiku. Ramiona i szyję ma spalone słońcem na sku-tek kilkugodzinnego składania pod gołym niebem raket domo-wej roboty. Krem z filtrem, przywieziony z Florydy, okazał się niezbyt skuteczny na pustyni w Nevadzie. Chłodne powietrze, po-gwizdując, wieje z przewodu, lecz wcale nie poprawia jej samopo-czucia. Sara sięga po piwo, przyciska zimną butelkę do czoła, do-tyk chłodnego szkła sprawia jej przyjemność.

- Gdzie znajdziesz pilotów, Kowboju? - spytał Warren. - Mamy pięć delt, sześć, jeśli nie zatrzymamy ostatniej jako magazynu części zapasowych, lecz pilotów jest tylko trzech. Warren potrząsnął powoli głową na boki.

- Większość pilotów zginęła, przelatując nad Granicą. A ci, co przeżyli, zazwyczaj ukrywają się przed obydwojma przeciwnikami w tej wojnie.

Wtedy Sarze przypomniały się niektóre ze zdjęć wiszących na ścianie Błękitnego Jedwabiu, te nieowinięte żałobną wstążką. Wy-rzuciła z siebie wszystko, co wiedziała, skontaktowano się z Tam-pą. Maurice ruszył na Zachód, z gwarancją otrzymania trzydzie-stu tysięcy w złocie. Podjęto próby skontaktowania się z dwoma starymi kuterdzokami poleconymi przez Maurice'a. Jedna się udała. Helikopter przywiózł surowce do produkcji rakiet. Pod fa-lującą siatką maskującą dzień i noc wytwarzano paliwo i mate-riały wybuchowe.

- To ja - odzywa się głos Kowboja.

Rzepowe zamknięcie przedziału otwiera się z trzaskiem darte-go lnu. Pancerniak wchodzi, zamyka za sobą. Po twarzy ścieka mu pot. Ubrany jest w znoszony kombinezon. Czoło i dłonie ma spalo-ne słońcem.

- Cześć.

Kłęka przy Sarze i pochyla się, by pocałować jej pierś. Dziew-czyna podaje mu piwo, więc Kowboj siada, krzyżuje nogi i pije. - Dziś w nocy będę musiał ściągnąć tu deltę z Kolorado - mó-wi. - Lecę tam helikopterem.

- Kiedy zamierzasz się choć trochę przespać?

Kowboj ociera dłonią pot z czoła, potem wyciera rękę o udo.

- W trakcie lotu helikopterem - odpowiada. - Nie ja pilotuję. - Cholera, Kowboju. - Zasepiona Sara unosi się na łokciach. - Musisz wypocząć. Rozbieraj się i chodź do łóżka. Pancerniak uśmiecha się szeroko.

- Nie wiem tylko, jak spokojny byłby mój odpoczynek tutaj. Sara posuwa się, robiąc mu miejsce na palecie, poklepuje dło-nią posłanie obok siebie.

- Bardzo.... spokojny - mówi sugestywnie.

Kowboj odstawia piwo, sięga do suwaka kombinezonu i zamie-ra w bezruchu. Sara odwraca głowę, nasłuchuje, wyławia odległy, niski huk helikoptera, nadlatującego z północy.

- Cholera... - mruczy pod nosem.

Widzi gorączkę rozpalającą się w oczach Kowboja, błysk, który dostrzegła dwa dni temu, gdy wydostawał się z Delt... miłość do prędkości, metalu, obsesję krystalicznego interfejsu i elektronicz-nych rozszerzeń umysłu rozpędzonego do prędkości światła... W takim nastroju Kowboj

sprawia wrażenie otoczonego, jak jądro atomu, chmurą elektronów, nieprzenikalną, wolną od powiązań z Ziemią, całkowicie odporną... Pancerniak wstaje. - Przepraszam - mówi, lecz już jest nieobecny, umysłem zagłębia się w jakiejś wewnętrznej przestrzeni, szczelnie zamkniętej za jego plastikowymi oczami. Przesyła Sarze pocałunek i wychodzi. Dziewczyna sięga po piwo, podnosi je, odstawia. Przestała odczuwać pragnienie. Przetacza się na brzuch, czuje, jak nierówne podmuchy wentylatora osuszają jej pot na plecach. Później tego dnia pełni dyżur w łączności. Ruch jest niewielki, wiadomości są jak najkrótsze, aby zmniejszyć ryzyko wykrycia sieci przez Tempel. Sara siedzi w dużym, cichym pomieszczeniu, czuje, jak gąbkowa wyściółka zestawu nagłownego ociera jej spalone słońcem czoło. Nienawidzi panującej tu wojskowej atmosfery, straży, przydzielanych odgórnie obowiązków, całego tego nacisku położonego na ochronę i dyscypliny psującej styl ziemniaczki. Ekran przed nią jest pusty, jeśli nie liczyć białego kursora. Po przeciwległej stronie pokoju technik łączności robi coś z kablami, taśmą izolacyjną, złączkami. System chłodzenia nie wydaje się tu bardziej wydajny niż w jej własnym pokoju. Sfrustrowana, stuka w klawisze, wybijając na ekranie nonsensowne zbitki liter, zmazuje je.

Wie, że gdyby dobrze to rozegrała, nie siedziałaby tutaj na środku dawnego poligonu nuklearnego, pomagając bandzie amatorów-entuzjastów rzucić się na Orbitalców w kilku samolotach domowej produkcji. Mogłaby spoglądać na Nevadę z góry, z bez-grawitacyjnego domu wiszącego poza studnią, żyjąc tam razem z Daudem w przykładowej wręcz nietykalności. Oboje byliby oczyszczeni z błota, które przywierało do nich przez całe życie. Gdyby tylko lepiej poradziła sobie z Andre, gdyby nie pozwoliła sentymentom wpłynąć na jej działania... gdyby utrzymała swoją żądzę czystą i twardą jak tytan, byłaby teraz bezpieczna, otulona idealną izolacją próżni.

Urządzenie chłodzące szepcze o przyszłości, jaka nigdy nie nadejdzie. Sara wie, co jest najbardziej prawdopodobne: poszarpane ciała wymieszane z nadtopionym metalem, osobista śmierć, niewyraźna postać wyposażona w metalowe tęczówki Andre i szepczący głos Cunninghama, zbliżająca się z naddźwiękową prędkością pocisku. Cała ta śmieszna awantura domowej roboty eksplodująca jak szrapnel, ci, co przeżyli, rozpaczliwie szukający kryjówek, zwracający się przeciw sobie w walce o bezpieczeństwo. Technik uderza w coś trzonkiem śrubokręta. Sara uśmiecha się szeroko i rozluźnia w swoim fotelu, zsuwa zestaw nagłowny do tyłu, ociera czoło. Zamyka oczy i kręci głową na prawo i lewo, czując potrzaskiwanie w kręgach szyjnych.

Choć brzmi to kretyńsko, nie ma takiego innego miejsca, w którym bardziej chciałaby się znaleźć niż tutaj. Przychodząca wiadomość podrażnia jej umysł w momencie, gdy na ekranie pojawia się sygnał. Dziewczyna poprawia zestaw na skroniach i wysyła mentalny sygnał. Nerwy cierpną jej w odpowiedzi na zimny puls odległego, krystalicznego szaleństwa. - Tu Roon. Moi ludzie zdobyli datę i godzinę przesyłki.

Sara włącza zapis.

- Odbiór gotów - mówi do mikrofonu, nie ma sensu używać zestawu do pogaduszek.

- Czy to ty, Saro?

Wymuszona bliskość słów szepczących jej w głowie jest jeszcze gorsza, niemal nie do wytrzymania, wskutek ich beznamiętnego brzmienia, tego, co wie na temat człowieka, który siedzi w swoim zamku ze stopu, głaszcze lśniące włosy jednej ze swoich ofiar i mruczy w skalaki.

- Pamiętam cię bardzo dobrze. Gładka, oliwkowa skóra, blizny tak buntowniczo przez ciebie noszone. Pokazałbym ci całą daremność takiego buntu, Saro. Nauczyłbym cię radości podporządko-

wania.

Mroźny, odległy głos napełnia lodem jej żyły. Będzie musiała przeredagować ten zapis, nie pozwoli, by ktokolwiek to usłyszał. - Nie jestem Sara - odpowiada. - Jeśli nie ma pan wiadomości, którą mam przekazać dalej, proszę zwolnić ten kanał. - Ach. - Mimo beznamiętnego tonu Sara wyczuwa przyjemność, jaką Roonowi sprawia jej gniew. - Jak chcesz. Kolejna przesyłka le-ci na dół jutro w promie „Argosy”, klasy Venture, lądowanie przewidywane o osiemnastej trzydzieści dwie. Prom uda się do Edwards, nie Vandenberg. Będzie w eskorcie sześciu fregat klasy Hyperion. Serce Sary niemal eksploduje w piersi. Jutro to dużo za wcześnie. Piloci Kowboja nie odbyli nawet jednego wspólnego lotu. W dodatku Edwards to wojskowa i testowa baza Orbitalców, a nie port handlowy - dziewczyna domyśla się, że w Vandenberg nie ma sprzętu do przyjęcia fregat. To duże okręty, zdolne zarówno do lotów w kosmosie, jak i w atmosferze. Z drugiej jednak strony - Edwards leży bliżej ich bazy w Nevadzie i prom dłużej będzie znajdował się w zasięgu Kowboja.

- Wiadomość przyjęta - oznajmia Sara i powtarza ją dla potwierdzenia.

- Przykro mi, Saro. Naprawdę. - Kriogeniczny głos przepelniony jest rozwścieczającą wyższością. - Wiem, że to za wcześnie, że-byście zdołali się właściwie przygotować. Jednak wasza klęska jedynie opóźni nadejście historycznych powiązań. Nowy porządek i tak wyewoluuje. Zapewnia to czysta nieuchronność danych. Sara wyłącza gwałtownie zapis. Próbuje nie okazać wściekłości. - Będziemy działać zgodnie z planem - mówi. - Zestrzelimy prom.

dUT

unouiuuuium

W odpowiedzi Roona słychać leciutkie wahanie. - Zrozumiałem - mówi i jego obecność znika z sieci. Biały kursor znów zaczyna migotać.

Skurwiel, myśli Sara. Jeśli przerzniemy, jeśli nie zostanie już nic, złożę ci wizytę i wpakuję Łasicę prosto w mózg. Kiedy mnie szlag trafi, zostawię po sobie troszkę czystszej Ziemi. Sara wysyła na pager Dodgera wezwanie do pokoju łączności. Za pomocą zestawu nagłownego przeredagowuje wypowiedzi Roo-na i kiedy Dodger wchodzi, ma już gotową ostateczną wersję. Od-twarza mu zapis, przygląda się, jak w oczach starszego człowieka pojawia się obawa.

Dodger odcina porcję tytoniu z tabliczki, milczy długą chwilę. - Może damy radę go zestrzelić - mówi w końcu. - Wciąż jednak brakuje nam pilota.

Sara pochyla się nad swoim ekranem.

- Znajdę wam kogoś - oznajmia.

Maurice mówił jej o facecie, który, kiedy słyszano o nim po raz ostatni, mieszkał w Catalinie. Wyprowadził się i nikt nie wie do-kaąd.

Sara przekopuje się przez zapisy, odnajduje jego adres, dzwoni do dawnych sąsiadów. Jeden z nich wspomina coś o Santa Bar-bara, gdzie dziewczyna musi powtórzyć całą procedurę. Tym razem sąsiad wymienia Carson City. Strzał w dziesiątkę. Facet jest tuż obok.

Okazuje się, że potrzeba mu trzydziestu tysięcy w złocie. Flash Force organizuje przywiezienie go dziś wieczorem helikopterem. Dodger uśmiecha się do niej radośnie, poklepuje ją po ramieniu.

- Dobrze, Saro. Mamy eskadrę. - Przerzuca tytoń z jednego policzka w drugi, rozgląda się za jedną ze spluwaczek przywiezionych tu przez jego ludzi. - Twój Maurice przylatuje dziś w nocy. Zbiorę wszystkich pilotów, żeby mógł dać im wykład na temat taktyki Orbitalców.

Znów wojskowe gadki. Sara jest szczęśliwa, że nie musi w tym uczestniczyć. Ma jeszcze do odsiedzenia przy monitorze pół go-dziny, potem może zrobić przerwę na obiad, tyle że będzie to zbiorowy posiłek w namiocie, stanowczo za bardzo przypominający jej żywienie w obozie dla uchodźców, żeby należało oczekiwać go z apetytem.

Dodger odchodzi. Sara obserwuje błyski białego kursora i żałuje, że nie ma nic zimnego do picia. W tym momencie kursor rusza przez ekran, popędzany napływającymi danymi, w jej skroniach odzywa się nowy głos.

- Chcę rozmawiać z Sarą. Powiedz jej, że to brat.

Dziewczyna czuje dotknięcie ciepła.

- Daud, to ja.

- Saro, co to za facet, z którym rozmawiałem?

Siostra spogląda na technika wciąż walczącego z kablami, żałując, że nie może sobie tu zapewnić żadnej prywatności. - Naprawdę nie wiem. Przypuszczalnie jeden z pośredników. - Czy on naprawdę nazywa się Randolph Scott? - Głos Dauda brzmi jakos inaczej niż zwykle. Jakby był zmęczony albo na haju. Sara traktuje to jako ostrzeżenie, robi się czujna. - Wątpię - odpowiada. Ścisza głos i ostrożnie mówi do mikrofonu. - Jak ci się wiedzie? Gdzie jesteś?

- Ze mną wszystko w porządku. Znaleźliśmy z Nickiem chałupę. Odłożył trochę grosza.

Gdzieś to zdobył? Czy to on płaci za endorfiny, które pakujesz sobie w żyły? Chciałby zadać te pytania, ale wie, jakie byłyby odpowiedzi, że nigdy nie dowie się prawdy, dopóki będzie ukrywać się w Nevadzie.

- Nachodzili cię? Obserwują cię?

- O ile się nie mylę, nie.

W tle słychać domowy odgłos, jakby ktoś zamknął lodówkę, i krew w żyłach Sary zmienia się w ogień.

- Skąd dzwonisz? Z mieszkania?

-Nie.

Daud waha się ułamek sekundy przed odpowiedzią, co upewnia Sarę, że kłamie. Widzi go, stojącego przy telefonie z papierosem w dłoni, wzrok ma rozbiegany, gdy wypowiada te słowa. Pochyla się do monitora. Odzywa się tak nagłym tonem, że aż technik po drugiej stronie pokoju odwraca głowę i patrzy na nią. - Daud, powiedz mi. Nie będę zła, tylko mi powiedz. - Nie - upiera się Daud. W jego głosie brzmi wyraźna złość. - Dlaczego ty nigdy mi nie wierzysz? Powiedziałem, że nie. Sara zna go zbyt dobrze i wie, że to znów kłamstwo. - Daud, tu się zaczęło dużo dzieć - mówi szybko. - Nie mogę rozmawiać. Zadzwoń, kiedy to będzie bezpieczne.

unouiuuiom

Daud wypluwa z siebie wściekłość.

- Pieprzona dziwka! Powiedziałem ci...

- Kocham cię.

Wypowiada to beznamiętnie, jednocześnie uderzając w przycisk przerywający połączenie. Przygląda się konsoli, nie widzi nic nietypowego. Podnosi wzrok na technika.

- Naruszenie bezpieczeństwa - mówi. - Powiedz komuś. Jestem pewna, że ktoś monitorował tę rozmowę.

Rozdział dwudziestą drugi

Sara stoi na pustyni w towarzystwie Maurice'a. Pulsujące drgania gruntu wybijają z niej oddech. Delta Kowboja unosi się w ciemności, gładka czerń na tle nieba, skierowany w dół strumień odrzutu podnosi chmurę kurzu, rozwiewanego w wygwieżdżoną noc. Sara mruży oczy, chroniąc je przed pyłem, mięśnie kar-ku i szyi tężeją w oczekiwaniu na upadek czegoś z nieba... Harmonogram jest zbyt napięty, powiedziano jej. Skoro jutro po południu mają przechwycić prom, nie zdołają i przenieść bazy, i wykonać zadania. Nie sądzą, powiedzieli, żeby jakikolwiek program był zdolny wytropić ich przez tak liczne przerzutniki rozmieszczone w sieci. Będą tylko musieli wzmocnić ochronę, ściągnąć więcej ludzi, broni defensywnej i mieć nadzieję, że eksperci z Flash Force mają rację.

Delta ląduje, gwizd silników cichnie, chmura kurzu opada. Znajdują się kilometr od namiotu dowodzenia, samoloty są rozśrodkowane, żeby trudniej było je znaleźć. Sara łapie się na tym, że wpatruje się w pełną diamentowych błysków ciemność nad głową z zeszywniałymi mięśniami szyi i ramion, zdaje sobie sprawę, że czeka na skałę. Jeśli Tempel zna ich położenie, byłby to najłatwiejszy sposób, żeby się ich pozbyć.

Załoga naziemna podbiega z siatkami maskującymi. Owiewka unosi się i Kowboj staje w kokpicie, w jego czarnym hełmie odbijają się gwiazdy. Kiedy spuszcza drabinkę na promieniujący ciepłem piasek, Sara podchodzi do samolotu. Słyszy, że Maurice ci-cho idzie za nią.

- Kowboju, Daud dzwonił i...

- Wiem. Powiedzieli mi jeszcze w czasie lotu. Zrobiłem parę dodatkowych uników na wypadek, gdyby ktoś nas szukał.

juo
unguiuujuin

Jest znużony, Sara widzi to nawet w słabym świetle gwiazd. Wo-kół nosa i podbródka ma czerwony ślad w miejscu przylegania maski podającej anestetyk. Ściąga hełm i ociera pot. - Coś trzeba będzie zrobić z tym twoim bratem, Saro.

Dziewczyna czuje przeszywające ją ciarki.

- To mój kłopot.

Może dotarli do niego, myśli, może Nick siedział tam cały czas, wciąż mu coś sugerując. Może już po prostu wszystko przestało go obchodzić, nie chciało mu się poćwiczyć trochę nowych nóg spacerkiem do innego telefonu.

- Twój kłopot mógł właśnie rozwalić bazę. Twój problem może zabić nas wszystkich.

Kowboj wyciąga dłoń w rękawiczce, żeby dotknąć blednących siniaków na jej twarzy.

- On jest za to odpowiedzialny - mówi.

- Nie on. To był mój błąd, nie jego.

- Pozwolił im wciągnąć cię w zasadzkę. Czyj to był błąd? Sara nie odpowiada, potrząsa tylko głową. Czuje ukłucia bólu za oczami, w skroniach. Zdaje sobie sprawę, że Daudowi nie można ufać, ale to nie zmienia jej uczuć. Wciąż jest odpowiedzialna za cechy, które czynią go niegodnym zaufania, była nieuczciwa, próbowała zdradzić, a to pozostawiało blizny na jej twarzy i w sercu. Sprzeniewierzyła się swojemu dążeniu, szansie na życie z daleka od tego wszystkiego... Czuje pustkę w piersi, próżnię w miejscu, z którego został wydarty cel jej życia.

Kowboj odwraca się od niej, wyciąga rękę do Maurice'a.

- Cieszę się, że mogłeś przyjechać - mówi.

Łagodny, smutny uśmiech Maurice'a wydaje się jeszcze jedną twarzą nocy. Jego oczy lśnią jak dwa dalekie księżyce. - Cieszę się, że dostałem tę szansę - odpowiada.

Pod kołnierzykiem koszuli ma na szyi zawiązaną swoją błękitną chustę, wyblakły symbol dawnej lojalności.

- Jesteś ostatni. Zorganizowałem odprawę na temat fregat klasy Hyperion i ich najbardziej prawdopodobnej taktyki. - Teraz? No to do roboty.

W czasie długiego marszu do namiotu Sara idzie za nimi. Obaj rozmawiają pełnym lotniczym terminów żargonem, który sprawia wrażenie dużo bardziej hermetycznego niż to konieczne. Język ich tajnego klubu, myśli dziewczyna, ekskluzywnego stowarzyszenia czcicieli prędkości i mechanicznej przemocy. Nie idzie na odprawę, i tak nic by nie pojęła, zamiast tego znajduje kanapkę i zimną lemoniadę, idzie do swojego pokoju, rozbiera się i rozciąga na palecie. Ma sześć godzin do kolejnego dyżuru, składania raket w piecu okopu warsztatowego. Z głową na poduszce, wpatrując się w zgięcie łokcia, rozpatruje kilka ostatnich tygodni i próbuje odnaleźć ten punkt, w którym zmieniła się jej lojalność, kiedy zrezygnowała ze swojego marzenia... W którymś momencie przesunął się środek ciężkości z niej i Dauda ku czemuś bardziej złożonemu. Przetrwanie było prostym celem, przeżycie jej samej i brata - to i ucieczka z błota. Nowa lojalność jest o wiele bardziej skomplikowana niż zwykłe przetrwanie. Ludzie Kowboja, pancerniacy i piloci, wcale nie należą do walczących o przeżycie. Nie są aż tak ekstrawagancy w poszukiwaniu zguby jak Srebrni Apacze, lecz w ich drodze ku absolutowi jest coś, co ją zmusza do zastanowienia... W każdej trasie gonią za zapomnieniem, oceniają się nawzajem według tego, jak głęboko potrafią wcisnąć się w oczodoły kruszącej się czaszki śmierci, czekającej na nich w niebie, wcisnąć się i wrócić... Mówią o Kowboju jakby był nieśmiertelny, jakby jego życie było magiczne, lecz Sara wie, że jeśli nadal będzie napinał tę delikatną barierę dzielącą go od mroku, któregoś dnia bariera pęknie, a on pokoziołkuje samotnie w ciemność.

Za kilka godzin tych sześć delft może zmienić się w kałużę stojącej wody na pustyni w Kalifornii, wypełnić się może ostateczny los pilotów, i co wtedy z jej nową lojalnością? To małe miasteczko namiotowe straci wtedy swój cel. Przy odrobinie szczęścia ludzie z Flash Force może podrzucą ją do najbliższego miasta. Daud jest słaby i nieodpowiedzialny, lecz jego siostra wie, że potrafi go zmusić do zaakceptowania życia. Sądzi jednak, że w przypadku Kowboja jest to nieosiągalne.

Nie przychodzi do niej tej nocy: odprawa przeciąga się do późna, a wczesnym rankiem pojawia się jakiś kłopot z jednym z silników i angażuje wszystkich mających jakieś doświadczenie. Sara leży na plecach i gapi się w sufit, zastanawiając się, czy skała spadnie, czy przez materiał namiotu zobaczy jej blask, zanim wszystko zmiażdży fala uderzeniowa.

Skąła spada wczesnym popołudniem. Sara pracuje w warsztacie nad ostatnimi dwiema raketami powietrze-powietrze, umocowanymi w zasobniku, gotowymi do zamontowania w delcie Maurice'a, ukrytej dwa kilometry stąd pod siecią maskującą. Ma na sobie tylko jednocześnie kostium kąpielowy i lekkie buty, zbrojone ubranie i pistolet powiesiła na jednym z uchwytów bombowych. Spotkała się dziś z Kowbojem tylko raz, w namiocie stołkowym, przy śniadaniu, w otoczeniu innych pilotów. Od tamtej pory widziała już jedynie trzech ludzi pomagających przy raketach i Maurice'a, siedzącego cierpliwie w swojej delcie w oczekiwaniu na przygotowanie rakiet i podczepienie ich pod skrzydła.

Nagle odzywają się alarmy. Sara wstaje gwałtownie, spostrzega przerażone miny techników montujących rakiety, sięga po zbrojoną kurtkę i spodnie, łapie półautomatyczny pistolet. Rzuca się w stronę niewielkiego okopu odległego o kilka metrów. Nie zamierza dać się związać w walce w pobliżu takiej ilości materiałów wybuchowych.

Wskakuje do transzei, nieznosny upał już ją niemal pozbawił tchu. Sięga do kieszeni po inhalator z żarówką. Słyszy wyjące sygnały alarmowe, odgłos biegnących stóp, narastający wizgot obracających się pancerek... Żarówką pędzi przez jej nerwy, krew i mięśnie nabierają życia. Wbija nogi w spodnie, ma kłopot z zapięciem suwaka. Zamiera w bezruchu, gdy coś rozdziera powietrze nad jej głową. Wpatruje się w niebo, po tym dźwięku oczekuje widoku pokrytej ablacyjnym poszyciem, czarnej igły fregaty Orbitalców, pędzącej jej wprost między oczy... nie dostrzega nic. Wstrząs ciska nią o piaszczystą ścianę okopu. Powietrze pełne jest spadającego żwiru. Następują kolejne wstrząsy, poprzedzone wyciem rozdzieranego powietrza. Sara zdaje sobie sprawę, że to artyleria. Moździerz albo coś podobnego, dużego. Parabolicznym torem ostrzeliwuje bazę.

Siada, wykasłuje okruchy żwiru. Piasek pokrywający jej spocną skórę utrudnia wciągnięcie kurtki. Eksplozje oddalają się, ryzykuje zerknięcie nad krawędzią okopu. Mrugając gwałtownie, czyści oczy z potu i pyłu w samą porę, żeby zobaczyć kanciaste sylwetki pancerek na grzbiecie odległym o jakieś osiemset metrów. Ciągną się za nimi takie ogromne ogony kurzu, że wydaje się, jak-by pół pustyni wyrzucały w powietrze. Automatyczne systemy obronne Flash Force z jazgotem odpalają rakiety wiązkowe i grzbiet pokrywają plamy jasności. Gdzieś za Sarą ktoś krzyczy. Jedna z pancerek Dodgera rusza, rozpędza się na równinie. Z wyciem przelatuje za nią, dziewczyna zdaje sobie sprawę, że została wzięta w dwa ognie. Rzuca się płasko na dno okopu. Jazgot dartego powietrza, wstrząsy, zgrzyt metalu, huk silników. Moździerze prowadzą ostrzał wachlarzowy, tam i z powrotem, bezlitośnie tłukąc ziemię. Odgłosy znów zaczynają się oddalać, więc ryzykuje kolejne spojrzenie.

Przed nią, nieco z prawej, widać trafioną pancerkę napastników, z jej tylnej części bucha w niebo czarny dym. Słychać basowy werbel działka błyskającego na górnej wieżycze. Drzwi ładowni pancerki są otwarte, z wnętrza wybiegają ludzie w pustynnych ubiorach maskujących i czarnych hełmach, rozpraszają się po pustyni. Sprawiają wrażenie, iż poruszają się synchronicznie, przepatrują teren w taki sposób, że pola ich widzenia nakładają się, więc oddział kontroluje obszar obejmujący trzysta sześćdziesiąt stopni. Ich ruchy są niepokojąco szybkie i efektywne. Okablowani mają kryształ z oprogramowaniem bojowym dla małych oddziałów, Sara nie ma szans im dorównać. Czuje ulgę, że znajdują się poza zasięgiem pistoletu maszynowego, nie będzie miała pokusy, żeby ich ostrzelać i ściągnąć na siebie ogień. Po lewej przejeżdża pancerka napastników,

ciągnąc za sobą chmurę kurzu. Sara odwraca się, gdy pojazd uderza w stojącą del-tę, odrzuca ją na bok jak samochód rozjeżdżający motocykl. Sa-molot wiruje, z jękiem pękają żebra kadłuba. Pancerka pędzi da-lej z rykiem, powiewa za nią zaczepiona gdzieś z tyłu siatka maskująca. Potem ściana kurzu dociera do Sary i przesłania wszystko.

Panika ściska ją za gardło. Nie mam do tego kryształu, myśli. Zeskakuje z powrotem na dno okopu i sięga po pistolet. Jeśli kto-kolwiek dotrze do jej ukrycia, zabije go. Poza tym nie będzie się mieszać i poczeka na ogłoszenie zwycięzcy. W takich sytuacjach uliczna dziewczyna może jedynie zarobić parę pocisków od prze-ciwnika, Sara zdaje sobie z tego sprawę. Czas pozostawić obronę w rękach Flash Force: za to im płacą. Żarowina targa jej nerwami. Dziewczyna opiera się o ścianę okopu, kieruje pistolet na prze-ciwległą jego krawędź. Ma nadzieję, że kiedy będzie trzeba, oka-że się wystarczająco szybka.

Eksplozje wstrząsają planetą. Trzask broni ręcznej dołącza do wycia rakiet i ryku silników odrzutowych. Kurz opada całymi chmurami, pokrywa jej ramiona, kolana, zbiera się na rzęsach. Szybkimi ruchami co chwila ściera go z broni. W pewnym momen-cie powietrze nad nią przeciera się na tyle, że w górze widzi deltę, przeciągniętą, spadającą na jedno skrzydło wprost na nią. Po cha-rakterystycznej konfiguracji rozpoznaje samolot Maurice'a, widzi srebrny błysk, kiedy rakietka przelatuje nad uniesionym skrzy-dłem i nierównym kursem znika w niebie. Sara bezradnie czeka na cios, na miażdżące uderzenie pełnego ładunku epoksydowego kadłuba, jednak skrzydła delty jakoś znajdują dość powietrza, by się utrzymać w górze, samolot obraca się i znika z pola widzenia. Dziewczyna kuli się w oczekiwaniu na wstrząs, który nie nadcho-dzi. Maurice jakoś uniknął rakiety i nie wpadł przy tym w zabój-czy chwyt grawitacji.

Moździerze znów koncentrują ogień blisko Sary, która wciska się jeszcze bardziej w swoją kurtkę. Potem ostrzał artyleryjski cichnie i dziewczyna zdaje sobie sprawę, że kanonada osłabła. Większość strzałów pochodzi z ręcznej broni, od czasu do czasu warknie działko lub karabin maszynowy. W chmurach kurzu nad głową zaczyna prześwitywać błękit. Sara zmienia pozycję, przyku-ca na piętach, odważa się zerknąć na zewnątrz.

Słupy dymu unoszą się ze zrytej pustyni. W polu widzenia ma cztery rozbite pancerki, strzaskaną deltę, wypatroszoną limuzynę Flash Force oraz płonącą postrzelaną cysternę z paliwem. Wszę-dzie leżą ciała, większość w jasnych kombinezonach noszonych przez ludzi Dodgera. Sara nie widzi nikogo, ale skądś dobiega stu-kot broni. Z nieba spada czarny kształt, dziewczyna rozpoznaje deltę Maurice'a, spod jej skrzydeł błyskają płomienie odpala-nych rakiet. Słyszy eksplozje, ale nie widzi celu. Potem delta wzbija się w górę, wracając w niebo.

Sara cofa się na dno okopu i próbuje zetrzeć z twarzy rozmazu-jącą się mieszanek potu i kurzu. Zmęczenie walczy w niej z żaro-winą, zmęczyła się, próbując przetrwać atak. Daud, myśli tępo, sprowadził to na nich jednym telefonem. Zaciska palce na uchwy-cie pistoletu maszynowego, tężeją jej mięśnie szczęk. Wyobraża sobie Łasicę szarpiącą nowe ciało brata, skaczącą do fałszywych błękitnych oczu. Słyszy odgłosy towarzyszące jego panicznym uni-kom przed ciosami...

W górze przelatuje ze świstem delta. Strzelanina już ucichła, słysząc jadące samochody. Sara odgania natrętne wizje i ponow-nie wygląda z okopu. Dostrzega ludzi w maskujących zbrojach i czarnych hełmach, podnoszą się z ziemi z rękami uniesionymi do góry. Ludzie z Flash Force wysypują się z pojazdów, okrążają ich. Najemnicy, myśli dziewczyna z gniewem. Kiedy biorą się nawza-jem do niewoli, mają umowy zapewniające dobre traktowanie i zwolnienie jeńców. Nie jak w jej świecie, gdzie żadne błędy nie są dozwolone.

- Personel techniczny, zgłaszać się do kierowników swoich ze-społów - ryczy megafon od strony namiotu dowodzenia. - Musimy oszacować straty.

Sara wstaje w okopie. Następne pół godziny to ciąg rozmazanych obrazów, zanurzonych w zmęczeniu, wyciskająca pot robotą w upiornej scenerii, przy bezustannym oczekiwaniu na kolejny jęk alarmów, na odgłosy następnego ataku.

Maurice łąduje swoją deltą, Sara przynosi mu z okopu dwie rakiety, uginając się pod ich ciężarem. Inni ludzie zajmujący się uzbrojeniem wspinają się, żeby uzupełnić amunicję do działka. Dziewczyna dowiaduje się, że to Maurice wygrał bitwę, jedyny pi-lot znajdujący się w maszynie w chwili ataku. Przeleciał nad grzbietem i uciszył moździerze, których ogień zbliżał się do delt, potem pomógł zlikwidować atakujące panczerki. Dwie delty zostały zniszczone na ziemi, reszta - rozśrodkowana za wzgórzami i grzbietami, chroniona kamuflażem - przetrwała, częściowo dla tego, że dwie panczerki obrońców stały na drodze i ściągnęły na siebie większość rakiet napastników.

Kiedy Sara dociera do maszyny, Maurice stoi w kokpicie. - Maurice - odzywa się, a serce dziko się tłucze w piersi. - Gdzie Kowboj? Wiesz coś?

- Nic mu nie jest. Ani jemu, ani „Express”. Całą walkę przesiedział w transzei.

Sara odzyskuje oddech, próbuje się uśmiechnąć. - Wszystko w porządku, Sara - mówi Maurice. - Zestrzelimy ten prom.

Kiedy dziewczyna zdaje sobie sprawę, że przyniesione przez nią dwie rakiety są jedynymi, jakie mu zostały, zaczyna w to wątpić. Resztę zużył na panczerki.

- Czuję się dobrze.

To Jimi Gutierrez, przenoszą go obok na noszach zrobionych z prześcieradła. Skórę ma poczerniałą, obie nogi upalone na wysokości ud. Nie wiadomo, dlaczego wciąż jest przytomny. Uśmiecha się, kłamry na jego zębach połyskują upiornie w spalonej, poszar-panej twarzy.

- Nic mi nie jest. Wciąż mam swoje złącza.

Sara macha Maurice'owi ręką i biegnie z powrotem do namiotu dowodzenia. Zawalił się, ale już ponownie go stawiają, a sprzęt w nim się znajdujący pospiesznie przygotowują do ewakuacji, pakują i wynoszą. Rannych trzeba odwieźć do szpitala w Vegas. Biegnąc po kamienistej powierzchni pustyni, Sara mija miejsce egzekucji dwóch wrogich pancerniaków, wykonywanej przez techników Dodgera. Strzały z pistoletów odbijają się echem od odległych wzgórz. Ci dwaj, tak samo jak Sara, nie podlegają umowom pomiędzy zawodowcami, obowiązującym najemników. Pozostali napastnicy, którzy przeżyli, japońscy najemnicy, przywiezieni tu nocą suborbitalnym promem, stoją spoceni w szeregach, beznamietnie pozwalając odbierać sobie broje i broń. Pomiedzy nimi dziewczyna spostrzega drobną, jasnowłosą sylwetkę i staje jak wryta. To jeden ze współpracowników Cunninghama, ten niższy. Pół twarzy ma poobcierane, krew spływa mu na biały podkoszulek. Jedna ręka na temblaku, prowizoryczne bandażę czerwienieją.

- Sara - mówi.

Krew ją zalewa. Dzięki scalakom ruchy są oszczędne, ekonomiczne. Puszcza serię przez jego pierś, przygląda się, jak pada. Śledzą ją nieufne oczy pozostałych najemników usuwających się z linii ognia. - Hej - protestuje jeden z ludzi z Flash Force, unosząc pistolet. - To nie najemnik. On należy do personelu Orbitalców - pomi-mo wrzącej w niej furii, mówi lodowato spokojnym głosem. - Nie podlega żadnym umowom.

Pracownik Flash Force przygląda się jej z powątpiewaniem. No-si mały wąsik, pełen grudek kurzu. Oczy ma zmęczone, podkrążone. Sara wkłada pistolet do kabury, wyszczerza zęby w uśmiechu. - Jeśli znajdziesz wśród nich jeszcze jakichś facetów o okrągłych oczkach, będą to Orbitalcy. Gdzie ujęto tego gościa? Cun-ningham - Calvert - prawdopodobnie był razem z nim. Widzi, jak najemnikowi wręcz podnoszą się włosy na karku. - Kim ty, do diabła, jesteś? - niemal krzyczy. - Nie mam żad-nych poleceń...

Za jej plecami narasta jęk silników. Odwraca się od bełkoczą-cego najemnika i widzi cztery delty startujące z kryjówek na pu-styni, unoszące się na drgających kolumnach ciągu jak czarne owady. Ryk ich silników zmienia się, kiedy ruszają do przodu, mierząc ostrymi dziobami w niebo.

- Hej, kim jesteś?

Najemnik szturcha ją. Sara widzi krople potu na jego twarzy, rozszerzone oczy, drżące dłonie ściskające broń. Cały tłumiony strach znalazł ujście w tym pytaniu.

- Hej. Chcę wiedzieć...

Mężczyzna zaczyna płakać. Sara obserwuje delty wznoszące się w niebo. Z trudem może oddychać przez ściśnięte gardło. - Cholera jasna... - najemnik krztusi się - nie możesz... nie możesz rozwalić kogoś ot, tak sobie... To nie jest... musisz mieć do tego prawo.

Łzy spadają mu na kombinezon, spływając, drążą w kurzu śla-dy. Sara biegnie do namiotu dowodzenia, znajduje oficera, wyja-śnia mu wszystko. Okazuje się, że mężczyznę pojmano razem z ob-sługą mózdzierza rozbitego raketami Maurice'a. - Calvert prawdopodobnie był razem z nim - mówi Sara. - Pro-wadzi tu interesy Tempel. Lepiej go znajdźcie.

Delty dawno już znikły w blasku słońca, kiedy w chmurach ku-rzu w stronę stanowiska artylerii ruszają dwa terenowe wozy peł-ne najemników z Flash Force. Sara jedzie z nimi, siedzi koło oficera w tyle samochodu.

Moździerz leży na pustyni, czarna, połamana rura odrzucona dwieście metrów od miejsca, w którym rakiety Maurice'a zdeto-nowały amunicję. Są tu też szczątki systemu łączności napastni-ków. Oficer przeszukuje nierówne wzgórza wspomaganymi oca-mi. Wyciąga rękę.

- Miejsce ich zbiórki prawdopodobnie znajdowało się tam - oznajmia.

Jego ludzie tyralierą ruszają w stronę zwierzyny. Pojazdy zaj-mują pozycję na skrzydłach w nadziei zagonienia Cunninghama w ręce piechoty.

Sara kurczowo przytrzymuje się burty ostro ruszającego wozu. Pot zbiera się jej pod zbroją, kurz pokrywa skórę. Dziewczyna in-tensywnie wpatruje się w pustynię, dłoń trzyma na kolbie pisto-letu.

Omija ją zakończenie. Po lewej stronie wybucha strzelanina, odzywa się radio oficera, który klepie kierowcę w ramię i pokazu-je mu kierunek. Pojazd skręca, przyspiesza, wzniecając rosnący kłęb kurzu.

Cunningham dostał w głowę, pocisk trafił w oko i wywalił tyl-ną część czaszki, ale jego twarz wciąż można rozpoznać. Sara pa-trzy z pojazdu na zakurzone zwłoki. Oficer spogląda na nią, ocze-kując potwierdzenia.

- Nie pozwoliliby się wziąć żywcem - mówi Sara. Oficer kiwa głową i spogląda na nieboszczyka z pewnym sza-cunkiem.

- Połóżcie go z tyłu - rozkazuje.

Żołnierze wsuwają ciało, potem sami wskakują. Sara obserwuje trupa objającego się o podłogę, kiedy samochód skacze na wybojach.

Patrząc tak, myśli o ostatnim z nim spotkaniu, w pokoju na za-pleczu Plastikowej Dziewczyny, kiedy się żegnali, kiedy bardziej niż cegokolwiek innego pragnęła biletu Cunninghama, za wszelką cenę. To jest cena, myśli, płytki grób na pustyni. Bagniak, który wrócił na Ziemię, by umrzeć.

Spogląda w niebo na zachodzie. Kowboj jest tam, prawdopodobnie już zmagają się z dzokami Tempel. Sara podnosi rękę do szyi, Cyganka dotykająca żelaza.

Wie, że poza zasięgiem jej wzroku niebo płami ogniem.

Rozdział dwudziestą trzeci

Alkohol huczy w sercu Kowboja. Opływające powietrze parzy je-go epoksydową skórę. „Pony Express” leci łukiem nad Kalifornią, z prędkością trzech machów przesywając ciemniejące niebo. Jest spóźniony w stosunku do planowanego czasu przechwyce-nia, wie o tym, dlatego pędzi po dachu świata tak szybko, jak to tylko jest możliwe. Od chwili gdy w jonosferze prom jest niewi-dzialny, do czasu lądowania w bazie Edwards upłynie siedem mi-nut i delty muszą wtedy go strącić. Kowboj dochodzi do wniosku, że po pościgu i walce nad Mojave nie będzie miał dość paliwa na powrót, może tylko mieć nadzieję na posadzenie samolotu na ja-kimś płaskim kawałku pustyni albo dnie wyschniętego jeziora oraz wezwanie cysterny, żeby napełnić zbiorniki i móc odlecieć do Kolorado.

Czuje żwir pod maską, drapie go. Okruchy wspomnień w kształ-cie drobin kurzu, pamiątki z długiego popołudnia, które spędził skulony w transzei w towarzystwie Dodgera, kiedy mózdzierze Or-bitalców prowadziły wachlarzowy ostrzał, a delty ginęły w huraga-nie pędzonej odrzutem stali Chobhama. Nie był to jego rodzaj wal-ki, nie do takiej został stworzony.

Teraz nadszedł czas zemsty. Już czuje pulsowanie radaru skie-rowanego z kopuły nieba w dół. Siedem różnych sygnałów, dwie fregaty w przedzie, pędzące przez atmosferę ze schowanymi skrzydłami i rozżarzonymi poszyciami ablacyjnymi. Straż przed-nia, mająca za zadanie zmieść ze szlaku wszystko, co mogłoby przetrwać orbitalny atak w Nevadzie. Następnie, trzydzieści kilo-metrów za nimi, prom, wyróżniający się silniejszym radarem. Da-lej dwie pary fregat, również trzymające taki sam dystans. - Tu Kowboj. Cel zlokalizowany.

Dostaje z ziemi potwierdzenie otrzymania wiadomości. Tym-czasem Kowboj z pogardą przygląda się amatorskiemu postępo-waniu Orbitalców. Przedstawiciele prawa chyba nie potrafią po-jąć, że radar działający w myśliwcu zdradza jego pozycję detektorom biernym o wiele wcześniej, niż sam jest w stanie co-kolwiek dostrzec. Orbitalcy najprawdopodobniej wcześniej za-uważą go w podczerwieni niż na ekranie radaru. Pędzące ku wrogiej formacji delty, również ustawione są w pa-ry, Kowboj na przedzie z Andym, byłym deltadżokiem, jako skrzy-dłowym, lecącym trzy kilometry wyżej i z tyłu, trochę po lewej. Dwaj byli piloci Sił Kosmicznych, Diego i Maurice, tworzą drugą parę, czterdzieści kilometrów z tyłu.

Deszcz kodowanych transmisji Orbitalców dociera do kryszta-łu Kowboja. Brunatny brzeg Kalifornii zanurza się w morzu. Przednie fregaty są jasnymi, nakierowywanymi podczerwienią pociskami, celującymi wprost w jego mózg. Wysyła sygnał do An-dy’ego i „Pony Express” zaczyna dygotać, ciężko pracując szkiele-tem kadłuba, próbując manewrami uniknąć laserów wrogich jed-nostek. Delta zygzakuje w górę i w dół, skręca w bok, poprawia kurs, skręca ponownie. Kowboj sprawdza systemy, wytrzymują ciosy atmosfery. Przez skórę czuje dodatkowe impulsy mikrofalo-we, potem kolejne - orbitalne rakiety naprowadzane radarem. Wypuszcza raketę pozorującą, która powinna dać wystarczająco silny obraz radarowy.

Wystrzeliwuje pocisk antyradarowy, żeby zniechęcić fregaty do ich używania, w chwilę później otrzymuje od Andy’ego po-twierdzenie, że zrobił to samo. Na moment wszystkie jego czujni-ki wariują, dowód, że właśnie przeciął wiązkę laserową. Uśmiecha się drapieźnie ku niebu i intruzom ze stopu. Ktoś nie wróci z tej potyczki i Kowboj uznaje, że lepiej, by byli to ludzie Tempel. Czas na sprawiedliwą karę.

Nad jego owiewką pojawia się srebrzysty błysk, kiedy pocisk antyradarowy mija go ośmiokrotnie szybciej niż dźwięk. Wykrzy-kuje w maskę swój narastający bunt. Po lewej burcie pojawia się ciepły błysk.

- Trafiliśmy jednego! - krzyczy Andy.

I już rzuca „Pony Express” w strugach powietrza za fregatami, rozsiewając termitowe flary w osłonie przed pociskami naprowadzonymi podczerwienią. Nic już nie ma pomiędzy nim i promem. W nerwach, napiętych jak struny gitary, dźwięczy mu triumf. Górne działko wysuwa się i strzela, stawiając ścianę pocisków na drodze promu. „Argosy” jest mniejszy i zwrotniejszy niż poprzednio zestrzelony, ale i tak delta może zataczać kręgi wokół niego. Od tyłu, z fregat, w ciasnych, zbiegających się pętlach, nadlatują pociski naprowadzane radarem. Kowboj, wciąż strzelając z działka, wysyła rakiety pozorujące, bocznym poślizgiem wykonuje unik przeciwrakietowy. Kończąc manewr, leci pochylony na prawe skrzydło, wysoko nad przejrzystym błękitem Pacyfiku, bezdenną, geometryczną powierzchnią z barwionego szkła... i nagle widzi prom, gigantyczny, czarnonosy cień. Nad jego potężnymi skrzydłami widać dźwiękowe fale uderzeniowe przemieszczające się jak pajęczyny, znikające w jednej chwili, lecz wypalające swój obraz w celownikach oczu Kowboja. Próbował trafić go z działka, ale nie widać większych uszkodzeń. „Pony Express” podskakuje w strugach powietrza za „Argosy”, potężny udar soniczny przebiega przez jego szkielet jak trzęsienie ziemi przez grunt Kalifornii, dźwięk tak niski, że niesłyszalny, wyczuwalny tylko w trzewiach i kościach... Kryształ w jego głowie wręcz grzeje się, kiedy Kowboj rzuca samolot w serię manewrów, skręca, unosi nos, aktywuje hamulce aerodynamiczne i zdusza ciąg przepustnicami. „Pony Express” zwalnia, jakby trafił w powietrzu na morze miodu. Mięśnie szyi pilota walczą z przeciążeniem wyciskającym krew z mózgu. Kowboj opuszcza nos maszyny i zwiększa dopływ paliwa, jednocześnie odpalając rakiety, które zatoczą pętle i podążą za promem.

Właśnie wykonał manewr nazywany jo-jo, który powinien ustawić go dokładnie za „Argosy” w idealnej pozycji strzeleckiej, ale stracił sporo prędkości i będzie potrzebował trochę czasu, żeby dogonić cel. Jednak już czuje oddech Orbitalców na karku. Druga para fregat spada na niego jak jastrzębie, potężne silniki dają im przyspieszenie, o jakim żadna delta nie może marzyć. Kowboj wciąż robi uniki, nawet nurkując za „Argosy”, lecz trafienie laserem niszczy mu część tylnych czujników, wyczuwa też siedzące mu na ogonie rakiety termoczułe, jasne igły przeszywające niebo.

Razem z Andym zaplanowali cały manewr. Kiedy Kowboj, minawszy prom, wykonał jo-jo, Andy zrobił po lewej to samo, wskutek czego fregaty mają przed sobą dwa cele, poruszające się różnymi kursami. Ich piloci decydują się razem podążyć za prowadzącym, ale dzięki temu Andy w ogóle nie jest atakowany. Wychodzi ze swego jo-jo, wsiada fregatom na ogony i czując w kryształach pomruk czujników ciepła, odpala dwie rakiety, które zmieniają jeden z wrogich pojazdów w kłęb ognia, wirujących szczątków ze stopu i płonącej izolacji. Drugi robi unik, wyrzuca termitowe przynęty, rezygnując z ataku na Kowboja. Ten wciąż jednak ma za sobą rakiety, odciągające uwagę od potężnego celu z przodu. Wyrzuca kolejne termitowe flary, nagle rozlega się łomot po pancerzu, metal odparowuje w zetknięciu ze stalą Chobhama. To spadające łuski z czyjegoś działka. Nagle Andy dostaje. Jego delta koziołkuje, pęka w chmurze ognia. Kowboj nie ma pojęcia, co się stało, słyszy jedynie dziwny elektroniczny jęk w jednym uchu, nadawany przez radio odgłos topnienia jego elementów... Podejrzewa, że być może łuska wpała we wlot powietrza, lecz nigdy się o tym nie upewni. Co innego zaprzęta jego uwagę.

Wciąż odbiera radarowe sygnały z sześciu źródeł, co oznacza, że fregata trafiona rakieta antyradarową nadal jest sprawna. Kowboj zdaje sobie sprawę, że pojazdy klasy Hyperion są odporne. Pocisk mógł po prostu odbić się od osłony ablacyjnej. Oznacza to pięć fregat przeciwko trzem deltom, z których jedna ma tylko dwie rakiety.

Robi mu się ciemno przed oczami, kiedy zbliża się do promu. Przy tym przeciążeniu jego serce musi ciężko pracować, by za-pewnić wystarczający dopływ tlenu do mózgu. Wrogi statek sta-nowi wielki cel przed nim, lecz kolejne dwie fregaty spadają na niego z góry - ich przyspieszenie jest przerażające - i nagle celu-je w niego tyle rakiet, że nie jest w stanie sobie z nimi poradzić. Systemy protestują, kiedy robi ześlizg na skrzydło, wystrzeliwuje antyrakiety naprowadzane wszelkim rodzajem promieniowania, ponownie wysuwa działko, próbując ustawić przed fregatami ścia-nę z trzydziestomilimetrowych pocisków... Od najbliższej dzieli go tak mała odległość, że widzi jasne błyski trafień, lecz nagle w mózgu zapalają mu się czerwone światła, działko sygnalizuje brak amunicji. Pojawia się coraz więcej czerwieni, gdy laser od-parowuje część hydrauliki i z „Pony Express” zaczyna do atmosfery wyciekać ciecz robocza, w końcu, gdy jedna z samonaprowadzających rakiet dociera do celu, na zewnątrz, poza kabiną, rozjarza -----
-----ułowei juii uiuiioitia-----

----- qci się potężna kula tej samej barwy. Trafiona fregata jednocześnie traci część powierzchni sterujących i opływ aerodynamiczny, bez-litosny cios powietrza rozdziera ją w czasie jednej dziesiątej se-kundy. .. Druga zmienia nierówno kurs, podziurawiona pociskami z działka, usiłując uruchomić rezerwowe układy. Kowboj wydusza z silników, ile się da, przeciążenie wgniata mu głowę w oparcie. Stracił część płaszczyzn sterujących, ale komputerowi chyba uda-je się to skompensować. Zostały mu trzy minuty do przyziemienia promu.

Prowadzące fregaty zatoczyły pętle i kierują się wprost na nie-go. Dwie delty, Maurice’a i Diega, wykonały jo-jo, ostatnia para wrogich pojazdów usiłuje je strącić.

Postępują mądrzej niż poprzednia para, rozdzielają się, każda podąża za swoim celem. Kowboj wystrzeliwuje rakiet antyrada-rowe w stronę promu, wielkiego, powolnego celu na linii horyzon-tu. Wysuwa dolne działko, strzela do fregat znajdujących się przed nim, nagle jedna z nich - może ta uszkodzona czołowym tra-fieniem pocisku antyradarowego - zaczyna gwałtownie dymić. Kowboj widzi błysk ładunków katapultujących pilota, w tym mo-mencie wiązka laserowa przebija jego epoksydowe ciało i „Pony Ekspres” zaczyna umierać.

Systemowe kryształki wrzą i odparowują w żarze spójnego światła, delta traci stabilność, gdy obydwa komputery, sterujący i rezerwowy, zamierają, skwiercząc. Kowboj krzyczy, kiedy syste-my kontrolne wtłaczają mu się do głowy. Aerodynamika delty jest pierwszorzędna, lecz przy tej prędkości każdy pojazd usiłujący manewrować musi być niestabilny, a z kolei lecący prostym kursem stanowi idealny cel. Kowboj walczy z samolotem, wprowadza delikatne poprawki, ale nad taką ilością oscylacji, z jaką przyszło mu się zmierzyć, nie potrafi zapanować. Powietrze twardnieje, delta zaczyna się trząść, wysiadają kolejne systemy, wpada w kor-kociąg. Znieczulone ciało Kowboja skręca się w męczarni. Nie widzi nic, oprócz wyświetlaczy informujących o hydraulice, prze-pływie powietrza, o podziurawionych systemach oraz opornych powierzchniach sterowych. Stracił obraz celu, krzyczy w prote-ście. Czuje zbliżającą się ziemię...

I nagle wystrzeliwuje w górę, tuż nad Sierra, wyciągniętymi ku niemu, usiłującymi go pochwycić, zielonymi palcami gór. Wspina się w niebo, znów zdolny zasilać silniki alkoholem. Jego krysz-

3ZZ

UHahiotuani

tał umożliwił stworzenie procedur niezbędnych do utrzymania sterowania delty. Nie zostało mu w głowie wiele miejsca na cokol-wiek innego, podnosi wracający wzrok w błękitne niebo, widzi po-

tężny cień ogromnego promu, prześladowany przez czarne kształty śmigające wokół niego jak jaskółki. Walka toczy się teraz wolniej i w mniejszej przestrzeni, widać to dobrze od dołu. Zostały tylko trzy fregaty, jedna sprawia wrażenie uszkodzonej, gdyż trzyma się nieco na uboczu. Jedna z delt odlatuje, zataczając się i ciągnąc za sobą warkocz ognia, druga zawzięcie walczy, robiąc gwałtowne uniki przed rakietami Orbitalców. Już tylko sekundy dzielą prom od przekroczenia grzbietu Sierry i lądowania w Edwards.

„Pony Express” łukiem wchodzi w pionową świecę. W kryształ-le Kowboja odzywa się sygnał, automatycznie odpala termoczułą raketę, lecz nie odrywa syntetycznych oczu od „Argosy”. Rozlegają się kolejne sygnały, przy każdym odpaleniu deltę przebiega wstrząs. Płonąca fregata, koziółkując, spada, ale umysł Kowboja wypełniają powierzchnie sterowe, rozjarzony kryształ, informacje o silnikach, temperaturze poszycia, gotowości systemów uzbrojenia, niepoohamowana powódź danych ze świata elektronów, wlewa jąca mu się w umysł z prędkością światła... Kowboj jest teraz istotą z interfejsu, której mózg stał się procesorem. Jego udręczone skrzydła drgają, wręgi jęczą, żar przenika czarną epoksydową skórę. Serce omal mu nie pęknie, pompując alkohol do komór spalania. Cel wypełnia mu zawężone pole widzenia. Robi półbeczkę, sieje pociskami z działka po brzuchu promu, ale po kilku sekundach kończy się amunicja, a rakiet nie ma już dawno. Przeciwnik jest uszkodzony, lecz odporny, wciąż zdolny do lądowania. Zbocza górskie obniżają się i Kowboj widzi już tylko pustynię, ciągnącą się po horyzont.

Neuroprzekazniki atakują kryształ, elektrony z prędkością światła wylewają się ze złącz Kowboja. Powierzchnie sterowe walczą z powietrzem, wyjąc z wściekłością. Interfejs żąda konkretnego rozwiązania, decyzja zostaje podjęta niemal bez udziału świadomej woli. Lecz jakaś cząstka umysłu Kowboja zdaje sobie sprawę, że takie zakończenie jego legendy jest i konieczne, i właściwe - użycie siebie wraz z matowoczarным ciałem jako pocisku przeciwko orbitalnemu promowi i zdobycie w ten sposób cząstki nieśmiertelności, miejsca w umyśle każdego pancerniaka, każdego dzoka...

Kowboj akceptuje decyzję swego kryształ. Spomiędzy warg wyrzywa mu się triumfalny, chrapliwy śmiech. Prom rośnie mu w oczach.

Wtrąca się czarny kształt, spiralą wlatując pomiędzy Kowboja i jego cel. Pancerniak rozpoznaje charakterystyczną deltę Maurice'a, spostrzega uszkodzone skrzydło i kadłub, błękitny hełm pilota w kokpicie, nieprzejrzystą maskę skierowaną na punkt przecięcia kursów jego samolotu i promu...

Kiedy delta Maurice'a wbija się w spojenie skrzydła i kadłuba, „Argosy” eksploduje. Kryształ Kowboja boryka się z uderzeniami fragmentów wykonanego ze stopu promu, odparowujących na zmaltretowanym poszyciu samolotu zanim jeszcze do pancerniaka dotrze, że jeszcze nie czas na jego śmierć, że odebrał mu ją Maurice. Kiedy w końcu zdaje sobie z tego sprawę, szczątki i promu, i samolotu kolegi zostają daleko w tyle, spadając ku pustyni Mojave, poruszone podmuchem jego przelotu, lecz niestanowiące już czynnika mogącego wpłynąć na jego los. Na myśl o odebraniu mu przeznaczenia wzbiera w nim gniew.

- Cel zniszczony. Tu Kowboj. Zrobiliśmy to.

W czasie tej krótkiej transmisji przeleciał nad olbrzymim obszarem pustyni. Nie zwraca uwagi na potwierdzenie odbioru. Wciąż ma na ogonie dwie fregaty pałające żądzą zemsty. Skończyła mu się amunicja, dysponuje tylko kilkoma przynętami termitowymi. Wchodzi w ciasny zakręt na południe, unik nad pustynią. Niestabilna delta wpada w wibracje i znów opanowuje jego umysł z trudem nadążający z korekcją położenia płaszczyzn sterujących w tym obciążającym konstrukcję manewrze. Jednak fregata siedzi mu na ogonie, ogniem laserów niszczy kolejne czujniki, przegrzewa polimerowe poszycie, szuka słabego punktu pancerniaka... Kowboj robi unik przed rakieta, potem drugą, próbuje ześlizgu w bok z jednoczesnym odpaleniem termicznej przynęty. Kryształ zaczyna mruczeć ostrzeżeniem, że paliwa zostało już (tylko na kilka minut.

Fregata usiłuje nadążyć za zwinną deltą, lecz nie jest w stanie, wyprzedza ją; jednak pocisk raketowy wytrzymuje większe przeciążenia i Kowboj, mając zniszczone rufowe czujniki, w ogóle jej nie spostrzega. Rakietą trafia w jeden z bliźniaczych silników Rolls-Royce'a i nagle „Pony Express” znów traci stabilność, roni krople stopionego metalu, zataczając się po niebie. Umysł Kow-

321

UkaDloutani

boja reguluje pozycje płaszczyzn sterujących, przepływ paliwa, stabilizatory. Eksploduje w nim furia. Rozgląda się za celem, znajduje go, wyciąga „Pony Express” ciasnym esowatym skretem w pogoń za fregatą, żeby zwalić ją taranem z nieba. ...Jednak mając tylko jeden silnik, delta straciła przyspieszenie i Kowboj nie ma szans dopadnięcia orbitalnej fregaty. Z tyłu dosięga go kolejny laser, uszkodzony wrogi pojazd zbliża się, żeby go wykończyć.

Kowboj odwraca się, żeby popatrzeć przez ramię, krzyczy z wściekłości, widząc podczerwone obrazy kolejnych nadlatujących rakiet. Wyrzuca termitową przynętę i wykonuje serię uników, lecz czuje, że traci kontrolę nad samolotem. Coraz trudniej nim manewrować, a brutalne traktowanie uszkadza coraz więcej systemów. Na całym wyświetlaczu stanu silnika, który mu pozostał, błyskają czerwone i pomarańczowe światła. Laser Orbitalca odrywa panel z poszycia, topi żebro szkieletu kadłuba. Kowboj próbuje wykonać zwrot do taranowania, lecz sterowanie nie pozwala już na drastyczne zmiany kursu.

Czuje, jak „Pony Express” ugina się pod naprężeniami. Wie, że delta może przetrwać trafienie rakietą w drugi silnik, że być może zdoła wylądować na pustyni - jeśli nie straci już żadnych płaszczyzn sterowniczych. Dane tłoczą mu się w mózgu, samolot powiadamia go, że jest zdolny przetrwać. Pocisk się zbliża. Już nie ma żadnych przynęt. Stalowa gitara smutno gra w umyśle Kowbo-ja, który podnosi wzrok w niebo i widzi tylko pustkę. Błysk ładunków, które wyrzucają go z samolotu w górę. Ściana wiatru uderza w maskę na twarzy. Niebo i ziemia koziółkują. Kow-boj krzyczy z bólu gwałtownie szarpiącego ciało, już niemaskowa-nego przez anestetyk i natłok danych ze złącz. Zawieszony w po-wietrzu z zamętem w głowie, nie widzi, jak „Pony Express” uderza w powierzchnię pustyni.

Kiedy ląduje, jego ciało jeszcze nie jest w pełni sprawne. Na szczęście na pustyni panuje spokój. Czasza jego spadochronu opa-da, zaczepia się na samotnej juce. Gorące powietrze pustyni parzy go w gardło przy każdym oddechu. Dokucza mu uporczywy ból. Wie, że ma pękniętych parę żeber, prawdopodobnie kiedy szarpał się z samolotem po zniszczeniu przez laser komputerów pokładowych, poza tym lewym przedramieniem najwyraźniej uderzył o kokpit przy katapultowaniu, zwisa teraz poszarpane i okrwawione. Narasta w nim rozbawienie, wybucha śmiechem, który zmienia się w kaszel, czuje, jak mu coś w środku pęka. W ustach ma smak krwi. Odwraca głowę, żeby splunąć, coś spływa mu po twarzy. Kowboj uderza w zwalniacz spadochronu, uwalnia się od nie-go, ściąga hełm, wyjmuje martwe wtyczki z czaszki. Ostrożnie od-wraca się na bok i próbuje wstać. Nie udaje mu się, spluwa krwią, próbuje jeszcze raz, tym razem z sukcesem. Lewą nogę otarł przy katapultowaniu, czuje się, jakby stracił na niej sporo skóry, na szczęście nie jest złamana. Robi kilka kroków, znów się śmieje, potem zgina w pół, gdy dopada go kaszel, kiedy krew wypełnia mu usta. Wypluwa ją, buntowniczo prostuje ramiona. Wylądował na skalistym grzbiecie wznoszącym się nad pustyn-nym szlakiem wyznaczonym dwiema koleinami. W odległości ja-kiegoś kilometra unosi się słup dymu, w miejscu ostatecznego uderzenia szczątków „Pony Express” rozdartego wcześniej pę-dem powietrza. Druga, potężniejsza kolumna widnieje na półno-cy, gdzie splecione razem spoczywają wraki „Argosy” i delty. Powietrze rozdzierają dwie naddźwiękowe fale uderzeniowe, Kowboj widzi w podczerwieni dwa punkty fregat zawracających do Edwards. Pokazuje im środkowy palec w nieprzyzwoitym ge-ście i uśmiecha się szeroko.

- Przegraliście, sukinsyny - rechocze i zaczyna kuśtykać w dół stoku.

Z oddali, ze szlaku dobiega jękliwy, niski pomruk, Kowboj opiera się o gorącą skałę i czeka. To chromowany turbinowy try-cykl zbliża się, by sprawdzić wrak. Kowboj sięga po pistolet, dwukrotnie strzela w powietrze. Motocyklista odwraca głowę, skinie-niem odpowiada na machanie ręką. Zatrzymuje pojazd przy drodze i zaczyna wspinać się na zbocze.

To ciemnoskóra kobieta z ogoloną głową, rodzaj kulturystki o mięśniach powiększonych i ukształtowanych hormonami. Biust ma tak równie mało widoczny na potężnej klatce piersiowej, ja,k-by były to dwa groszki. Ma na sobie błyszczący, siatkowy stanik bikini, upleciony ze stopu, lśniące, workowate szorty i miękkie mokasyny ze sznurowadłami zawiązanymi nad kostką. Głęboko pod ciemną skórą widać piegi na jej ramionach, na szyi ma na-szyjnik ze zbieleiałych czaszek grzechotników.

- Kiepsko wyglądasz, łazik.

Kowboj sięga do kieszeni i wyciąga pół uncji złota.

oco

vnnvviwvwni

- Zarobisz drugie tyle, jeśli dowieziesz mnie do Boulder City - oznajmia. - Ale nie chcę przechodzić przez żadne posterunki cel-ne Wolnej Strefy.

Kobieta kiwa głową.

- Całkiem nieźle. Jednak nie sądzę, żebyś dotarł aż tak daleko, przynajmniej nie po pustynnych drogach.

- To nie twoje zmartwienie.

- Masz gdzieś medpakiet?

Kowboj pokazuje głową w górę stoku.

- Tak, przy spadochronie.

Bez słowa kobieta wspina się do spadochronu, ściąga go z juki i przyrzuca kamieniami. Schodzi na dół, zabierając medpakiet. Kowboj siedzi z pistoletem zwisającym mu bezwładnie w dłoni. Kobieta wyjmuje mu go z ręki i wsuwa z powrotem do kabury. Kiedy ściąga z niego górną część kombinezonu przeciwprzeciążeniowego, pancerniak niemal mdleje z bólu. Motocyklistka zmywa z niego część krwi, dezynfekuje rany, obwiązuje żebra, unieruchamia przedramię na temblaku. Potem wstrzykuje w ramię trochę endorfiny, narkotyk z wdziękiem usadawia się pomiędzy jego receptorami bólowymi i bardzo wydajnymi, okablowanymi nerwami. Kowboj słabnie tak szybko, że kobieta musi pomóc mu zejść ze zbocza do motocykla. Usadawiając się za nią na siodełku, za-uważa trzy świeżo zabite grzechotniki zwisające z kierownicy. Z północy dobiega dźwięk syren, nad szlakiem unosi się zbliżający się kłęb kurzu. Kobieta zjeżdża z kolein i jedzie trycyklem na przełaj, niezbyt szybko, żeby nie podnosić pyłu. Wstrząsy mniej urażają połamane żebra Kowboja, niż się spodziewał. Zamieszkała część Kalifornii ciągnie się na wschód, do Bea-con Station. Trycykl posuwa się krętymi szlakami pustynnymi, wjeżdża na grzbiety wzgórz, pędzi szybko po dnie wyschniętego jeziora. Kowboj odchyła się w tył na oparcie, drzemie. Endorfina pomrukuje mu w głowie. Na wschód od Silver Lake trycykl wjeżdża na autostradę, podróż na wyjącej turbinie staje się przyjemniejsza. Kowboj przygląda się pracy silnych mięśni ramion, gdy kobieta omija wyboje. Martwe węże powiewają na kierownicy. Znowu narasta w nim rozbawienie.

- Hej, lady, wjeżdżasz prosto do legendy, wiesz?

Kobieta rzuca mu przez ramię obojętne spojrzenie.

- Uważam, że ta legenda to twoja sprawa, facet.

- Żałuję, że nie mogę zerknąć do brukowców.

- Żałuję, że nie mogę zerknąć na tę drugą sztabkę złota. Co prawda nie sądzę, żebym już teraz miała po temu okazję. Kowboj śmieje się, kaszle, znowu się śmieje.

- Przypominasz mi kogoś.

- Czy dzięki temu mam się poczuć lepiej?

Pancerniak ponownie się śmieje. Oblizuje suche wargi.

- Masz wodę?

Kobieta podaje mu plastikowy bidon. Kowboj napełnia sobie usta, wypłukuje wodę na bok, następny haust przełyka. Oddaje butelkę kierującej, która przypina ją do ramy trycykla. Kowboj opada na oparcie i znowu zamyka oczy, czując, jak pojazd podskakuje niczym wagonik kolejki górskiej. Promienie zachodzącego słońca liżą go w tył głowy.

Przy zamkniętych oczach wciąż doświadcza ciągu dopalaczy, pieśni rakiet w jego kryształach, uczucia, że „Pony Express” żyje w jego nerwach, w żyłach. Nie ma go już, zmienił się we wrak leżący na pustyni. Ostatnie sprawne delty, ostatnie nierozszarpane na sztuki, nieprzerobione na pozbawione wdzięku pancerki, których Kowboj nie lubi. Teraz ma nawet jeszcze więcej powodów, by ich nie

znosić, na krótko znów był pilotem.

Endorfina wywołuje pod jego powiekami jasne wzory, obrazy zielonych wyświetlaczy jarzących się głęboko w jego umyśle, wi-doki srebrzystych stateczników rakiet wirujących na tle nieba, „Argosy” rosnącego coraz bardziej i bardziej, kiedy on pętłą wchodzi na kurs kolizyjny... obraz śmierci wypełniający szyby owiewki, zbliżający się niebyt, którego domaga się i kryształ, i in-terfejs... czarny klin przesłaniający stalowe niebo... dowód jego oddania życiu, docierający z prędkością światła... ostatnie ude-rzenie, zapewniające mu miejsce na niebie, ostatni, triumfalny uśmiech wywołany napięciem, przypominający wyszczerzone zę-by czaszki...

Kowboj otwiera oczy, bierze głęboki wdech, czuje wzbierający mu w gardle krzyk. Milczy jednak. Strach przebiega mu uaktyw-nione nerwy. Motocyklistka mknie nocą po asfalcie, omijając wy-boje ujawniane przez reflektor.

- O żeż kurwa - mruczy Kowboj.

Rozkazuje swoim nerwom wyłączyć się.

- Mówiłeś coś, łazik? unouiuwom Pancerniak wpatruje się w naszyjnik z czaszek, z którego ga-pią się na niego puste oczodoły grzechotników. Oczy Damy Śmier-ci, której zimne, mroczne wargi musnęły jego usta tam, na niebie. Biorą go dreszcze.

- Nic wielkiego - odpowiada.

- Tak myślałam.

- Mogę dostać jeszcze trochę wody?

Tym razem, zanim odda butelkę, opróżnia jej połowę. Jego zdrowa ręka trzęsie się tak bardzo, że niemal upuszcza bidon. Ból czai się głęboko w jego piersi, działanie endorfiny ustępuje. - Czy twoi ludzie będą tęsknić za tobą? - pyta.

Potężne wzruszenie ramionami.

- Moje siostry będą za mną tęsknić, kiedy nadejdzie pora.

- Wszystkie są takimi górami mięśni jak ty?

- Dlatego żyjemy razem, facet.

Kobieta odwraca głowę, żeby spojrzeć na niego. W jej oczach odbija się blask gwiazd.

- Czy w Boulder City jest jakieś konkretne miejsce, gdzie chciałbyś się znaleźć?

- Wystarczy budka telefoniczna. Potem może hotel.

- Cokolwiek powiesz, łazik.

Światła Boulder City rozjaśniają mrok. Silnik trycykla pracuje na luzie, kiedy Kowboj, walcząc z zeszywnieniem i bólem, w koń-cu daje radę stanąć prosto.

- Kieszeń na prawym udzie - mówi. - Szpilka kredytowa.

- Okay.

Kobieta otwiera suwak kieszeni, wsuwa za niego szpilkę w gniazdo telefonu. Kowboj wpina wtyk w czoło i w myśli podaje numer Reno.

- Tu Kowboj. Jestem w Boulder City.

- Dodger i jego ludzie też. Gdzieś ty się podziewał?

- Jestem ranny. Powiedz im, żeby załatwili lekarza. - Natychmiast. Śledzę twoją linię, więc będę mógł im powie-dzieć, gdzie jesteś.

Kowboj opiera się ciężko na telefonie. Ból pulsuje mu w piersi.

- Hej, Reno - pyta. - Czy ktokolwiek wrócił?

- Diego łądował przymusowo na pustyni. Orbitalcy schwytali go razem z delta.

Żal budzi się w Kowboju.

- Szlag by trafił. Więc nic nie zostało. Straciłem „Express”.

- Zbudujemy drugi. Wygraliśmy.

Wiadomość budzi w nim tylko marginalne zainteresowanie.

-Tak?

- Tempel padł. Nie potrzebowaliśmy sieci; musieliśmy tylko poczekać, żeby spadł poniżej pięciuset i wtedy zacząć kupować. Roon ujawnił się i ogłosił w brukowcach, że przygotowuje listę kandydatów do rady. W ciągu pięciu minut miał takie poparcie, że Couceiro zrezygnował, nawet nie czekając na wybory. Roon wy-biera się promem na górę, kiedy tylko dogra szczegóły. Już ogłosił cięcia budżetowe.

- No i dobrze - mówienie sprawia coraz większy ból. - Namie-rzyłeś mnie już?

- Flash Force jest w drodze. Możesz się wyłączyć, jeśli chcesz. Kowboj sięga po szpilkę kredytową, wyszarpuje ją. Wrzuca do kieszeni na piersi, wyjmując dwie półuncjowe sztabki. - Dostajesz premię za wspaniałą osobowość.

Motocyklistka przyjmuje monety z szerokim uśmiechem. Cho-wa je do kieszonki pasa i wskakuje na swoje siodełko. - Mam się trzymać w pobliżu? - pyta.

- Poradzę sobie. - Kowboj patrzy na nią nieruchomo. - Hej, przyda ci się ekstra gotówka? Od czasu do czasu potrzebny mi ktoś do przewiezienia wiadomości.

Kobieta kiwa głową.

- Stacja Biologiczna Blackwater Well. Jestem ekologiem pu-styni.

- Nie żartuj.

Turbina jej pojazdu zwiększa obroty, kobieta uśmiecha się do niego ostatni raz, odjeżdża, przyspieszając ostro. Kowboj przyglą-da się tylnym światłom trycykla, zbiegającym się w punkt i znika-jącym, potem zamyka oczy. Wyczuwa raczej, niż spostrzega długi samochód zatrzymujący się koło niego.

- Kowboj? Po prostu obejmij mnie.

Głos Sary. Pancerniak otwiera oczy, widzi jej wysoką sylwetkę, czuje dłonie dotykające jego ubrania. Uśmiecha się blado. - To był długi dzień, co?

- Spokojnie. Wsiądź tylko do samochodu.

- Maurice popełnił samobójstwo. Zamierzałem umrzeć, ale on zrobił to za mnie. Prosto w ramiona Damy Śmierci. - Spokojnie. Teraz druga noga.

- Zawsze za nią goniłem. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, aż do dzisiaj.

- Połóż tu głowę, na moim ramieniu.

Kowboj czuje ciepło na policzku.

- To kurewska rzecz - mruczy - być legendą swoich czasów.

Samochód przyspiesza, tocząc się cicho.

Rozdział dwudziesty czwartą

Jesteś pewien, że sobie z tym poradzisz?

I-Mam większość zebranych przez nas danych Tempel. Oraz wspomnienia. Moje i jego. Sądzę, że mogę zdziałać coś dobrego. - Taak - mówi Kowboj. - Zawsze uważałem, że przydałoby mi się paru kumpli na wysokich stanowiskach.

W jedynej izbie starej chałupy jest podłoga z tanich płytek, wiekowe meble, powiązane drutami, zapadnięte podwójne łóżko ze zmechaoną narzutą.

Kowboj leży na posłaniu, nuci sobie „Jeźdźców fejsu na nie-bie”, oglądając sprawozdanie wideo z kryzysu Tempel. Zamieszanie się już kończy, twierdzi reporter. Wartość akcji powoli rośnie. Związek Rad Orbitalnych ogłosił wotum zaufania dla administracji Roona. Nowe kierownictwo wysłało Couceira do Afryki, żeby w końcu dotknął planety, którą do tej pory widział jako białoniebieską sferę zanieczyszczającą mu obraz monochromatycznego, bezpowietrznego wszechświata. Ciesz się przejmowaniem mienia w Ghanie, myśli Kowboj. Sięga po whisky, pociąga łyceczek, opiera szklaneczkę na podłokietniku.

Kiedy otwierają się drzwi, odwraca się, widzi wchodzącą Sarę. Twarz owiewa mu fala pustynnego żaru, kiedy spogląda poza dziewczynę przez obramowany framugą otwór na brązową kamienistą równinę ciągnącą się aż do Kalifornii, niknącą w spotkaniu z błękitnym, przezczystym niebem.

Sara zamyka za sobą drzwi. Ma na sobie czapkę z długim daszkiem, dzinsy, błyszczącą koszulę z długim rękawem. - Obudziłeś się - mówi.

- Tak. - Kowboj sięga po butelkę whisky. - Przyłączysz się?

- Za wcześnie.

Dziewczyna zdejmuje czapkę, rzuca ją na stół kuchenny w szarym kolorze, na jaki malowane są burty okrętów wojennych. Roztrzasa włosy.

- Dodger chce cię potem widzieć. Interesy. Jego żona przylatuje późnym popołudniem.

Siada przy nim na materacu. Kowboj wyłącza wid, posuwa się, robiąc jej miejsce. Krzywi się, kiedy boli go obtarta noga. Sara obejmuje go za ramiona, więc opiera się na niej, wtula w jej ciepło. -

Mają tu konie - mówi dziewczyna. - Nigdy nie nauczyłam się na nich jeździć.

- Mogę cię nauczyć - proponuje Kowboj.

Przygląda się jej profilowi, zadartemu nosowi, parabolicznej doskonałości warg, ciemnej skórze obwiedzonej delikatną mgiełką światła padającego ze znajdującego się za nią okna. Sara odwraca się do niego.

- Złamana ręka nie będzie...

- Nie bardzo. Nie.

Znajdują się w Nevadzie, na ranczo wyznaczonym przez Flash Force na rezerwową bazę. Trzeciacy z Zachodu i pancerniacy będą ściągać tu w ciągu następnego tygodnia, żeby ustalić warunki pokoju. Cunningham nie żyje, Tempel wycofało swoje poparcie i na gładzi trzeciacy tej firmy miotają się w pustce, otoczeni przez wrogów ściskających wyostrzone noże.

Będą konferować z Dodgerem. Pancerniacy planują rozmawiać z Kowbojem. Jego plan założenia stowarzyszenia zaczyna nabierać realnych kształtów. Może pokój będzie łatwiejszy do utrzymania, jeśli trzeciacy sprawiający kłopoty sąsiadom nagle stwierdzą, że wskutek swoich działań nie mają jak przetransportować swoich towarów na Wschód.

Głos brzmi inaczej. Jest w nim jakieś drżenie, może echo - jak-by niesynchronicznie mówiły dwie osoby.

- Reno? - pyta Kowboj. - Wszystko w porządku? - Jestem tu w wielkim kryształce, Kowboju. Boże, jakie plany mają ci ludzie! Mają w kieszeni następny tysiąc lat... ale jest w tym zabawna jakość. Wiedzą, jakiego kształtu przyszłości pragną, lecz nie mają pojęcia, jacy sami chcą być. Siedzą tu na

górze całkiem zagubieni. Kiedyś sens nadawało im posłuszeństwo wo-bec Ziemi i walka z nią, ale teraz nie wiedzą, co robić. Zbyt ich rozpraszają własne struktury. Mają swoją niezależność, lecz nie wiedzą, co to znaczy i poszukują różnych rzeczy, które nadałyby jej znaczenie. Niektórzy dążą do dominacji - nad planetą, nad in-nymi... Wiesz, że gromadzą tu neurotoksyczny gaz? Na wypadek ataku innego bloku? Są aż tak szaleni. Niektórzy zatracają się w marzeniach o coraz większym i lepszym sprzęcie - jakby two-rzone przez nich maszyny mogły podać im brakujące definicje. Innych zadowala istnienie w roli elementów strukturalnych, przyjmowanie kształtów korporacyjnej niszy ekologicznej. Są za-dowoleni, że inni ich programują.

To wampiry, Kowboju. Wysysają krew Ziemi, bo to trzyma ich przy życiu, lecz nie mają pojęcia, po co jest życie. - Moja zdolność do uzalania się nad tymi ludźmi jest nieco ograniczona - mówi Kowboj.

- Nie żalu - odpowiada głos - potrzebują.

Sara ostrożnie przygląda się Kowbojowi. Jest spalony słońcem, obity, ale po całonocnym śnie opadło napięcie, które mu towarzyszyło. Pancerniak zmienia pozycję, krzywi się.

- Potrzebny ci środek przeciwbólowy? - pyta dziewczyna.

Kowboj unosi swoją szklaneczkę z whisky.

- To jedyny środek znieczulający, jakiego teraz potrzebuję. - Może jednak mimo wszystko przyłączyć się do ciebie. - Sara sięga po butelkę, pije. - Właśnie rozmawiałam z Michaelem. Za-proponował mi coś w rodzaju pracy.

- Jakiego typu to praca?

- Doradcy, pewnie tak byś to nazwał. Dawny termin to konsul-tant. Powiedział, że ufa moim znajomościom. I instyktowi. - Cieszę się, że w końcu to zauważył. - Kowboj przeciąga ręką po szczecinie na brodzie. - Przyjmiesz ją?

- Prawdopodobnie tak. - Rozbawienie drga w niej jak napięta struna. - Zejdę w ten sposób z ulicy. • Uśmiecha się szeroko, znów unosi butelkę, pije.

Pójdę do szpitala, myśli, dołożę sobie parę kryształów. Pełne okablowanie Santistevína, niezależne od żarowiny. Oprogramo-wanie do broni ręcznej, taktykę małych oddziałów. Ale nie tylko rzeczy przydatne ulicznicy, również księgowość, transport, gra giełdowa. Wiedza, potrzebna jej jako konsultantce Hetmana. - Będiesz podróżować - odzywa się pancerniak.

Sara zerka na niego spod oka.

- Tak. Ty też. Ale możemy się widywać.

Ponieważ to, co teraz mamy, to wojenny związek, wymuszony sytuacją, myśli. Kiedy nacisk ustąpi, wszystko może się rozsypać. Ponieważ są rzeczy, o których ona wie, a nie może mu powiedzieć, ponieważ jej dotychczasowe życie było takie, że - cokolwiek on sądzi - na pewno nie chciałby poznawać jego szczegółów. Ponie-waż on ma własne spojrzenie na świat i swoje w nim miejsce, cze-go ona nie potrafi zrozumieć. Będą musieli ostrożnie zagłębiać się w pokój, w siebie nawzajem, wiedząc, że gdy znikły warunki, któ-re ich połączyły, wszystko może się rozlecieć. Powinni zostawić so-bie na to furtkę, na rozstanie. Albo na co innego. Zwłaszcza na co innego.

Pociąga kolejny łyk.

- Obiecałeś mi pokazać osiki jesienią, a widziałam tylko pie-przoną pustynię. Masz długi wobec mnie.

- Daud - mówi Kowboj.

Na dźwięk tego imienia, intonacji, z jaką zostało wypowiedziane, dziewczyna czuje chłód. Oboje wiedzą, że to on jest odpowiedzialny za wczorajszą katastrofę, że na kamienistej równinie Nevada leżą strzaskane kadłuby, szczątki maszyn pod opiekuńczymi falami Pacyfiku, ludzie zawinięci w brezent i przysypani cienką warstwą pustynnej gleby, wszyscy noszący na sobie dymiące pięt-no Dauda. Kowboj nie zapomni tego, a jego kodeks nie traktuje lekko zdrady.

- Kupuję mu bilet - odpowiada Sara lekkim tonem, ukrywając strach. - Wysyłam go daleko.

- A jeśli nie polecą?

Zapewnienia więzną jej w gardle, bo zdrada leży w naturze Dauda, całe życie czuła żądła jego zdrad, uodporniła się na nie, wmówiła sobie, że to tylko dlatego, iż jest słaby, że musi zdradzać, by wiedzieć, że mu ufano, a ona zawsze mu wybaczała... Lecz ta wyrozumiałość jakoś ją skaziła, jakby pozwalała łatwiej wybaczać samej sobie własne przewinienia. Nie chce mieć brata w pobliżu, żywego wspomnienia jej własnej zdolności do zdradzania wszystkiego, na czym jej zależy.

Nie jest zdolna przestać go kochać, tego jest świadoma. Może tylko przestać nim być.

- Polecą - zapewnia. - Nie pozostawię mu wyboru.

Oczy Kowboja są twarde jak krzemienie.

- Ja też.

Czyli trzeba skłonić Dauda do ostatniej zdrady. Nicka. Jeśli Nick istnieje, jeśli jeszcze nie wystawił Dauda do wiatru, używając go do celów Tempel. Ostatnie przewinienie, żeby uratować mu życie.

Telefon mruży cicho w uchwycie. Sara podnosi słuchawkę.

- Tu Reno, Sara.

Wciąż pracuje jako operator centrali, koordynując ciągle jeszcze działające fragmenty sieci, utrzymując łączność z wieloma pancerniakami i trzeciakami, którzy w ciągu następnych kilku dni odwiedzą to ranczo.

- Mam wiadomość od Roona - mówi. - Chce rozmawiać z wami.

- Powiedz mu, żeby się pieprzył.

- Twierdzi, że chodzi o interesy.

Sara spogląda na Kowboja.

- To Reno. Roon chce z nami rozmawiać.

Ku swemu zdumieniu Sara spostrzega w oczach Kowboja ponury uśmiech, jakby się tego spodziewał.

Głos jest teraz gładszy, lepiej kontrolowany. Pogłos zanikł. - Związek Rad Orbitalnych jest niezadowolony, Kowboju. Cou-ceira lubili, rozumieli. Nie podoba im się, że załatwiła go banda bagniaków.

Kowboj uśmiecha się szeroko i sięga po flaszkę whisky.

- Co zamierzają z tym zrobić?

- Nie są w stanie zmienić reguł handlu akcjami. System jest za duży, poza tym przy jego obecnej strukturze zbyt wielkie pieniądze zgarniają, prowadząc własne manipulacje. Wiedzą, że jeśli spróbują ograniczyć rynek giełdowy, jedynym efektem będzie zepchnięcie go do podziemia - zbyt słaba jest kontrola łączności, każdy fejsowy bank może prowadzić operacje giełdowe przy użyciu zwykłego telefonu. Nie, Kowboju. - Głos jest spokojny. - Oni zamierzają wyrzucić cię z interesu.

Chłód przenika ciało pancerniaka.

- Och - mówi. - Jak chcą tego dokonać?

- Uznali, że istnienie czarnego rynku, a także konkurencja za-opatrujących go Orbitalców stanowi zagrożenie... Prowadzi do powstania zbyt wielu niedających się kontrolować czynników. Za-mierzają więc go zalegalizować. W niedługim czasie jeden z ich oswojonych ustawodawców wprowadzi w Missouri ustawę znoszą-cą cła. W ten sposób powstanie obejmujący Kentucky i Missouri korytarz przez większą część Środkowego Zachodu. A po Missouri polecą inne stany, jak kostki domina. Pancerniacy po prostu prze-staną być potrzebni.

- Co może pan zrobić, żeby to powstrzymać?

- Nic. To decyzja Związku Rad Orbitalnych.

Rozpacz ogarnia Kowboja. Więc to jest koniec wszystkiego, o co walczyli Dodger i on sam. Zniesione jednym pociągnięciem orbitalnego pióra.

- Jesteś ostrzeżony - mówi głos. - Możesz się przygotować. - Nie widzę siebie jako kierowcy dalekobieżnego tira. Zbyt długo byłem banitą.

- Jesteś bogaty. Coś wymyślisz. Słuchaj, bałkanizacja Stanów to już prawie przeszłość. Tego możesz być pewien. Na Północnym Wschodzie robi się dużo lżej.

Nie jeździliśmy Aleją, myśli Kowboj, dla Północnego Wschodu czy dla pieniędzy. Tego nigdy nie potrafił zrozumieć Arkadij ani inni trzeciacy. Zawsze sądzili, że można nas kupić, że będziemy reagować na naciski ekonomiczne. Orbitalcy tego też nie pojmu-ją, nie wynika to z ich krystalicznych modeli świata. Że jeździli-śmy Aleją za nic. Tylko dlatego, że oznaczało to wolność. - Kowboju? - Głos waha się przez moment. - Zrobiłeś dużo do-brego, wiesz o tym. Wszyscy zrobiliśmy.

- Wiem.

Kowboj zastanawia się, czego się spodziewał, że ile będzie to trwać? Przypuszczalnie nawet jeszcze krócej. Zawsze sądził, że wszystko zakończy się gdzieś na jakichś polach uprawnych Środ-kowego Zachodu - fala rządowych helikopterów za falą, sypiące raketami przebijającymi stal Chobhama, pancernka rozpadająca się kawałek po kawałku. Albo w bezksiężycowym, ponaddzwięko-wym niebie, z policją czyhającą, by rzucić się na niego, promieni-stymi palcami ich radarów wyciągającymi się, by go dotknąć... Tego się nie spodziewał, że zostanie poinformowany o swoim prze-mijaniu, gdy będzie dochodził do siebie w łóżku na wakacyjnym ranczo gdzieś w gorącej Nevadzie. Że wszystko, czego dokonał, le-genda, którą stworzył, posłuży jedynie wyślizganiu go z interesów. Śmieje się. Emerytowany pancerniak, myśli. Czysty absurd. Ogarnia go rozbawienie. Czuje jakąś lekkość, jakby zmniejszyła się grawitacja. Myśli o świecie zaginającym się w dali pod nim, nabi-janej gwiazdami czerni z tyłu, wstającym w dole świcie, ziemi przed owiewką, błyszczącej w świetle słońca brązem i zielenią... Zniknęły granice wyznaczające Aleję, razem z opancerzonymi granicami jego życia, strefami i ich wewnętrznymi celnikami, ich siłami zbrojnymi i obszarami zamkniętymi, wciąż zwężającym się tunelem, którym pędził z prędkością światła ku jakiemuś gwałtownemu punktowi kulminacyjnemu czekającemu go na końcu. Wraz z legendą, którą tak ukochał, bo nigdy nie umiał pokochać życia. Zdaje sobie sprawę, że jest wolny i ma wysoko postawionych przyjaciół.

Dochodzi do wniosku, że właśnie się zaczyna zupełnie nowy rozdział życia.

Kowboj czuje ciepło rozlewające się po nerwach kończyn, sy-gnał ostrzegawczy. Sądzi, że wie, co ma się zdarzyć. Sięga nad Sa-rą, rozwija z telefonu kabel z wtyczką, wpina ją w skroń. - Reno - mówi do cienkiego jak włos mikrofonu przymocowa-nego do wtyku. - Zostań na linii. Chcę, żebyś usłyszał tego sukin-syna.

- Jak sobie życzysz, Kowboju.

- Jest jeszcze parę rzeczy, które chciałbym, żebyś zrobił - informuje.

Reno słucha spokojnie jego wyjaśnień. Kowboj leży w poprzek ciała Sary, czuje, jak zaskoczona dziewczyna zmienia pozycję. - Kowboju? - pyta Sara. - O jakim pliku mówisz? Czy ja...

- Wyjaśnię ci później - odpowiada on.

Kiedy odzywa się głos Roona, doprowadza go do szalu. Sara sztywnieje pod nim. Pancerniak przypomina sobie zimne koryta-rze ze stopu, wizerunki dzieci unoszące się w ciemności, holograficzne sufity jarzące się osiedlami Orbitalców odbijających światło gwiazd. Zimny uśmiech cuchnący trupem.

- Kowboju, Saro. Muszę wam pogratulować. Plan zaowocował wielkim sukcesem. Był błogosławiony, więc wy też jesteście. - Dzięki - odpowiada Kowboj.

Pociąga solidny łyk whisky, krzywi się, gdy żar spływa mu do żołądka. Czuje uderzenia serca w piersi, zimny pot występujący na czoło. Mdłości rodzące się głęboko w trzewiach, przewidywanie...

- Saro - mówi Roon. - Chcę, żebyś poleciała ze mną w niebo.

Jego głos brzmi jak pieszczota jedwabistych sopli lodu. - Potrzebuję kogoś do poprowadzenia moich służb bezpieczeństwa. Nie mogę ufać ludziom Couceira.

Kowboj przygląda się bliznom na twarzy Sary, ściągającym się w cynicznym uśmiechu.

- Chce pan, bym stała się pańskim Cunninghamem? - pyta. - Cunningham to nie było jego prawdziwe nazwisko. Ale tak, chcę, żebyś wykonywała dla mnie taką samą pracę, jak on dla moich poprzedników. Twoje pliki mówią, że masz do tego dryg. Chodź w niebo, Saro. Spójrz z góry na ojczystą planetę. Potem pomóż mi ukształtować przyszłość.

Romantyczne słowa wypowiedane takim beznamiętnym, kryształicznym głosem są tym bardziej przerażające, lodowaty gwałt zadawany przez pogłębiające się, triumfujące szaleństwo. - Bądź osią mej wspólnoty z planetą, Saro - mówi dalej. - Na-rzędziem, poprzez które ją posiądem. Ludzkim przedłużeniem me-go kryształu.

Kowboj widzi skrzywienie ust dziewczyny.

- Nie, panie Roon - pada odpowiedź. - To nie w moim stylu. Jednak w jej głosie wciąż jest ślad wahania, jakby zegnała się z ukochanym marzeniem, poznawszy w końcu jego cenę. - Sama wybrałaś swój los - ostrzega Roon. - Historia pozwoli zachować wolność jedynie drapieżcom, nie ich ofiarom. Rozwiń swe skrzydła, Saro. Dam ci krew, którą nakarmisz Łasicę. - Nie - odmawia Sara, z kamiennym wyrazem oczu. - To nie dla mnie.

- Żałuję twojej decyzji, Saro. Kowboju, mam nadzieję, że ty okażesz się bardziej rozsądny.

Pancerniak czuje nagłą suchość w ustach. Oblizuje wargi.

- Co pan proponuje? - pyta.

- Miejsce. Masz talenty o wiele większe niż zwykły pilot. Posiadasz instynkt drapieżnika, potrafisz odnaleźć słabe miejsca przeciwnika i działać zgodnie z tą wiedzą. Dostrzegłeś słabości Couceira i wiedziałeś, jak go pokonać. Chcę, żebyś dał mi te swoje zdolności, Kowboju.

- Nie. Nie chcę takiej pracy.

- Jesteście niebezpieczni. - Zimna ocena wlewa pancerniako-wi chłód w żyły. - Obaliliście potężnego człowieka i ani on, ani je-go przyjaciele nie zapomną tego. Proponuję wam swoją ochronę. - Nie - powtarza Kowboj. - To, co zrobiłem, nie jest żadną ta-jemnicą. Inni ludzie mogą dokonać tego samego. Układy się zmie-nią.

- Postąpiliście jak słabeusze. Jesteście głupcami. Następuje sekunda ciszy, w której Kowboj niemal słyszy, jak gdzieś w kryształach Roona zapada decyzja.

- Jednak nadal jesteście niebezpieczni. Być może za bardzo, żeby można było pozwolić wam włóczyć się swobodnie. Krzyszał w głowie Kowboja niemal eksploduje. Od początku wiedział, że do tego dojdzie - ponieważ kiedy Orbitalcy dostrzegą wolnego człowieka, nie mogą pozwolić na jego istnienie. - Reno, jesteś tam? - pyta.

- Tak, Kowboju.

- Daj mu tego teksańskiego dupka.

W złączeniu Kowboja rozlega się wrzask, częściowo generowany przez program Czarny Umysł, pędzący linią z prędkością światła, częściowo wydarty z gardła Roona, gdy Reno przechodzi nad zabezpieczeniami jego kryształu i zaczyna wpisywać samego siebie do mózgu Orbitalca. Kowboj widzi zdumienie w oczach Sary słuchającej jazgotu dobiegającego z trzymanej słuchawki. Kowboj wypina wtyk ze skroni i wrzask cichnie. Dziewczyna patrzy na niego.

Pancerniak wyjmuje jej telefon z ręki. Poza zgrzytliwym przekazem danych słyszy odległe jęki, krzyki, skomlenie. Śmieje się. Odkłada telefon na łóżko pomiędzy nimi i wyjaśnia wszystko. Oczy Sary zaczynają się uśmiechać, struna odpowiadająca rezo-nansom na akord.

Słuchają razem, aż krzyki cichną i z telefonu odzywa się głos Reno. Kowboj czuje się, jakby właśnie wrócił z długiego, nocnego lotu, i teraz docierało do niego - przez skórę, szepczące w kryszta-łach, pieszczące nerwy - ciepłe dotknięcie słońca.